

Robert Crais

NA CELOWNIKU

ZAPOMNIANY CZŁOWIEK

*Robert Crais to niewiarygodnie
utalentowany autor powieści kryminalnych.*

Dan Brown, autor Kodu Leonarda da Vinci

Świat Książki

Robert Crais

ZAPOMNIANY CZŁOWIEK

Z angielskiego przełożył
Andrzej Leszczyński


Świat Książki



Dla Pat z całą moją miłością

Podziękowania

Ze względów osobistych pragnę podziękować doktorowi Robertowi Beartowi i jego elitarnemu zespołowi z Centrum Onkologicznego Norrisa przy Uniwersytecie Południowej Kalifornii za to, że Ją odzyskałem. Nie szczędząc wysiłków, doktor Randy Sherman z tegoż uniwersytetu oraz Akademii Medycznej Kecka wywalczył dla nas przyjęcie poza kolejnością, którego bez jego pomocy pewnie byśmy nie uzyskali. Winien im jestem dożygonną wdzięczność.

Podczas gromadzenia materiałów pomoc, fachowe uwagi i rady otrzymałem z wielu stron: emerytowany detektyw III stopnia John Petievich był moim konsultantem w sprawach policji Los Angeles. Craig Harvey, główny specjalista medycyny sądowej przy Okręgowym Biurze Koronera w Los Angeles, hojnie poświęcił mi swój czas i cierpliwie odpowiadał na pytania. Po raz kolejny doktor Randy Sherman okazał się niezastąpiony we wprowadzaniu w szczegóły naukowe.

Od strony literackiej Jason Kaufman, mój redaktor, przyczynił się znacznie do ewolucji i rozwoju pierwotnego maszynopisu. Bardzo dziękuję.

Późnym popołudniem jednego z tych pięknych dni, kiedy zachodzące słońce ozłaca niebo miedzianym blaskiem przypominającym resztki żaru bijącego z rozpalonego ciała, Padilla i Bigelow skręcili z autostrady w wąską osiedlową uliczkę prowadzącą wprost ku blaskowi. Krzywiąc się, całkiem oślepieni, obaj równocześnie spuścili osłony nad przednią szybą. Chryste, jakbyśmy jechali prosto do piekła, pomyślał Padilla.

Bigelow wychylił się z fotela, kiedy dostrzegł na ulicy kobietę.

- Tam, po lewej. Połączę się z centralą.

Miał za sobą dopiero trzy miesiące służby, gdy tymczasem Padilla jeździł w patrolach ponad dziewięć lat, nie dziwił się więc za bardzo, że tamtego wszystko fascynowało, i meldunki radiowe, i możliwość prowadzenia wozu, gdy mu na to pozwalał, a zwłaszcza coś takiego, jak sprawdzenie ewentualnego miejsca zbrodni.

- Połącz się, tylko spróbuj zachować spokój, bo zazwyczaj gędzisz jak nakręcony. Musisz pamiętać, że gdy odbierasz takie wezwania, powinieneś je traktować jak lipę. Ludzie najczęściej chcą tylko zwrócić na siebie uwagę, bo czują się zagubieni, są wstawieni albo jeszcze coś innego. Dlatego rozmawiaj z dyżurnym, jakbyś już wszystko wiedział.

- W porządku.

- Rób wrażenie znudzonego, niech wygląda na to, że służba patrolowa już ci wychodzi uszami.

- Myślisz, że zamierzam ci narobić obciachu?

- Nie powiem, że nie przyszło mi to do głowy.

Kobieta w otoczeniu siedmiorga czy ośmiorga dzieci stała na chodniku uliczki biegnącej między szeregami stłoczonych domków. Wszyscy byli w szortach i sandałach. Na podjazdach przeważały półciężarówki Forda, gdzieś stały łodzie na przyczepach. Osiedle bardzo przypominało to, na którym mieszkał Padilla, tyle że bliżej centrum było zdecydowanie więcej zieleni, tu zaś hełmiaste wzgórza tworzyły niemal pustynny krajobraz, dominowały skały wulkaniczne, niebieskawy żwir i pożółkła trawa.

Padilla odpiął pas i wysiadł, zostawiając partnerowi swobodę w nawiązaniu łączności z centralą. Natychmiast skrzywił się boleśnie. Nawet teraz, o zachodzie słońca, temperatura przekraczała czterdzieści stopni.

- No, dobra. Co tu mamy? Kto dzwonił na policję?

Gruba kobieta o patykowatych nogach i szerokich kaczkowatych stopach przepchnęła się między dwoma nastolatkami.

- To ja, Katherine Torres. Ona leży bez ruchu na podłodze. Przynajmniej tak mi się zdaje, że to ona, bo nie widziałam twarzy.

Na centrali odebrano histeryczne wezwanie. Niejaka Torres z płaczem nakrzyczała do słuchawki, że jej sąsiadka leży martwa, a wszędzie jest pełno krwi. Dyspozytor wysłał na miejsce właśnie ich dwóch, Padillę i Bigelowa, pełniących służbę patrolową funkcjonariuszy z komendy w Temecula.

Kobieta energicznie zamachała rękoma, jakby miała jakąś przypadłość nerwową.

- Widziałam tylko jej nogi, ale wydaje mi się, że to Maria. Najpierw wołałam ją przez drzwi siatkowe, bo wiedziałam, że jest w domu. Dopiero później zajrzałam do środka. I zobaczyłam jej stopy, całe mokre. Jak też nogi do kolan. Nie jestem pewna, ale to chyba krew.

Kiedy Padilla uważnym wzrokiem mierzył wskazany dom, stanął przy nim Bigelow. Znad szczytów gór wystawał już tylko

rąbek słońca i w większości domów paliły się światła. Ale ten tonął w ciemnościach. Przemknęło mu przez myśl, że Torres mogła spostrzec na podłodze cokolwiek, mokry ręcznik rzucony przez kogoś po wyjściu spod prysznic, rozlany keczup, a może faktycznie zakrwawione ludzkie stopy.

- Mają psa? - zapytał.

- Nie, nie mają.

- Ile osób tu mieszka?

- Cztery, rodzice z dwójką dzieci - wtrąciła jedna z nastolatek. - Są naprawdę mili. Kilka razy opiekowałam się ich małą córeczką.

Bigelow, który tak się palił, by wejść do środka, że aż przestępował z nogi na nogę, jakby chciało mu się sikać, rzucił:

- Ktoś coś słyszał? Jakies podejrzane hałasy, krzyki, odgłosy walki?

Nie, nikt niczego nie słyszał.

Padilla kazał kobiecie zaczekać na ulicy, po czym razem z partnerem ruszył do drzwi. Żwir zazgrzytał pod butami. W poprzek alejki niczym kolumna wojska maszerowały wielkie czarne mrówki, które zmierzch pobudził do życia. Miedziano-złote niebo na zachodzie robiło się purpurowe. W domu panowała kompletna cisza. Rozgrzane powietrze wisiało nieruchomo, jakby rzeczywiście znajdowali się na pustym.

Padilla trzykrotnie głośno zastukał w futrynę.

- Policja. Funkcjonariusz Frank Padilla. Czy jest tu ktoś?

Pochylił się w stronę siatkowych drzwi, próbując zajrzeć do środka, lecz wewnątrz było już zbyt ciemno.

- Tu policja. Zamierzam otworzyć drzwi.

Wyciągnął zza paska latarkę, usiłując sobie przypomnieć, ile to już razy tak samo dobijał się do różnych okien i drzwi o każdej porze nocy. Zazwyczaj przyjeżdżał na wezwanie starszych ludzi, których zaniepokoił jacyś spóźnieni przechodnie, toteż kończyło

się na sprawdzeniu okolicy. Do tej pory tylko dwa razy wezwania mieszkańców okazały się uzasadnione.

- Halo! Puk! Puk! Tu policja! Wchodzimy do środka! - zawołał głośniej.

Otworzył siatkowe drzwi. Obaj równocześnie zapalili latarki.

- Jakiś dziwny zapach - mruknął Bigelow.

Chwilę później w świetle latarek ujrzeli nieruchome ciało kobiety pod czterdziestkę, rozciągnięte na podłodze w saloniku, twarzą do podłogi, niezbyt dokładnie ukryte za otomaną przeciągniętą na środek pokoju.

- O kurde - jęknął Bigelow.

- Patrz pod nogi.

- Ale paskudny widok.

Sąsiadka zawołała z ulicy:

- I co znaleźliście? To naprawdę ona?

Padilla wyciągnął pistolet. Serce zaczęło mu walić tak głośno, że nagle jakby ogłuchł. Żołądek podszedł do gardła. Przyszło mu na myśl, że młodszy partner może go postrzelić. Bardziej obawiał się Bigelowa niż ewentualnego mordercy.

- Tylko mnie nie zastrzel, do cholery! Dobrze się przyjrzyj, gdybyś musiał strzelać.

- Jezu! - syknął Bigelow. - Spójrz na ściany.

- Lepiej uważaj na te przekłete drzwi i trzymaj broń lufą do dołu. Ściany cię nie zabiją.

Denatka miała na sobie wystrzępione szorty zrobione ze starych dżinsów i T-shirt z podobizną Franka Zappy, rozdarty pod szyją. Całe ubranie pokrywały czarne plamy zakrzepłej krwi. Musiała dostać silny cios w tył głowy, bo włosy były posklejane krwistą galaretowatą substancją. W przejściu z salonu do jadalni leżały drugie zwłoki, mężczyzny. I on miał roztrzaskaną, zniekształconą głowę spoczywającą w wielkiej nieregularnej kałuży krwi, której zarys skojarzył się Padilli z kształtem

ciemnego znamienia na stopie jego najmłodszej córki. Smugi krwi rozmazanej na podłodze pozwalały wnioskować, że oboje małżonkowie nieporadnie próbowali uciekać napastnikom, jednakże bez skutku, o czym świadczyły liczne krwawe rozbryzgi na ścianach i suficie. Ich ilość nie pozostawiała złudzeń co do liczby ciosów, które spadły na ofiary. W powietrzu unosił się intensywny smród, będący skutkiem rozluźnienia zwieraczy zabitych.

Padilla machnął pistoletem w kierunku korytarza odchodzącego w głąb domu i rzekł:

- Sprawdź kuchnię. Ty zaczekaj tutaj i obserwuj wylot korytarza. Później zajrzemy razem do sypialni.

- Nigdzie się stąd nie ruszam.

Specjalnie wydał partnerowi polecenie głośniejsze, niż było to konieczne, mając nadzieję, że jeśli ktoś ukrywa się na tyłach domu, szybko wyskoczy przez okno i rzuci się do ucieczki. Ostrożnie przestąpił zwłoki mężczyzny i stanął w przejściu do kuchni. Tu ujrzał na podłodze kolejne ciało, dwunastoletniego chłopca, częściowo ukryte pod małym stolikiem, jakby dzieciak próbował się pod nim schować. Błyskawicznie odwrócił wzrok. W jego głowie kołatała się tylko jedna myśl: żeby jak najszybciej zabezpieczyć miejsce odrażającej zbrodni i poczekać na przyjazd ekipy śledczej.

Bigelow zawołał z salonu:

- Hej, Frank!

Padilla wycofał się do korytarza. Pokój tonał w blasku zapalonych świateł.

- Frank, tylko popatrz! - Jego partner wskazał na podłogę.

Na dywanie ciemniały liczne ślady o charakterystycznym kształcie klepsydry. Ale dopiero po paru sekundach Padilla uzmysłowił sobie, że są to ślady małych bosych stóp. Najwięcej było ich wokół zwłok gospodarzy i na krótkim odcinku między ciałem kobiety i mężczyzny. Inne prowadziły do kuchni, gdzie

również gęstniały wokół nieruchomego ciała nastolatka. Jeszcze inne prowadziły w głąb korytarza.

Pod samą ścianą ruszył ostrożnie za Bigelowem na tyły domu. Krwawe ślady blakły i całkiem ginęły przed ostatnimi drzwiami. Szybko zajrzał do pogrążonego w ciemności pokoju, czując nieprzyjemne drapanie w gardle. Omiótł pomieszczenie światłem latarki, zanim sięgnął do kontaktu.

- Nazywam się Frank Padilla. Jestem policjantem. Przybywam z pomocą.

Dziewczynka siedziała na podłodze u stóp łóżka, oparta plecami o ścianę. Tuliła buzię do przybrudzonej poduszki i ssała palec wskazujący. Na zawsze miał zapamiętać ten widok, bo wydało mu się dziwne, że w odróżnieniu od innych dzieci trzyma w buzi nie kciuk, lecz palec wskazujący. Szklistym wzrokiem spoglądała prosto przed siebie i szybko poruszała wargami, intensywnie ssąc paluszek. Bose stopy były czarne od zakrzepłej krwi. Miała najwyżej cztery latka.

- Kochanie?

Bigelow zajrzał mu przez ramię, po czym wszedł do sypialni.

- Jezu... Mam nadać komunikat?

- Tak. Ściągnij karetkę, kogoś z opieki społecznej i ekipę dochodzeniową. Powiedz, że mamy tu wielokrotne zabójstwo i żywą małą dziewczynkę.

- Nic jej nie jest?

- Idź zameldować. I nie wpuszczaj nikogo. Melduj tak, żeby ludzie na ulicy niczego nie słyszeli. Nie odpowiadaj na żadne pytania. Zamknij za sobą drzwi, żeby nikt nie zajrzał do środka.

Bigelow zawrócił i ruszył do wyjścia.

Frank Padilla schował pistolet do kabury i wszedł głębiej do sypialni. Uśmiechnął się do małej, lecz nawet nie spojrzała na niego. Była drobna i szczuplutka, z wystającymi kościstymi kolanami, wielkimi czarnymi oczami i buzią umazaną krwią. Miał ochotę podnieść ją z podłogi i utulić w ramionach, jak robił

to z własnymi córkami, ale nie chciał jej bardziej przestraszyć, stanął więc na środku pokoju. Wydawała się całkiem spokojna. Może to i lepiej? - pomyślał.

- Wszystko w porządku, kochanie. Już ci nic nie grozi.

Trudno było nawet ocenić, czy go słyszała.

Stał bez ruchu, spoglądając na dziewczynkę, która w całym domu zostawiła krwawe ślady bosych stóp, krążąc między matką, ojcem i bratem, nie mogąc ich docucić, drepcząc po kałużach krwi niczym przerażający upiór, nim w końcu zaszyła się w swoim pokoju, znalazłszy bezpieczne schronienie w kącie pod ścianą. Nie mógł się uwolnić od złych przeczuć co do skutków, jakie wywołały u niej straszliwe widoki. Niczym skamieniała wpatrywała się nieruchomo przed siebie i intensywnie ssła paluszek. Zaciekawilo go, czy nosi jeszcze pieluszkę i czy przypadkiem nie trzeba jej przewinać, ale uświadomił sobie szybko, że w tym wieku zapewne nie potrzebowała już pieluszek. Trudno było odgadnąć, co się dzieje w jej główce. Przecież miała dopiero cztery latka. Może nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wydarzyło?

Kiedy na miejscu pojawił się pierwszy zespół dochodzeniowy, Padilla zgodził się przypilnować małej w sypialni. Detektywi jednomyślnie doszli do wniosku, że będzie lepiej, jeśli zaczeka na przyjazd opiekunki tutaj, w znajomym otoczeniu, a nie w radiowozie. Zamknęli nawet drzwi od korytarza. Nieco później przybyła druga ekipa w kilku wozach patrolowych, potem dwóch śledczych z biura koronera, wreszcie technicy dochodzeniówki podlegający szeryfowi. Padilla wsłuchiwał się w trzask drzwi na ulicy oraz głosy ludzi w całym domu i na zewnątrz. Przez kilka minut nad osiedlem krążył helikopter, ale odleciał. Przyszło mu na myśl, że byłoby najlepiej, gdyby zabójca ukrył się w pobliskim śmietniku albo pod samochodem, bo pewnie chłopaki z patrolu od razu wpakowaliby mu parę kulek, zanimby wywlekli sukinsyna z kryjówki. Oczyma wyobraźni widział nawet siebie, jak zadaje mu w gębę dwa szybkie ciosy kluczem do opon, chociaż miał pełną świadomość, że na razie

opiekuje się małą i nic podobnego zapewne nigdy się nie wydarzy.

Po jakimś czasie do sypialni zajrzał Max Alvarez, nadinspektor z wydziału zabójstw i zarazem wujek żony Padilli. Miał za sobą trzydzieści dwa lata służby, z tego dwadzieścia cztery w wydziale zabójstw południowego Los Angeles i osiem w Temecula. Wychował siedmioro dzieci, które były już dorosłe i miały własne rodziny, pamiętał jednak, by zapytać szeptem:

- Czy z nią wszystko w porządku?

Padilla pokiwał głową, bojąc się choć jednym słowem zakłócić spokój małej.

- A z tobą?

Jeszcze raz przytaknął.

- Dobra. Jak będziesz chciał odpocząć, daj znak. Opiekunka z domu dziecka jest już w drodze. Powinna być najdalej za dziesięć minut.

Odetchnął z ulgą, gdy Alvarez zamknął drzwi. Gdzieś w głębi duszy rwał się do poszukiwania zbrodniarza, ale bardziej wczuwał się w rolę opiekuna dziewczynki. Wciąż siedziała bez ruchu, toteż jego zadanie ograniczało się do zapewnienia jej spokoju, jednak nurtowało go, co się dzieje w jej małej główce. Miał obawy, że ów pozorny spokój małej nie wróży niczego dobrego. Podejrzewał, że czteroletnie dziecko nie powinno być aż tak spokojne po tym, czego doświadczyło.

Minęły dwie godziny i dwadzieścia minut od chwili, gdy z Bigelowem weszli do domu, zanim w końcu pojawiły się dwie elegancko ubrane i uśmiechnięte kobiety z sekcji nieletnich Wydziału Opieki Społecznej. Dziewczynka bez oporów poszła z nimi, jakby wybierała się do przedszkola, mimo że jedna z kobiet zdjęła żakiet i zakryła nim główkę małej, by niczego nie widziała, przechodząc przez salon. Padilla wyszedł za nimi z pokoju, ale przed domem natknął się na Alvareza. Nadinspektor miał twarz błyszczącą od potu, po skroniach ściekały mu grube krople.

Stanął przy nim i obaj odprowadzili wzrokiem opiekunki niosące dziewczynkę do samochodu.

- Jak to wygląda? - zapytał w końcu Padilla.

- Jak nieudany napad rabunkowy. Znaleźliśmy narzędzie zbrodni, kij baseballowy porzucony za garażem. Mamy też kilka odcisków butów, ale nic poza tym. Rozmowy z sąsiadami nic dotąd nie przyniosły. Nikt nie zauważył niczego podejrzanego.

Padilla obejrzał się na Katherine Torres stojącą w gromadce sąsiadów na ulicy. Nie był detektywem, ale widział wystarczająco wiele miejsc zbrodni, by się domyślić, że szanse złapania mordercy są niewielkie. Najważniejsze były pierwsze godziny po zabójstwie. Świadkowie, którzy chcieli pomóc w dochodzeniu, zgłaszali się od razu.

- Bzdura - odparł. - W dzień roboczy, kiedy prawie w każdym domu są matki z dziećmi, ktoś musiał przecież coś słyszeć.

- Jeśli sądzisz, że wszyscy palą się do składania zeznań, to chyba naoglądałeś się za dużo telewizji. Jeszcze w Los Angeles pracowałem nad sprawą bydlaka, który zadał żonie dwadzieścia sześć ciosów nożem w czwartek o ósmej wieczorem na drugim piętrze trzypiętrowego bloku. Ciężko ranna kobieta, jeśli sądzić po smugach krwi, wyczołgała się z sypialni aż na klatkę schodową, zapewne krzycząc, a i tak nikt z sąsiadów niczego nie słyszał. Rozmawiałem z nimi po kilka razy. Nie kłamali. W sumie tamtego wieczoru tylko na tej jednej klatce było w mieszkaniach czterdzieści jeden osób. Jedli obiad, oglądali telewizję, zajmowali się swoimi sprawami i nikt nie słyszał krzyków. Często tak jest. Ludzie, którzy tu zginęli, pewnie cała trójka, też z pewnością wrzeszczeli wniebogłosy, ale nikt ich nie usłyszał, bo właśnie przelatywał samolot, ujadął pies albo w telewizji szedł jakiś popularny serial. A może po prostu wszystko wydarzyło się za szybko? Na to bym stawiał. Napastnik zaatakował znienacka i domownicy nawet nie zdążyli zawołać pomocy. Zresztą kto wie, dlaczego ludzie zachowują się tak, a nie inaczej.

Alvarez sprawiał wrażenie wkurzonego i wycieńczonego, więc Padilla nawet nie próbował z nim dyskutować. Opiekunki usadowiły małą w samochodzie i uruchomiły silnik.

- Jak sądzisz, dlaczego zostawili ją przy życiu?

- Nie mam pojęcia. Może doszli do wniosku, że nic im nie zagraża z jej strony, bo jest jeszcze za mała? Podejrzewam jednak, że po prostu jej nie zauważyli. Sądząc po śladach w korytarzu i pokoju, zapewne spała lub bawiła się w zamkniętym pokoju i wyszła z niego dopiero, gdy było po wszystkim. Może psychologom uda się z niej coś wyciągnąć. Nigdy nic nie wiadomo. Jak będziemy mieli szczęście, może opowie, co się stało i kto to zrobił. Jeśli nie, to niewykluczone, że nigdy nie poznamy prawdy. Często tak bywa, że nie sposób ustalić sprawców. Muszę wracać do roboty.

Odszedł i w towarzystwie innego śledczego zniknął za rogiem domu. Padilla nie miał ochoty wracać do służby. Zamarzył mu się powrót do domu, gorący prysznic i zimne piwo u boku żony na tylnym podwórku, kiedy dzieci będą oglądać telewizję. Nie ruszył się jednak z miejsca, tylko popatrzył na ulicę.

Kobiety z opieki społecznej odjeżdżały powoli, lawirując między grupkami gapiów i wozami stojącymi w wąskiej uliczce. Nie dostrzegł przez tylną szybę dziewczynki. Była jeszcze tak mała, że całkowicie zniknęła na siedzeniu, jakby samochód ją połknął. Wiedział z doświadczenia, że sceny z miejsca okrutnego zabójstwa, z jakim się dzisiaj zetknęli, będą wszystkich prześladować do końca życia. A wśród gapiów zgromadzonych na chodnikach z pewnością pojawiły się już obawy, że mordercy mogą wrócić. U jednych przeważać będzie żal po zabitych, u drugich strach. Jeśli poczucie zagrożenia weźmie górę, rozpadną się małżeństwa, wiele osób sprzeda swe domy i wyniesie się stąd czym prędzej, żeby i ich nie spotkało coś podobnego. Zabójstwa zwykle wywołują takie skutki. Ale i tak wszystkich prześladowają, zarówno mieszkańców z sąsiedztwa, jak i gliniarzy prowadzących dochodzenie, przyjaciół oraz krewnych ofiar. Jednakże w najgorszej sytuacji była ta mała dziewczynka. Traumatyczne doznania musiały odcisnąć na niej swoje piętno. Z pewnością

miała wyrosnąć na inną kobietę, niż gdyby dorastała w normalnych okolicznościach.

Spoglądając na samochód kierujący się w stronę autostrady, Padilla przeżegnał się i szepnął: - Będę się za ciebie modlił. Zawrócił i wszedł z powrotem do domu.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Najbliższy krewny

Wezwali mnie na oględziny zwłok pewnego deszczowego wiosennego poranka, kiedy mój dom był jeszcze spowity ciemnością niczym pajęczyną. Bo niektóre noce tak właśnie odbieram, zwłaszcza ostatnio. Wyobraźcie sobie Najlepszego Detektywa Świata, mimowolnego bohatera obszernych artykułów w „Los Angeles Times” i magazynie „Los Angeles”, pograżonego w półśnie w swoim domu, stojącym na szczycie wzgórza górującego nad miastem, gdy nagle dwie minuty przed czwartą nad ranem dzwoni telefon. Pomyślałem, że to kolejny dziennikarz, lecz mimo to odebrałem.

Słucham.

- Mówi detektyw Kelly Diaz z policji w Los Angeles. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale muszę się skontaktować z Elvisem Cole'em.

Mówiła lekko zachrypniętym głosem, normalnym o tej porze. Dźwignąłem się na łokciu, usiadłem i odchrząknąłem. Policjanci, którzy dzwonią przed wschodem słońca, mogą być tylko doręczycielami złych wiadomości.

- Skąd pani ma mój numer?

Zmieniłem go, gdy tylko prasa się mną zainteresowała, ale i tak odbierałem telefony od dziennikarzy.

- Dostałam od jednego ze śledczych z naszej komendy. Jeszcze raz przepraszam, że pana obudziłam, ale mamy zabójstwo i wiele wskazuje na to, że ofiara jest panu znana.

Poczułem, jakby coś mnie ukuło między oczami. Natychmiast spuściłem nogi na podłogę.

- Kto to jest?

- Chcielibyśmy, żeby przyjechał pan na miejsce zbrodni i dokonał oględzin zabitego. Jesteśmy w śródmieściu, niedaleko

skrzyżowania Dwunastej z Hill Street. Mogę wysłać radiowóz, jeśli pan sobie tego życzy.

Siedziałem po ciemku, spoglądając na przesuwne szklane drzwi prowadzące na werandę, która niczym trampolina przy basenie wysuwała się nad strome zbocze kanionu za domem. Światła zabudowań przeciwnego zbocza były rozmazane i słabo widoczne z powodu nisko wiszących chmur i mgły. Znowu odchrząknąłem.

- Czy to Joe Pike?

- Ma pan na myśli swojego współnika? Byłego gliniarza, który zawsze nosi ciemne okulary?

- Tak. Na łopatkach ma wytatuowane strzały. Czerwone.

Zakryła dłonią mikrofon, bo doleciały mną tylko stłumione głosy. Z kimś rozmawiała. Lęk coraz bardziej ścisnął mnie za serce, gdyż odnosiłem wrażenie, że jej narada oznacza potwierdzenie strasznej prawdy.

- Czy to on?

- Nie, to nie Pike. Ten człowiek też ma tatuaże, ale zupełnie inne. Przykro mi, że pana zaniepokoiłam. Zaraz wysyłam samochód.

Zamknąłem oczy w oczekiwaniu, aż puls wróci do normy.

- Nic nie wiem o tym zabójstwie. Na jakiej podstawie mnie pani z nim kojarzy?

- Ofiara tuż przed śmiercią zdążyła powiedzieć parę słów, Dlatego chciałabym, żeby ją pan zobaczył. Patrol przywiezie pana na miejsce.

- Jestem podejrzany?

- Nic podobnego. Chcemy tylko, żeby pomógł nam pan zidentyfikować zabitego.

- Może pani powtórzyć swoje nazwisko?

- Diaz...

- W porządku, Diaz. Jest czwarta nad ranem, a ja od dwóch miesięcy ani razu nie wyspałem się porządnie, więc jestem w kiepskim nastroju. Jeśli sądzi pani, że znam ofiarę, to zalicza mnie pani do podejrzanych. Każdy, kto zna ofiarę zabójstwa, jest podejrzany do czasu ustalenia jego alibi. Więc proszę mi lepiej powiedzieć od razu, kogo tam macie, a ja postaram się odpowiedzieć na wszystkie pytania.

- Otóż mamy tu martwego białego mężczyznę, który prawdopodobnie padł ofiarą napadu rabunkowego. Napastnicy zabrali mu portfel, więc nie mogę panu podać jego nazwiska. Liczymy na to, że pomoże nam go pan zidentyfikować. Dlatego...

- Dlaczego sądzą, że go znam?

- Zaczęła powtarzać opis, jakby w ogóle mnie nie słuchała:

- Biały mężczyzna z włosami ufarbowanymi na czarno na czubku głowy. Oczy piwne. Koło siedemdziesiątki, choć może być starszy. Na wierzchu obu dłoni ma wytatuowane krucyfiksy,

- Na jakiej podstawie uważacie, że go znam?

- Na przedramionach ma więcej tatuaży o charakterze religijnym, podobizny Jezusa, Najświętszej Pani i temu podobne. Z niczym się to panu nie kojarzy?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, kogo pani opisuje.

- Został zabity postrzałem w pierś. Sądząc po jego wyglądzie i miejscu zbrodni, można go uznać za żebraka, ale to nic pewnego. To ja go tu odnalazłam. Jeszcze żył i zdążył powiedzieć parę słów, z których wywnioskowałem, że powinien pan go znać.

- Nie znam.

- Niech pan posłucha, Cole. Nie chcę ci się naprzykrzać, ale naprawdę byłoby lepiej...

- Co dokładnie powiedział?

Diaz zawahała się przez chwilę.

- Że jest pańskim ojcem.

Wciąż siedziałem na kanapie. Wieczorem położyłem się do łóżka, lecz później przeniosłem się do salonu w nadziei, że monotonne bębnienie deszczu podziała na mnie usypiająco. Ale tak się nie stało.

- Tak po prostu? Powiedział, że jest moim ojcem?

- Próbowałam spisać jego zeznania, ale tylko powtarzał w kółko, że jest pan jego synem, a potem stracił przytomność. Bo to pan jest tym Elvisem Cole'em, o którym rozpisywali się w prasie, na przykład w „Timesie”?

- Owszem.

- Miał przy sobie wycinki z gazet. Dlatego sądziłam, że go pan rozpozna, choćby po tatuażach, skoro utrzymywał, że jest pańskim ojcem, jednak wygląda na to, że to nieprawda.

Niespodziewanie i ja odezwałem się gardłowym głosem, co mnie samego zaskoczyło.

- Nie znałem swojego ojca. W ogóle nic o nim nie wiedziałem i, jak mogę się domyślać, on nic nie wiedział o mnie.

- I tak chcielibyśmy, żeby obejrzał pan zwłoki i odpowiedział na kilka pytań.

- Mówiła pani, że nie jestem podejrzany.

- Na razie nie, ale mamy do pana parę pytań. Już wysłałam radiowóz. Powinien niedługo być na miejscu.

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy przez okno kuchenne wpadł do środka blask reflektorów, prześlizgnął się po ścianach i rozlał w holu, czemu towarzyszył odgłos auta zatrzymującego się przed moimi drzwiami. Na pewno musieli złożyć przez radio meldunek, a ktoś od razu powiadomił moją rozmówczynię,

- W porządku, Diaz. Każcie im zgasić światła. Nie muszą budzić wszystkich mieszkańców w sąsiedztwie.

- Proszę to potraktować jako wyraz uprzejmości, panie Cole. Na wypadek, gdyby nie był pan w stanie usiąść za kierownicą po oględzinach zwłok.

- Jasne. I tak samo z czystej uprzejmości proponowała pani transport radiowozem, jakbym miał jakiś wybór, podczas gdy patrol był już w drodze.

- Nadal ma pan wybór. Może pan przyjechać własnym samochodem. Chcemy tylko zadać parę pytań.

Blask reflektorów przed drzwiami zgasł nagle i mój dom znów pograżył się w ciemnościach.

- Dobra, Diaz. Przyjadę. Tylko powiedzcie swoim ludziom, żeby czekali spokojnie, aż się ubiorę.

- Nie ma sprawy. W takim razie do zobaczenia za kilka minut.

Odłożyłem słuchawkę, lecz jeszcze przez jakiś czas siedziałem na kanapie. Tkwiałem bez ruchu od wielu godzin. Na zewnątrz szemrał drobny deszcz, jakby coś szeptem opowiadał. Najwyraźniej czekałem na ten telefon od Diaz. Bo z jakiego innego powodu miałbym spędzać bezsennie nocie niczym dziecko zagubione w gęstym lesie, całkiem zapomniane i czekające, aż ktoś je odnajdzie?

W końcu ubrałem się i pojechałem za gliniarzami, żeby Obejrzeć zwłoki.

2

Policja z obu stron zablokowała wyloty wąskiej alejki odchodzącej za kwiaciarnią, która była już otwarta, gotowa na przyjęcie porannej dostawy. Rozciągnięta żółta taśma zabezpieczała miejsce zbrodni przed ciekawskimi, chociaż na ulicach nie było jeszcze żywej duszy. Poza czterema pracownikami kwiaciarni i gliniarzami nie widziałem nikogo. Przejechałem za radiowozem obok furgonetki ekipy dochodzeniowej, dwoma innymi wozami patrolowymi i dwoma nieoznakowanymi fordami crown victoria stojącymi przy

krawężniku. Tutaj, w centrum, w ogóle nie padało, ale nisko wiszące chmury wyglądały równie groźnie.

Gliniarze z patrolu wygramolili się z auta i kazali mi zaczekać przed żółtą taśmą u wylotu zaułka. Starszy z nich poszedł w głąb uliczki, a młodszy został ze mną. Przed moim domem nie zamieniliśmy ani słowa, może właśnie dlatego zaczął mi się teraz przyglądać z kciukami wetkniętymi za pasek.

- To pan był w telewizji?

- Nie, to ten drugi.

- Nie chciałem być nieuprzejmy. Po prostu wydaje mi się, że widziałem pańskie zdjęcie w wiadomościach.

Nie odpowiedziałem. Gapił się na mnie jeszcze przez chwilę, wreszcie popatrzył w głąb zaułka.

- Pewnie już pan widział miejsce zbrodni - zagadnął.

- Niejedno.

Zwłoki spoczywały za wielkim przemysłowym kontenerem na śmieci mniej więcej w połowie długości alejki, lecz zasłaniała mi je kobieta w T-shircie i szortach oraz dwaj mężczyźni w ciemnych wiatrówkach. Jej koszulka była śnieżnobiała, chyba całkiem nowa, przez co kobieta rzucała się w oczy w zaśmieconym zaułku, jakby stała w płomieniach. Starszy gruby detektyw odznaczał się strzechą skołtunionych włosów, natomiast młodszy był bardzo wysoki i chudy jak tyka, z pociągłą twarzą. Kiedy gliniarz z patrolu do nich podszedł, zamienili kilka słów, po czym kobieta ruszyła razem z nim w naszą stronę. Zalatywało od niej farmaceutycznym alkoholem.

- Nazywam się Kelly Diaz. Dziękuję, że pan przyjechał.

Miała krótkie czarne włosy i obcięte do skóry paznokcie, a budową ciała przypominała sportsmenkę po zakończeniu kariery. Na jej koszulce kołysało się małe srebrne serduszkona delikatnym łańcuszku. Jakoś dziwnie do niej nie pasowało.

- Uprzedzam, że nie znam tego człowieka - powiedziałem.

- I tak chciałabym, żeby go pan zobaczył i odpowiedział na kilka pytań. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Nie przyjeżdżałbym tu, gdybym miał.

- Chciałam się tylko upewnić, czy jest pan świadomy tego, że nie musi pan z nami rozmawiać. Jeśli ma pan jakiegokolwiek wątpliwości, proszę się lepiej skontaktować ze swoim adwokatem.

- Nie mam wątpliwości. Gdybym je miał, od razu powiedziałbym o tym chłopakom, którzy po mnie przyjechali.

Młodszy gliniarz zachichotał, lecz jego partner przyjął to ze śmiertelną powagą. Diaz uniosła żółtą taśmę. Dałem pod nią nura i ruszyłem w stronę kontenera na śmieci. Kiedy podeszliśmy do grupy śledczych, przedstawiła nas sobie. Starszy nazywał się Terry O'Loughlin i był nadinspektorem z wydziału zabójstw komendy śródmiejskiej. Towarzyszył mu detektyw Jeff Pardy. O'Loughlin uścisnął mi dłoń i także podziękował za przybycie, natomiast Pardy nawet nie wyciągnął do mnie ręki. Stał między mną i trupem, jakbym był całą armią najeźdźców, przed którymi musi bronić ojczyzny.

- No, dobra. Pozwól panu obejrzeć zwłoki - rzekł O'Loughlin,

Gliniarze rozstąpili się natychmiast niczym Morze Czerwone. Zaułek tonał w blasku przenośnych reflektorów. Zabity leżał na prawym boku z prawą ręką wyciągniętą przed siebie, a lewą ułożoną wzdłuż ciała. Przesiknięta krwią koszula była na piersi rozcięta. Jego głowa przypominała kształtem odwróconą piramidę ze względu na bardzo szerokie czoło i spiczastą brodę. Włosy, matowoczarne od kiepskiej farby, schodziły na czoło drobnym ząbkiem. Nie wyglądał specjalnie staro, bardziej sprawiał wrażenie wynędzniałego i sponiewieranego przez życie. Niebieski krucyfiks wytatuowany na wierzchu lewej dłoni był tak umiejscowiony, jakby mężczyzna rzeczywiście trzymał krzyżyk w ręku. Pod warstwą zakrzepłej krwi na odsłoniętym brzuchu widać było inne tatuaże. Otwór wlotowy po kuli znajdował się jakieś pięć centymetrów na lewo od mostka.

- Zna go pan? - zapytała Diaz.

Przekrzywiłem głowę, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy. Oczy były otwarte i miały takie pozostać aż do czasu przewiezienia do zakładu pogrzebowego. Były piwne, podobnie jak moje, tyle że puste i całkiem suche. To pierwsza rzecz, która zawsze uderza podczas oględzin zwłok - odchodzimy z tego świata, kiedy brak nam już łez.

- Więc jak? Zna go pan?

- Nie.

- Na pewno nigdy go pan nie widział?

- Niestety. Nie mogę wam pomóc.

Kiedy się obejrzałem, cała trójka wpatrywała się we mnie w napięciu.

O'Loughlin machnął ręką w stronę Pardy'ego i rzekł:

- Pokaż, co przy nim znaleźliśmy.

Detektyw wyciągnął z wewnętrznej kieszeni wiatrówki szarą kopertę i wyjął z niej trzy wycinki z gazet opisujące mnie i małego chłopca, który został uprowadzony wczesną jesienią. Nie były to nawet oryginalne artykuły z prasy, lecz wycinki zrobione z kserokopii. I wszystkie przedstawiały kogoś zupełnie innego, niż w rzeczywistości: Elvisa Cole'a, Najlepszego Detektywa Świata, Bohatera Tygodnia. Widziałem je wcześniej, lecz i tym razem ich widok wprowił mnie w przygnębienie. Oddałem je śledczemu, ledwie rzuciwszy okiem.

- Zgoda, miał przy sobie wycinki z gazet na mój temat, ale wygląda na to, że po prostu skserował je w bibliotece.

Diaz ciągle świdrowała mnie wzrokiem.

- Powiedział mi przed śmiercią, że usiłował pana odnaleźć.

- Jak tylko w gazetach zaczęli się o mnie rozpisywać, odbierałem mnóstwo telefonów od obcych ludzi, którzy twierdzili, że jestem im coś winien, albo prosili o pożyczkę. Inni grozili mi śmiercią, jeszcze inni próbowali się umówić na randkę. Po pierwszych pięćdziesięciu listach zacząłem wyrzucać całą pocztę, bez otwierania, i wyłączyłem automatyczną sekretarkę. Nie

wiem, co mógłbym jeszcze wyjaśnić. Nigdy przedtem nie widziałem tego człowieka.

- Nie kręcił się przed pańskim biurem? - zapytał O'Loughlin.
- Może tam go pan widział?

- W ogóle przestałem zaglądać do biura.

- I nie wie pan, dlaczego twierdził, że jest pańskim ojcem?

- A czemu nieznani mi ludzie twierdzili, że się u nich zapożyczyłem?

- Czy był pan dzisiejszej nocy w tym rejonie albo gdzieś w pobliżu? - zaciekawiał się Pardy.

A więc jednak. Identyfikacja zwłok i powiadomienie najbliższych krewnych leżało w gestii biura koronera. Jeśli zajmowała się tym policja, to tylko w ramach prowadzonego dochodzenia. Diaz zadzwoniła do mnie o czwartej nad ranem, żeby się przekonać, czy jestem w domu, a potem jeszcze przysłała po mnie radiowóz, by uzyskać potwierdzenie. Wezwała mnie na oględziny zwłok, by na własne oczy zobaczyć moją reakcję. Nie można było wykluczyć, że gdzieś w pobliżu ukryli naocznego świadka zabójstwa, żeby mi się dobrze przyjrzał.

- Byłem w domu przez całą noc, razem z kotem.

Pardy przysunął się o krok.

- I kot może to potwierdzić?

- Proszę go zapytać.

- Uspokój się, Pardy - syknęła Diaz. - Na miłość boską...

O'Loughlin tylko obrzucił młodszego kolegę piorunującym wzrokiem.

- Nie chcę, by zostało to uznane za wrogą postawę wobec świadka, ale Cole doskonale zna metody dochodzeniowe i świetnie wie, jak wyprowadzić nas w pole.

- Przez całą noc byłem w domu - powtórzyłem. - Koło wpół do dziesiątej wieczorem rozmawiałem ze znajomym. Mogę podać

jego nazwisko i numer telefonu. Ale na resztę nocy nie mam alibi.

Pardy z kwaśną miną popatrzył na O'Loughlina. Moja wypowiedź nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia.

- Wspaniale, Cole. Na pewno to sprawdzimy. Czy byłbyś także uprzejmy poddać się badaniu na obecność resztek prochu? Jeśli naprawdę chcesz pomóc w śledztwie i nie traktujesz nas jak wrogów...

O'Loughlin zmarszczył brwi, lecz nie zaprotestował. Badanie na obecność resztek prochu na moich dłoniach pozwoliłoby ustalić, czy strzelałem ostatnio z broni palnej - o ile nie umyłem później rąk albo nie korzystałem z rękawiczek.

- Jasne, Pardy. Możesz od razu iść po waciki. W tym tygodniu jeszcze nikogo nie zabiłem.

O'Loughlin spojrział na zegarek, chcąc chyba dać do zrozumienia, że to zwykła strata czasu. Ale w końcu wszyscy staliśmy nad zwłokami zabitego mężczyzny. Diaz wezwała technika i kazała mi podpisać pismo, według którego byłem świadom przysługujących mi praw i dobrowolnie godziłem się współpracować z policją. Technik otarł mi dłonie dwoma sterylnymi zwitkami gazy i schował je do oddzielnych szklanych pojemników. Kiedy się oddalił, podyktowałem Pardy'emu dane i numer telefonu Joego Pike'a, by się upewnił, że wieczorem rozmawialiśmy przez telefon, po czym zapytałem O'Loughlina, czy faktycznie przyjmują hipotezę, że mężczyzna padł ofiarą napadu rabunkowego. Nadinspektor znowu spojrział na zegarek, jakby i odpowiedź na moje pytanie uważał za stratę czasu.

- Nie przyjęliśmy jeszcze żadnej głównej hipotezy, ale jesteśmy tylko sześć przecznic od Skid Row. Mamy tu więcej zabójstw niż w jakiegokolwiek innej części miasta. Ludzie zabijają się za sześć centów czy za rzucone w złości słowo, a każde przekłete zabójstwo ujawnia starą prawdę. Pewne jest tylko to, że facet nie miał przy sobie żadnych tajnych dokumentów państwowych.

Nie, tylko kilka prasowych wycinków o mnie.

- Więc wygląda na to, że jednak macie hipotezę.

- Gdyby pan widział tutaj tylu zabitych co ja, też miałby pan gotową hipotezę. - Chyba uzmysłowił sobie nagle, że gada za dużo, bo spojrzał na mnie z wyraźnym zakłopotaniem i dodał: - To wszystko. Jeśli będziemy mieli jeszcze jakieś pytania, skontaktujemy się z panem. Na razie dziękujemy za współpracę.

- Jasne.

Popatrzył na Diaz.

- Kelly, nie masz nic przeciwko temu, żeby Jeff sprawdził do końca wyjaśnienia pana Cole'a? Może się czegoś nauczy.

- W porządku.

- Tobie to też pasuje, Jeff?

- Jasne. Już w to wszedłem.

Pardy odszedł w stronę ludzi z biura koronera, a O'Loughlin po chwili ruszył za nim. Dwóch sanitariuszy wyciągnęło z furgonetki nosze na kółkach i zaczęło je rozkładać. Jeszcze raz popatrzyłem na zwłoki. Facet miał znoszone, ale czyste ubranie, a skóra na jego policzkach nie była tak ogorziała jak u tych, którzy mieszkają na ulicy. Kiedy obejrzałem się na Diaz, ona także patrzyła na trupa.

- Wcale nie wygląda na bezdomnego.

- Pewnie dopiero co wyszedł z aresztu. To byłaby dobra wiadomość, moglibyśmy go zidentyfikować na podstawie odcisków palców.

Zaułek ciągnął się przez cały kwartał, od zapleczy sklepów przy głównej ulicy po opuszczony hotel. U jego wylotu majaczył nieczynny neon układający się w wielki napis HOTEL. Jego nazwę odczytałem z wyblakłego napisu na ceglanej ścianie budynku: Hotel Farnham. Oczywiście nie byłoby to możliwe, gdyby nie paliły się policyjne reflektory. Zalegający tu mrok dał mi do myślenia. Zabity mężczyzna leżał dobre dwadzieścia metrów od skrzyżowania, więc albo musiał się zapuścić w ciemne

przejście, które dobrze znał, albo ktoś go tu przyprowadził. Ze strachu nikt nie wchodziłby tu z własnej woli.

- To pani znalazła zwłoki?

- Tak. Byłam na Grand Avenue, kiedy usłyszałam strzał. Tylko jeden. W pierwszej chwili nikogo nie zauważyłam, lecz później moją uwagę zwrócił szelest i w końcu dostrzegłam go za pojemnikiem. Próbowałam zatamować krwawienie, ale bezskutecznie. To było przerażające... Jezu...

Uniosła obie dłonie, jakby z obawy, że nadal ma na nich krew, ja zaś spostrzegłem, że wciąż jej się trzęsą. Jej nowy T-shirt pochodził zapewne z zapasu któregoś wozu patrolowego. W karetce nie tylko się przebrała, ale i zmyła z siebie krew alkoholem. Bez trudu mogłem się domyślić, że w pierwszym odruchu chciała wyrzucić swoje zakrwawione ubranie, pomyślawszy jednak o skromnej policyjnej pensji, upchnęła je gdzieś, żeby później oddać do pralni chemicznej w nadziei, że plamy zejdą. Obejrzała się. Sanitariusze z biura koronera podtoczyli już nosze i właśnie wkładali gumowe rękawiczki.

- I nie miał przy sobie portfela? - zapytałem.

- Nie. Rabusie musieli go zabrać. Znalazłam przy nim tylko te wycinki z gazet i trochę drobnych, w tym dwie jednopensówki.

- Żadnych kluczy?

Westchnęła ciężko, jakby nagle dopadło ją zmęczenie.

- Nie. Jest pan już wolny, Cole. Ja muszę jeszcze skończyć robotę, zanim będę się mogła położyć spać. To była długa noc.

Nie ruszyłem się z miejsca.

- Wymienił moje nazwisko?

- Zgadza się.

- Co dokładnie powiedział?

- Nie pamiętam. Mówił, że próbował pana odszukać, ale dopytywałam na okrągło, co się stało i czy wie, kto do niego strzelał. On zaś powtarzał, że musi odszukać syna. Powiedział,

że przebył kawał drogi, aby odnaleźć swego chłopaka, i choć jeszcze mu się to nie udało, bardzo chce nadrobić stracone lata. Zapytałam wtedy, o kogo chodzi, a on wymienił pańskie nazwisko. Nie jestem pewna, czy czegoś nie pokręciłam, ale w każdym razie mniej więcej tak to wyglądało.

Zerknęła na mnie i znów utkwiała spojrzenie w zwłokach.

- Niech pan posłucha, Cole. Aresztowałam już ludzi, którzy twierdzili, że przylecieli z Marsa. Miałam do czynienia z takimi, którzy myśleli, że są na Marsie. Słyszał pan, co powiedział O'Loughlin. Mamy tu włóczęgów, śmieciarzy, wariatów, schizofreników i Bóg jeden wie, kogo jeszcze. Trudno powiedzieć, co temu biedakowi uroiło się w głowie.

- Niemniej i tak musicie sprawdzić moje alibi.

- Jeśli rzeczywiście spędził pan całą noc w domu, nie ma się czym martwić. Jestem prawie pewna, że zidentyfikujemy go na podstawie odcisków palców. Dam panu znać, jak tylko poznamy jego nazwisko.

Odwróciłem się w stronę skrzyżowania i zauważyłem, że Pardy uważnie mi się przygląda. Jego ściągnięte usta mówiły same za siebie.

- To zbyteczne, Diaz. Może się pani nie kłopotać.

- Na pewno? W końcu wszystko mi jedno.

- Na pewno.

- W porządku. Jak pan sobie życzy.

Ruszyłem w kierunku ulicy, ale zawołała mnie jeszcze:

- Hej, Cole!

- Słucham,

- Czytałam te artykuły. Aż się wierzyć nie chce, przez co musiał pan przejść, żeby uratować tego dzieciaka. Moje gratulacje.

Poszedłem dalej bez słowa, obejrzałem się dopiero przy żółtej taśmie przegradzającej wylot alejki. Diaz razem z O'Loughlinem i

Pardym przyglądała się, jak sanitariusze pakują trupa do plastikowego worka.

- Diaz!

Odwróciła się nie tylko ona, ale i Pardy. Zwłoki ogarnęło już stężenie pośmiertne, dlatego sanitariusze mocowali się z wyciągniętą w bok ręką, chcąc ją upchnąć do worka, ale ta wystawała spód granatowego plastiku, jakby oskarżycielskim gestem wskazując mnie. Wreszcie udało im się ją wygiąć i zapiąć suwak.

- Proszę mnie jednak powiadomić, gdy poznacie jego nazwisko.

Nie czekając na odpowiedź, skręciłem za róg.

3

Wczesną jesienią trzech mężczyzn uprowadziło jedyne dziecko mojej przyjaciółki, Bena Cheniera. Przy pomocy byłego policjanta, Joego Pike'a, udało mi się uratować chłopaka, lecz zginęło przy tym wielu ludzi, włączając w to trzech porywaczy. Nie dość, że zlecił im tę robotę ojciec Bena, to jeszcze okazało się, że nie byli zwykłymi opryszkami, lecz prawdziwymi zawodowcami, najemnikami, których poszukiwano międzynarodowymi listami gończymi za zbrodnie ludobójstwa. Liczba zabitych sprawiła, że mnie i Joego oskarżono o wielokrotne zabójstwo, ale w porę interweniowały rządy Sierra Leone i Kolumbii, a wraz z nimi - nie do wiary! - Organizacja Narodów Zjednoczonych. Odrażający charakter zbrodni, jaką było zlecenie przez ojca porwania własnego syna, wywołał lawinę oburzenia w prasie brukowej, lecz jeszcze zanim rozpętało się piekło, Lucy Chenier doszła do wniosku, że życie ze mną nie jest warte śmiertelnego ryzyka, zabrała syna i wyjechała do rodzinnego domu. Miała pełne prawo odejść ode mnie. W końcu faktycznie życie ze mną nie było warte tego, by o czwartej nad

ranem zbudził ją telefon, ponieważ jakiś zabity nieznamy powiedział przed śmiercią, że był moim ojcem, którego nigdy nie znałem.

Wracalem do domu w deszczu, udajac, że moje życie jest jak najbardziej zwyczajne. Kiedy dotarłem na miejsce, zrobiłem sobie burrito z jajecznicą i włączyłem telewizor, żeby wysłuchać porannych wiadomości. Sensacją dnia była informacja, że Zabójcy Czerwonych Świąteł znów zaatakowali. Już od kilku tygodni niszczyli policyjne kamery śledzące ruch uliczny. Śmiertelne żniwo wśród tych urządzeń osiągnęło liczbę dwunastu, a każda kamera została unieszkodliwiona precyzyjnym strzałem w obiektyw z wiatrówki kalibru pięć i osiemdziesiąt dziewięć setnych milimetra. Powstawały strony internetowe poświęcone działalności tej organizacji, na ulicznych stoiskach świetnie sprzedawały się koszulki z hasłami w rodzaju UWOLNIĆ ZABÓJCÓW CZERWONYCH ŚWIATEŁ, a Wszystko tylko przez to, że władze miasta postanowiły wydać wojnę motocyklistom przejeżdżającym przez zakorkowane skrzyżowania na czerwonym świetle. W Los Angeles oznaczało to ni mniej, ni więcej, tylko wojnę ze wszystkimi zmotoryzowanymi. Komentatorka usiłowała zachować poważną minę, czytając tę wiadomość, ale jej kolega i prezenter pogody jawnie chichotali przed kamerą. Ani słowem nie wspomniano w dzienniku o nieznanym mężczyźnie zabitym w mrocznym zaułku. Widocznie mordowanie ludzi było na porządku dziennym, w przeciwieństwie do mordowania policyjnych kamer.

Wyłączyłem telewizor i wyszedłem na werandę, otępiały i ogarnięty apatią. Deszcz ustąpił miejsca gęstej mgłę, niebo stopniowo się rozjaśniało. Wiedziałem, że gdy policjanci zaczną wypytywać moich sąsiadów, czy nie widzieli, jak wychodziłem z domu tej nocy - a Pardy zapewne będzie pokazywał im zdjęcie zabitego, chcąc wiedzieć, czy nie zauważyli go w okolicy - ludzie od razu nabiorą podejrzeń, że znów coś narozrabiałem, Miałem ochotę ostrzec ich telefonicznie, ale doszedłem do wniosku, że będzie to wyglądało jeszcze gorzej. Przede wszystkim jednak chciałem zadzwonić do Lucy, lecz to pragnienie dręczyło mnie każdego dnia i nie było niczym nowym. I z tego pomysłu

musiałem zrezygnować. Stałem więc i patrzyłem, jak kanion wypełnia się światłem dnia.

O tej porze ludzie mieszkający na zboczach wzgórz zazwyczaj wychodzili przed dom, żeby sprawdzić, czy nie pojawiły się żadne pęknięcia lub uskoki. Grunty w Los Angeles po deszczu stawały się bardzo niestabilne. Gleba potrafiła niespodziewanie osunąć się niczym potok lawy, porywając ze sobą domy i samochody. Nawet ziemia nie była tu pewna, a wszelkiego rodzaju kotwice zawodziły.

Zza rogu mojego domu wskoczył na werandę czarny kot. Zastygł bez ruchu, kiedy spostrzegł, że nie jest sam, mierząc mnie dzikimi żółtymi ślepkami, ale szybko się uspokoił, gdy mnie rozpoznał.

- Zgadza się. Stoję w deszczu - powiedziałem.

- Miau - odparł.

Ruszył do drzwi, trzymając się jak najdalej od wilgotnej mgły, wśliznął się do suchego i ciepłego pokoju, po czym zaczął sobie lizać penisa. Koty mają już taki zwyczaj. Ten pewnie uważał, że jestem głupi, skoro tego nie robię.

Kiedy moja matka miała dwadzieścia dwa lata, na trzy tygodnie zniknęła z domu. Często tak zniknęła, wyjeżdżała dokądś, nikomu o tym nie mówiąc, ale zawsze wracała. A wtedy wróciła w ciąży. Później nigdy nie mówiła mi o ojcu niczego konkretnego, wychodziłem więc z założenia, że zaszła w ciążę z nieznajomym. Nie opowiadałem o tym dziennikarzom, którzy mnie nachodzili po wydarzeniach związanych z uwolnieniem Bena Cheniera, lecz jakimś sposobem informacja przeciekła do prasy. Dlatego pożałowałem teraz, że nie przeczytałem artykułów, jakie Diaz znalazła przy zabitym. W którymś z nich mogła się znaleźć wzmianka o tym, że nie znam swego ojca, co zainspirowałoby starego włóczęgę do wymyślenia bzdurnej bajeczki. Pewnie właśnie tak było i powinienem zapomnieć o całej sprawie, zaciekało mnie jednak, czy faktycznie próbował się ze mną skontaktować. W czasie ostatniego pobytu w biurze wyłączyłem automatyczną sekretarkę i wyrzuciłem całą pocztę,

ale od tamtej pory minęło kilka tygodni. Jeśli napisał do mnie w ostatnim okresie, jego list powinien wciąż czekać w biurze.

Wszedłem do pokoju, nałożyłem kotu świeżej karmy do miseczki i pojechałem na drugi brzeg kanionu, do wynajmowanego przeze mnie małego biura przy Santa Monica Boulevard.

Poczta leżała na podłodze, pod szczeliną na listy. Pozbierałem ją, nastawiłem wodę na kawę i włączyłem automatyczną sekretarkę. Agencja Detektywistyczna Elvise Cole'a oficjalnie wznowiła działalność. Oczywiście nie miałem żadnych zleceń, skoro przez półtora miesiąca odrzucałem wszelkie oferty.

Zacząłem przeglądać korespondencję. Większość stanowiły rachunki i reklamówki, odłożyłem tylko siedem listów, które uznałem za wyrazy uznania od moich fanów: wypisaną odręcznie propozycję matrymonialną od niejakiej Didi, cztery kartki z gratulacjami za wymierzenie sprawiedliwości masowym zabójcom, niepodpisane zdjęcie młodego mężczyzny zaciskającego palce na swoim penisie oraz list od „Lojalnego Anselmo”, według którego obaj z Pikiem byliśmy „samozwańcami stróżami prawa, równie groźnymi jak zabite potwory”. Niektórych po prostu nie da się uszczęśliwić.

Zatrzymałem cztery listy gratulacyjne z zamiarem odpisania i podziękowania za uznanie, a resztę wyrzuciłem do śmieci. Po krótkim namyśle wyjąłem jednak z kosza list Anselma i włożyłem go do teczki, w której trzymałem korespondencję z pogrózkami. Gdyby ktoś mnie zabił podczas snu, gliniarze mieliby ułatwione zadanie.

Zrobiłem sobie kawę, rozczarowany, że nie znalazłem żadnego tropu prowadzącego do wyjaśnienia zagadki zastrzelonego faceta. Niewykluczone, że list od niego wyrzuciłem już wcześniej, ale nic już nie mogłem na to poradzić. Możliwe też, że dzwonił do biura, kiedy sekretarka była wyłączona, lecz i tego nie sposób było teraz sprawdzić.

Próbowałem wymyślić jakiś sposób dojścia do prawdy, kiedy zadzwonił telefon.

- Agencja Detektywistyczna Elvise'a Cole'a. Dzwonisz w samą porę, bo właśnie wznowiamy działalność.

- To ja, Diaz. Rzeczywiście jest pan w biurze czy tylko zlecił przełączanie rozmów? Dzwoniłam już pod domowy numer, ale bez rezultatu.

- Jestem w biurze. Zidentyfikowaliście go?

- Przykro mi, jeszcze nie. Byłam prawie pewna, że znajdziemy jego zdjęcie w komputerowej bazie danych, ale tam go nie ma, Śledczy z biura koronera obiecał, że jak tylko dostarczą zwłoki do kostnicy, zdejmie odciski palców, zeskanuje i zapanuje Live Scan, lecz do tej pory niczego nie znalazł.

Mówiła o programie automatycznego wyszukiwania zdigitalizowanych odcisków palców w bazie Kalifornijskiego Wydziału Sprawiedliwości w Sacramento. Gdyby nie było w niej odcisków zabitego, oznaczałoby to, że nie był karany, a nawet aresztowany na terenie tego stanu.

- Rozumiem. I co dalej?

- Ludzie z Sacramento poszukają jego odcisków w bazie ogólnokrajowej. Później zostają już tylko kartoteki federalne, ale ich przeszukanie zajmie kilka dni. Mówił pan, że dostał mnóstwo listów i telefonów, na które nie odpowiedział...

- Przyjechałem właśnie to sprawdzić. Nic nie ma. Może list od niego przyszedł wcześniej, z pocztą, którą już wyrzuciłem, bo w najświeższej go nie ma. Dopiero co skończyłem przeglądać listy.

- Robię to z prawdziwą przykrością, ale muszę zapytać: Nie spotkałby się pan ze mną w kostnicy? Właśnie się tam wybieram,

- Sądziłem, że dochodzenie prowadzi Pardy.

- Zgadza się. Przed paroma minutami wrócił z oględzin zwłok i powiedział, że facet na całym ciele ma te zwariowane

tataże. Wiem, że go pan nie rozpoznaje, ale może widok tych rysunków obudzi w panu jakieś skojarzenia.

Poczułem drobne ukłucie złości. A może tylko wstydu?

- Ten człowiek nie jest moim ojcem. Wykluczone.

- Niech pan tylko spojrzysz jeszcze raz, Cole. Może któryś z tatuaży przywoła panu z pamięci nazwisko czy nazwę miejscowości. Co panu szkodzi?

Nie odpowiedziałem, toteż Diaz dodała:

- Chyba wie pan, gdzie jest biuro koronera? Obok przychodni akademickiej.

- Tak, wiem.

- Przed budynkiem jest duży parking. Będę tam czekała za pół godziny.

Odłożyłem słuchawkę i poszedłem do łazienki, żeby przejrzeć się w lustrze. Zabity miał czaszkę o trójkątnym zarysie, niemal jak modliszka, natomiast moja głowa przypominała kształtem dobrze wyrosniętą brukiew. Ani trochę nie byłem do niego podobny. W niczym go nie przypominałem. W niczym.

Zamknąłem biuro, wsiadłem do wozu i pojechałem do kostnicy.

4

Niewidzialny człowiek

Frederick Conrad, bo takiego nazwiska obecnie używał, szedł przez parking w kierunku swojej ciężarówki, kiedy Juanita Morse wypadła z wielkiej przyczepy mieszkalnej niczym brunatny pająk samotnik szykujący się do skoku na upatrzoną ofiarę.

- Frederick!

Wsunęła kościstą dłoń pod jego ramię i zatrzymała go, chociaż bardzo mu się spieszyło.

- Frederick, byłeś taki uprzejmy w ubiegłym tygodniu i zrobiłeś mi zakupy, kiedy nie mogłam chodzić, więc postanowiłam się odwdzięczyć. Mam taki drobiazg dla ciebie.

Błyskawicznie wczuł się w odgrywaną rolę i dla zamaskowania wściekłości przywołał na usta lizusowski uśmiešek Conrada, który wszyscy tu dobrze znali. Spojrzał na zmięty banknot jednodolarowy i wcisnął go z powrotem w dłoń kobiety.

- Proszę, Juanita. Wiesz dobrze, że nie dlatego ci pomagam.

- Bo się obrażę, Frederick. Byłeś taki miły, że się o mnie zatroszczyłeś.

Schował dolara, robiąc wdzięczną minę, chociaż ogarniała go furia na podobieństwo strzelającej iskrami zerwanej linii wysokiego napięcia. Z udawanym spokojem patrzył na kobietę. Bardzo chciał, żeby Payne wrócił wreszcie do domu. Musiał wiedzieć, co się stało. Miał coraz poważniejsze obawy, że Payne zaczął sypać.

Ten zdradliwy kutas Payne Keller! (Bo i on takiego właśnie nazwiska obecnie używał).

- To naprawdę zbyteczne, pani Morse. Niemniej dziękuję. Jak pani noga?

- Jeszcze trochę boli, ale przynajmniej mogę chodzić. Zrobiłam sobie rano ciepły okład i wzięłam tylenol.

Poklepał ją po kościstej dłoni, jakby rzeczywiście obchodził go każdy pulsujący bólem nerw w jej zasuszonym i pomarszczonym ciele.

- Gdyby pani jeszcze czegoś potrzebowała, proszę dać mi znać.

Klep, klep. I uśmiech. Ty odrażająca wiedźmo.

Uwolnwszy się wreszcie od sąsiadki, ruszył dalej, w wyobraźni miażdżąc w stalowym uścisku jej obwisłe gardło pośród trzasku pękających kości. Odpalił silnik dodge'a i powoli ruszył w czterokilometrową podróż do stacji benzynowej Kellera Payne's Gas & Car Care. Miał nadzieję, że jest już znany jako najwolniejszy kierowca w mieście. Zaparkował za halą obsługi aut, znów przywołał na usta lizusowski uśmiezek o charakterze szyldu „Witamy Naszych Klientów” i ruszył w kierunku biura.

- Cześć, Elroy. Dzwoniłem od rana trzy albo cztery razy, ale nie odbierasz telefonów. Są jakieś wieści od Payne'a?

Elroy Lewis był drugim pełnoetatowym pracownikiem Kellera, chudym, pod pięćdziesiątkę, z obwisłą fałdą tłuszczu nad paskiem spodni i palcami pożółkłymi od nikotyny, bo palił newporty jednego za drugim. Jego pies o imieniu Coon spał na podłodze w przejściu. Stare rozleniwione psisko o szwankujących stawach od niechcienia machnęło ogonem na widok Fredericka, ale ten go zlekceważył. Lewis oparł się łokciem o kontuar i zrobił kwaśną minę.

- Nie ma i chyba musimy o tym porozmawiać. Nazbierało się kupę spraw do obgadania.

Frederick przestąpił nad psem i wszedł do kantorku Payne'a, starając się sprawiać wrażenie, że wszystko jest w porządku.

- No więc dzwonił do mnie wczoraj wieczorem - zaczął. - Powiedział, że zadzwoni też do ciebie. Domyślam się, że wciąż siedzi przy swojej siostrze.

- Do diabła! Ile czasu ta suka będzie zdychała?

- Powinieneś się wstydzicie, Elroy. Jak można tak mówić? Przecież to jego siostra.

Keller zniknął bez śladu jedenaście dni temu, nie zostawiając żadnej wiadomości. Kiedy Elroy zaczął się niepokoić, Frederic sprzedał mu bajeczkę, że siostra Payne'a została potracona przez pijanego kierowcę i umiera ze złamanym kręgosłupem. Ale i on nie wiedział, co się naprawdę stało.

Zniknięcie Kellera napawało go przerażeniem. Miał poważne obawy, że tamten zaczął sypać. W końcu lubił opowiadać ukochanemu Jezusowi o swoich grzeszkach.

Mam nadzieję, że nie żyjesz, łajdaku, że ktoś ci wyrwał serce i rozdeptał jak zgniłego grejpfruta albo po prostu przystawił pistolet do łba. Naprawdę liczę na to, że gryziesz ziemię, i mam nadzieję, że nie pociągniesz mnie za sobą do piekła.

Postanowił na wszelki wypadek pozacierać za sobą ślady i przygotować się na najgorsze. Elroy wszedł za nim do kantorku,

- No cóż, przykro mi z powodu wypadku jego siostry, ale gdybyś chciał znać prawdę, to uważam, że postąpił po chamsku, wyjeżdżając bez słowa. W przyszłym tygodniu wybieram się z żoną do jej rodziców. Dobrze wiedział, że chcę wziąć urlop. Mówił, że nie będzie z tym żadnych kłopotów.

Frederick wszedł za biurko, wyjął klucze z górnej szuflady i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Możesz spokojnie jechać, Elroy. Między innymi w tej sprawie Payne wczoraj dzwonił. Prosił, żebym cię zastąpił. Oczywiście zgodziłem się.

Lewis popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Poważnie?

Frederick wyszedł zza biurka i popatrzył na białego nissana maxime, który podjechała na stację benzynową. Wsiadła z niego nastoletnia dziewczyna i niepewnym wzrokiem popatrzyła na samoobsługowy dystrybutor. Elroy wybałuszył na nią oczy.

- Absolutnie. Nie mam nic przeciwko temu. Zrobiłbyś to samo dla mnie, podobnie jak obaj robimy to dla Payne'a. Nie ma sprawy.

Lewis zrobił skruszoną minę.

- Posłuchaj, jak będziesz następnym razem rozmawiał z Payne'em, przekaz mu moje najlepsze życzenia dla jego siostry.

- Przekażę. Na pewno.

- Wcześniej nawet nie wiedziałem, że ma siostrę.

- Lepiej sprawdź, czy ten kociak na stacji nie potrzebuje pomocy. Muszę jechać do domu Payne'a i nakarmić jego koty.

Elroy znowu obejrzał się na dziewczynę. Bez trudu można było odgadnąć jego myśli. Wystarczyło tylko popatrzeć na jej króciutkie obcisłe dżinsowe szorty z wystrzępionymi nogawkami i skąpą bluzeczkę odsłaniającą płaski brzuch z jakąś błyskotką w pępku. Jak można było oczekiwać, Elroy mruknął:

- Masz rację, lepiej do niej wyjdę. Rusz się, Coon.

Tracił psa czubkiem buta. Frederick ruszył przez halę do magazynku na tyłach. Kluczami Payne'a otworzył trzy zasuwę i zdjął ciężką żelazną sztabę zabezpieczającą drzwi. Wystawił na zewnątrz łopate oraz pięciolitrowy kanister wykorzystywany przez Kellera do transportowania paliwa dla kierowców, którym zabrakło go gdzieś na ulicy. Później wcisnął się za regał zastawiony pudłami z filtrami powietrza oraz butelkami z płynem hamulcowym i olejem, żeby dostać się do starego automatu, używanego kiedyś do sprzedaży solonych orzeszków i batoników. Obaj mieli dużo lepsze kryjówki, ale Payne tymczasowo trzymał ich skarby w zepsutym automacie.

Obejrzał się jeszcze, żeby sprawdzić, czy Elroy jest zajęty obsługiwaniem klientki. Coon właśnie wetknął bezceremonialnie nos między jej nogi, dziewczyna wstydliwie zachichotała, a Lewis zaczął teatralnie odpędzać psa, aż w końcu złapał go za pysk, niby przypadkiem trącąc ręką podbrzusze nastolatki. Frederick już wiele razy widział ten numer. Elroy chyba specjalnie szkolił psa, by wtykał kobietom nos między nogi, i Coon jak dotąd nigdy go nie zawiódł.

Otworzył drzwi automatu i wyciągnął ze środka skórzaną walizkę metrowej długości. Była bardzo ciężka, lecz jej masa działała na niego kojąco. Wytaszczył walizkę pod pachą, zamknął magazynek, po czym zaniósł wszystko do swojej ciężarówki. Elroy nadal udawał, że próbuje odgonić natrętnego psa, a dziewczyna, chociaż zarumieniona i wciąż chichocząca nerwowo, mimo wszystko dalej nie wsiadała do samochodu. Przy drugim

dystrybutorze Frederick napełnił kanister wysokooktanową benzyną (mając nadzieję, że da wyższą temperaturę spalania niż zwykła), dorzucił jeszcze na skrzynię dwie turystyczne butle propanu i odjechał. Lewis ani razu nawet nie spojrzał w jego kierunku.

Kilka kilometrów od stacji Frederick zatrzymał wóz przy krawężniku i otworzył walizkę. W środku był półautomatyczny remington kaliber 12 z upiłowaną lufą, załadowany sześcioma nabojami o miękkich kulach na grubą zwierzynę. Pod strzelbą leżała koperta zawierająca tysiąc dolarów samymi dwudziestkami oraz dwa prawa jazdy ze stanu Illinois, co prawda przeterminowane, lecz przedstawiające Fredericka Conrada i Payne'a Kellera pod innymi nazwiskami. Wprowadził pierwszy nabój do komory, upchnął strzelbę pod siedzeniem i pojechał dalej.

Przyszło mu na myśl, żeby dodać gazu i jak najszybciej wyjechać z miasta, pomyślał jednak, że byłoby to równoznaczne z machaniem czerwoną płachtą bykowi przed oczami. Jeśli Payne go nie wsypał, paniczna ucieczka byłaby wielkim błędem, bo jego nagle zniknięcie dałoby wiele do myślenia nawet najbardziej tępemu gliniarzowi. Przede wszystkim musiał się dowiedzieć, co się stało z Payne'em, a poza tym pozbyć się dowodów.

Dom Kellera stał zaledwie dwa kilometry za miastem. Był ukryty w kępie drzew, toteż nikt nie mógł widzieć, co się tam dzieje.

5

Biuro koronera mieściło się w dwóch nowoczesnych betonowych budynkach na skraju akademickiego centrum medycznego, po drugiej stronie rzeki na wprost miejskiego więzienia. W północnym gmachu znajdowały się pomieszczenia

administracyjne, gdzie pracowało około trzydziestu pięciu śledczych, w południowym zaś były laboratoria. Specjaliści medycyny sądowej zostawiali swoje auta na parkingu od frontu, lecz zwłoki dowożono od tyłu, chyba po to, żeby pacjenci sąsiedniego szpitala dla matek i dzieci nie musiały na to patrzeć.

Zaparkowałem po przeciwnej stronie ulicy i podszedłem do Diaz czekającej przed głównym wejściem. Zdażyła się przebrać w dżinsy i sweter, a w rękę trzymała coś, co wyglądało na maskę przeciwgazową z dwoma czerwonymi pojemnikami w okolicy brody.

- Co to jest? - zapytałem.

- Filtr przeciwpyłowy. Oboje musimy włożyć maski przed zejściem na dół do sekcji, gdzie przetrzymuje się zwłoki.

- Niby dlaczego mielibyśmy wkładać coś takiego?

- Ze względu na zarazki gruźlicy, SARS, ebolę... aż nie chce się wierzyć, czego nosicielami bywają zabici. To moja maska. Panu dobierzemy jakąś w środku.

- Ebola? - powtórzyłem z lękiem, przypomniawszy sobie o tym afrykańskim wirusie, który zamienia ludzkie ciało w kałużę krwistej mazi.

Diaz wzruszyła ramionami i odwróciła się do drzwi.

- Każą wkładać, więc wkładam. Lepiej załatwmy to szybko, żebym mogła wreszcie pójść spać.

Recepcjonistka dała nam plakietki gości, po czym zjechaliśmy windą do podziemi. Zaledwie drzwi się otworzyły i weszliśmy do pomalowanego na lawendowo korytarza, uderzył mnie smród środków odkażających i krwi. Na ścianach pod sufitem świeciły lampy ultravioletowe, pułapka na owady z głośnym sykiem połknęła jakąś muchę. Zabezpieczenie antybakteryjne.

Kilkadziesiąt metrów dalej skręciliśmy w inny długi korytarz, gdzie pod ścianą stały dwa stoliki na kółkach ze zwłokami zakrytymi grubą przezroczystą folią.

- Podobno mieliśmy włożyć maski, nim wejdziemy do tej części budynku.

- Tu jeszcze niczego pan nie podłapie, nie ma się czego obawiać.

Mimo to starałem się nie oddychać.

Śledczym z biura koronera był wysoki facet w staroświeckich okularach o grubej oprawce, ze strzechą zmierzwionych włosów. Nazywał się Dino Beckett. Widziałem go na miejscu zbrodni, lecz miałem okazję poznać dopiero teraz, gdy wyszedł z sali na końcu korytarza i Diaz przedstawiła nas sobie. Usta miał zasłonięte gazową maseczką, jaką lekarze wkładają na sali operacyjnej. Dał mi podobną.

- Proszę naciągnąć gumowy pasek nad uszami i ułożyć metalowy zacisk u nasady nosa - poinstruował.

Sumiennie wykonałem polecenie. Diaz włożyła swój filtr przeciwpyłowy.

- Dlaczego jej maska jest bardziej szczelna? - zaniepokoiłem się.

- Bo taka, dokładnie filtrująca wdychane powietrze, jest wymagana w sali sekcyjnej, podczas autopsji, przy której policyjni detektywi muszą być obecni. Pańska maseczka filtruje tylko dziewięćdziesiąt pięć procent przechodzącego powietrza.

- A co z pozostałymi pięcioma procentami?

- Na miłość boską, Cole - syknęła Diaz. - Lepiej o tym nie myśl. Gdzie on jest, Dino?

Weszliśmy za nim do długiej wąskiej sali, w której było bardzo zimno. Natychmiast dostałem gęsiej skórki, chociaż wcale nie od chłodu. Całą jedną ścianę zajmowały półki rozmieszczone od podłogi aż do sufitu, niczym wąskie koje w przedziale załogi łodzi podwodnej, a na każdej spoczywały po dwa ciała. Były zakryte mleczną folią, lecz na tyle przezroczystą, że widać przez nią było nagie zwłoki. Z dziur w plastiku wystawały tylko stopy, niektóre miały plakietki zwisające z dużego palca. Starałem się

na to nie patrzeć, ale regał z trupami ciągnął się przez całą długość sali.

- To jeszcze nic - rzekł Beckett, dostrzegłszy widocznie moją minę. - Mamy trzy takie sale.

- I te wszystkie trupy czekają na sekcję zwłok?

- Och nie. Większość z nich czeka już tylko na identyfikację bądź na zabranie przez najbliższą rodzinę.

- Dużo pozostaje niezidentyfikowanych?

- Odbieramy około trzystu takich zwłok rocznie, ale większość udaje się w końcu zidentyfikować. I to niezależnie od tego, skąd pochodzą. Mamy tu nielegalnych imigrantów z Meksyku, Ameryki Środkowej, a nawet z Chin, lecz mimo to ustalamy ich personalia. Waszego zabitego też pewnie zidentyfikujemy.

Kilka par stóp było już tak przejrzystych, że dało się zauważyć zarysy kości pod skórą. Beckett wyjaśnił, że jeśli zwłoki leżą w chłodni bardzo długo, wszystkie płyny ustrojowe z nich spływają i tkanki stają się niemal przezroczyste. A mieli i takie, które czekały tu od paru lat.

Poprowadził nas wzdłuż regału do stolika na kółkach stojącego w najdalszym końcu sali.

- W porządku, oto on. Musicie włożyć rękawiczki, jeśli chcecie czegoś dotykać.

Włożyliśmy rękawiczki i Beckett ściągnął foliową płachtę. Trup „NN nr 05-1642” był nagi, między kolana miał wciśniętą wypchaną papierową torbę, a na krawędzi stołu wisiała tabliczka z opisem. W torbie znajdowało się zakrwawione ubranie zabitego, które przed szczegółowym badaniem trzeba było wysuszyć. Śledczy wyciągnął torbę spomiędzy nóg i odsunął się od stołu.

- Rany boskie - syknęła Diaz. - Pardy miał rację. To naprawdę „ilustrowany facet”.

Beckett skwitował to pomrukiem, gdyż dla niego zwłoki były wyłącznie obiektem badawczym.

- Dziwne, prawda? - zapytał. - Jeszcze nigdy me widziałem czegoś podobnego. Zwróćcie uwagę, że wszystkie tatuaże są do góry nogami.

Krucyfiksy różnych rozmiarów i grubości pokrywały całe ramiona, uda i brzuch trupa. Rzeczywiście wszystkie były do góry nogami. Wynikało to prawdopodobnie stąd, że sam robił sobie tatuaże. Z jego punktu widzenia, gdy patrzył na siebie, wyglądały prawidłowo. Niektóre były zaledwie drobnymi krzyżykami utworzonymi z cieniutkich kresek, inne przypominały rozległe konstrukcje ozdobione cieniowaniem. Pomiedzy nimi znajdowały się podobizny płaczącego Jezusa i rozmaite słowa: BÓL, ŁASKA, BÓG, PRZEBACZENIE. Ułożone z koślawych liter, przypominały pismo małego dziecka. Ogarnęły mnie mdłości. Tatuaże wcale nie były wyrazem religijnego oddania, lecz efektem zbeczeszczenia własnego ciała.

Kiedy uniosłem wzrok na Diaz, znów przyglądała mi, się uważnie. Aż poczułem ukłucie irytacji

- O co chodzi? Sądzi pani, że jestem do niego podobny?

- Nie, ani trochę. Czy te rysunki z niczym się panu nie kojarzą?

- Z niczym. Przecież to tylko krzyże.

Obejrzała się na Becketta.

- Piety też ma wytatuowane?

- Aha. Przynajmniej tam, gdzie mógł sięgnąć. Ale i tam nie znajdziecie niczego, co dałoby się zidentyfikować, na przykład nazwy statku, na którym służył, czy emblematu ulicznego gangu. Są jedynie kolejne krzyże.

Diaz zmarszczyła brwi, pokręciła głową i rzekła:

- Jasne. Sprawdźcie, czy ostatnio uprawiał seks. Gdybyście natknęli się na ślady wydzielin, trzeba będzie je oddać do analizy DNA.

- Pardy już to zlecił.

- Świetnie. Poszukajcie też narkotyków we krwi. Przecież po coś musiał wejść do tego zaułka.

Beckett odstawił papierową torbę, żeby zapisać uwagę w notesie. Jej widok podsunął mi pewną myśl.

- Szukaliście jego nazwiska na ubraniach? - zapytałem.

Śledczy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zawsze to robimy. W butach też. Nigdy o tym nie zapominam od czasu, jak dałem plamę przy pierwszej prowadzonej samodzielnie sprawie. Badałem faceta z roztrzaskanym łbem, znalezionego bez dokumentów, którego odcisków palców nie było w bazie danych. Okazało się później, że jego matka wypisała nazwisko na wewnętrznej stronie paska od spodni, więc łatwo go zidentyfikowaliśmy.

Pokiwałem głową i spojrzałem na Diaz.

- I na pewno nie miał żadnego sygnetu, zegarka, portfela...

- Już mówiłam, że nie. Znaleźliśmy przy nim tylko te wycinki z gazet i siedem centów.

Popatrzyłem jeszcze raz na trupa, coraz bardziej rozkojarzony. Skóra na piersi pod tatuażami była gładka i czysta. Sięgająca na rękach nieco powyżej łokci opalenizna, typowa dla farmerów, kontrastowała z bladością torsu. Poza drobną blizną u nasady szyi nie zauważyłem innych znaków szczególnych. Dolną część ciała pokrywały plamiste zaciemnienia znaczące miejsca, gdzie pod skórą zebrała się po śmierci krew, natomiast w górnej, pozbawionej krwi, tkanki odznaczały się woskowatym połyskiem między ciemnymi tatuażami. Ranę wlotową po kuli otaczał siny pierścień upstrzony czarnymi cętkami oparzeń od drobin gorącego prochu. Zatem strzał oddano z bliska, wylot lufy musiał znajdować się nie dalej niż pół metra od ciała. Na palcach nie było śladów po obrączce czy sygnetach, lecz na lewym nadgarstku widniał jaśniejszy pasek po skradzionym zegarku. Zauważyłem wreszcie niewielkie wgłębienie na lewym biodrze, tak drobne i niewyraźne, że mogłoby uchodzić za zmarszczkę.

- A to co? - zapytałem, wskazując je Beckettowi.

Zdjął tabliczkę z krawędzi stołu i z przypiętej do niej koperty wyciągnął duże zdjęcie rentgenowskie.

- Blizna po operacji chirurgicznej. Podobna znajduje się na drugim biodrze. Proszę, na zdjęciu widać wstawione płytki.

Uniósł prześwietlenie na wysokość oczu. Poniżej obu stawów biodrowych widać było na kliszy dwa idealnie równe białe prostokąty ciągnące się wzdłuż kości udowych. Śledczy wskazał je palcem i wyjaśnił:

- Wyglądają na wstawki korekcyjne, więc prawdopodobnie przechodził operację w dzieciństwie. Na takich płytkach wzmacniających kości często znajduje się nazwa producenta i numer seryjny wyrobu. Jeśli tak jest, wyciągniemy z archiwum producenta nazwę szpitala, który je kupił, i na podstawie szpitalnych zapisów zidentyfikujemy człowieka.

- Kiedy ma iść na stół? - zapytała Diaz.

Beckett popatrzył na tabliczkę.

- Jutro po południu, jeśli nic nie stanie na przeszkodzie. Najdalej pojutrze. Sądzę jednak, że jutro wieczorem będziemy już coś wiedzieli.

Jeszcze raz popatrzyłem na trupa. Stężenie pośmiertne utrwaliło na twarzy dziwny grymas. Jedno oko było zamknięte, za to drugie szeroko rozwarte. Skóra na wystających kościach policzkowych sprawiała wrażenie naciągniętej, silnie podkreślając zapadnięte i podkrażone oczy. Lekko rozwarte usta potęgowały wrażenie, jakby mężczyzna tylko zapadł w drzemkę i w każdej chwili mógł się obudzić. Miałem nieodpartą ochotę mu je zamknąć.

Kiedy Diaz dotknęła mego ramienia, omal nie podskoczyłem. Obrzuciła mnie podejrzliwym wzrokiem.

- Wszystko w porządku, Cole?

- Jasne. Co teraz?

Spoglądała na mnie jeszcze przez chwilę, wreszcie obejrzała się na Becketta.

- Dość na dzisiaj, Dino. Chciałabym dostać powiększone zdjęcia jego twarzy i wszystkich części ciała pokrytych tatuażami. Tylko postaraj się, żeby nie wyglądał jak jeden z bohaterów Nocy żywych trupów, dobrze?

- Nie ma sprawy. Spotkamy się przy windzie.

Zakrył zwłoki folią i popchnął stół w kąt sali. Ruszyłem za Diaz do wyjścia, ściągając lateksowe rękawiczki. Już na korytarzu, gdy oddaliliśmy się od przechowalni zwłok, po raz kolejny obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

- Pytał pan, co dalej? Podrzucę zdjęcia Pardy'emu, żeby zrobił kopie, i kładę się spać. On porozsyła je dowódcom sekcji patrolowych, by spróbowali ustalić, czy ktoś nie widział tego faceta.

- Czy Pardy prowadził już jakieś dochodzenie?

- To dla niego wymarzona okazja, Cole. Niedawno przeniósł się do nas z wydziału miejskiego. Zzera go ambicja, bardzo chciałby się czymś wyróżnić. Na pewno sobie poradzi.

Obejrzałem się jeszcze na wahadłowe drzwi w końcu korytarza, za którymi na półkach od podłogi do sufitu spoczywały zwłoki, niektóre już od wielu lat.

- Nie będziecie mieć nic przeciwko temu, że włączę się do śledztwa?

- Czy to znaczy, że Pardy jest za kiepski, więc do akcji musi Wkroczyć Najlepszy Detektyw Świata?

- Mam ochotę sprawdzić, dlaczego ten człowiek uważał się za mojego ojca. Pani na moim miejscu nie chciałaby tego wiedzieć?

- Jeszcze nie sprawdziliśmy pańskiego alibi.

- Ale sprawdźcie. Proszę, niech się pani zastanowi. Mógłbym wam pomóc odnaleźć zabójcę.

W jej spojrzeniu na krótko pojawiło się coś nieprzyjaznego, czego nawet nie potrafiłem zidentyfikować. Uśmiechnęła się, lecz w tym uśmiechu nie było śladu rozbawienia. Wreszcie pokręciła głową.

- Mam nadzieję, że jest pan ze mną szczery.

- W jakiej sprawie?

- Że nic pan nie ukrywa, Cole.

- A co miałbym ukrywać?

- Na pewno go pan nie rozpoznał?

- Wiem tylko tyle, że w kostnicy leży człowiek, który przed śmiercią twierdził, że jest moim ojcem.

Jeszcze raz obrzuciła mnie twardym spojrzeniem, po czym odwróciła się i poszła dalej korytarzem.

- Jak pan sobie życzy, Cole. Chce pan obserwować nasze dochodzenie, proszę bardzo. W końcu jest pan Najlepszym Detektywem Świata. Przynajmniej tak piszą o panu w gazetach.

Kilka minut później Beckett przyniósł zdjęcia. Diaz ściągnęła maskę, obrzuciła szybkim spojrzeniem podobiznę zabitego i podała mi jedną odbitkę.

- Proszę. Może się panu przydać.

- Dzięki.

- Pan też może już zdjąć maseczkę.

Zostałem w niej jednak. Zerwałem ją z twarzy dopiero wtedy, gdy drzwi windy się rozsunęły i owionęło nas świeże powietrze w głównym holu. Razem wyszliśmy przed budynek, ale pożegnaliśmy się za drzwiami i każde z nas ruszyło do swojego samochodu. Kiedy przeszedłem przez ulicę, obejrzałem się na parking. Diaz stała przy granatowym fordzie passacie i przeglądała zdjęcia. Po chwili podniosła głowę i popatrzyła na mnie. Od razu domyśliłem się, co robi. Tylko udawała, że wcale nas nie porównuje. Jak gdyby zawstydzona, pospiesznie usiadła za kierownicą i wyjechała z parkingu.

Payne Keller był właścicielem szesnastoakrowej działki porośniętej gąszczem młodych wiązów, krzakami i sosnowym laskiem, którą kupił tanio - bo dom był w ruinie - na aukcji terenów przejętych przez władze miasta. Wpuścił w ziemię szambo, wykopał nową studnię, wymienił wszystkie rury, zrobił instalację gazową, kupił zbiornik na płynny gaz ziemny, położył nowy dach i wydał kupę forsy, żeby dociągnąć od szosy linię telefoniczną i kabel elektryczny. Frederick namawiał go, by jak on zamieszkał w przyczepie mieszkalnej, ale Payne chciał zachować prywatność. I trzeba przyznać, że czasami ta jego prywatność okazywała się bardzo przydatna.

Podskakując na wybojach i rozpadlinach, dojechał zrytą koleinami gruntową drogą pod sam dom. Wokół panowały cisza i spokój. Mimo to wyciągnął strzelbę spod siedzenia, zanim wysiadł z samochodu. Odnowiony, pomalowany na biało dom wyglądał kiedyś całkiem nieźle, ale teraz pod okapem było gęsto od pajęczyn, a zacieki na ścianach przypominały rozmazany tusz do rzęs na policzkach zapłakanej kobiety.

- Payne! Jesteś w domu, kolego?!

Przez chwilę stał bez ruchu, nasłuchując. Wyczuwał, że w domu nikogo nie ma, lecz wchodząc na zaśmiecony ganek, i tak nie spuszczał oczu z najbliższych okien. Przekręcił klucz w zamku i ostrożnie pchnął drzwi. Ze środka spojrzało na niego dwunastu Chrystusów z krucyfiksów przybitych na przeciwległej ścianie. Dalsze krucyfiksy stały na telewizorze i wieży stereo, na półce z książkami i nocnym stoliku w kącie. Dobrze wiedział, że są wszędzie, zarówno w łazience, jak też w kuchni i sypialni.

- Payne?!

Wolał zachować ostrożność. Gdyby Payne go sypnął, mogli tu na niego czekać policjanci albo dziennikarze.

Czując, że figurki Jezusa wpatrują się w niego, zamknął oczy. W jego głowie zaczął narastać dobrze znany szum. Wiedział, że jeśli szybko się od niego nie uwolni, szum wkrótce przemieni się w natrętne głosy.

- Każ im przestać, Payne! Zabierz ich ode mnie!

Szum stopniowo ucichł. Frederick zebrał się na odwagę i ruszył do kuchni, żeby odsłuchać wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Były dwie nowe, ale jedna od Elroya, a druga od niego samego. Od czasu zniknięcia Kellera przyjeżdżał tu dwa razy dziennie w nadziei, że jakaś telefoniczna wiadomość pomoże mu ustalić los zaginionego, ale do tej pory trafiał tylko na swoje własne nagrania (zostawiane głównie na pokaz) albo na wiadomości od Elroya.

Skasował je, wyjął z kuchennej szuflady pudełko worków na śmieci i wrócił do samochodu po łopatę. Szybkim krokiem ominął dom i zagłębił się w las. Dotarłszy do koryta wyschniętego strumienia, ruszył pod górę, póki nie dotarł do wielkiego głazu narzutowego. Przyjrzał się uważnie drzewom po obu stronach parowu, by się upewnić, że właśnie o to miejsce mu chodzi. Czuł się nieco zdezorientowany, ale zarazem podniecony, co dodawało mu sił.

Błyskawicznie wdrapał się obok głazu na wysoki brzeg strumienia i natychmiast rozpoznał otoczenie, jakby każdy liść wiązowych zarośli był tutaj jego dobrym znajomym. Natychmiast wróciła mu dawna pewność siebie.

- Zgadza się - mruknął z uśmiechem. - To tutaj.

Całym ciężarem ciała nacisnął na krawędź łopaty i odrzucił pierwszą grudę ziemi. Frederick Conrad, gdyż takiego nazwiska obecnie używał, przystąpił do metodycznej pracy. Po kilku minutach łopata stuknęła o coś twardego. Ostrożnie rozgarnął ziemię i odsłonił pierwszą czaszkę.

Sześć godzin wcześniej ulice były całkiem puste, ale teraz na chodnikach roilo się od przechodniów, posłańcy na rowerach przemykali slalomem między samochodami, a sklepy przy Grand Avenue przypominały stragany na bazarze. W zaułku nie było już policji. Zniknęła żółta taśma, przenośne reflektory, technicy z laboratorium kryminalistyki i radiowozy stojące przy krawężniku. Nic nie wskazywało na to, że niedawno doszło tu do zabójstwa. Dla przeciętnego zjadacza chleba był to kolejny zwyczajny dzień w Los Angeles.

Dotarłem na miejsce zbrodni, zatrzymałem wóz za kwiaciarnią i popatrzyłem na wylot alejki. Nie mogłem zrobić niczego więcej, niż zrobiła policja, toteż nie umiałem nawet określić, po co tu przyjechałem. Ostatecznie nawet przez chwilę nie wierzyłem, że „NN nr 05-1642” był czy choćby mógł być moim ojcem, którego nigdy nie znałem. Traktowałem go bardziej jako klienta, który zlecił mi robotę, a może raczej jako człowieka, do którego odnalezienia zostałem wynajęty. Zresztą może byłem po prostu znudzony po tylu tygodniach bezczynności albo nie chciałem wracać do domu, który wydawał mi się przerażająco pusty bez Lucy i Bena. Dlatego łatwiej było mi poświęcić się sprawie tego morderstwa. I z błogosławieństwem przyjąć możliwość nakierowania wściekłości na kogo innego.

Obszar na wschód od centrum kongresowego i na południe od dzielnicy biurowej, nazywany „Wielką Pustką”, nie cieszył się nawet zainteresowaniem bezdomnych, którzy woleli gromadzić się kilka przecznic dalej na północ, w parkach i zaułkach Skid Row. Wzdłuż tutejszych uliczek ciągnęły się hurtownie, wynajmowane za grosze biura, składy używanej odzieży bądź siedziby firm, które o zmroku zamykano na cztery spusty. Bary, hotele, osiedla mieszkalne i centra handlowe zaczynały się dopiero parę kilometrów dalej na północ, stąd trudno było dotrzeć tam pieszo. Należało więc zakładać, że albo „NN nr 05-1642” mieszkał w tej okolicy, albo czegoś tu szukał, choć nie

miałem pojęcia, co to mogło być. Aż zajrzałem do swojego przewodnika z planem miasta. Postanowiłem porozmawiać z ludźmi pracującymi w kwiaciarni, a następnie poszukać w najbliższym sąsiedztwie jakiejś działającej firmy.

Skreśliłem z ulicy i zaparkowałem u wylotu zaułka. Ledwie wysiadłem z auta, z bocznych drzwi kwiaciarni wyszedł mężczyzna w obcisłej różowej koszuli niosący kilka złożonych kartonowych pudeł. Dosłownie zbaraniał na mój widok.

- Tu nie można parkować - powiedział. - Służby miejskie odholują panu samochód.

- Współpracuję z policją. O drugiej czterdzieści pięć nad ranem doszło tu do zabójstwa. Ktoś z wydziału zabójstw pewnie będzie pana o to wypytywał.

- Już tu był, taki wysoki, szorstki i niegrzeczny. Ale pański samochód nie wygląda mi na wóz policyjny.

Jeździłem sting rayem ze składanym dachem, rocznik 1966, który może przypominałby trochę radiowóz, gdybym go wymyślił, ponieważ był żółty.

- Bo to nie jest wóz policyjny, a ja nie jestem policjantem, tylko współpracuję z policją w tej sprawie. Był pan w swoim sklepie około trzeciej nad ranem?

Skrzywił się, usłyszawszy to pytanie. Najwyraźniej nieuprzejmość robiącego wywiad gliniarza nastawiła go nieprzychylnie.

- Wszystko już powiedziałem policji. Pewnie, że mnie tu nie było. Myśli pan, że sypiam w sklepie? Nie było mnie tu i nic nie wiem o tym, co się wydarzyło.

Zaszczyciłem go pozornie przyjacielskim uśmiechem, próbując choć trochę złagodzić jego irytację.

- W porządku. Może jednak zdoła mi pan pomóc w innej sprawie. Próbuję ustalić, co ofiara robiła w tej okolicy o tak wczesnej porze. Szukam jakichś firm czy sklepów, które mogły być otwarte przed trzecią nad ranem. Nie zna pan takich?

Zrobił kwaśną minę, chyba jeszcze bardziej poirytowany.

- Nie znam. A pan nie może tu parkować. Wozy dostawcze nie będą mogły przejechać.

Dziesięć metrów dalej mężczyzna postrzelony w klatkę piersiową wykrwawił się na śmierć, a ten potrafił tylko reagować złością. Oszacowałem odległość między moim autem a zabudowaniami po drugiej stronie zaułka. Miejsca było pod dostatkiem.

- Nie ma tu innego miejsca do zaparkowania, a ja nie zabawię długo.

- Widzi pan tamten napis na murze? „NIE PARKOWAĆ”. Jeśli nie zabierze pan stąd samochodu, wezwę policję.

Przestałem udawać uprzejmość i powiedziałem, żeby zadzwonił, jeśli chce. Tacy jak on zawsze przyprawiają mnie o gęsią skórę.

Zostałem dłużej, niż było to konieczne, żeby zrobić mu na złość. Przez dwie godziny kręciłem się po terenie obejmującym dwanaście kwartałów i w sumie naliczyłem tylko sześć restauracji oraz dwa bary szybkiej obsługi, ale żaden z lokali nie był czynny o drugiej czterdzieści pięć nad ranem. Nie było więc żadnego powodu, by niezidentyfikowany mężczyzna przebywał tu w nocy. Mógł jedynie tędy przechodzić.

W końcu wróciłem do zaułka. Mój samochód nie został odholowany, ale tuż za nim piętrzyła się wielka sterta worków ze śmieciami. Facet w różowej koszuli musiał dojść do wniosku, że skoro nie może mnie zmusić do wyjazdu z alejki, to przynajmniej; zablokuje mi drogę. Żałosny kutas. Podszedłem do kontenera. Po odjeździe policji służby miejskie dokładnie wymyły alejkę. Na asfalcie nie było krwi, a w powietrzu unosiła się woń środków myjących. Nie dostrzegłem zrobionego kredą obrysu ciała zabitego ani kółek znaczących miejsca znalezienia dowodów rzeczowych. W zagłębieniach widniały jedynie kałuże wody po myciu uliczki. Popatrzyłem na całą jej długość, próbując sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać kwadrans przed trzecią nad ranem. Z pewnością nie zachęcała do tego, by się w nią

zagłębiać, ale strach jest w końcu rzeczą względną. Ulice przecinające zaułek na obu końcach były jasno oświetlone, lecz zabity z jakichś powodów wybrał ciemność. Może kojarzyła mu się z bezpieczną przystanią, a może szukał w niej kryjówki przed prześladowcami. Zresztą zabójca mógł już być w zaułku, kiedy ofiara się tu pojawiła, doszłoby zatem do przypadkowej zbrodni, ale statystyki wskazywały, że w olbrzymiej większości morderstwa popełniają członkowie rodziny, przyjaciele bądź znajomi. Należało zakładać, że mężczyzna znał zabójcę. Jeśli przyszli tu razem, zapewne ciemny zaułek wcale nie wydawał im się złowieszczy. Niewykluczone, że ofiara i zabójca wspólnie szukali właśnie takiego mrocznego kąta. Tylko po co? Przypomniałem sobie relację Diaz: kiedy usłyszała strzał, najdalej po trzech minutach odnalazła postrzelonego człowieka i zaczęła wypytywać, co się stało. Ten jednak nie powiedział, kto do niego strzelał i co się wydarzyło, powtarzał jedynie, że próbował mnie odszukać. Przedstawił mnie jako swojego syna i orzekł, że chciałby nadrobić stracone lata. Nie podobało mi się to skojarzenie. Czyżby więc skreślił w zaułek w nadziei, że znajdzie mnie gdzieś tutaj? Zmierzał tam, gdzie, jak mu się zdawało, powinienem być? A może zabójca powiedział mu, że mnie zna, i obiecał nas skontaktować ze sobą?

Spoglądałem na miejsce, w którym spoczywały zwłoki, i wyobrażałem sobie, jak obaj stoją przy kontenerze na śmieci. Zabójca wyciągnął broń, ofiara cofnęła się o krok...

Bach!

Zamknąłem oczy, by lepiej wyobrazić sobie tę scenę. Ujrzałem niespodziewanie żywego i pełnego energii starszego człowieka, stojącego twarzą w twarz z mordercą ukrytym w cieniu...

Bach!

Kula wbiła się w jego pierś nieco na prawo od mostka, ominęła serce, lecz poszarpała naczynia krwionośne i płuca. Energia kinetyczna trafienia pchnęła go do tyłu. Fala wstrząsu hydrostatycznego rozeszła się po jego ciele na wszystkie strony, rozrywając tkanki sąsiadujące z raną i popychając krew w żyłach

prosto do mózgu. Nagły skok ciśnienia rozsadził naczynka włoskowate i stępił zmysły, mężczyzna musiał na chwilę oślepnąć i ogłuchnąć, niemal całkiem stracić orientację. Zwalił się na ziemię jak bokser po niespodziewanym haku silnego przeciwnika. Gdyby został trafiony kulą większego kalibru, na przykład jedenastomilimetrową, pewnie zginąłby od razu na skutek popękania setek naczyń krwionośnych w mózgu, ale w tej sytuacji stopniowo odzyskał świadomość, mniej więcej w samą porę, by odnalazła go Diaz. Wraz z wyostrzaniem się zmysłów ogarniał go ból i strach, dlatego zaczął się miotać za kontenerem i krzyczeć, jak opisywała to śledcza. Odzyskał wzrok i słuch. Znow był w stanie logicznie myśleć i mówić, mimo że umierał. Jednakże nie powiedział policjantce, kto i dlaczego do niego strzelał. W ostatnich chwilach życia najważniejszą rzeczą na świecie wydawało mu się poinformowanie Diaz, że jest moim ojcem i że próbował mnie odszukać, bo chciał nadrobić stracone lata.

Kucnąłem i położyłem dłoń na asfalcie.

Dlaczego wybrał właśnie mnie?

Zacząłem uważnie przeszukiwać wzrokiem kąta za kontenerem. Wiedziałem, że gliniarze dokładnie przeszukali okolicę, ale to mnie nie zniechęciło. Przeszedłem parę metrów w jedną stronę, potem w drugą, usiłując sobie przypomnieć, czy znaleźli łuskę od naboju. Szczegółowo sprawdziłem ciemny kąt pod drzwiami dostawczymi po drugiej stronie alejki, następnie zawróciłem, wodząc wzrokiem po wszystkich spękaniach i dziurach w asfalcie. Zdawałem sobie sprawę, że technicy z dochodzeniówki już to robili, ale coś mi podpowiadało, żeby nie rezygnować. Okruchy brązowego szkła z butelki po piwie i zmięty kawałek papieru leżały zapewne w tym samym miejscu, gdzie zostawiła je policja. W końcu wyciągnąłem się i oparłem na rękach, jakbym chciał robić pompki, i zajrzałem pod kontener. Od razu rzucił mi się w oczy błyszczący prostokątny przedmiot wciśnięty między nogę kontenera a ścianę. Zanadto się odróżniał od asfaltu, żeby policyjni technicy go przeoczyli, doszedłem więc do wniosku, że sprzątacze musieli go wypłukać zza nogi silnym strumieniem wody, kiedy myli zaułek. Wyciągnąłem rękę i

ostrożnie, za sam róg, chwyciłem kawałek plastiku. Była to granatowa karta z nadrukowanymi w jednym końcu trzema białymi trójkątami oraz napisem: WKŁADAĆ TĄ STRONĄ. Po drugiej stronie ciągnął się napyłony grafitowy pasek. Nie miałem wątpliwości, że jest to karta do zamka magnetycznego, pochodząca zapewne z któregoś hotelu. Oczywiście nie było na niej ani nazwy hotelu, ani numeru pokoju, żeby nie udostępniać tych informacji niepowołanym osobom, nie wątpiłem jednak, że potrzebne dane są zapisane na pasku magnetycznym. Liczyłem też na odciski palców.

Zdawałem sobie sprawę, że powinienem zawieźć tę kartę do komendy głównej i oddać Diaz lub Pardy'emu, ale nie chciałem czekać trzech dni na wyniki analizy. Postanowiłem więc zadzwonić do Johna Chena, specjalisty kryminologa z tutejszej policji, z którym kiedyś razem pracowałem. Ale kiedy uzyskałem połączenie z Dochodzeniowym Wydziałem Badań Naukowych, powiedziano mi, że Chen wziął dzień wolny. Właśnie dzisiaj. Po krótkim namyśle zadzwoniłem do Carol Starkey, śledczej z wydziału nieletnich komendy w Hollywood, która była kiedyś saperem w brygadzie antyterrorystycznej, lecz po groźnym wypadku musiała zmienić pracę, znała się jednak na sprawach technicznych niemal tak samo dobrze jak Chen.

Gdy tylko rozpoznała mój głos, rzuciła swobodnym tonem:

- Czyżbyś postanowił wreszcie zaprosić mnie na randkę?

- Nie, chciałem tylko zapytać, czy byłabyś w stanie odczytać dla mnie informacje z paska magnetycznego karty hotelowej.

Pokrótko opowiedziałem jej, jak znalazłem kartę obok miejsca zbrodni i dlaczego w ogóle zostałem wplątany w tę sprawę.

- Mówisz poważnie? - zdziwiła się. - Myślisz, że to naprawdę mógł być twój ojciec?

- Nie, to raczej mało prawdopodobne. Chciałem się tylko przekonać, co jest w zapisie magnetycznym na karcie.

- Zadzwoń do Chena. On lepiej się zna na tych sprawach.

- Wziął dzień urlopu.

- Zaczekaj chwilę.

Rozłączyła się na chwilę. Trzymając aparat przy uchu, drugą ręką zacząłem przerzucać worki ze śmieciami, które facet w różowej koszuli zwałił na stertę tuż przed moim zderzakiem. Żaloszny kutas.

- Halo! - odezwała się znowu Starkey. - Chen będzie czekał na nas za godzinę przed swoim laboratorium.

- Przecież jest na urlopie.

- Wyobraź sobie, że postanowił go przerwać.

Wyłączyłem telefon i spojrzałem na zegarek. Minęło prawie dziewięć godzin od zabójstwa „NN nr 05-1642”. Karta hotelowa miała mi otworzyć drzwi do jego tożsamości, jak również do tajemnic, które bardzo chciałem poznać.

CZĘŚĆ DRUGA

Ojciec wie najlepiej

Dochodzeniowy Wydział Badań Naukowych mieścił się w tym samym budynku, co sekcja saperska brygady antyterrorystycznej, w której Starkey poświęciła trzy lata służby na rozbijanie i unieszkodliwianie amatorskich ładunków wybuchowych, podczas gdy jej koledzy chowali się za drzewami. Na pewno widzieliście policyjnych saperów na przebitkach w telewizji, kobiety lub mężczyźni w strojach przypominających skafandry kosmiczne, pochylających się nad pudełkami czy plecakami wyładowanymi trotylem i próbujących rozbroić ładunek, zanim wybuchnie. Starkey była w tym dobra i uwielbiała tę robotę, dopóki nie zdarzył się wypadek. Na skutek eksplozji baryłki wypełnionej czarnym prochem i gwoździami jej dowódca zginął na miejscu, ją zaś lekarze jakimś cudem przywrócili do życia i pozszywali, ale komisja zabroniła jej powrotu do pracy sapera. Przeniosła się więc do wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, a po krótkim czasie do wydziału nieletnich, ale wciąż tęskniła za dawną pracą. Prawdziwie bombowa babka, co?

Pałała papierosa, oparta o maskę granatowej furgonetki sekcji saperskiej, kiedy wjechałem na parking. Była po trzydziestce, miała pociągłą twarz i włosy w wiecznym nieładzie. Delikatnie prążkowana ciemnoszara garsonka doskonale pasowała do jej charakteru.

- Ten nałóg cię zabije - powiedziałem na przywitanie.

- Już byłem po tamtej stronie i wróciłem. Chen siedzi w laboratorium, nadąsany, że odciągnęłam go od prywatnych spraw.

- Dzięki, że mi pomogłaś. Nie musiałaś się odrywać od swojej roboty. Wiem, jak bardzo jesteś zajęta.

- Miałabym przepuścić okazję poflirtowania z tobą? W jaki inny sposób mogłabym zyskać twoją przychylność?

Z nią tak zawsze. Ruszyła do wejścia, więc poszedłem za nią zygzakiem między zaparkowanymi samochodami.

- Co właściwie chcesz odkryć? - zapytała. - Naprawdę nie wierzysz, że mógł być twoim krewnym?

- Nie, nic nas nie łączyło. Albo miał obsesję na moim punkcie, albo zwyczajnie się pomylił. Wiesz, jacy natrętni potrafią być ludzie, kiedy na przykład upodobają sobie jakąś gwiazdę filmową.

- Pokaż mi to zdjęcie.

Wspomniałem jej wcześniej o fotografii z kostnicy, ogarnęła mnie jednak irytacja, że chce je zobaczyć. Spojrzała na zdjęcie, potem na mnie i znowu na zdjęcie. Poczulem się zraniony, i to w sposób, którego bardzo nie lubiłem. Po chwili oddała mi fotografię i pokręciła głową.

- Ani trochę nie jesteś do niego podobny.

- Przecież mówiłem.

- On ma głowę jak modliszka, a ty jak brukiew.

- Całkiem niezły początek flirtu.

Przecisnęła się bokiem między autami stojącymi blisko siebie i przystanęła, żeby zaczekać, aż obejdę je dookoła. Wyglądała na zamyśloną albo zakłopotaną.

- Wiesz co? - mruknęła. - Może nie powinnam żartować na ten temat. Nie miałam pojęcia, że nie znałeś swojego ojca. Domyślałam się, że to może być dla ciebie kłopotliwa sytuacja.

- Wcale nie jest kłopotliwa. Nie robię tego w nadziei odkrycia prawdy o moim ojcu, bo naprawdę nie wierzę, że on nim był.

- Wszystko jedno.

- Nie doszukuj się podtekstów tam, gdzie ich nie ma.

- Lepiej zmieńmy temat, dopóki jeszcze możemy ze sobą rozmawiać. Miałeś jakieś wiadomości od Bena? Jak mu się mieszka w rodzinnym domu?

Starkey pomagała mi w poszukiwaniach Bena Cheniera. Spotkaliśmy się tego wieczoru, kiedy został porwany.

- W porządku. Tyle że nie rozmawiamy ze sobą tak często jak dawniej.

- A jak się miewa twoja prawniczka?

Miała na myśli Lucy Chenier.

- Z nią też nie rozmawiam tak często jak dawniej.

O'Lough-lin Coś mi się zdaje, że tego tematu też nie powinnam poruszać.

- Dobrze ci się zdaje.

Pokazała swoją odznakę recepcjonistce i ruszyliśmy korytarzem w stronę drzwi oznaczonych wielkim napisem LABORATORIUM TECHNICZNE. Wydział, oprócz sekcji administracyjnej, obejmował dwa laboratoria, techniczne i kryminalistyczne. Chen, podobnie jak reszta pracujących tu specjalistów, mógł dowolnie korzystać z wyposażenia obu laboratoriów, realizując zlecenia policyjnych wydziałów śledczych z całego stanu.

Skrzywił się na nasz widok. Był wysoki i chudy, nosił źle dopasowane okulary i wiecznie się garbił, jak człowiek cierpiący na chroniczny brak poczucia własnej wartości. Większość techników pracowała w codziennych ubraniach, mało kto używał tu fartucha, ale John Chen ściśle trzymał się regulaminu. Kiedy podeszliśmy, ukradkiem zerknął na boki, jakbyśmy uczestniczyli w jakimś spisku.

- Wziąłem na dzisiaj urlop. Z samego rana wymyłem i nawoskowałem samochód, bo chciałem wybrać się do Westwood, żeby upolować jakąś cizję.

To właśnie Chen. W jego życiu liczyły się jedynie trzy wartości: rozgłos, kariera zawodowa i seks. Niekoniecznie w tej kolejności.

- To znacznie więcej, niż chcielibyśmy wiedzieć, John - odparła Starkey. - Lepiej zajmij się tą kartą.

- Chcę wam tylko dać do zrozumienia, że będziecie mi coś winni. - Wyciągnął rękę w moim kierunku. - Pokaż ją.

Trzymałem kartę zawiniętą w chusteczkę do nosa. Położyłem ją na blacie i ostrożnie rozchyliłem rogi chusteczki. Chen zsunął okulary na czoło i pochylił się nisko nad stołem.

- Należała do ofiary czy zabójcy? - spytał.

- Nie wiem. Znalazłem ją na miejscu zbrodni, więc podniosłem. Równie dobrze mógł ją tam zgubić ktoś inny.

Zrobił kwaśną minę i spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

- Ten gość naprawdę był twoim ojcem?

Zaczynała mnie od tego boleć głowa. Chciałem tylko jak najszybciej dowiedzieć się, co jest zapisane na karcie, i bezzwłocznie wyjść z laboratorium.

- Był starym dziwakiem, któremu się zdawało, że jest moim ojcem. Nic więcej.

- Starkey mówiła, że to twój ojciec.

- Pomyliłam się, do pioruna - syknęła. - Cole ani trochę nie jest do niego podobny. Pokazał mi zdjęcie zabitego.

- Więc jak? Odczytasz mi, co jest na karcie, czy nie? - burknąłem zniecierpliwiony, żałując już, że zwróciłem się do nich o pomoc.

Chen przeszedł z kartą do stanowiska, na którym stał komputer, będący zapewne ziszczeniem marzeń sieciowego napaleńca. Niepozorny desktop połączony był pękami kabli z wieżą odtwarzaczy wideokasetowych różnych systemów, w tym także minikaset od przenośnych kamer, jak też ze skanerem starych ośmiomilimetrowych filmów - odtwarzaczy kompaktowych, DVD, mini-CD oraz baterią czytników kart magnetycznych, podobnych do tych, jakie można zobaczyć przy kasach w supermarketach. Napis na ścianie ponad nim głosił: BEZ ZAPISÓW MAGNETYCZNYCH NIE MA INFORMACJI I NIE MA PRACY. Dowód szczególnego poczucia humoru szczurów laboratoryjnych.

Włączył komputer i otworzył na ekranie kilka różnych okienek.

- Zwykle mamy do czynienia z podrobionymi kartami kredytowymi i płatniczymi, ale takie karty komercyjne też możemy odczytać. Większość hoteli w Stanach Zjednoczonych instaluje systemy zamków magnetycznych pochodzących od jednego z trzech producentów, ale we wszystkich stosowany jest ten sam sposób kodowania zapisu. Najpierw spróbujemy odczytać dane z karty właśnie w tym trybie. Kto prowadzi dochodzenie?

- Kelly Diaz z wydziału zabójstw komendy śródmiejskiej.

Chen wprowadził jej nazwisko do komputera.

- Będę musiał się z nią skontaktować, żeby uzyskać numer sprawy. Łatwo zaciągnąć ją do łóżka?

Starkey poklepała go po ramieniu, dając znak, że musi wracać do swoich zajęć, i energicznym krokiem ruszyła do wyjścia.

- Na miłość boską, John - syknąłem. - Mógłbyś okazać choć trochę klasy.

Wydawał mi się bardziej rozczarowany moją odpowiedzią niż zakłopotany własnym pytaniem. Odprowadził wzrokiem Starkey i rzekł półgłosem:

- Więc jednak będę miał u ciebie dług wdzięczności. I powiedz swojej dziewczynie, że też jest mi coś winna.

Starkey nie jest moją dziewczyną.

Chen uniósł wzrok do nieba.

- Tak, pewnie.

Szybko wpisał konieczne dane do poszczególnych okienek, po czym delikatnie chwycił kartę pęsetą i przeciągnął nią w jednym z czytników. Niemal natychmiast na ekranie pojawiły się informacje zapisane na pasku magnetycznym:

00087662///116/carversystems//

0009227//homeawaysuites047//

0012001208//00991//

Chen postukał palcem w monitor.

- Masz tu wszystko, kolego. To klucz z sieci Home Away Suites. Numer zero czterdzieści siedem prawdopodobnie oznacza lokalizację hotelu, a sto szesnaście to zapewne numer pokoju. Ciągi cyfr po lewej to sekwencje rozpoznawcze systemu kodowania zapisu. Możesz nie brać ich pod uwagę.

Zapisałem te dane w notesie: pokój 116, hotel nr 47.

- A co oznacza „Carver Systems”?

- To nazwa firmy produkującej zamki magnetyczne. Mówiłem przecież, że tylko trzy firmy się tym zajmują. To jedna z nich. Czy Diaz wie, że znalazłeś tę kartę?

- Jeszcze nie. Dopiero teraz zamierzam ją przekazać.

Zmarszczył brwi.

- Muszę wpisać to badanie to protokołu. W końcu chodzi o sprawę zabójstwa.

- Przecież nie proszę cię, byś zachował to w tajemnicy. Diaz wie, że ja także pracuję nad tą sprawą. Nie będzie miała nic przeciwko temu.

- W takim razie zatrzymam kartę. Oddam ją do Sprawdzenia odcisków palców. Może uda się na ich podstawie zidentyfikować ofiarę.

- A mógłbyś zrobić dla mnie duplikat?

- Chcesz mieć taką samą kartę magnetyczną?

- Zgadza się. Skoro odczytałeś zapis, potrafisz go chyba przenieść na inną kartę, prawda?

- Chciałbyś móc się dostać do tego pokoju sto szesnaście?

- Owszem.

Znów nerwowo zerknął przez ramię i przekrzywił głowę na bok jak przestraszona papużka.

- Chyba nie zamierzasz się mścić za śmierć swojego staruszka? Gdybyś kogoś zabił, dostałbym nieźle po dupie.

- To nie był mój ojciec,

- Ale powiem Diaz, że zrobiłem dla ciebie duplikat. I Starkey też się o tym dowie.

- Proszę bardzo.

Chen pogrzebał w szufladzie i wyjął z pudełka czystą kartę z paskiem magnetycznym. Znowu powpisywał odpowiednie informacje w rozmaitych okienkach, wreszcie przeciągnął kartą w szczelinie innego czytnika i podał mi ją. Był jednak bardzo nieszczęśliwy z tego powodu.

- Pokój sto szesnaście - powtórzył.

- Dzięki, John. Masz u mnie dług wdzięczności.

- Tylko lepiej nikogo nie zabijaj.

Schowałem kartę do kieszeni i ruszyłem do wyjścia, kiedy zawołał:

- Hej, Elvis!

Obejrzałem się. Wciąż patrzył na mnie oczami przestraszonej papużki, tyle że na jego twarzy dodatkowo malował się głęboki smutek.

- Ja też nie jestem ani trochę podobny do swego ojca.

Gdy wyszedłem z budynku, rozejrzałem się po parkingu, ale Starkey nigdzie nie było.

Home Away Suites było siecią tanich podrzędnych moteli nastawionych na noclegi domokrańnych sprzedawców i ludzi będących w dłuższej podróży. Ta sieć działała głównie na Środkowym Zachodzie, w południowej Kalifornii miała tylko sześć budynków, przy czym w rejonie Los Angeles dwa: jeden na skraju parku Jeffersona na południe od centrum, a drugi w Toluca Lake. Park Jeffersona był bliżej śródmieścia, toteż poprosiłem w informacji o numer motelu i zadzwoniłem jeszcze z parkingu przed laboratorium. Odebrała jakaś młoda dziewczynka, która rzuciła swobodnym tonem:

- Home Away Suites, który stworzy ci dom z dala od domu. Czym mogę służyć?

- Czy jesteście motelem numer czterdzieści siedem?

- Słucham?

- Sieć obejmuje szereg moteli, a każdy oznaczony jest własnym numerem. Próbuję ustalić, który jest czterdziesty siódmy.

- Nic nie wiem na ten temat.

Nie poprosiła, bym zaczekał, w ogóle niczego nie zaproponowała. Po prostu umilkła. Doszedłem do wniosku, że zarząd sieci nie zatrudnia ludzi pragnących się rozwijać w tym fachu.

- Czy mogłaby pani kogoś zapytać?

- Jasne. Proszę poczekać.

Wreszcie.

Upłynęło kilka minut, nim znów usłyszałem jej głos.

- Halo?

- Słucham.

- Jesteśmy motelem czterdziestym drugim, czterdziesty siódmy znajduje się w Toluca Lake.

- Może mi pani podać dokładny adres?

- Musiałabym poszukać.

- Nie ma sprawy. Zapytam w informacji.

Tak wygląda codzienność w pracy prywatnego detektywa.

W centrali telefonicznej bez trudu uzyskałem adres i wyruszyłem na północ wokół parku Griffitha, przez Burbank.

Toluca Lake to niewielkie miasteczko położone w lasach między Burbank a studiami wytwórni filmowej Universal, u zbiegu autostrad prowadzących do Ventury i Hollywood. Większość tamtejszych mieszkańców zapewne nigdy nie widziała jeziora otoczonego bogatymi strzeżonymi rezydencjami, niemniej miasteczko stanowi dość ładną mieszaninę średniej klasy domków jednorodzinnych, dobrze utrzymanych bloków mieszkalnych i małych osiedlowych sklepików.

Pojechałem Riverside Drive aż do Lankershim Boulevard, minąłem więc Toluca Lake. Dopiero tam prześlizgnąłem się pod gąszczem rozjazdów autostrady i zawróciwszy skrajem Północnego Hollywood, bez trudu odnalazłem Home Away Suites. Zarząd sieci wybrał dość odludną lokalizację, choć pewnie jego zdaniem położoną dogodnie blisko dróg prowadzących w różnych kierunkach, wyraźnie zadając tym samym kłam hasłom drukowanym w folderach reklamowych.

Motel przypominał wielki klocek o zdobionych stiukami ścianach, nie miał restauracji ani obsługi hotelowej, nie zapewniał żadnych atrakcji. Była to zwykła tania noclegownia dla ludzi będących w podróży. Zaparkowałem na ulicy i wszedłem do lobby wykończonego równie skromnie jak cała reszta. Za kontuarem recepcyjnym siedział znudzony młody facet w szarym swetrze i czytał gazetę. Starsze małżeństwo stało przed regałem z broszurami dla turystów, najwyraźniej zastanawiając się, czy stanąć w kolejce do udziału na żywo w programie Jaya Leno, czy też wybrać się do Anaheim na farmę Knotta Berry'ego.

W bok od recepcji po kilku schodkach wchodziło się do długiego korytarza prowadzącego do pokoi na parterze.

Miałem ochotę porozmawiać z recepcjonistą, ale wiedziałem z góry, że nie zgodzi się na to, bym wszedł do pokoju. Tymczasem mając duplikat karty zrobiony przez Chena, bardzo chciałem obejrzeć pokój i nie zamierzałem czekać na przyjazd policji. Przeszedłem więc przez lobby, jakbym był jednym z gości, i ruszyłem w głąb korytarza. Drzwi pokoju sto szesnaście znajdowały się na widoku starszej pary, były jednak ukryte przed wzrokiem recepcjonisty. Zapukałem w nie lekko, nastawiając ucha, po czym przeciągnąłem duplikatem karty w szczelinie czytnika, pchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

W pokoju nie było nikogo.

Jak większość pokoi motelowych był skromny i urządzony bardzo oszczędnie. Wnęka w ścianie pełniła funkcję szafy, za nią znajdowała się ciasna łazienka. Światła były zgaszone, a zasłony zaciągnięte, w powietrzu unosił się smród dymu z papierosów. Wszędzie panował ład i porządek, bo pokojówka zdażyła zrobić obchód. Na wieszakach wisiały dwie pary męskich spodni i dwie czyste koszule, pod spodem leżała podniszczona szara walizka. Obejrzałem ją dokładnie, licząc na przywieszkę z nazwiskiem i adresem właściciela, ale niczego takiego nie było. Żadna z rzeczy znajdujących się we wnęce z ubraniami czy na nocnej szafce nie pozwalała wiązać tego pokoju z mężczyzną zastrzelonym w zaułku, a szuflady szafki były puste.

Niczego nie znalazłem też w łazience, nie licząc małego czarnego etui z przyborami toaletowymi. Miałem nadzieję, że znajdę fiolkę jakichś leków z nalepką zawierającą nazwisko pacjenta, ale nie było tam niczego w tym rodzaju, tylko środki, jakie można kupić w każdym sklepie. Cofnąłem się więc do wnęki z ubraniami i sprawdziłem kieszenie spodni na wieszakach. Były puste. Walizka nie była zamknięta, więc zajrzałem do niej. Popatrzyła na mnie uśmiechnięta naga dziewczyna z okładki jednego z tych pism, w których przeważają ogłoszenia dla striptizerek, dziewcząt do towarzystwa i salonów

masażu. Ten magazyn nosił tytuł „Hard-X Times”. Odsunąłem go na bok i ujrzałem swoją podobiznę.

Z niezrozumiałych dla mnie powodów nagle zakłuło mnie w dołku, a ból rozlał się na krótko w klatce piersiowej, jakby coś pod ciśnieniem rozděło się we mnie i pękło, powodując chwilowe nieprzyjemne sensacje. Zdjęcie było uzupełnieniem artykułu na mój temat, pochodzącego z lokalnej gazety. Zamazana odbitka kiepskiej jakości nasuwała wnioski, że publikacja została skopiowana z kliszy w miejskiej bibliotece. Na zdjęciu miałem wielkie ciemne plamy zamiast oczu, grubą czarną krechę w miejscu ust, policzki jak gdyby upstrzone wypryskami, ale podobieństwo nie budziło żadnych wątpliwości. Pod spodem leżały odbitki dwóch innych artykułów, które świetnie pamiętałem: jednego z „Daily News”, a drugiego z „LA. Weekly”.

Więc to był jego pokój.

Mężczyzny „NN nr 05-1642”.

Odłożyłem na bok wycinki i przejrzałem resztę rzeczy w walizce. Uważnie obmacałem bieliznę i trzy wymięte koszule, jak też wyściółkę walizki, za którą można było coś ukryć. Wreszcie wyczułem coś twardego w zrolowanych skarpetkach. Wyciągnąłem z nich plik ciasno zwiniętych banknotów. Było tam sześć tysięcy dwieście czterdzieści dolarów w dwudziestkach, pięćdziesiątkach i setkach.

Dwa razy przeliczyłem pieniądze, schowałem je z powrotem w skarpetkach, po czym przeszukałem resztę pokoju. Nie znalazłem niczego, co pozwoliłoby zidentyfikować mieszkańca. Jakby celowo zacierał za sobą wszelkie ślady, chcąc pozostać incognito.

Poodkładałem wszystkie rzeczy na miejsce, po cichu wyśliznąłem się na korytarz i wróciłem do lobby. Starszej pary już nie było. Plakietka przyczepiona do swetra recepcjonisty przedstawiała go jako Jamesa Kramera.

Odezwałem się do niego władcym tonem policjanta:

- Nazywam się Cole. Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa. Podejrzewamy, że jedna lub więcej osób zamieszanych w tę sprawę może mieszkać w waszym motelu. Czy rozpoznaje pan tego człowieka?

Podsunałem mu pod nos zdjęcie z kostnicy. Kramer zmarszczył brwi i przygryzł wargi.

- On nie żyje?

- Zgadza się, został zabity. Rozpoznaje go pan?

- Na tym zdjęciu wygląda trochę inaczej.

Wszyscy wyglądają trochę inaczej na pośmiertnych fotografiach. Schowałem zdjęcie i wyciągnąłem notes.

- Usiłujemy go zidentyfikować. Według dotychczasowych ustaleń mieszkał prawdopodobnie w pokoju numer sto szesnaście. Może mi pan podać jego nazwisko?

Kramer przesunął się do komputera i wpisał numer pokoju, żeby wyświetlić informacje o zameldowanym tam człowieku.

- To pan... Faustyna. Herbert Faustyna.

Przeliterował mi nazwisko.

- Ma pan także jego adres domowy i numer telefonu?

Faustyna mieszkał przy College Ridge Lane w Scottsdale, w Arizonie. Recepcjonista podyktował mi numer telefonu.

- W porządku. A numer jego karty kredytowej?

- Zapłacił z góry gotówką. Nie było powodu, by kwestionować jego wiarygodność, skoro wpłacił trzysta dolarów na poczet wszystkich kosztów.

Zabębniłem palcami po notesie, starając się wymyślić następne pytanie, podczas gdy Kramer utkwiał we mnie przenikliwe spojrzenie. Natychmiast pojąłem, że niepotrzebnie dałem mu czas do namysłu.

- Czy może pan powtórzyć swoje nazwisko? - zapytał.

- Cole.

- A mógłbym zobaczyć pańską odznakę?

- Gdyby dokąś telefonował z pokoju, wykaz połączeń zostałby dołączony do jego rachunku, prawda?

Sprawił wrażenie podenerwowanego.

- Na pewno jest pan policjantem?

- Nie, prywatnym detektywem. Proszę się nie martwić, panie Kramer. W tej sprawie wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

On jednak odsunął się od kontuaru, chcąc zwiększyć dystans między nami. Nie wyglądał na przestraszonego, ewidentnie się martwił, że może narobić sobie kłopotów, odpowiadając dalej na moje pytania.

- Chyba nie powinienem panu nic więcej mówić, tylko skontaktować się z kierownikiem.

Sięgnął po słuchawkę.

- Wcześniej powinien pan zrobić co innego. Podejrzewamy, że w sprawę zamieszana jest jeszcze jedna osoba, która może przebywać w pokoju zabitego. Niewykluczone, że jest ranna i potrzebuje pomocy.

Podniósł słuchawkę, ale nie wybrał numeru. Zapatrzył się na mnie, na przemian marszcząc i rozprostowując brwi, jakby zaczynał żałować, że wybrał sobie tak marną pracę.

- Jak mam to rozumieć?

- Proszę sprawdzić ten pokój, choćby tylko zajrzeć do niego, żeby się przekonać, czy nikt tam nie potrzebuje pomocy. Później zadzwoni pan do kierownika. Chyba pan nie chce, żeby ktoś umarł w pańskim motelu?

Popatrzył nerwowo w głąb korytarza.

- Jak to umarł?

- Faustyna został zamordowany. Zapukałem do drzwi jego pokoju, zanim podszedłem do pana, ale nikt nie odpowiedział. Nie wiem, czy ktoś tam jest, ale chciałbym, żeby pan to

sprawdził. Trzeba się upewnić, że nikt tam nie wykrwawia się na śmierć. Telefon do kierownika może poczekać.

Kramer znowu popatrzył w głąb korytarza, po czym wysunął szufladę, wyjął z niej uniwersalną kartę do zamka magnetycznego i wyszedł z za kontuaru.

- Proszę tu zaczekać.

- Oczywiście.

Jak tylko zniknął za załomem, wszedłem za kontuar. Na ekranie komputera wciąż widniały dane Herberta Faustyny. Odszukałem przycisk z napisem DRUKUJ FAKTURĘ i myszką szybko naprowadziłem na niego kursor. Drukarka laserowa cicho zaszumiała i po paru sekundach wypluła z siebie fakturę zajmującą aż trzy strony. Rzuciłem na nie okiem i wyszedłem z lobby przed powrotem Kramera. Najlepszy Detektyw Świata miał swoje sposoby.

10

Mijało dziesięć godzin od zabójstwa, a ja miałem już wszystkie dane Faustyny wraz ze spisem rozmów telefonicznych, jakie prowadził z pokoju motelowego. Zastanawiałem się nad powiadomieniem Diaz i Pardy'ego, gdy uświadomiłem sobie, że jestem głodny. Zatrzymałem się więc w Północnym Hollywood, w barze Henry's Tacos kupiłem pięć suchych placków tortilli, wyszedłem na ulicę i zjadłem je na ławce przed budynkiem. Raczej pożałem niczym wygłodniały wilk, bo potem dokupiłem jeszcze dwa, tym razem z wyśmienitym mięsnym sosem Henry'ego. Rozmyślałem, że w porze obiadowej powinienem dobrze już znać historię życia Faustyny, a gdzieś pod wieczór schwytać jego zabójcę. Wyobrażałem sobie, jak komendant miejskiej policji błaga mnie, bym zechciał się zająć innymi nierozwikłanymi sprawami, na co nawet miałem ochotę. Czasami trzeba okazać gest.

Kiedy skończyłem jeść, zjechałem serpentyną ze szczytu pasma na dno kanionu Laurela i ruszyłem Woodrow Wilson Drive w stronę domu. Byłem w świetnym nastroju, dopóki nie zobaczyłem na moim podjeździe nieoznakowanego sedana i otwartych na oścież drzwi mego domu.

Zaparkowałem po przeciwnej stronie ulicy, podszedłem i zajrzałem do auta. Był to służbowy wóz policyjny dochodzeniówki z radiem zainstalowanym w miejscu skrytki pod deską rozdzielczą, na tylnym siedzeniu leżała niedbale rzucona wiatrówka. Mój przyjaciel, porucznik Lou Poitras, pracował jako śledczy w komendzie w Hollywood, ale to nie był jego samochód. Zresztą Lou nie zostawiłby otwartych na oścież drzwi domu w formie jawnego zaproszenia dla robactwa i złodziei.

Wszedłem do środka. Na mojej kanapie siedział rozwalony Pardy z rękoma splecionymi za głową i nogami na stoliku do kawy. Nie wstał i nawet nie uśmiechnął się na mój widok. Z kabury podramiennej wystawała mu kolba czarnego sig sauera.

- Ładnie się tu urządziłeś, Cole. Pewnie ci się opłaciło, że twoje nazwisko było we wszystkich gazetach.

- Co tu robisz?

- Krążyłem po okolicy i wypytywałem o ciebie sąsiadów. Zeznali, że twój samochód stał przed domem przez całą noc, więc pewnie muszę uznać twoje alibi, dopóki nie zostaną ujawnione dalsze fakty.

- Pytałem, co robisz w moim domu.

- Drzwi były otwarte, a nikt nie odpowiadał. Pomyślałem, że coś ci się stało, może jesteś ranny, skoro uczestniczysz w poważnym dochodzeniu, dlatego wszedłem, żeby; sprawdzić, czy nie potrzebujesz pomocy.

Cofnąłem się do drzwi frontowych i dokładnie obejrzałem zamek oraz zasuwę. Nie nosiły śladów włamania, zostawiłem drzwi otwarte i wróciłem do salonu. Drzwiczki szafki pod telewizorem także były otwarte na oścież, a sterta książek

telefonicznych w przejściu z kuchni do jadalni była wyraźnie przesunięta. Pardy musiał przeszukać dom.

- Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu włamałeś się do mojego domu.

- A ja nie mogę uwierzyć, że wróciłeś na miejsce zbrodni. Od razu wydało mi się to podejrzane.

- Diaz wie, że pracuję nad tą sprawą. Dała mi swoje błogosławieństwo.

- Czyżby?

- Ją zapytaj.

- O'Loughlin wyznaczył mnie na prowadzącego, a ja nie potrzebuję żadnych pomocników. Potraktuj to jak przyjacielskie ostrzeżenie.

Podniósł się nagle. Był wyższy ode mnie, szeroki w ramionach i miał wielkie silne łapska. Wyzywająco pochylił się w moją stronę.

- Lepiej przestań wtykać nos w moje dochodzenie. Nie życzę sobie, byś rozmawiał z moimi świadkami, myszkował na moim miejscu zbrodni i cokolwiek kombinował z dowodami rzeczowymi.

- Pewnie nie życzysz sobie także, bym znajdował dowody, które ty przeoczyłeś, prawda?

Przyjechał tu z powodu karty magnetycznej. Pamiętałem, że jak tylko wszedłem do zaułka z samego rana, Pardy zaglądał pod kontener na śmieci, przyświecając sobie latarką. To on powinien znaleźć kartę, ale ją przeoczył. Kiedy Chen powiadomił wydział dochodzeniowy komendy śródmiejskiej o moim znalezisku, O'Loughlin musiał go wezwać na rozmowę, dlatego Pardy postanowił odgryźć się na mnie.

- Przykro mi, że ci się dostało, lecz co miałem robić? Udawać, że niczego tam nie znalazłem?

- Ciekawe, jakim cudem trafiłeś na kartę, której wcześniej tam nie było. Coś mi się zdaje, że sam ją podrzuciłeś, żeby nas ośmieszyć.

- Gadasz, co ci ślina na język przyniesie.

- Dobrze wiem, jak ci zależy na rozgłosie, Cole. Byłbyś pewnie nawet zdolny zamordować tego włóczęgę dla sławy, żeby później wkroczyć do akcji, gdy tępi gliniarze nie zdołają znaleźć zabójcy, i znowu stać się bohaterem dnia, trafić na czołówki wszystkich gazet.

Byłem wściekły i zmęczony, przez co wspomnienie świeżutkich placków taco z wyśmienitym korzennym sosem ustąpiło miejsca żółci palącej w gardle.

- Byłeś już w motelu Home Away Suites?

Zagryzł wargi i poczerwieniał, a skóra na jego czole stała się podobna do brudnego pergaminu mocno naciągniętego na czaszce. Z politowaniem pokręciłem głową.

- A więc nie byłeś. Myszkowałeś w moim domu, Pardy, podczas gdy ja odwalałem twoją robotę w motelu. Ofiara była tam zameldowana jako Herbert Faustyna. Jak cię o to zapytają dziennikarze, będziesz mógł z dumą powiedzieć, że pieprzony „bohater dnia musiał ci podać nazwisko zabitego, bo byłeś zajęty przetrząsaniem jego rzeczy, choć nie miałeś nakazu rewizji, akurat wtedy, kiedy on pracował nad wyjaśnieniem zagadkowego morderstwa. Jak się o tym dowiedzą, z pewnością przedstawią cię jako drugiego Sherlocka Holmesa.

Jeszcze mocniej zagryzł wargi.

- Co robiłeś w motelu?

- Rozmawiałem z recepcjonistą, niejakim Kramerem. Jego zmiana pewnie już dobiegła końca, ale będziesz mógł się z nim spotkać jutro. Powiedz O'Loughlinowi, że tę robotę też za ciebie odwałem.

Nie zamierzałem się przyznawać, że byłem w pokoju Faustyny, ani też oddawać mu wydrukowanej faktury. Diaz

powiedziałbym o wszystkim, ale on przecież nie potrzebował żadnych pomocników.

- Wydaje ci się, że wszystko już wiesz, Cole ale jesteś w błędzie. O niczym nie masz pojęcia. Więc lepiej trzymaj się z dala od mojego dochodzenia. Jeśli nie posłuchasz po dobroci, dobiore ci się do tyłka.

Powinienem na tym poprzestać, wtedy na pewno by sobie poszedł. Ale nie mogłem strawić świadomości, że zwyczajnie włamał się do mojego domu. A chyba jeszcze bardziej mi się nie podobało, że sądził, iż świetnie mnie zna, chociaż prawie nic o mnie nie wiedział.

- To ty jesteś w błędzie, Pardy, co byłoby dla ciebie oczywiste, gdybyś trochę bardziej uważał na zajęciach w akademii. Mogę się zajmować każdą sprawą, na jaką mam ochotę, dopóki nie przeszkadzam i nie utrudniam policyjnego dochodzenia. Może ci się to nie podobać, lecz jeśli mnie aresztujesz na podstawie swoich bezpodstawnych oskarżeń, będziesz miał do czynienia nie tylko z prokuraturą okręgową, ale w dodatku z waszym wydziałem spraw wewnętrznych. Musiałbyś się tłumaczyć, dlaczego wtargnąłeś do mojego domu bez stosownego nakazu, z jakich powodów przeoczyłeś ważny dowód rzeczowy i czemu spóźniłeś się z wizytą w motelu, w którym mieszkała ofiara. Musiałbyś też wyjaśnić, dlaczego próbowałeś mnie zastraszyć, mimo że wszystkie moje dzisiejsze poczynania odbywały się za wiedzą i zgodą policji. Twoja sytuacja nie wygląda najlepiej, Pardy. Nie jestem pewien, czy O'Loughlin byłby skłonny cię kryć.

Przez chwilę mierzył mnie wyzywającym spojrzeniem, ale w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, jak zareagować, bo nie takiej reakcji się po mnie spodziewał. W końcu wybrał najgorsze z możliwych rozwiązań.

- Ty chyba jeszcze nic nie rozumiesz, Cole. Gdzie twoja broń? Pokaż mi ten pistolet, z którego zabiłeś tyle osób.

Ostentacyjnie oparł prawą rękę na kolbie sig sauera. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

- Wolę się upewnić, że coś jednak do ciebie dotarło - dodał.

Szczęk odwodzonego kurka colta pythona kalibru dziewięć milimetrów jaki doleciał od strony drzwi, zabrzmiał w ciszy niczym trzask łamanych palców. Pardy obejrzał się błyskawicznie i wrzasnął, jakby był funkcjonariuszem z patrolu na służbie:

- Stać! Policja!

- I co z tego? - zapytał spokojnie Joe Pike.

Stał w cieniu otwartych frontowych drzwi, trzymając rewolwer przy udzie skierowany lufą do dołu. Miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, krótkie ciemnoblonde włosy i muskularne ramiona, dzięki którym wydawał się dość proporcjonalnie zbudowany, chociaż ważył ponad pięćdziesiąt kilogramów. Był ubrany w szare polo bez rękawów i dżinsy, a na nosie miał swoje komandoskie ciemne okulary, których chyba nigdy nie zdejmował, nawet na noc. Blask zachodzącego słońca wpadający do pokoju rozświetlał ciemne szkła, przez co wydawało się, że jego oczy świecą w półmroku.

- Policja! - krzyknął jeszcze raz Pardy, zachowując tyle zdrowego rozsądku, żeby nie wyciągnąć pistoletu.

- To mój współnik, Joe Pike - wyjaśniłem. - Zapewne i o nim czytałeś w gazetach.

- Do diabła, jestem oficerem policji! Słyszałeś?! Odłóż ten rewolwer! - I zwrócił się do mnie: - Natychmiast każ mu schować broń!

Spojrzałem na Pike'a.

- On chce, żebyś schował rewolwer.

- I co z tego?

- Co zamierzasz w tej sytuacji, Pardy? Chcesz doprowadzić do strzelaniny? Znalazłeś się w kropce. Jeśli nadal zamierzasz mnie aresztować, pójdę z tobą dobrowolnie i wszystko wyjaśnimy

sobie z O'Loughlinem na komendzie. Więc jak? Aresztujesz mnie?

Pardy spiorunował mnie wzrokiem, ale widać było, że całkiem stracił pewność siebie. Mógłby dalej forsować swoje stanowisko, lecz dobrze wiedział, że tylko bardziej się pograży. Po chwili odezwał się tak spiętym, chrapliwym; głosem, że zaskrzypiał jak nienaoliwiony zawias:

- Lepiej to przeczekam.

Bokiem dał nura do wyjścia niczym rozkołysana żaglówka skręcająca pod wiatr. Pike odsunął się. Detektyw przystanął w drzwiach i obejrzał się na mnie. Wcale nie wyglądał na przestraszonego. Znowu był bardzo pewny siebie.

- Jeszcze się spotkamy.

- Dobranoc, Pardy.

Zniknął za drzwiami i kilkanaście sekund później odjechał. Pike z ociąganiem schował rewolwer do kabury i zapytał:

- Co to za historia z twoim ojcem? Jakby nic się nie stało.

- To nie był mój ojciec, na miłość boską. Od kogo się o tym dowiedziałeś?

- Od Starkey.

- Od kiedy to wydzwaniacie do siebie?

- Martwiła się o ciebie.

Zrelacjonował mi krótko, czego dowiedział się od niej, a ja opowiedziałem mu resztę. Joe Pike był moim najlepszym przyjacielem i jedynym współnikiem od prawie dwudziestu lat, ale nigdy nie opowiadaliśmy sobie nawzajem o własnym dzieciństwie. Nie umiem nawet powiedzieć dlaczego, chyba po prostu nie było to potrzebne i nie miało nic wspólnego z naszym układem. Może zwyczajnie wystarczała nam świadomość tego, jacy jesteśmy teraz, a może obaj przeczuwaliśmy, że łatwiej będzie nam żyć tylko z własnym bagażem.

Kiedy doszedłem w swojej opowieści do wizyty w Home Away Suites, pokazałem wydrukowaną fakturę z adresem Faustyny. Pike ledwie rzucił na nią okiem i powiedział:

- Nie zgadza się kierunkowy do Scottsdale. Adres i numer telefonu nie pasują do siebie.

Spojrzałem na wydruk. Domowy numer zabitego poprzedzał kierunkowy 416.

- A wiesz, jaki naprawdę jest kierunkowy do Scottsdale?

- Czteryście osiemdziesiąt.

Podszedłem z fakturą do telefonu i wybrałem połączenie. Przemiły głosik komputerowego syntezyzatora poinformował mnie, że nie ma takiego numeru. Włączyłem więc swojego iMaca, załadowałem mapę Stanów Zjednoczonych z portalu Yahoo i wpisałem w wyszukiwarce adres Faustyny. Okazało się, że w Scottsdale w ogóle nie ma takiej ulicy. Rozsiadłem się w fotelu i popatrzyłem na Pike'a. Wyglądało na to, że wszystko, czego się dowiedziałem na temat Herberta Faustyny, było fikcją.

- Adres i numer telefonu są fikcyjne. Wszystko zmyślił.

Joe jeszcze raz spojrział na fakturę i oddał mi ją.

- Należy sądzić, że reszta danych też jest fikcyjna. Maria Faustyna była pierwszą świętą kanonizowaną w tym stuleciu. Kościół uhonorował jej wiarę w boskie miłosierdzie. Dlatego jestem prawie pewien, że nazwisko też sobie wymyślił.

Czasami można się było od niego dowiedzieć całkiem zdumiewających rzeczy.

Wyjąłem zdjęcia z kostnicy i pokazałem mu tatuaże zabitego.

- Podejrzewam, że zależało mu na boskim miłosierdziu.

- Niewykluczone. Tylko dlaczego?

Frederick zrobił aż trzy kursy do domu Payne'a, bo choć po latach niewiele zostało ze szczątków, to przenoszenie ich w workach przez las było niewdzięcznym zajęciem. W dodatku przy każdym powrocie ogarniał go strach, że policja zastawiła nań zasadzkę, dlatego wyczekiwał na skraju gęstwiny z żołądkiem ściśniętym z przerażenia, dopóki nie zyskał pewności, że wokół domu nadal panuje spokój.

Po przeniesieniu wszystkiego rozpałił gazowy piecyk Payne'a. Kiedy zużył cztery przywiezione butle propanu przeniósł popioły do dwustulitrowej beczki do spalania odpadów i obficie poleł benzyną. Po dwukrotnym ich wypaleniu przeniósł resztki z powrotem do plastikowych worków na śmieci, a beczkę starannie wysypał chlorkiem. Pojechał z prochami autostradą numer 126 nad jezioro Piru, wyrzucił je do wody, dokładnie opłukał worki, a w drodze powrotnej zatrzymał się jeszcze w dwóch hurtowniach roślin ogrodowych w Canyon Country. Późnym popołudniem, kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, spryskał całe obejście domu Payne'a mieszaniną trutki na szczury, płynu przeciwko mrówkom, mielonej papryki chili i arszeniku. Obawiał się, że policja może sprowadzić psy do przeszukiwania posesji, ale nawet one wskutek jego małej niespodzianki nie zdołają niczego znaleźć. Poczul więc satysfakcję z dobrze wykonanego zadania.

Pozbywszy się dowodów i spryskawszy truciznami cały teren wokół domu, usiadł w saloniku, żeby się zastanowić. Payne zawsze mu powtarzał, że kiedyś spotka ich kara boska. Zdaniem Fredericka miał na myśli przypiekanie ogniem piekielnym - zwłaszcza że już wtedy nabrał zwyczaju pokrywania swego ciała tatuażami i rozmawiania z Jezusem - teraz jednak przyszło mu

do głowy, że Payne'owi chodziło o coś innego. On sam budził się każdego ranka ze świadomością, że ktoś już podąża ich tropem, może nawet całe tabuny ludzi.

Tym bardziej było to prawdopodobne teraz.

Zmagał się z nieskładnymi myślami, które kłębiły się w głowie niczym natrętne ludzkie głosy, aż wreszcie poczuł, że znów ogarnia go panika.

- Dość tego!

Siedział jak skamieniały, wpatrując się w osłupieniu w swoją prawą stopę, która niezależnie od jego woli podrygiwała i dygotała, coraz mocniej i szybciej, w miarę jak głosy w jego głowie przybierały na sile.

- Każ im przestać!

Doskonale wiedział, że jest w poważnych kłopotach. Ci, którzy próbowali go dopaść - najemnicy, skrytobójcy, może nawet zwykli kryminaliści, wynajęci w celu wymierzenia mu kary - może schwytali już Payne'a, dopadli go w samochodzie i przeprowadzili tak błyskawiczną akcję, że dla wszystkich dookoła właściciel stacji benzynowej jak gdyby zapadł się pod ziemię.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli faktycznie dopadli Payne'a, mogą już być na właściwym tropie i obserwować jego poczynania. Pewnie dlatego dziwne szepty w jego głowie odzywały się coraz bardziej natarczywie.

Stopa podrygiwała mu już tak mocno, że kołysał się stolik. Po chwili stojąca na jego brzegu ceramiczna figurka Jezusa spadła na ziemię i roztrzaskała się na kawałki. Złapał się za nogę i z całej siły przycisnął ją do kanapy.

- Dość tego! Dość! Przestańcie!

Poderwał się z miejsca, chwiejnym krokiem przeszedł do kuchni i zauważył, że na automatycznej sekretarce Payne'a jest nowa wiadomość. Ktoś zadzwonił, kiedy on rozkopywał ziemię w lesie.

Pospiesznie włączył odsłuchiwanie nagrania. Od razu rozpoznał głos, który słyszał wcześniej tylko raz, kiedy Payne namówił go którejs niedzieli, by poszedł z nim na nabożeństwo do kościoła.

- Payne, tu ojciec Wills. Mam nadzieję, że nic się nie stało, bo martwi mnie przedłużający się brak wiadomości od ciebie. Proszę, zadzwoń albo przyjedź. Koniecznie musimy skończyć naszą dyskusję.

Frederickowi żołądek podszedł do gardła, aż poczuł w tostach gorycz.

Jaką dyskusję?

Ojciec Wills był pastorem i wysłuchiwał spowiedzi wiernych.

Czyżby Payne coś mu powiedział?

Co miał oznaczać ów podejrzliwy ton w głosie ojca Willsa?

Od razu naszyły go obawy, że Payne zdażył wyjawić prawdę wszystkim księżom, pastorom i rabinom w mieście. Ręce zaczęły mu się trząść i natychmiast powróciły natrętne głosy...

Bez namysłu skasował nagraną wiadomość.

Dyszał ciężko z wściekłości, urywanymi haustami łapiąc powietrze, dopóki nie poraziła go myśl, że Payne mógł zdradzić swemu spowiednikowi, dokąd się wybiera i co zamierza. Zatem ojciec Wills powinien znać prawdę.

Trzeba go o to zapytać.

W ciągu dziewięciu dni spędzonych w motelu Home Away Suites Herbert Faustyna przeprowadził aż czterdzieści sześć rozmów telefonicznych, lecz numery, z którymi się łączył, nic mi nie mówiły. Na pewno nie dzwonił do mojego biura. Na fakturze

były wyszczególnione wszystkie połączenia wraz z czasem trwania rozmowy, gdyż motel naliczał stawkę za każdą minutę korzystania z telefonu. Zastanawiające było to, że dokładnie dwanaście razy Faustyna dzwonił do informacji telefonicznej. Pozostałymi trzydziestoma czterema numerami podzieliliśmy się z Pikiem po równo i zaczęliśmy wydzwaniać, żeby sprawdzić, kto się zgłosi - ja z aparatu domowego, a Joe ze swojej komórki.

Na początku Faustyna dwukrotnie dzwonił do informacji. Pod numerem, który jako trzeci widniał na billingu, odezwał się silny i stanowczy kobiecy głos:

- Policja miejska, komenda Zachodniego Los Angeles. Czym mogę służyć?

Byłem tak zaskoczony, że na jakiś czas mnie zatkało.

- Policja. Czym mogę służyć?

- Czy... zastałem funkcjonariusza Faustynę?

- Nikt o tym nazwisku nie służy w tutejszej komendzie.

- I nigdy wcześniej nie słyszała pani tego nazwiska?

- A kto to jest?

Przeprosiłem i przerwałem połączenie. Faustyna rozmawiał z komendą Zachodniego Los Angeles całe sześć minut, co zapewne wystarczyło, żeby połączyć się z każdym tamtejszym wydziałem. Doszedłem do wniosku, że chciał rozmawiać ze mną, a gdy okazało się to niemożliwe, poprosił pewnie o połączenie z Edgarem Hooverem. W końcu każdy na tyle szurnięty, by uznawać się za mojego ojca, powinien zażądać rozmowy z Hooverem.

Zerknąłem na Joego.

- Rozmawiał z komendą Zachodniego Los Angeles. I co ty na to?

- Aha - mruknął Pike.

Pod kolejnym numerem odezwał się jakiś zachrypnięty facet:

- Policja, rejon południowo-wschodni.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, Pike już na mnie patrzył.

- Następna komenda?

- Owszem, południowo-wschodnia.

Dzwonił też na komendę w Newton.

Z komendą południowo-wschodnią Faustyna był połączony aż jedenaście minut, a z Newton osiem. Trzy kolejne numery łączyły mnie z centralami komend rejonu pacyficznego, siedemdziesiątego siódmego i w Hollenbeck.

Ledwie wyprostowałem się w fotelu, Pike obwieścił:

- Dzwonił też na komendy w Devonshire, Foothill i Północnym Hollywood.

Dalsze trzy rejony z ośmiu podlegających wydziałowi policji Los Angeles.

- Nie sądzisz, że to dziwne? Po co wydzwaniał na wszystkie komendy policji?

- W gazetach opisywano cię jako detektywa. Pewnie doszedł do wniosku, że jesteś śledczym w policji, i dzwonił kolejno na wszystkie komendy, próbując cię odszukać.

- Niewykluczone.

Pike wzruszył ramionami i zaczął wybierać następny numer.

- Ale nie byłbym tego pewien.

Pod kolejnym numerem zgłosiła się apteka Rite Aid, a pod dziewiątym klub motoryzacyjny. Następny okazał się numerem centrali komendy w Hollywood, za to jedenasty był zdecydowanie inny. Mężczyzna o łagodnym miękkim głósie dyskđokeja z nocnego klubu odebrał już po pierwszym sygnale:

- Golden Escorts, pełna dyskrecja, profesjonalna obsługa.

Faustyna rozmawiał z nim przez dwadzieścia trzy minuty.

Przypomniałem sobie kolorowe pisemko leżące na wierzchu jego walizki, z nagą dziewczyną o metalicznie srebrzystych włosach - „Hard-X Times”. Przerwałem połączenie.

- Interesowało go nie tylko szukanie kontaktu ze mną. Dzwonił też po kogoś do towarzystwa.

- Golden Escorts?

- Ty też natknąłeś się na ich numer?

- Nawet dwa razy. Dzwonił do nich w środę, a potem w piątek. Czyżby sądził, że dziwki pomogą mu dotrzeć do ciebie?

- Marny dowcip.

Pike spoglądał na mnie z kamienną twarzą, jakby wcale nie żartował.

Porównaliśmy zapisy na obu kartkach wydruku. W ciągu dziewięciu dni spędzonych w motelu Faustyna aż trzy razy dzwonił do Golden Escorts - po raz pierwszy już drugiego wieczoru po wynajęciu pokoju, a potem piątego i dziewiątego dnia, a więc wczoraj, na krótko przed tym, nim został zabity. Serce zabiło mi mocniej, kiedy skojarzyłem umówioną przez telefon randkę z datą jego śmierci. Poczujęm się tak, jakbym znalazł klucz do zagadki.

- Dzwoni dalej. Ciekaw jestem, na co jeszcze trafimy - powiedziałem.

Wśród pozostałych numerów były jeszcze dwie komendy policji. W sumie Faustyna kontaktował się z dwunastoma spośród osiemnastu komend rejonowych w granicach okręgu Los Angeles. Poza tym dodzwoniliśmy się do trzech restauracji sprzedających dania na wynos, do sklepu z częściami samochodowymi Pep Boys, dwóch kościołów w Północnym Hollywood oraz katedry Crystal. Żaden z rozmówców nie przypominał sobie ani jego nazwiska, ani rozmowy z nim. Poza informacją telefoniczną tylko do Golden Escorts dzwonił więcej niż raz i nie korzystał z usług żadnej innej firmy tego rodzaju.

Kiedy skończyliśmy identyfikować wszystkie numery z billingu zadzwoniłem jeszcze raz do Golden Escorts. Odezwał się ten sam mężczyzna, dokładnie tak samo:

- Golden Escorts, pełna dyskrecja, profesjonalna obsługa.

- Widziałem wasze ogłoszenie w „Hard-X Times”.

- Super. Potrzebuje pan kogoś do towarzystwa?

- Ktoś mógłby przyjechać do mojego motelu?

- Ma się rozumieć. Przyjmujemy gotówkę, opłaty kartami Visa MasterCard, lecz nie AmEx. Oferujemy zarówno kobiety, jak mężczyzn do towarzystwa w kontaktach pozaseksualnych. Prostyucja jest nielegalna i takich usług nie świadczymy. Nie odpowiadamy jednak za to, co zajdzie między klientem a osobą do towarzystwa. To wyłącznie sprawa tych dwóch osób. Czy wyrażam się jasno?

Wyrecytował tę formułkę na wypadek, gdybym był gliniarzem z obyczajówki.

- Tak, oczywiście.

- Świetnie. Proszę mi powiedzieć, gdzie się pan znajduje, ile czasu zamierza poświęcić i jakiego towarzystwa poszukuje.

- Zatrzymałem się w Home Away Suites. Wie pan, gdzie to jest.

- Jak najbardziej.

- Super. Chciałbym więc spotkać się z tą samą dziewczyną, którą przysłaliście ostatnio.

- Korzystał pan już z naszych usług?

- Jasne. Trzy razy.

- Mogę zapytać o nazwisko?

- Herbert Faustyna.

Połączenie zostało natychmiast przerwane. Po trzech rozmowach z Faustyną musiał dobrze pamiętać jego głos i od razu rozpoznał, że podszywam się pod niego.

Zadzwoiłem więc do znajomej z centrali telefonicznej i podałem jej numer. Gdyby się okazało, że to komórka, trzeba by szukać właściciela na podstawie adresu, pod który wysyłane są rachunki, a to potrwałoby dość długo. Mieliśmy jednak szczęście

i firma przyjmowała zgłoszenia na linii naziemnej. Nie minęły nawet dwie minuty i znaleźmy jej adres.

Świetnie.

13

Golden Escorts mieściło się w niewielkim, obłożonym deskami domku jednorodzinny w Venice, na północ od kanałów, zaledwie sześć przecznic od oceanu. Niemalże mikroskopijne domki stały na działkach tak wąskich, że prawie stykały się ścianami niczym karty w talii. Z pozoru można by sądzić, że większość zabudowań to tanie czynszówki, a boczne uliczki to alejki dojazdowe, wykończenie domów jest tandetne, a osiedlowe parkingi to złomowiska wraków. Jednakże najtańsza posesja w tej okolicy kosztowała sześćset tysięcy dolarów. Jak to wszystko zależy od lokalizacji.

Siedziba firmy wyróżniała się maleńką frontową werandą pomalowaną na żółto i zwieńczoną wiatrowskazem w kształcie wieloryba. Wszystkie okna były jasno oświetlone, lecz na chodniku nie kręciły się skąpo ubrane i mocno umalowane dziewczęta, a nad wejściem nie paliła się czerwona latarnia. Nie był to typowy dom publiczny z roznegliżowanymi dziwkami leżącymi na sofach w saloniku, firma bardziej przypominała dyspozytornię zbierającą zamówienia dla niezależnych usługodawców - ogłaszała się w prasie, przyjmowała zlecenia i dyskretnie rozdzielała je telefonicznie. A skoro mieściła się w niepozornym prywatnym domu, panie do towarzystwa zapewne nie mogły nawet liczyć na transport do klienta.

Razem z Pikiem zaparkowaliśmy po przeciwnej stronie ulicy i ruszyliśmy w stronę domu niczym Bogu ducha winni mieszkańcy na wieczornym spacerze. Pardy i Diaz pewnie z założenia mogliby liczyć na pełną współpracę, ale my przecież nie byliśmy śledczymi z policji.

- Zaczekaj chwilę - szepnął Joe.

Zaczekał, aż przejeżdżający samochód zniknie z pola widzenia, po czym przekradł się ciasnym przejściem z boku budynku i zniknął w mroku zalegającym na tyłach. Ruszyłem powoli w stronę drugiego rogu, rozkoszując się przyjemnym chłodem w Venice i wyczuwalną w powietrzu bryzą znad oceanu. Pike pojawił się po sześciu minutach. Zawróciłem i dołączyłem do niego przed domem.

- Jeden mężczyzna i jedna kobieta. Kuchnia jest od tyłu, salon od przodu, sypialnia i łazienka na prawo od kuchni. Ona przygotowuje kolację, a on siedzi w salonie przed komputerem, ze słuchawkami na głowie. Wygląda na to, że oboje tu mieszkają.

- Nie lubisz, jak ktoś dzwoni do drzwi w porze kolacji?

- Jestem pewien, że im się to nie spodoba o wiele bardziej,

Przepuściliśmy jeszcze dwa samochody, po czym skierowaliśmy się do drzwi. Pike stanął w kącie werandy, żeby ze środka nie było go widać. Bo każdy, kto go zobaczy, od razu wie, że znalazł się w kłopotach. Wykrzywiłem usta w najbardziej przymilnym uśmiechu, na jaki mnie stać, i zapukałem.

Dopiero za drugim razem drzwi się uchylily i na dwór wyjrzał około trzydziestoletni mężczyzna. Miał szeroką twarz, długie ciemne włosy zebrane z tyłu w kucyk, a na głowie słuchawki z mikrofonem połączone z bezprzewodowym aparatem telefonicznym, obecnie zsunięte do tyłu.

- O co chodzi? - zapytał.

Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej i z zaskoczenia gwałtownym ruchem pchnąłem go do środka. Pike wszedł tuż za mną. Może nie było to zbyt delikatne, ale za to bardzo profesjonalne.

- Hej, co to ma znaczyć?! Co robicie?!

- Spokojnie. Chcemy tylko porozmawiać.

Cofnął się pospiesznie, w panice wyciągając przed siebie ręce, jakby usiłował się bronić przed napierającym tłumem.

- To pan niedawno dzwonił!

Pike wyminął mnie i wszedł do pokoju. Gospodarz próbował zająć w korytarzu taką pozycję, żeby mieć nas obu na oku, ale przywarł plecami do ściany ograniczającej mu pole manewru.

- Dokąd pan idzie?! - zawołał. - Hej! To mój, dom! Ja tu mieszkam! Proszę natychmiast stąd wyjść!

- Jak się nazywasz?

- Wal się! Wynocha z mojego domu!

W wazie na stoliku przy drzwiach leżał portfel. Wyciągnąłem z niego prawo jazdy i spojrzałem na zdjęcie. Tak, to były jego dokumenty. Stephen Golden, dumny właściciel firmy Golden Escorts. Przestępcy często mnie zadziwiają. Rzuciłem portfel z powrotem do wazy, gdy z kuchni wyjrzała kobieta. Miała szczupłą pociągłą twarz o łagodnych oczach i dużą szparę między przednimi górnymi zębami. Nie podniosła krzyku i nie wszczęła awantury. Dla mnie było to zrozumiałe, nie robi się takich rzeczy, kiedy chce się uniknąć wizyty policji. Posłałem jej przyjazny uśmiech.

- Wszystko w porządku. Policja będzie tu za parę minut.

- Gówno prawda - syknął facet. - Ci ludzie mają jakiś zatarg z jednym z naszych klientów.

- Nie mamy żadnego zatargu. Ten pański klient nie żyje.

- Och, to straszne - powiedziała cicho gospodyni.

Spiorunował ją wzrokiem i rzucił ostro, znacznie ostrzej niż do mnie, chociaż to ja byłem intruzem w ich domu:

- Nic nie mów. Nic nie wiemy o tej sprawie. A oni nie mają prawa nachodzić nas w domu.

Jeszcze cieplej uśmiechnąłem się do kobiety, dając jej do zrozumienia, żeby nie zwracała na niego uwagi, jakbyśmy rozmawiali w cztery oczy.

- Jak pani na imię?

- Marsha.

- Powiedziałem, żebyś nic nie mówiła!

Jej cera przypominała opalizującą powierzchnię mętnej wody, była blada i upstrzona wypłowiałymi piegami, a niewidoczne z tej odległości rzęsy nadawały oczom wyraz niewinności, którą zapewne wcale się nie odznaczała. Miała na sobie T-shirt z napisem Tenacious D i szorty, a na nogach nad kostkami wytatuowane motylki. Przykrótka koszulka i trzymające się na biodrach spodenki odsłaniały kawałek następnego tatuażu na podbrzuszu.

- Wszystko będzie dobrze, Marsho. Czy wiesz, w jaki sposób Stephen zarabia na życie?

- Jasne, to nasz wspólny interes. Ale nikomu nie robimy krzywdy.

- Jesteś jego żoną czy przyjaciółką?

- Nie rozmawiaj z nim! To nie jego sprawa!

Ale to była rozmowa między mną a Marshą.

- Po prostu mieszkamy razem.

- W porządku. Spokojnie. Nie ma się czego obawiać.

- Przecież się nie boję.

W kącie salonu na odwróconej plastikowej tacy stał laptop, a fotel obok był ustawiony pod kątem, by można jednocześnie oglądać telewizję. Podszedłem i spojrzałem na ekran.

- Wynoście się stąd! Zostawcie mój sprzęt w spokoju!

- Ciii - syknął Pike.

Na podłodze obok fotela znajdowała się połączona z komputerem automatyczna centralka do obsługi sześciu linii telefonicznych. W głównym oknie na ekranie była otwarta książka telefoniczna, będąca prawdopodobnie spisem prostytutek współpracujących z firmą. Obok ujrzałem otwarte okienko Telecreditu umożliwiającego obsługę kart kredytowych Visa oraz MasterCard, więc zapewne i rachunek bankowy był na bieżąco obsługiwany przez komputer, mogłem się więc

spodziewać, że znajde w nim spisy wypłat i przelewów. Odwróciłem się do Goldena.

- Dobra, Stephen. Wyjaśnie ci, co nas tu sprowadza. Niejaki Herbert Faustyna mieszkał w motelu Home Away Suites w Toluca Lake...

- Nic mi o nim nie wiadomo.

- Aż trzy razy w ciągu ostatnich dziewięciu dni pan Faustyna dzwonił tutaj...

- To nieprawda.

- Potwierdza to billing telefoniczny, z którego jasno wynika, że dzwonił pod twój numer.

- Prowadzę jak najbardziej legalny interes. To, do czego dochodzi między...

- Wczorajszego wieczoru Faustyna dzwonił tu po raz trzeci i ostatni. Dzisiaj nad ranem, około drugiej czterdzieści pięć, został zastrzelony. Rozumiesz już, do czego zmierzam?

Golden skrzyżował ręce na piersi, przygryzł dolną wargę i pokręcił głową.

- Chcę zadzwonić do swojego adwokata.

- Nic z tego. Nie jesteśmy z policji, więc nie zamierzamy marnować czasu na dyskusje z twoim adwokatem. Policja prawdopodobnie odwiedzi cię jutro. Wtedy będziesz mógł się skontaktować z adwokatem. Ale na razie możesz liczyć tylko na siebie. Chcemy znać nazwisko i adres kobiety, którą wysłałeś Faustynie do towarzystwa.

- Nie prowadzę harmonogramów zajęć ludzi, którzy ze mną współpracują. Mam tylko numery pagerów albo komórek. Nie znam nawet prawdziwych nazwisk większości z nich, a co dopiero adresów.

- Więc zadzwonisz pod numer pagera. Zrozum, Stephen, że nie masz innego wyjścia, bo jesteś zamieszany w dochodzenie w sprawie zabójstwa, podobnie jak te trzy osoby, które wysłałeś do Faustyny. Jeśli nie złożysz dobrowolnie zeznań na policji

znajdziesz się w poważnych kłopotach. A jeśli teraz nie powiesz nam wszystkiego, zabiorę twój komputer oraz resztę sprzętu i podrzucę go do obyczajówki w komendzie Zachodniego Los Angeles.

Nie miałem wątpliwości, że w komputerze znajdował się spis wszystkich dziwek, którym podsylał klientów, historia operacji na jego rachunku bankowym, umożliwiająca identyfikację tychże klientów, jak również szczegółowe informacje o przychodach i rozchodach, pozwalające ujawnić wszelkie oszustwa podatkowe. Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Nie macie prawa zabierać mojego sprzętu.

- Daj spokój, Stephen. A niby jak zamierzasz nas powstrzymać?

Obejrzał się na Pike'a, ale nie ze strachem, lecz raczej z namysłem.

- A jeśli powiem wam wszystko?

- Wtedy nie przekażę twoich danych policji, tylko postaram się, żeby zniknęły. Rozumiesz dobrze, co ci proponuję?

Dawałem mu szansę uniknięcia poważnego oskarżenia o stręczycielstwo i sutenerstwo.

- Kolacja gotowa, Stephen - powiedziała Marsha. - Czy mógłbyś powiedzieć wszystkim swoim gościom, żebyśmy zjedli w spokoju?

Golden posłał w jej kierunku nienawistne spojrzenie, ale odkleił się od ściany i podszedł do komputera.

- Proszę bardzo - rzekł. - Sami zobaczycie.

Usiadł w fotelu, poruszył myszką i otworzył okno terminarza. Szybko odnalazł daty trzech zleceń Faustyny, skopiował do schowka imiona kobiet, które wysłał do Home Away Suites, po czym przeszedł do okna książki telefonicznej i pokazał nam wpisy: Janice L., Dana M. oraz Victoria.

- Widzicie? Mam tylko numery pagerów lub telefonów, żadnych nazwisk czy adresów. Mogę im wysłać wiadomości na

pager, ale nie umiem powiedzieć, czy i kiedy się ze mną skontaktują. W końcu to nie są dziewczyny o ustabilizowanym, regularnym trybie życia. Zdarza się, że znikają bez śladu i wszelki słuch o nich ginie.

- Nie czekają na zlecenia od ciebie?

- Każdy ma własne życie, prawda? - wtrąciła Marsha. - Nie myślcie, że Stephen jest jedynym człowiekiem, z którym pracują.

Z którym. Nie dla którego.

Golden obejrzał się; wyraźnie zniecierpliwiony.

- Jeśli chcecie, żebym od razu wysłał im wiadomość, mogę to zaraz zrobić.

Wybrał jakiś numer, a gdy uzyskał połączenie i rozległ się sygnał wywoławczy pagera, zdjął słuchawki i wyciągnął je w moim kierunku, jakby elektroniczne popiskiwanie nie było słyszalne w całym pokoju.

- Widzicie? Sygnał zgłoszeniowy. Wysyłam wiadomość.

Wpisał na klawiaturze numer swojego telefonu, po czym przerwał połączenie i odłożył słuchawki na poręcz fotela.

- Już ją zawiadomiłem. Nie macie ochoty na kolację? Tak samo mogę powiadomić inne dziewczyny, a potem będziemy tu siedzieli przez całą noc, czekając na ich odpowiedź, bo pewnie są akurat zajęte z innymi klientami.

Spojrzałem na Pike'a, ale jemu nawet nie drgnęła powieka. Mógłby tak sterczeć nad Goldenem choćby i miesiąc, a może nawet dłużej, gdyby uznał to za konieczne. Równie dobrze gotów był wyciągnąć pistolet, przystawić go facetowi do głowy i pociągnąć za spust, gdyby nie chciał z nami współpracować.

Nie podobało mi się, że wciąż nie wiem, jak odnaleźć te trzy dziwki, tym bardziej że każda z nich mogła mieć coś wspólnego z morderstwem Faustyny. Jeśli rzeczywiście tak było, zapewne nie mieliśmy co czekać na jej odpowiedź, a już na pewno nie można było liczyć na chęć współpracy. Mimo to nie widziałem innego sposobu, by skontaktować się z nimi, jak tylko poprzez Goldeną.

- Naprawdę nie znasz ich nazwisk?

- Jeśli nawet któraś podaje nazwisko, to na pewno zmyślane. Do diabła, sądzicie, że opłacam za tych ludzi składki na ubezpieczenie społeczne?

Rozłożył ręce w geście bezradności, jak zwykle czynią to mężczyźni zapędzeni w kozi róg.

- Chyba widzicie, że chcę wam pomóc, ale nie mogę zrobić nic więcej. Jeśli się ze mną skontaktują, spróbuję je nakłonić, żeby z wami porozmawiały. Gdybyście chcieli sami wysłać wiadomości pod numery ich pagerów, proszę bardzo, ale uprzedzam, że to je raczej odstraszy.

Miał rację. Na równi z nim poczułem się zapędzony w kozi róg. Wtargnąłem do jego domu dokładnie w taki sposób, o jaki oskarżałem Parady'ego, a w dodatku niczego przez to nie zyskałem. Próbowałem gorączkowo wymyślić jakieś chytre wyjście z tej sytuacji, ale tylko poczułem się jeszcze bardziej przyparty do muru, bo w głowie miałem pustkę.

- Faustyna zapłacił kartą kredytową?

- Nie, gotówką.

- Która dziewczyna była z nim ostatniej nocy?

- Wypisałem imiona w takiej kolejności, w jakiej przekazywałem zlecenia. Zatem chodzi o Victorię. To ona widziała go ostatnia.

- Czy Victoria albo któraś z wcześniejszych dziewcząt mówiły coś na jego temat, opowiadały, co mówił i czym się wspólnie zajmowali?

- One nigdy mi niczego nie mówią, a ja o nic nie pytam. Nawet nie chciałbym wiedzieć. Podejrzewam, że wy też nie chcielibyście znać prawdy.

- Ale to ty rozmawiałeś z Faustyną, kiedy dzwonił tutaj?

- Zgadza się.

- Co mówił?

- Interesuje was, na jakie usługi liczył? Czy zależało mu na seksie analnym, może na miłości francuskiej?

Pike stuknął go lekko w tył głowy.

- Nie zgrywaj mądrali, Stephen - odezwała się Marsha. - Tylko pogarszasz naszą sytuację.

- Nie powiedział, skąd przyjechał albo co robi w Los Angeles?

Golden potarł palcami kark.

- Nie prowadzę pogaduszek z klientami. Staram się wyczuć, o co im chodzi, bo jedne rzeczy kosztują mniej, inne więcej, a część dziewcząt nie przyjmuje pewnego typu zleceń. Ale on powtarzał tylko, że chciałby spędzić czas z jakąś miłą osobą. Mówił, że szuka zrozumienia. Zależało mu na towarzystwie dziewczyny, z którą mógłby porozmawiać. Tak przynajmniej twierdził.

- I dziewczyny nie mówiły ci potem, o czym rozmawiali?

- Takie rzeczy mnie nie interesują. Uzgadniam tylko cenę, z której biorę swoją działkę. Dwieście dolców za godzinę. I nie obchodzi mnie, co w tym czasie będą robili.

Zacząłem się zastanawiać, czy Faustynie rzeczywiście zależało tylko na rozmowie. Zapłacił sześćset dolarów za trzy godziny, w tym czasie mógł się wygadać do woli.

- Facet dzwonił tutaj trzy razy w ciągu niespełna dwóch tygodni. Jeśli nawet pierwszy kontakt potraktowałeś tylko służbowo, to w końcu musiała się między wami zawiązać nitka zażyłości. Może pozwoliłeś sobie na żart, że jest świetnym stałym klientem, albo coś w tym rodzaju?

- Owszem, trochę pożartowaliśmy, ale nie była to żadna rozmowa. Nie zrobił na mnie wrażenia człowieka skorego do wyznań. Ja tam lubię pogadać, ale on wydał mi się dziwakiem pogrążonym w smutku.

- Nie wspomniał ani słowem o swojej rodzinie?

Golden zaśmiał się krótko.

- Myślicie, że jak ktoś dzwoni po dziwkę, to chce rozmawiać o problemach rodzinnych? Zrozumcie, że nie mam powodu, aby nawiązywać przyjacielskie stosunki z tymi ludźmi. Nic mnie nie obchodzi, kim są i skąd przyjechali. Gdybym za długo rozmawiał z jednym facetem, inny w tym czasie nie mógłby się dodzwonić, a więc straciłbym dochody. Jak chociażby teraz.

Staralem się wymyślić następne pytanie, ale było oczywiste, że Golden naprawdę nie ma nic więcej do zaoferowania. Złożyłem wydrukowaną listę trzech dziwek i położyłem ją na stole.

- W porządku, Stephen. Wyślij im wiadomości na pager, umów je na spotkanie z nami na jutro i zadzwoń do mnie.

Wyjąłem wizytówkę i rzuciłem ją do wazy przy drzwiach, obok jego portfela.

- Przez cały dzień zastaniesz mnie pod tym numerem - dodałem. - I jestem pewien, że to zrobisz,

Golden rozpromienił się wyraźnie, chyba trochę zaskoczony, że zgodziliśmy się na jego warunki, bo nade wszystko chciał się nas jak najszybciej pozbyć ze swego domu. Niemalże było widać, jak za jego krzaczastymi brwiami zaczynają się coraz szybciej obracać kółka zębate. Nie miałem złudzeń, że jeśli dziewczyny oddzwonią do niego, ostrzeże je i każe wyjechać na jakiś czas z miasta, po czym błyskawicznie skontaktuje się ze swoim adwokatem. Niewykluczone, że sam także zamierzał wziąć krótki urlop.

- A wiesz, dlaczego jestem pewien? - zapytałem.

- Przecież obiecałem, no nie? W końcu dajecie mi szansę wyjść z tego z honorem.

- Zgadza się. A poza tym w ramach zabezpieczenia zabierzemy twój komputer.

Zamknąłem wieko laptopa i wyszarpnąłem z niego kable. Gospodarzowi oczy się rozszerzyły. Rzucił się w moją stronę, lecz Pike błyskawicznie położył mu dłoń na ramieniu i rzekł spokojnie:

- Nie ruszaj się.

Golden zastygł jak skamieniały. Marsha, która wcześniej Wróciła do kuchni, zawołała stamtąd:

- Na miłość boską, Stephen. Kolacja nam całkiem wystygnie.

Wetknąłem laptop pod pachę i ruszyłem do wyjścia.

- To zwyczajny rabunek! - wrzasnął Golden. - Nie macie prawa włamywać się do czyjegoś domu i wynosić nie swoich rzeczy!

- Wcale, nie kradnę ci komputera, tylko biorę na zakładnika. Jeśli twoje dziewczyny się pokażą, dostaniesz go z powrotem, a jeśli nie, wyląduje na komendzie.

Pike otworzył drzwi, obejrzał się na gospodarza, w milczeniu pokręcił głową i wyszedł na ganek.

- Gówno prawda! - wrzasnął Golden.

- Zadzwoń do mnie jutro rano, jeśli nie chcesz odbierać komputera z komendy.

- Pieprz się, kutasie! Gówno mnie obchodzi Faustyna!

Stanąłem i odwróciłem się. Natychmiast zbladł, a jego wściekłość przybrała łagodniejszą formę.

- Co powiedziałeś?

Z zaciśniętymi ustami pokręcił głową. Wyszedłem na dwór i zatrzasnąłem za sobą drzwi, ale przystanąłem jeszcze na ganku. Pike był już na ulicy. Czerwony blask zachodzącego słońca odbijał się w ciemnych okularach, przez co Pike wyglądał, jakby miał purpurowe kocie oczy. Zza drzwi doleciał mnie głos Marshy wołającej Stephen na kolację.

Lekka bryza niosła znad pobliskiego oceanu nie tylko wilgoć, lecz także słonawy posmak. W głąb lądu przesuwwały się delikatne pasma mgły rozjaśnionej odbitym światłem latarni. Thumiąc wszelkie odgłosy, nasilały wrażenie osamotnienia. Pike przyglądał mi się uważnie z chodnika. Podszedłem do niego i stanąłem obok, jakbyśmy na coś czekali. W gruncie rzeczy nie było na co czekać, miałem jednak wrażenie, że to nie koniec. Popatrzyłem na dom Goldena, zachodząc w głowę, czy nie umknęło mi zasadnicze pytanie i jeszcze bardziej oczywisty wniosek. Kiedy zerknąłem na Pike'a, wciąż przyglądał mi się uważnie.

- Widziałem, jakim wzrokiem na niego patrzysz. Złowiłem to spojrzenie kilka razy, gdy wygadywał różne głupstwa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Na pewno nie masz nic więcej do tego domu?

Zerknąłem jeszcze raz na siedzibę Golden Escorts. Dom jak dom, co ja mogłem do niego mieć? Zacząłem wyjaśniać łagodnym tonem:

- Przyjmuję zlecenia od różnych ludzi i zajmuję się ich sprawami. Zawsze chodzi o kogoś innego. Tym razem także. Nie znałem Faustyny, ale po jego śmierci zrodziło się we mnie wrażenie, jakbym działał we własnej sprawie. Nie byłem nawet pewien, o co mam go pytać. Wszystko wydawało mi się mętne i niejasne... - Zamyśliłem się na chwilę. - Prawie wszystko.

Wciąż staliśmy na ulicy. Od strony Main Street doleciał dźwięk klaksonu. Jakiś pies zaczął gwałtownie ujadać, jakby walczył o życie, lecz po paru sekundach szczekanie ucichło. W powietrzu rozchodziła się woń czosnku.

Wreszcie Pike powiedział:

- Zachowałeś się świetnie.

Poszliśmy w kierunku jego dżipa i ruszyliśmy z powrotem do mnie, pakując się w korki, jak tysiące mieszkańców miasta o tej porze. Wciąż miałem poczucie, że nie wykonałem do końca tego zadania. Później skręciliśmy z drogi numer 405 w Mulholland Drive i skierowaliśmy się na wschód wzdłuż pasma górskiego, cały czas w milczeniu. Morze światła metropolii rozciągające się po obu stronach ulicy i wypełniające dolinę tego wieczoru nie połyskiwało tak jak zwykle. Skrywały je nisko wiszące chmury. Lekki wiosenny deszcz, który ustał w ciągu dnia, teraz znów zaczął kropić.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Pike wysadził mnie przed podjazdem i odezwał się po raz pierwszy od wyruszenia z Venice.

- Nazwał klienta smutnym. Dla mnie to słowo niesie ze sobą szczególny ciężar.

Wiedziałem, o co mu chodzi. Natychmiast pojąłem, że ma rację.

- Zgadza się. Golden powiedział, że Faustyna robił wrażenie smutnego. Wyjątkowo nie potraktował go jak kolejny wpis w terminarzu, lecz jak żywego człowieka zdolnego do ludzkich uczuć. W pełni się z tobą zgadzam co do wydźwięku tego określenia.

- Masz ochotę na piwo albo coś mocniejszego?

- Nie, dzięki.

- Możemy też wrócić do Goldena i wpakować mu dwie kulki w łeb za to, że się tak wyraził.

- Lepiej już jedź, bo jeszcze się zgodzę.

Wysiadłem, zatrzasnąłem drzwi auta i ruszyłem do drzwi, nawet nie obejrzawszy się na niego.

Mój dom stał pusty, wypełniony ciszą. Po raz pierwszy tego dnia powędrowałem myślami do Lucy. Pragnąłem usłyszeć jej głos, powiedzieć coś zabawnego i w nagrodę usłyszeć śmiech. Chciałem podzielić się z nią historią Herberta Faustyny i zrzucić ze swoich barków chociaż część ciężaru niesionego przez słowo

„smutny”. Zależało mi, by wszystko między nami znów było tak jak kiedyś, bo tylko przy niej cała ta sprawa z Faustyną nie wydawałaby mi się aż tak istotna.

Ale Lucy i Ben nie czekali już na mnie w domu ani w wynajętym mieszkaniu u stóp wzgórza. Znajdowali się trzy tysiące kilometrów stąd i układali sobie życie od nowa.

Spojrzałem na automatyczną sekretarkę, lecz nie było nagranych wiadomości. Umyłem ręce, wyjąłem z lodówki butelkę falstaffa oraz świeżą karmę dla kota i zawołałem:

- Hej, kolego! Jesteś tu?

Wyrząłem na werandę i zawołałem go jeszcze raz, ale się nie pojawił.

Wróciłem do kuchni i oparłem się o krawędź blatu. Telefon stał metr dalej. Przeszedłem więc do salonu i włączyłem telewizor, mając nadzieję, że Zabójcy Czerwonych Świąteł znów zdobyli parę punktów. Wróciłem jednak do telefonu i wybrałem już część numeru Lucy, gdy nagle odłożyłem; słuchawkę. Nie bałem się rozmowy z nią, po prostu nie chciałem jej przestraszyć, ponieważ wyraźnie dała mi do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. No, może gdzieś w głębi duszy obawiałem się, że przestanie udawać, iż zależy jej, by usłyszeć mój głos, tak jak mnie zależało na kontakcie z nią.

Po jakimś czasie otworzyłem drugą butelkę falstaffa, a potem zadecydowałem, że muszę się zająć niedokończoną sprawą.

Carol Starkey

Była już prawie dziesiąta, kiedy Starkey przejechała obok domu Elvisa Cole'a, bezskutecznie próbując uspokoić mocno bijące serce. Jego samochód stał na miejscu, w domu paliło się światło. Dłonie miała spocone tak bardzo jak wtedy, gdy po raz pierwszy kucnęła nad bombą, będąc jeszcze nowicjuską w

sekcji saperskiej brygady antyterrorystycznej. Wściekła na siebie, syknęła pod nosem:

- Matko Boska, idiotko, przestań się wreszcie zamartwiać. Jest w domu. Tylko po to pchałaś się taki kawał drogi pod górę?

Przez całą podróż z Mar Vista wyobrażała sobie, jak będzie wyglądało ich spotkanie tego wieczoru. Chciała zapukać do drzwi, a gdy tylko otworzy, zaciągnie go na kanapę w saloniku, każe usiąść i powie: „Posłuchaj mnie, bo powiem coś bardzo ważnego... Lubię cię i wydaje mi się, że ty też nie myślisz o mnie źle, więc przestańmy w końcu udawać, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, i zacznijmy się wreszcie zachowywać jak dorośli ludzie. Dobra?”. A potem zamierzała go pocałować, mając nadzieję, że nie złapie jej za tyłek i nie wyrzuci z domu.

- Przecież wystarczy, że się zatrzymasz, wysiądziesz, podejdziesz do drzwi i zrobisz to, co zaplanowałaś - tłumaczyła sobie teraz.

Nie zatrzymała się jednak. Pojechała dalej krętą dziurawą uliczką, zawróciła na wysypanym żwirem podjeździe następnej posesji i ruszyła z powrotem ze zgaszonymi światłami, niczym rabuś, bez przerwy mówiąc do siebie, bo psychoterapeutka przekonała ją, że dużo lepiej jest słyszeć czyjś głos niż trwać w całkowitej ciszy, nawet jeśli jest to własny głos.

Psychologiczne bzdety.

Zaparkowała przy krawężniku naprzeciwko domu Cole'a, żeby mieć go na oku, zanim zbierze się na odwagę. Przyszło jej do głowy, że gdyby teraz wyszedł, mógłby rozpoznać jej samochód. Matko Boska! Gdyby przyłapał ją na tym, że obserwuje go po kryjomu, pewnie ruszyłaby prosto w stronę krawędzi urwiska. Nie zawahałaby się, wcisnęłaby gaz do dechy i szarpnęła kierownicą ostro w lewo, żeby wbić się w ziemię i już nigdy nie przeżywać takiego wstydu.

- Cole - szepnęła. - Jesteś chyba najbardziej tępym facetem w Los Angeles, a ja najbardziej żalowaną kobietą, więc czemu nie mielibyśmy oboje uznać tego za pewnik?

Sięgnęła po paczkę papierosów, zajrzała do niej i skrzywiła się z niesmakiem, bo zostało tylko osiem czy dziewięć sztuk. Nie na długo mogły jej starczyć. Przypaliła jednego, zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym przez nos, coraz bardziej sfrustrowana i urażona. W końcu była policyjną saperką, która rozbroiła, unieszkodliwiła i zniszczyła wystarczająco wiele bomb, żeby bez śladu zdmuchnąć dom Cole'a ze szczytu wzgórza, gdyby zechciała. Wyleciała w powietrze na parkingu dla ciężarówek i wróciła między żywych, by opowiedzieć o swoich doświadczeniach, po czym osobiście pokonała i zlikwidowała najgroźniejszego bombiarza w historii Stanów Zjednoczonych (Reda, tego samego dupka, który zdażył wysadzić jej dom, przeklęty kutas!), a teraz nie była w stanie zebrać się na odwagę, żeby załomotać do drzwi Cole'a (i pozwolić, żeby on ją wyłomotał).

W końcu próbowała wiele razy. Umawiała się z nim, bezwstydnie go podrywała, jak dotąd zrobiła w tym kierunku prawie wszystko, wyjąwszy przystawienie mu pistoletu do głowy. Tyle że ten idiota zakochał się bez pamięci w tej papudze, przeklętej damulce z południa!

Skrzywiła się, jakby doleciał ją smród gnojówki.

- Luuu-cyyyy!

Ilekcio wspominała Lucy Chenier, przed jej oczyma stawała postać Lucille Bali ze skołtunionymi rudymi włosami i wyłupiastymi oczyma, pogrążonej w bzdurnej dyskusji z Ethel Mertz, którą przerywa okrzyk Ricky'ego:

„Luuu-cyyy! Już jeee-stem!”.

Jak Cole mógł wymawiać jej imię, nie zanosząc się od śmiechu?

Dopaliła papierosa, pstryknęła go za okno i natychmiast przypaliła następnego. Wcale nie była zdenerwowana, dobrze pamiętała, jak psychoterapeutka wmawiała jej, że nie powinna obawiać się odrzucenia przez Cole'a, chociaż serce jej się kroilo na myśl, że może go stracić. Nigdy nie miała szczęścia do mężczyzn. Nie tak dawno zakochała się bez pamięci w swoim

bezpośrednim przełożonym z sekcji saperskiej, sierżancie Boudreaux. Na wspomnienie o nim serce wciąż biło jej mocniej, tyle że „Sugar” zginął na tamtym parkingu dla ciężarówek, kiedy razem próbowali rozbroić bombę. Potem był jeszcze Jack Pell, tajny agent brygady antyterrorystycznej, którego poznała w trakcie obławy na Reda. Wtedy już nieźle tankowała, próbując zapomnieć zarówno o Boudreaux, jak i o przeklętych koszmarach z sali operacyjnej, kiedy to lekarze starali się jak najlepiej pozszywać ją do kupy. Trzecią część prawej piersi musiała uznać za zaginioną podczas akcji, jedną czwartą żołądka za bezpowrotnie straconą, prawie metr jelita za niebyły, a śledzionę... Miała kiedykolwiek jakąś śledzionę? Do tego „Wielkie Kasyno”, czyli jej macica... jak również wszystko, co się z nią łączy... Pell okazał się czuły, a jego namiętność bardzo pomogła jej uwolnić się ze szponów alkoholizmu, niemniej po pewnym czasie oboje doszli do wniosku, że nie łączy ich prawdziwa miłość.

-Trzeba ich kochać i rzucać.

Miała wrażenie, że to ze strachu przed tym, iż straci Cole'a, podobnie jak straciła „Sugara” i Pella, czuła się bezpieczniejszą jedynie go pożądając.

Psychologiczne bzdety.

Przypaliła następnego papierosa i odchyliła się na oparcie fotela, nie spuszczać oczu z domu. Zadurzyła się w Elvisie Cole'u już podczas pierwszego spotkania, kiedy zniknął chłopak zostawiony pod jego opieką. Spodobało jej się jego specyficzne poczucie humoru i gorączkowe starania, by uchodzić za normalnego, chociaż normalny nie był; przypadło jej do serca zaangażowanie, jakie włożył w poszukiwania chłopca, oraz ślepa lojalność, jaką obdarzali go najbliżsi przyjaciele.

Uśmiechnęła się- szeroko.

A do tego miał szalenie zgrabny tyłek.

Zaśmiała się krótko i błyskawicznie spoważniała, ogarnięta smutkiem. Prawdę mówiąc, była w nim zadurzona, wręcz

zafascynowana i zauroczona, dlatego marzyła, by pragnął jej tak samo gorąco jak ona jego.

Ale nie miała nawet pewności, czy choć trochę ją lubi.

Może nie była w jego typie?

W każdym razie wciąż kochał Lucy Chenier.

Szeroko rozwarła usta, wydmuchując dym z papierosa, i otoczyła się jego obłokiem, jakby chciała się w nim ukryć. Nie miała w ustach ani kropli alkoholu od dziesięciu miesięcy. Po prostu nie mogła teraz wrócić do picia.

W końcu wystarczyło przecież wysiąść, podejść do drzwi i zapukać.

- No już! Zrób to!

Wyprostowała się na siedzeniu, pstryknięciem posłała niedopałek za okno i sięgnęła już do kluczyków, kiedy niespodziewanie...

Trzydzieści metrów dalej zapaliły się światła pozycyjne samochodu i brudnożółta corvette wyjechała tyłem na ulicę.

- Cholera! - syknęła Starkey.

Błyskawicznie zsunęła się na fotelu, powtarzając w duchu błagania: oby tylko jej nie zobaczył. Tylne światła corvette'y zajaśniały tuż przed nią. Zsunęła się jeszcze niżej, aż walnęła brodą o kierownicę, a gdy w końcu odważyła się zerknąć przez szybę, samochodu Cole'a już nie było.

- Ojczy? Jesteś tu?

- Już idę, moja droga.

Ojciec Clarence Wills - przez wiernych parafii Najświętszej Paniienki Sprawiedliwego Odpuszczenia; zwany ojcem Willie z trudem podniósł się z klęczek sprzed szafy i wszedł do swojego gabinetu. Pani Hansen, która wiernie asystowała mu w kapłańskich obowiązkach, stała w drzwiach, ubrana w żakiet, z torebką w ręku.

- Próbowałem się pozbyć tej sterty starych papierzysk - powiedział. - Jak to się dzieje, że tak szybko zapełniają każde wolne miejsce na półkach?

- Ojciec kuleje!

- Zawsze utykałem. To wiek i zbyt dużo porto.

Ojciec Willie uwielbiał takie wymówki. Ilekroć pani Hansen zaczynała zrzedzić, zbywał jej uwagi uśmiechem, dając do zrozumienia, że wszystko jest kwestią właściwego punktu widzenia. W końcu to ona była chyba jedyną osobą w mieście niższą i szerszą od niego.

- Już ciemno, ojczy. Chciałabym wracać do domu.

- Oczywiście, moja droga. Na dzisiaj skończyliśmy.

- Nie lubię wracać po ciemku. Ulice są niebezpieczne po zmroku.

- Mogłaś wyjść dobre dwie godziny temu.

- Ale ojciec jeszcze pracował.

- I będę pracował po twoim wyjściu. Mam jeszcze parę pilnych spraw. Chętnie odprowadzę cię do samochodu.

Cmoknęła z dezaprobatą, ruchem głowy wskazując marynarke. Wieczór robił się chłodny.

- Wy, mężczyźni, pewnie uważacie mnie za głupią, ale przecież ludziom przytrafiają się różne rzeczy, i zawsze po zmroku. Javier reaguje tak samo, wyśmiewa się ze mnie, powtarzając, że mam zbyt wybujałą wyobraźnię.

Javier Hansen był jej mężem. Mieli pięcioro dzieci, szesnaścioro wnucząt i dwoje prawnucząt, z których wszystkie były „wykarmione chlebem i wychowane na świeżym powietrzu”, jak mawiał pan Hansen, chociaż wszystkie ich dzieci mieszkały obecnie gdzie indziej.

- Nie chcę się z ciebie naśmiewać, moja droga, ale zdarzyło się to wiele lat temu, a w dodatku nie udało się żadnym sposobem potwierdzić krążących plotek. Ludzie niepotrzebnie zaprzatają sobie głowę takimi sprawami i rozpowszechniają opowieści o wilkołakach.

- Przecież sześć osób nie mogło rozplynać się w powietrzu.

- Sześć osób w ciągu dwudziestu lat. Żony odchodzą od mężów, mężowie porzucają żony, dzieci uciekają z domów, ludzie wyprowadzają się do innego miasta...

- Ale zawsze coś mówią przed przeprowadzką, żegnają się z sąsiadami, życzą powodzenia. Poza tym regulują wszystkie należności i zamykają rachunki bankowe, a nie znikają bez śladu, jakby zapadli się pod ziemię. Dzieci też nie uciekają z domów bez powodu.

Pani Hansen niepotrzebnie się irytowała, bo w gruncie rzeczy ojciec Willie podzielał jej obawy, przynajmniej w stosunku do dzieci. Troje spośród sześciorga zaginionych było jeszcze w młodym wieku, dwie córki Amesów i synek Brentworthów. Cała trójka zaginęła w ciągu ośmiu miesięcy niespełna dziesięć lat temu. Nie mogli się po prostu wyprowadzić z miasta, jak dorośli, nie mogli nawet uciec, bo byli na to za młodzi. Nie ulegało

wątpliwości, że padli ofiarami zbrodni, chociaż policja nie znalazła na to żadnych dowodów i nie ustaliła podejrzanego.

Ojca Williego ogarnął smutek na to wspomnienie, zaraz pomyślał jednak, że powinien uwolnić gospozię od obaw.

- W każdym razie nie dopuszczę, aby tobie coś się stało, moja droga. Możesz być tego pewna! - Wyjął czarny błyszczący półautomatyczny pistolet kalibru 11,43 milimetra i pomachał nim szeroko nad głową. - Mam srebrne kule! Na wilkołaka!

Pani Hansen, która dobrze wiedziała, że pastor nosi przy sobie broń, uniosła wzrok do nieba i szybko odwróciła głowę, by nie zauważył jej ironicznego uśmiechu.

- Proszę to lepiej odłożyć, zanim ojciec zrobi sobie krzywdę.

- Bóg będzie czuwał nade mną. Niech lepiej uważają wilkołaki.

Wszyscy, którzy pracowali w parafii, wiedzieli, że ojciec Willie ma wprawę w obchodzeniu się z bronią palną. Był wielkim miłośnikiem sportów strzeleckich, a pistolet dostał na gwiazdkę w prezencie od najmłodszego brata. Schował go do kieszeni marynarki i wyszedł za gospozię na korytarz, żeby odprowadzić ją do samochodu.

Odsunięty od głównej ulicy i ocieniony kępą sosen przykościelny parking sprawiał wrażenie odludnego. Stały na nim już tylko dwa auta, jego le baron i terenowe subaru z napędem na cztery koła. Ojciec Willie zawsze był zdania, że wcześniej zapadający zmierzch izoluje jego kościół, ale tego dnia parking pod sosnami wydał mu się szczególnie mroczny.

- Proszę nie pracować do późna - odezwała się gospožia. - Ojciec nie jest już młodzieniaszkiem. I lepiej odstawić porty do chwili powrotu do domu. Byłoby niedobrze, gdyby policja odnalazła wóz ojca w przydrożnym rowie.

- Niech pani jedzie ostrożnie, pani Hansen. Zobaczymy się jutro.

Zamknął za nią drzwi i odprowadził wzrokiem samochód wyjeżdżający na wąską uliczkę i znikający w ciemności. Wcisnął rękę do kieszeni, wręcz odruchowo zaciskając palce prawej dłoni na kolbie pistoletu. Kiedy tylne światła wozu pani Hansen zniknęły mu z oczu, dostrzegł obłok pary własnego oddechu i nagle zrozumiał, dlaczego jest aż tak ciemno. Obie mocne lampy oświetlające parking, które włączały się automatycznie po zmroku, nie działały. Spojrzał na nie. Tkwiły na szczytach słupków niczym sowy przyczajone do łowów.

Odnosił w pamięci, żeby z samego rana wezwać elektryka, po czym ruszył w kierunku plebanii.

- Ojciec?

W pierwszej chwili ten głos go przeraził. Ale gdy tylko dostrzegł nieśmiały uśmiech na wargach człowieka wyłaniającego się z mroku, odetchnął z ulgą.

- Przepraszam, nie chciałem przestraszyć. Myślałem, że ojciec mnie widział.

Mężczyzna był muskularny, potężnie zbudowany, z wydatnymi zakolami nad czołem i smutnymi oczyma. Cienka bawełniana bluza z kapturem optycznie jeszcze poszerzała jego sylwetkę. Ojciec Willie odpowiedział niepewnym uśmiechem, gdyż obcy przestraszył go do tego stopnia, że popuścił w majtki. Niestety, zdarzało mu się to coraz częściej.

- Mam wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy, ale nie pamiętam pańskiego imienia. Proszę wybaczyć.

- Frederick, Frederick Conrad. Nie Freddie ani Fred, tylko Frederick. Razem z Elroyem Lewisem pracuję w warsztacie Payne'a Kellera.

- Ach, tak, już pamiętam. Payne...

Ojciec Willie zamilkł nagle. Rzeczywiście, przypomniał sobie, że Frederick był kiedyś z Payne'em na nabożeństwie i wtedy się poznali. Wówczas mechanik też podkreślał, że nazywa się Frederick, a nie Freddie czy Fred. Kiedy podszedł nieco bliżej, w jego oczach pojawiły się lodowate błyski człowieka samotnego.

- Wiem, że Payne często się z ojcem spotykał, dlatego pomyślałem, że ojciec wie, co się z nim dzieje.

- Co chcesz przez to powiedzieć, synu?

- Payne zniknął. Od pewnego czasu nie wraca do domu, a nie powiedział ani mnie, ani Elroyowi, że wyjeżdża. Zostawił warsztat i stację benzynową na naszej głowie. Prawdę mówiąc, zaczynam się o niego martwić. To niepodobne do Payne'a żeby tak zniknąć bez słowa. Boję się o niego.

Ojciec Willie się zamyślił. Nie miał ani ochoty, ani prawa dzielić się tajemnicami z którymkolwiek z parafian, jednak Payne w rozmowach często wspominał o Fredericku Conradzie, toteż i on zaczął się teraz niepokoić o los Kellera. Człowiek targany tyloma konfliktami mógł się w końcu targnąć na własne życie. Dostrzegłszy zatroskanie w oczach Fredericka, zapytał:

- Naprawdę Payne wam nie powiedział, dokąd się wybiera?

- Nie, ojcze. Dlatego boję się o niego. Nie wiem, czy nie powinniśmy powiadomić policji.

Pastorowi przemknęło przez myśl, że to wcale nie taki głupi pomysł. Niedawna rozmowa z panią Hansen na temat osób zaginionych pozostawiła w jego myślach ślad niepewności, chociaż wiedział dobrze, że Payne miał ustalone plany na najbliższą przyszłość.

- Myślę, że jeszcze nie ma powodu, by zawiadamić policję, Fredericku. Jeśli naprawdę zamartwiasz się losem znajomego, powinienes iść za głosem serca, wiem jednak, że Payne zamierzał się wybrać do Los Angeles. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Nie mówił, ani kiedy chce wyruszyć w podróż, ani jak długo go nie będzie. Zdradził tylko, że musi wyjechać.

Po twarzy Fredericka jak po tafli wody przebiegła drobna zmarszczka, a oczy wyraźnie się zwały.

- Po co miałby jechać do Los Angeles?

- Tego naprawdę nie mogę wyjawić. Niech ci wystarczy, że Payne odczuwał ostatnio palącą potrzebę rozliczenia się z własną przeszłością. Sam go zapytasz, jak wróci.

Mężczyzna oblizał wargi.

- I nie wie ojciec, jak mógłbym się z nim skontaktować?

- Przykro mi.

- Zostawił nas na łodzi, ojciec. Żaden z nas nie umie tak prowadzić stacji jak on.

Ojciec Willie bardzo chciał już skończyć to spotkanie, lecz Frederick ciągle stał mu na drodze. Zaczynał żałować, że w ogóle wdał się w rozmowę, bo przecież nie powinien nikomu niczego ujawniać. Ludzie zawsze chcieli wiedzieć więcej, jakby sądzili, że mają do tego niezbywalne prawo.

- Naprawdę nie wiem, jak mógłbym ci jeszcze pomóc. Jeśli uważasz, że to konieczne, zawiadom jutro policję.

Odwrócił się, żeby odejść, ale Frederick złapał go za rękę i pociągnął do tyłu z taką siłą, że ojciec Willie o mało nie stracił równowagi.

- Planował ten wyjazd? Do Los Angeles?

- Przede wszystkim powinieneś się uspokoić.

- Po co miałyby jechać do Los Angeles?

Pastor spojrział mu prosto w oczy i poczuł tak przejmujące ukłucie strachu, z jakim nie miał do czynienia od czasu dobrowolnej posługi na więziennym oddziale śmierci. Odruchowo zacisnął mocniej palce na kolbie pistoletu, ale zaraz się opanował i puścił broń. Wyjął rękę z kieszeni i delikatnie poklepał dłoń Fredericka zaciskającą się kurczowo na jego przedramieniu.

- Puść mnie, synu.

Złowrogie błyski w oczach Fredericka przygasły, a twarz znów rozjaśnił niepewny uśmiech.

- Jezu, aż nie chce mi się wierzyć, że tak zareagowałem, ojcze. Bardzo przepraszam. Ale strasznie się martwię o Payne'a. Wybacz mi ojcze?

- Oczywiście. Porozmawiamy o tym jutro.

- Naprawdę nie umiem wyrazić, jak bardzo się martwię.

- Widzę.

- Proszę posłuchać. Przyjmie ojcze moją spowiedź? Nie jestem katolikiem, ale to chyba w niczym nie przeszkadza, prawda?

- Zawsze jestem gotów z tobą porozmawiać, synu. Możesz mi wyznać wszystko, co ci leży na sercu. Ale odłóżmy to do jutra, dobrze?

- Chciałbym się tylko wypowiedzieć, nic więcej. Tak samo jak Payne. Mam sporo grzechów na sumieniu. Podobnie jak on.

Ojciec Willie bardzo chciał pocieszyć zatroskanego biedaka, ale pod żadnym pozorem nie mógł ujawnić, co powiedział mu Payne. Zresztą tamten nigdy się nie spowiadał, ani razu nie zdradził, co go naprawdę dręczy. Wielokrotnie chciał się wypowiedzieć, czując ku temu przemożne pragnienie, lecz nigdy nie zdobył się na odwagę. Pastor jedynie wcielał się w rolę duchowego doradcy, chciał mu pomóc znaleźć w sobie siłę do spowiedzi, ale jak dotąd bez rezultatu. Frederick odsunął się o krok i wsadził rękę do kieszeni.

- Wejdźmy do środka, ojcze. Nie chcę cię zatrzymywać. Wiem, że ojcze chciałby już jechać do domu.

- Porozmawiamy jutro. Cokolwiek cię niepokoi, z pewnością może jeszcze trochę poczekać. Przyjdź do mnie jutro.

- Jutro?

- Zgadza się.

- I jest ojcze pewien, że on pojechał do Los Angeles? Rozumiem, że ojcze nie może mi zdradzić celu tej podróży, tylko czy na pewno Payne wybrał się do Los Angeles?

- Miał ku temu własne powody, znane tylko jemu i Bogu.
- Będę musiał go odszukać. Nie mam innego wyjścia.
- Porozmawiamy o tym jutro.
- Tak, dobrze... Jutro... Mam nadzieję, że jutro go odnajdę.

Ojciec Willie odwrócił się, żeby odejść, ale nie zdążył nawet wsunąć z powrotem ręki do kieszeni. Jakaś potężna siła poderwała go z ziemi i poniosła wzdłuż muru kościoła w najdalszy kąt parkingu. Dostrzegł tylko mroczny zarys stojącej tam półciężarówki.

Nie widział noża, ale poczuł, jak ostrze zagłębia się w jego ciele.

16

Gdy tylko przyjechałem do Los Angeles, wybrałem się na przejażdżkę szosą numer 66, głównie z powodu starego telewizyjnego serialu, który w dzieciństwie bardzo mi się podobał, a w którym dwóch sympatycznych facetów, jeden grany przez Martina Milnera (bogaty maminsynek, bezskutecznie próbujący ułożyć sobie życie), a drugi przez George'a Maharisa (włóczęga bez przeszłości, pochodzący z kiepskiej dzielnicy), poszukiwało zarówno samych siebie, jak i przygód na osławionej w okresie sprzed narodzin autostrad szosie o tym właśnie numerze. Przecinająca w poprzek Stany Zjednoczone i prowadząca z Filadelfii do Los Angeles, w nieustannym pochodzie na zachód krzyżowała się najpierw z Sunset Boulevard, potem z Santa Monica Boulevard, aż wreszcie kończyła swój bieg przy niezwykle wesołym miasteczku stojącym przy nabrzeżu portowym w Santa Monica. Dojechałem nią do samego końca, bo choć przed niczym nie uciekałem, to, podobnie jak Milner i Maharis, szukałem na niej wrażeń. Nie po

raz pierwszy w życiu znalazłem je w wesołym miasteczku. Teraz znów musiałem wyruszyć poszukiwania.

Tamtej nocy wyjeżdżałem z domu z dokuczliwym poczuciem, że mam do załatwienia jakąś ważną sprawę, która od wielu lat czeka, bym ją dokończył. Dojechałem nad ocean i zaparkowałem na skalistym cyplu wznoszącym się nad portem w Santa Monica, niezbyt oddalonym od domu Stephena Goldena w Venice. Wysiadłem z samochodu, przekroczyłem niski płotek i stanąłem na samej krawędzi urwiska. Pode mną, na tle czerni oceanu, przesuwały się światła diabelskiego młyna i kolejki górskiej. Klif, spękany i wykruszony przez erozję, ledwie trzymał się kupy. Na płotku wokół placu widokowego wisiały ostrzeżenia, bo zdarzyło się już parę razy, że silniejszy deszcz podmywał kawałki skały, które osuwały się w dół niczym bryły lodu z popękanej góry lodowej. Ja miałem jednak wrażenie, że wciąż stoję na pewnym gruncie. Jakbym drwił z niebezpieczeństwa.

Spoglądałem na przesuwane się pode mną światła i zastanawiałem się, czy Herbert Faustyna też bywał w tym punkcie widokowym.

Kiedyś uciekłem z domu, by przyłączyć się do wędrownego cyrku. Zrobiłem tak, bo matka powtarzała, że mój ojciec występuje jako żywa kula armatnia. Sądzicie, że postąpiłem głupio? Matka nigdy nie powiedziała, jak się nazywał mój ojciec. Nie pokazała mi jego zdjęcia, nawet go nie opisała. Może po prostu nie wiedziała, kim był. Także dziadek i ciotka nic na ten temat nie wiedzieli. Oczywiście po jakimś czasie przestało się dla mnie liczyć, czy naprawdę występował jako żywa kula armatnia. Słowa matki musiałem przyjąć na wiarę. Skoro ona powiedziała, że pracował w cyrku, to znaczy, że tak musiało być.

Prowadziłem poszukiwania, ale nigdy go nie odnalazłem. Za to w młodzińskich fantazjach to on często odnajdywał mnie.

Prywatny detektyw, niski i korpulentny, nazywał się Ken Wilson. Nosił ciemnoszary elegancki garnitur i beżowe miękkie pantofle, które w ogóle do niego nie pasowały. Po długiej podróży marynarkę i spodnie miał wymięte, ale pachniał old spice'em i poprawił w lusterku włosy, zanim wysiadł z auta. W jego fachu wygląd był bardzo ważny, ludzie odnosili się podejrzliwie do zaniedbanych obcych.

Wilson był aż dwieście sześćdziesiąt kilometrów od domu i przebył taki szmat drogi, żeby zabrać czternastoletniego uciekiniera, niejakiego Elvisa Cole'a. Już trzeci raz musiał tropić chłopaka, a wcześniej to samo zadanie rodzina powierzyła też innemu detektywowi. Dlatego wyrobił w sobie przekonanie, że dzieciak jest nadzwyczaj wytrwały w swoich bezskutecznych poszukiwaniach nieznanego ojca.

Cyrk rozbił się na brzegu niewielkiego miasteczka, na łączce używanej głównie jako lądowisko samolotów opryskujących okoliczne pola. Wilson zostawił samochód na parkingu i wszedł na teren przez kutą, łukowato sklepioną bramę, nad którą wisiał transparent z napisem: PRZEDSTAWIENIA I POKAZY RALPHA TODDA - KROK W XXI WIEK!!! Zanim weszło się między dwa szeregi namiotów z atrakcjami, trzeba było minąć ciąg odpychających budek z żarciem i napojami oraz strzelnic dla dzieci i młodzieży, które zdaniem Wilsona były wymarzoną miejscem łowów dla pedofilów. Wszystko wyglądało na byłe jak sklecone i znajdowało się w opłakanym stanie. Wilsonowi przemknęło przez myśl, że gdyby tak miał wyglądać dwudziesty pierwszy wiek, to on wcale nie byłby go ciekawy.

Wóz kierownika stał na samym końcu miasteczka, za namiotami, w których prezentowano szczególne atrakcje: zwykłe dziwki reklamowane jako „egzotyczne tancerki”, gabinet osobliwości z trójką krową w roli głównej i wreszcie, pod

kolejnym transparentem, największą gwiazdę tego cyrku, czyli „żywą kulę armatnią”. ZOBACZCIE, JAK MKNIE PO NIEBIE NICZYM ROZPALONY METEOR!!! Wilson zauważył cynicznie, że każde hasło jest zakończone trzema wykrzyknikami. Czyżby przyszłość miała znamionować przesada?

Karzeł, od którego zalatywało kapustą, skierował go przejściem między namiotami do niegdyś srebrzystej przyczepy mieszkalnej marki Airstream, której zmatowiałe ściany pokrywały plamy błota. Niewielka tabliczka na drzwiach głosiła: KIEROWNIK. Był nim niejaki Jacob Lenz, z którym Wilson już wcześniej rozmawiał i umówił się na spotkanie.

Zapukał do drzwi i otworzył, nie czekając na odpowiedź. Nie miał czasu do stracenia.

- Pan Lenz? Nazywam się Ken Wilson. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną zobaczyć. - Wyciągnął rękę na powitanie.

Lenz był potężnie zbudowanym grubasem o twarzy pociętej zmarszczkami i o małych oczkach. Wstał, żeby się z nim przywitać, ale zrobił to z kwaśną miną.

- Chciałbym tylko coś wyjaśnić, dobrze? Nie życzę sobie żadnych kłopotów ze strony jego rodziny.

- Nie będzie żadnych kłopotów. Już nieraz uciekał z domu.

- Nie mogę interesować się wszystkimi, którzy dla mnie pracują. Ciągłe jedni odchodzą, drudzy przychodzą, i nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia. Chciałbym tylko postępować, jak należy.

- Rozumiem.

Wilson wyjął zdjęcie i pokazał je kierownikowi - czarno-białe, ze szkolnej legitymacji, pochodzące sprzed dwóch lat.

- Upewnijmy się, czy mówimy o tym samym chłopaku. To jest Elvis Cole?

- Tak, to on, ale wszystkim mówi, że ma na imię Jimmie.

- Został ochrzczony jako Philip James Cole, lecz matka zmieniła mu imię. Wcześniej rzeczywiście wołano na niego Jimmie.

- Matka nazwała go Elvisem?

Wilson pomiął milczeniem to pytanie, bo i jemu odpowiedź sprawiała przykrość. Szczerze żał mu było chłopaka. Próbował wczuć się w jego sytuację, kiedy matka ni stąd, ni zowąd postanowiła zmienić mu imię, do tego nie na żadne powszednie, jak Don albo Joey. W dodatku biedny dzieciak nawet nie miał pojęcia, kim jest jego ojciec, bo stuknięta suka nikomu nie chciała tego powiedzieć, za to raczyła go wyssaną z palca bajeczką, że pracuje w cyrku jako żywa kula armatnia. To utwierdzało tylko Wilsona w przekonaniu, że ludziom powinno się wydawać licencję na płodzenie potomstwa.

- On już wie, że przyjechałem po niego?

- Prosił pan, żebym zachował to w tajemnicy, więc nic nie mówiłem. Mam go tu ściągnąć?

- Będzie lepiej, jeśli zaprowadzi mnie pan do niego. W ten sposób nie ucieknie.

- Jak pan chce. Mnie zależy tylko na tym, żeby nie było żadnych kłopotów ze strony jego rodziny.

- Nie będzie żadnych kłopotów.

- Nawet chętnie się go pozbędę, bo stwarza wiele problemów. Jest jak zadra w tyłku.

Detektyw poszedł za Lenzem wzdłuż olbrzymiego transparentu przedstawiającego striptizerkę z palcem wymierzonym w patrzącego. Sądząc po wyblakłej farbie i fryzurze modelki, transparent musiał sobie liczyć co najmniej dziesięć lat. W baloniku nad głową kobiety znajdował się napis: CHODŹ NO TUTAJ, OLBRZYMIE!!!

Aż cmoknął cicho.

Trzy wykrzykniki.

Ci ludzie mieli klasę.

Elvis Cole, lat czternaście, dowiedział się o PRZEDSTAWIENIACH I POKAZACH RALPHA TODDA Z XXI WIEKU od innego dzieciaka, niejakiego Bruce'a Chenskigo, który mieszkał na tym samym parkingu dla przyczep mieszkalnych, gdzie zatrzymała się jego matka po tym, jak ciotka Lynn wyrzuciła ich z domu. Bruce, o dwa lata starszy, był jedynym nastolatkiem wśród mieszkańców parkingu, a zarazem notorycznym kłamcą.

Już pierwszego dnia, gdy tylko się poznali, powiedział Elvisowi, że jego starszy brat jest dilerem narkotyków i wybierają się we dwóch do San Francisco, by uprawiać wolną miłość. Wszystkie opowieści Bruce'a były w tym stylu, dotyczyły wielkich i dramatycznych wypraw z bratem, wypełnionych narkotykami i podbojem kobiet. Elvis ani trochę mu nie wierzył. Lecz gdy któregoś dnia Bruce powiedział, że razem z bratem zabawiali się z dziewczynami z cyrkowego miasteczka, natychmiast się zainteresował i zapytał.

- Jakiego cyrkowego miasteczka?

- Tego, co stoi za wieżą ciśnień. Mówię ci, jest tam jedna taka, co była w „Playboyu”! Widziałem jej zdjęcie wycięte z pisma. Cycki ma takie, że można się ich złapać jak poręczy. Jest też druga, porąbana karlica, która zżera glizdy. A striptizerki to zwykłe szmaty. Jak mój brat sprzedał im trochę kwasu, z wdzięczności od razu nam obciągnęły...

- A jest tam żywa kula armatnia?

- No pewnie.

Elvis odszedł w pośpiechu, bez pożegnania, nawet nie słuchając, jak Bruce woła za nim, że cyrk już odjechał.

Dotarł autostopem do wieży ciśnień stojącej na rozległej łące za miastem. Bruce miał rację, cyrk odjechał i na łące nikogo nie

było. Niemniej Elvis przez dwie godziny grzebał w odpadkach, aż znalazł plakat, na którym były podane daty oraz miejscowości, gdzie cyrk będzie dawał kolejne przedstawienia. To mu wystarczyło.

Tak samo autostopem dotarł do autostrady i tam już po dwudziestu minutach zatrzymał dwie studentki zdążające we właściwym kierunku. Dwa dni później koło południa dogonił karawanę wozów cyrku Ralpa Todda - dokładnie dwieście trzydzieści pięć kilometrów od domu. Kierowała nim chęć odnalezienia ojca.

Już pierwszego wieczoru, gdy tylko rozstawiono miasteczko, zwrócił uwagę na wielki transparent nad bramą, przedstawiający lecącego w powietrzu człowieka, który ciągnął za sobą snop płomieni.

Zobaczcie, jak WYSTRZELIWUJE się z działa!!!

Zobaczcie, jak staje w PŁOMIENIACH!!!

Zobaczcie, jak WYMIGUJE się śmierci!!!

ZDUMIEWAJĄCA żywa KULA armatnia!! !

Codziennie o 21.00!!!

Była za pięć dziewiąta, kiedy Elvis wszedł przez bramę na teren miasteczka.

Na drugim końcu placu stał już tłum widzów. Elvis mógł dostrzec tylko fragment lufy działa ponad głowami ludzi stojących przed nim, wielkiej, pomalowanej na czerwono, biało i niebiesko rury, grubej jak studzienka kanalizacyjna, mierzącej w bok od wielkiej platformy samochodowej, na której była zamocowana. Z jednej strony odbywał się pokaz striptizu (ZOBACZ egzotyczne TANCERKI GO-GO z DALEKIEGO WSCHODU! !!), z drugiej był gabinet osobliwości (ZOBACZ

dziecko LSD!!! ZDEFORMOWANE przez naukowców DEPARTAMENTU OBRONY!!!).

Zaczął się przepychać przez tłum do przodu, tu jednak przeżył gorzkie rozczarowanie. Ludzie zebrali się w kolejce do gabinetu osobliwości. Na lufie armaty wisiała tabliczka z napisem: DZISIEJSZY WYSTĘP ODWOŁANY.

Ogarnęła go desperacja, jakby na zawsze stracił jedyną szansę odszukania ojca. Przepchnął się z powrotem, odnalazł budkę sprzedawczyni biletów i zapytał, kiedy będzie pokaz żywej kuli armatniej.

Kobieta bez dwóch przednich zębów wysepleniała:

- Za trzy, może cztery dni. Eddie musiał polecieć do Chicago.

- Ale wróci?

- Oczywiście, chłopcze, tyle że będziemy już w następnym mieście. Tutaj nie zobaczysz jego występu.

Trzy albo cztery dni. Niedobrze. Był gotów czekać choćby i cztery miesiące, gdyby okazało się to konieczne, jednakże nie miał nic do roboty poza oczekiwaniem. A zależało mu, aby być na miejscu, kiedy Eddie wróci.

Eddie.

Elvis.

Mieli imiona na tę samą literę.

Może dlatego matka zmieniła mu imię.

Kręcił się po miasteczku, dopóki przedstawienia nie dobiegły końca. Głodny i zziębnięty ukrywał się w wysokiej trawie za namiotami, aż teren całkiem opustoszał i pogasły światła. Dopiero wtedy wszedł z powrotem między namioty. Noc przespał pod armatą, a zasypiał, powtarzając szeptem jego imię.

Eddie.

Nazajutrz rano przyglądał się, jak tragarze i robotnicy wychodzą o świcie z namiotów i przyczep mieszkalnych. Kierowali się przez plac do namiotu kuchennego stojącego za ciężarówkami. Dołączył do nich. Ustawił się w kolejce pośród innych, niewiele starszych od niego, i odebrał tacę z francuskimi tostami oraz jajecznicą.

Tego popołudnia poznał Tinę Sanchez.

Przechodził właśnie obok straganu, gdzie rzucano piłeczkami do celu, gdy doleciało go wypowiedziane głośno po hiszpańsku przekleństwo. Kobieta stała na odwróconym wiadrze i wspinała się na palce, próbując zdjąć z najwyższej półki pluszowe koty.

- Mogę pani w czymś pomóc? - zapytał.

Wykręciła głowę, popatrzyła na niego i zeskoczyła z wiadra. Była niska i pulchna, wiekiem równa chyba jego dziadkowi.

- Myślę, że będziesz musiał, jeśli zaraz nie urosnę o jakieś piętnaście centymetrów. Wdrap się na ten blat, młodzieńcze.

Elvis wszedł do środka i ostrożnie wszedł na wąski blat, z trudem utrzymując równowagę. W drucianych koszach na półce pod nim leżały wypłowiałe gumowe piłeczki, a na bocznych ścianach straganu wisiały różnokolorowe maskotki. Górną półkę w samym kącie zajmowały pluszowe koty. Za ćwierć dolara dostawało się trzy piłeczki i jeśli przewróciło się trzy koty, wygrywało się nagrodę.

- Muszę opróżnić całą tamtą półkę - powiedziała. - Po prostu pozrzucaj te koty do wiadra, dobrze?

- Jak je pani tam poustawiała?

- Miałam młodego pomocnika, ale odszedł wczoraj wieczorem. To się często zdarza. Pewnie poznał jakąś dziewczynę. A ja nie zdążyłam jeszcze znaleźć drabiny.

Elvis pozrzucał maskotki z półki i napełnił nimi wiadro. Każdy kot miał dwadzieścia centymetrów wysokości i był umieszczony na podstawce ściśle pasującej do gniazda w

kształcie kępy trawy, umieszczonego na wprost kontuaru. Nastroszona sierść maskotek sprawiała, że wydawały się większe niż w rzeczywistości. Elvis szybko doszedł do wniosku, że z powodu tego miękkiego nastroszonego futerka i podstawki ściśle dopasowanej do gniazda prawie niemożliwe jest przewrócenie kota piłką, chyba że trafi się bardzo mocno, dokładnie w sam środek.

- Bardzo mi pomogłeś, młodzieńcze. Chcesz którąś nagrodę czy dolara?

- Lepiej dolara, ale najchętniej wziąłbym pracę po pani pomocniku, który odszedł. Poszukuję jakiegoś zajęcia.

Zmarszczyła brwi.

- A ile ty masz lat?

- Szesnaście.

Zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem.

- Powiedziałabym, że prędzej trzynaście albo czternaście. Uciekłeś z domu?

- Próbuję odnaleźć swojego ojca.

Wyjęła z kieszeni zmiętego dolara i wyciągnęła w jego kierunku. Po namyśle dodała drugi banknot.

- Weź to i wracaj do matki. Pewnie zamartwia się na śmierć. Jesteś za młody, żeby pracować na własny rachunek. Mógłbyś paść ofiarą jakiegoś mordercy.

Matka Elvisa bardzo często zostawiała go samego już od najwcześniejszego dzieciństwa, wolał jednak o tym nie mówić. No i od jak dawna sięgał pamięcią, trzy albo cztery razy do roku znikala z domu na dłużej. Po prostu budził się rano i stwierdzał, że został sam - nie było nawet żadnej kartki z wiadomością. Nigdy nie wiedział, czy do niego wróci i kiedy, a gdy w końcu się zjawiała, nie mówiła ani słowa o tym, gdzie była i co robiła. Tak samo nie rozmawiała o tym z jego dziadkiem czy ciotką. Miała w zwyczaju takie wypadki. Lecz ilekroć znikala, Elvis zaczynał się modlić w duchu, żeby tym razem celem jej wyjazdu było

odszukanie ojca i żeby właśnie tym razem wróciła z nim. Pewnie tylko dlatego wciąż ją kochał. Żył nadzieją, że któregoś dnia będzie wreszcie miał normalną rodzinę. Popatrzył na wiadro pełne pluszowych kotów i zapytał:

- Jak chce je pani poustawiać z powrotem na półce?
- Przyniosę sobie drabinę.
- Proszę mi powiedzieć, gdzie stoi, to ją przyniosę.

Zadarła głowę i spojrzała na półkę będącą poza jej zasięgiem, po czym uśmiechnęła się skąpo.

- Jak ci na imię?
- Jimmie.

Wyciągnęła do niego rękę i w jednej chwili zrozumiał, że został przyjęty. Ze zdumieniem przekonał się, że Sanchez ma tak silny uścisk, z jakim u nikogo się jeszcze nie zetknął.

- Możesz na razie zostać, pomożesz mi rozstawiać koty, a potem chować je na półkę, ale później musisz wrócić do domu.

Po godzinie zaproponowała mu pracę, a nocą pozwoliła spać na podłodze w swej maleńkiej przyczepie mieszkalnej.

Elvis Cole biegał po kawę, kiedy Tina chciała się napić, starannie wycierał naoliwioną szmatką każdą ze stu osiemnastu piłeczek (które także pieczołowicie liczył) i polerował kontuar, wyszczerbiony i porysowany po wieczornych szturmach klientów; zbierał porzucane piłeczki, ustawiał przewrócone maskotki i pomagał w obsłudze gości, zarazem usiłując dowiedzieć się jak najwięcej o Eddiem Pułaskim.

Trzy dni później miasteczko się zwinęło, spakowało i przeniosło sto kilometrów dalej. Kiedy nazajutrz Elvis zasiadł do lunchu, miejsce przy jego stole zajęło kilku najemnych robotników z tacami wyładowanymi jedzeniem. Byli to młodzi mężczyźni o czerstwej cerze i podrapanych stwardniałych dłoniach.

Jeden z nich, z kotwicą wytatuowaną na lewym przedramieniu, przypalił marlboro, nieoczekiwanie spojrzął na Elvisa i rzekł:

- Często cię tu widuję. Z kim pracujesz?

- Z Tiną Sanchez.

Mężczyzna wydmuchnął kłęb dymu i głośno cmoknął, chcąc wyciągnąć resztki jedzenia spomiędzy zębów.

- Sympatyczna babka. Od lat jeździ z tym miasteczkiem.

Siedzący po drugiej stronie Elvisa najstarszy z tej grupy donośnie beknął.

- Do diaska, jest tu nawet dłużej ode mnie. Wcześniej pracowała w grupie Big Top. Pewnie pamiętacie tamtą rodzinę. Pokazywała ci już, jak potrafi wyginać gwoździe? Widziałem, jak dwoma palcami wygięła dwudziestocentówkę. I to bez wysiłku, choć jest taką małą kobietką. Cała rodzina miała takie zdolności.

- Nie wiecie, kiedy wraca Żywa Kula Armatnia? - zaciekawiał się Cole.

- O, to największa gwiazda, chłopcze. Szef zarabia na nim tyle, że nigdy nie dopuści, by odwołać pokaz bez ważnych powodów. Właśnie montujemy armatę na dzisiejszy wieczór.

Elvisowi serce zabiło tak mocno, że omal nie spadł z krzesła. Przez całe popołudnie pod byle pretekstem wymykał się ze strzelnicy Tiny i ganiał na drugi koniec placu, aby się przyglądać, jak robotnicy ustawiają armatę i naciągają cienką nylonową siatkę, w której Eddie Pułaski miał wylądować.

O wpół do dziewiątej wieczorem przy stanowisku Tiny jak zwykle zrobił się tłok. Przy kontuarze stłoczyła się gromada baseballistów z miejscowej szkoły średniej, idących w zawody, który z nich zdoła piłeczkami przewrócić więcej kotów. Za pięć dziesiąta z megafonów popłynęła elektryzująca zapowiedź, lada chwila Żywa Kula Armatnia miał zostać wystrzelony. **CHODŹCIE TU WSZYSCY! PRZEKONAJCIE SIĘ, CZY CZŁOWIEK TO PRZEŻYJE!**

Tina uniosła oczy do nieba i z rezygnacją machnęła ręką.

- No, leć już! Tak bardzo chcesz go zobaczyć, że zaraz zlejesz się w majtki.

Elvis popędził przez miasteczko i zaczął przeciskać się przez tłum. Przed armatą zebrało się ponad tysiąc widzów, występ już trwał. Żywa Kula Armatnia stał z mikrofonem w ręku u stóp masywnej lufy wymierzonej w niebo.

W białym skórzanym kombinezonie upstrzonym czerwonymi i niebieskimi gwiazdkami Eddie Pułaski wyglądał, jakby miał ze trzy metry wzrostu. Gładko zaczesane do tyłu czarne włosy, mocno podkrążone oczy, barczyste, szerokie co najmniej na metr ramiona. Wymachując energicznie rękoma, wyjaśniał stłoczonym widzom, że działo zostało załadowane silnym ładunkiem prochowym, wystarczającym do obrócenia w ruinę niedużego wieżowca, ale i zdolnym do wyrzucenia go z lufy prosto w rozciągniętą wysoko nad ziemią elastyczną siatkę.

W tłumie rozlegały się jęki i okrzyki zachwytu.

Jakby tego było mało, Eddie zamierzał jeszcze oblać się benzyną, żeby stanąć w płomieniach i zabłysnąć na nocnym niebie niczym pocisk zapalający.

Tłum zareagował jeszcze głośniejsze, ale Pułaski szybko uciszył go, podnosząc rękę. Pozostawało jednak kilka ważkich pytań:

Czy zdoła bezpiecznie wylądować w sieci, czy też poryw wiatru zniesie go z ustalonego toru?

Czy ładunek okaże się wystarczający, a może za silny lub za słaby?

Czy wystarczająco szybko przetnie powietrze, żeby zdusić płomień, czy spłonie żywcem po wylądowaniu w sieci?

Można się było o tym przekonać tylko w jeden sposób!

Elvis zaczął przeciskać się dalej, z całej siły rozpychając mężczyzn, którzy reagowali stłumionymi przekleństwami, i chłopców nieszczędzących mu kuksańców.

Eddie przekazał mikrofon asystentowi, a gdy drugi asystent polał go obficie płynem z kanistra, bez słowa wsunął się do lufy armaty.

W tłumie zapadła cisza.

Elvisowi serce biło coraz mocniej.

Asystent rozpoczął odliczanie do mikrofonu:

- Dziesięć!... Dziewięć!... Osiem!...

Widzowie zaczęli odliczać razem z nim, jakby chórem powtarzali słowa modlitwy.

Drugi asystent ustawił przed wylotem lufy płonąca obręcz.

- ...Trzy!... Dwa!... Jeden!...

Żywa Kula Armatnia wystrzelił z lufy, ciągnąc za sobą smugę białego dymu. Przelatując przez obręcz, zajął się i płomieniem i niczym ognisty pocisk zakreślił długi łuk na mrocznym niebie. Ciągące się za nim jęzory ognia zgasły, kiedy osiągnął najwyższy punkt toru, po czym spadł, bezpiecznie lądując w rozciągniętej sieci. Szybko poderwał się na nogi, a w tłumie wybuchły gromkie wiwaty. Uniósł obie ręce nad głowę i zamachał nimi szeroko, jakby był panem i władcą wszechświata. Głośno zawołał do widzów, by powiedzieli o nim przyjacielom i znajomym.

- Jutro wieczorem ostatni występ, moi drodzy! - wreszcie chwycił krawędź siatki, zsunął się z niej na ziemię i oddalił w pośpiechu.

Zniknął Elvisowi z oczu!

Chłopak łokciami zaczął sobie torować drogę przez tłum, wpadł między namioty i wyskoczył na tonącą w mroku część placu na tyłach, pragnąc dogonić Pułaskiego. Serce łomotało mu tak, że uszy wypełniał ogłuszający huk. Popędził ze wszystkich sił w stronę ogrodzenia i wyskoczył zza ostatniej ciężarówki w samą porę, by spostrzec, jak Eddie z trzaskiem zamyka za sobą drzwi długiej błękitnej przyczepy mieszkalnej. Przystanął, mimo że siłą woli nakazywał sobie, by pobiec dalej, zapukać do tych

drzwi, pokazać Pułaskiemu zdjęcie matki i zapytać: „Na pewno ją pamiętasz, prawda? Sprzed czternastu lat”. Przebył taki kawał świata i tak bardzo pragnął spotkać się z ojcem, lecz teraz nogi miał jak z ołowiu, a w piersi narastał mu kłujący ból, tak dotkliwy i nieznośny, że uświadomił sobie w jednej chwili, iż dłużej tego nie wytrzyma.

Popatrzył jeszcze raz na zamknięte drzwi przyczepy, po czym zawrócił i odszedł.

Teraz, kiedy wiedział już, gdzie Pułaski mieszka, zaczął skrzętnie utrzymywać w pamięci fakty z życia mężczyzny: białego forda pikapa zaparkowanego obok przyczepy, mały ruszt na węgiel drzewny stojący tuż przy drzwiach, dwie puste puszki po piwie leżące w trawie. Zakradł się bliżej przyczepy i zajrzał przez okno, ogarniając jednym spojrzeniem przepelnioną popielniczkę, rolkę taśmy samoprzylepnej leżącą na ławce i miniaturkę, ludzkiej głowy wiszącą na skraju lustra. Gromadził tego typu szczegóły, jakby to były brakujące elementy układanki jego życia. Wyciągnął z kieszeni zdjęcie matki i obrócił je w stronę przyczepy, jak, gdyby chciał jej pokazać samochód, zamknięte drzwi i stojący przed nimi grill.

- Tutaj mieszka. To on.

Prawie przez całą noc krążył po wesołym miasteczku, zmagając się z tęsknotą i bólem. Co rusz wracał pod przyczepę Eddiego, krążył wokół niej niczym przestraszony pies, bojący się wrócić do domu. Kiedy się w końcu położył, nie mógł zasnąć, toteż po jakimś czasie znów wymknął się po cichu z przyczepy Tiny.

O świcie na terenie miasteczka panował spokój, krzątała się tylko ekipa kuchenna, chłopak dogładający trzyokiej krowy wyprowadzał ją na łąkę. Elvis wrócił pod przyczepę Pułaskiego, ale i tu panowała cisza. Prześlizgnął się więc między namiotami do armaty, której opuszczona lufa tkwiła wśród transparentów. Wdrapał się na platformę i ostrożnie przeciągnął dłonią po gładkiej rurze. Zajrzał do środka.

- Wynoś się stąd, do cholery!

Żywa Kula Armatnia mierzył go ostrym spojrzeniem, w rękę trzymał filiżankę z parującą kawą, spomiędzy warg zwisał papieros. Miał na sobie cienki szlafrok i niezawiązane pantofle, pod spodem szorty i podkoszulek.

- No, już, chłopcze, zjeżdżaj stąd albo napuszczę na ciebie ochronę.

Elvis zeskokczył na ziemię.

Eddie Pułaski był dużo niższy, niż to się wydawało; wczoraj wieczorem. Gładko zaczesane włosy miał mocno przerzedzone, a skórę na brodzie upstrzoną bliznami po ospie.

- Szukałem pana. Pracuję dla Tiny Sanchez. No, wie pan, wycieram piłeczki i ustawiam przewrócone maskotki.

Mężczyzna skrzywił się lekko i skinął głową.

- Ach, tak, chyba rzeczywiście już cię widziałem.

Elvisa przeszył dreszcz, i to wcale nie od chłodu. Miał pewność, że Eddie go rozpoznał, może nie do końca, niezbyt dobrze, ale gdzieś w głębi duszy musiał już być przekonany, że coś ich łączy Pułaski zaciągnął się papierosem, odcharknął i przełknął flegmę.

- Tak czy inaczej, skoro jesteś nowy, to wyjaśnijmy sobie od razu parę rzeczy. Nie dotykaj mojego sprzętu. Wszyscy wiedzą, że nie wolno go ruszać. Zależy od niego moje życie, więc nie mogę dopuścić, by ktoś coś zepsuł.

- Przepraszam. Niczego nie dotykałem.

- Dobrze to sobie zapamiętaj. Widziałeś wczorajszy występ?

- Był pan wspaniały.

Pułaski postawił filiżankę z kawą na platformie i wdrapał się na górę. Wyglądał na skwaszonego.

- Naprawiałem to gównu, ale i tak nie podoba mi się odgłos, jaki wczoraj słyszałem. Coś dziwnie trzaska, kiedy zwalnia się sprężynę. Nikt nie chce słyszeć takich trzasków, zarabiając na

życie w ten sposób. Wskakuj, jeśli chcesz. I tak będę musiał ją otworzyć.

Elvis błyskawicznie wdrapał się na platformę, jakby nic nie ważył. Rozpierała go energia, skoro mógł przebywać u boku Pułaskiego. Pragnął słyszeć każde jego słowo, czerpać wszelkie nauki, jakie każdy chłopak pobiera od swego ojca.

Eddie odkręcił kilka śrub u podstawy armaty i zdjął pokrywę w bocznej części lufy. Elvis osłupiał na widok tego, co znajdowało się w środku: potężna stalowa sprężyna, grubsza nawet od jego ramienia, była umocowana między czterema grubymi stalowymi prowadnicami; od podstawy podestu na jej szczycie biegły grube żelazne łańcuchy, które przez zestaw kół zębatych ciągnęły się do bębnow napędzanych zespołem silników elektrycznych.

- A ja myślałem, że to prawdziwa armata - wybąkał.

Eddie zaciągnął się jeszcze raz papierosem, pstryknął niedopałek w trawę i przystąpił do majstrowania przy jednym z silników.

- Rusz tępą mózgownicą. Żaden człowiek nie mógłby się wystrzelić z prawdziwej armaty. Przeciężenie zmiażdżyłoby mu kręgosłup, a ciśnienie ładunku wybuchowego rozsądziłoby czaszkę. To zwykła katapulta. Dym i huk są tylko dla niepoznaki.

Elvis poczuł rozczarowanie, ale zarazem narastało w nim podniecenie. Nie podobało mu się, że Pułaski oszukuje widzów, ale przecież dzielił się z nim swoimi sekretami jak ojciec z synem. Pospiesznie wyjął z kieszeni zdjęcie matki i wyciągnął w kierunku mężczyzny.

- Pani jest moim ojcem.

Tamten obejrzał się szybko i spojrzał na fotografię.

- To moja matka.

- Na pewno się nie przesłyszałem?

- Mój ojciec był Żywą Kulą Armatnią. Wcześniej miałem na imię Jimmie, ale matka je zmieniła i teraz nazywam się Elvis, na cześć ojca. Noszę imię podobne do pana imienia. Też się zaczyna na E. I też ma pięć liter.

Pułaski wyprostował się, odsunął od armaty i pokręcił głową.

Słowa same wyrywały się Elvisowi z gardła. Dławił je tam od czternastu lat.

- No i jestem podobny do pana, prawda? Matka nie dała mi na imię Eddie, żeby nie zdradzić swojej tajemnicy. Nigdy nikomu nie mówiła o panu i pewnie zabierze swój sekret do grobu. Ale proszę popatrzeć na zdjęcie. Poznaje ją pan?

Oczy Pułaskiego powilgotniały, co przeraziło chłopaka bardziej, niż gdyby pojawiły się w nich błyski odrazy.

- Szukałem pana przez całe życie. Musiałem pana odnaleźć. I w końcu odnalazłem.

Eddie popatrzył w głąb wesołego miasteczka i uciekł spojrzeniem w bok. Elvis strasznie chciał usłyszeć, jak poznał jego matkę, ile dla niego znaczyła, czy tęsknił za nią i czy kiedykolwiek pragnął mieć syna, ale mężczyzna uparcie milczał. Wreszcie odezwał się łagodnym tonem:

- Posłuchaj, chłopcze. Nigdy nie znałem twojej matki. Tylko spójrz na mnie. Ani trochę nie jesteśmy do siebie podobni. To nie mnie szukasz. Nie jestem twoim ojcem.

Na jego twarzy odmalował się głęboki żal, który Elvisa zabolął bardziej niż uderzenie w policzek.

- Mój ojciec był Żywą Kulą Armatnią.

Pułaski jeszcze raz pokręcił głową.

- Piętnaście lat temu mieszkałem w Corpus Christi i pracowałem na kutrze do połowu krewetek. Dopiero od ośmiu lat występuję w wesołym miasteczku.

- Ale to pan...

- Niemożliwe.

Elvis poczuł się tak, jakby otoczyła go gęsta szara mgła. Popatrzył na armatę, która nie była armatą, i na Pułaskiego o szerokich barach i masywnych nogach, o przeredzonych czarnych włosach i krótkich, grubych palcach. Rzeczywiście ani trochę nie byli do siebie podobni. Nic ich nie łączy.

- Jest pan oszustem! Wszystko w panu jest fałszywe!

Poczuł, że łzy spływają mu po twarzy. Pragnął rzucić się do ucieczki, ale nogi znowu miał jak z ołowiu. Dlatego krzyknął tylko na cały głos, w nadziei, że usłyszą go wszyscy przebywający na terenie:

- Oszust! To nie jest żadna armata! Tylko zwykła sprężyna!

Pułaski nie okazał gniewu. Wciąż spoglądał na niego ze smutkiem.

- Daj spokój, chłopcze...

- On jest oszustem! Tu nic nie jest prawdziwe!

Eddie objął go ramieniem i przytulił do siebie, po czym rzekł, nadal nie podnosząc głosu:

- Przestań, chłopcze. Nie jestem twoim ojcem. W ogóle nie mam dzieci.

- Bo jest pan skończonym oszustem!

Pułaski tulił go jednak do siebie, a Elvis bardzo chciał być tak przytulany, pragnął pozostać w jego objęciach na zawsze, tyle że tak nie wypadało. Wyszarpnął się i odepchnął mężczyznę, zeskoczył z platformy i pognał przez plac ile sił w nogach, mając przed oczyma jaskrawe gwiazdy i rozmyte różnobarwne plamy, które połyskiwały i mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Pędem minął przyczepę Tiny Sanchez i rozwieszane kościotrupy z hali strachu. Biegł, dopóki nie upadł z wyczerpania na ziemię, nienawidząc wszystkiego i wszystkich dookoła, a najbardziej samego siebie.

Wilson poszedł za Jacobem Lenzem do niewielkiej przyczepy typu Airstream stojącej na tyłach placu. Wypolerowana do połysku stanowiła imponującą wizytówkę jej właściciela. Drzwi były otwarte na oścież.

Lenz zapukał i wszedł do środka. Wilson wbiegł za nim po schodkach i stanął w przejściu, żeby odciąć uciekinierowi drogę na Wolność.

- Tina? - zawołał Lenz. - Ten człowiek przyjechał po chłopaka.

Elvis siedział na wąskiej kanapie u boku niskiej ciemnoskórej kobiety, która przed laty musiała się odznaczać niepoślednią urodą. Od razu musiał rozpoznać detektywa, bo w ogóle nie okazał zdziwienia.

- Dzień dobry, panie Wilson.

- Witaj, kolego. Sporo urosłeś.

Lenz popatrzył na niego zdumiony.

- To wy się znacie?

- Oczywiście - odparł Wilson. - Przecież to już nie pierwszy raz.

Podziękował pani Sanchez za użyczenie chłopakowi dachu nad głową i po raz kolejny zapewnił Lenza, że jego rodzina nie chce przysparzać kłopotów i nie zawiadomi policji. Starsza pani serdecznie uściskała Elvisa, ukradkiem ocierając łzy. Sprawiała wrażenie delikatnej i bezbronnej, ale kiedy na pożegnanie uścisnęła Wilsonowi rękę, omal nie zmiażdżyła mu palców.

Chłopak nawet nie próbował uciekać, jak to miało miejsce kilka razy na początku, kiedy Wilson go odnajdywał. Wyglądał na zrezygnowanego, co ku zaskoczeniu detektywa napełniło mu

serce smutkiem. Powoli wrócili razem do jego samochodu i wyruszyli w drogę powrotną do domu.

- Nie jesteś głodny? - zapytał Wilson.

- Nie.

- Przed nami długa podróż, pięciogodzinna.

- Wytrzymam.

Ponad godzinę jechali w milczeniu, lecz Wilsonowi wcale to nie przeszkadzało. Chłopak był wykończony. Siedział przygarbiony, oparty ramieniem o drzwi, i spoglądał przed siebie tępym wzrokiem.

Trzy kolejne ucieczki pozwoliły im się trochę lepiej poznać. Wilsonowi przede wszystkim było bardzo żal Elvisa, poza tym na swój sposób chłopak przypadł mu do serca. Jego ciągle nieobecna matka była niespełna rozumu, a despotyczny dziadek po prostu nie chciał mieć z nim nic wspólnego, dlatego udawało im się pozostawać pod jednym dachem najwyżej przez kilka miesięcy. Tymczasem zaniedbany dzieciak bez przerwy uganiał się za widmami, za żadną cenę nie chciał z tego zrezygnować, co było równie przerażające, jak godne podziwu. W końcu Wilson musiał przyznać w duchu, że coraz bardziej angażuje się osobiście w tę sprawę.

- Która to już ucieczka? Czwarta? Piąta?

Chłopak nie odpowiedział.

- Odnalazłem cię po raz trzeci, ale wiem, że przede mną zajmował się tym ktoś inny. Więc ile to już razy wyruszałeś tropem wesołego miasteczka?

- Nie pamiętam. Chyba sześć... Nie, siedem.

- Czyli było też siedmiu facetów, siedem Żywych Kul Armatnich.

Elvis milczał.

- Muszę przyznać, że wyjątkowo się na nich uwzięłeś. Jesteś jeszcze dzieckiem, a tropisz tych drani jak prawdziwy zawodowiec. Kiedyś będzie z ciebie cholernie dobry detektyw.

Chłopak tylko zerknął na niego i z powrotem utkwiał wzrok w szybie. Przejechali parę kilometrów w milczeniu, gdyż Wilson nie bardzo wiedział, jak podtrzymać rozmowę. Nie lubił się angażować w prywatne sprawy innych ludzi ponad to, co wynikało ze zlecenia, wiedział jednak, że ktoś powinien wreszcie choć trochę poukładać temu dzieciakowi w głowie, a najwyraźniej nikt się do tego nie garnął.

W końcu postanowił wziąć to na siebie.

- Chcę ci powiedzieć coś, czego chyba nie powinienem mówić. Nie mam prawa wtrącać się w sprawy twojej rodziny, ale, na Boga, siedem ucieczek z domu... Ktoś przecież musi z tobą pogadać.

Chłopak jeszcze raz zerknął na niego, po czym odwrócił się tyłem. Sytuacja nie wyglądała dobrze, ale skoro Wilson zaczął, musiał kontynuować.

- Wszystko, co matka opowiadała ci o ojcu występującym jako Żywa Kula Armatnia, jest wyssane z palca. Wymyśliła to sobie.

Elvis zmarszczył brwi i zaczerwienił się wyraźnie, ale nie odpowiedział. Miał twardy charakter. Prawdopodobnie sam w głębi serca przeczuwał, że to jedna wielka bzdura.

- A czy wiesz, dokąd jeździ twoja matka, kiedy znika z domu?

Chłopak spuścił głowę na piersi, jakby poraziło go jaskrawe słońce, ale jeszcze raz zerknął ukradkiem na detektywa, tym razem z nadzieją w oczach.

- Skąd pan wie, że ona znika z domu?

- Twój dziadek wciąż mnie najmuje, żebym cię odnalazł - odparł łagodnym tonem. - Myślisz, że nie najmował mnie wcześniej, żebym odszukał twoją matkę?

Po raz kolejny dopadły go wyrzuty sumienia, był jednak przeświadczony, że dzieciak powinien znać prawdę, że musi się w końcu nauczyć odróżniać rzeczywistość od fikcji, czego nikt inny nie chciał i nawet nie próbował mu wytłumaczyć.

- Ona jest chora, cierpi na coś, co się nazywa zaburzeniami urojeniowymi. Jak tylko zaczyna się czuć... przytłoczona codziennością, choć to może nie najlepsze określenie, przestaje odróżniać rzeczywistość od urojeń i wtedy ucieka z domu. Twój ojciec wcale nie występuje jako Żywa Kula Armatnia. Ona tylko tak sądzi, może nawet w to wierzy, ponieważ sama to sobie uroiła, a dla niej urojenia niczym się nie różnią od rzeczywistości. Czyli wcale cię nie okłamuje. Po prostu sama nie wie, jak wygląda prawda.

Wilson popatrzył na Elvisa, który siedział prosty jak słup telegraficzny z dumnie zadartą głową i wpatrywał się w drogę przed nimi. Aż zakłuło go w sercu. Ale przecież starał się tylko pomóc chłopakowi.

- Posłuchaj. Wiem, że to nie moja sprawa, ale przyszło mi do głowy, że ktoś w końcu powinien ci wyjaśnić tę sprawę.

- Nic mnie to nie obchodzi. I tak zamierzam go odnaleźć.

- Nie wątpię, że kiedyś go odnajdziesz, tylko bądź ostrożny w swoich oczekiwaniach. Kimkolwiek jest twój ojciec, z pewnością nie będzie przypominał człowieka, którego sobie wymarzyłeś.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Może teraz tak uważasz, ale kiedy go już odnajdziesz, klamka zapadnie raz na zawsze. Nie cofniesz tego. Stanie się aż do śmierci częścią twego życia.

Elvis tylko zagryzł zęby, wciąż nie spuszczał wzroku z wstęgi szosy.

- Właśnie o to mi chodzi.

Wilson jeszcze raz popatrzył na niego. Elvis Cole sprawiał wrażenie całkiem spokojnego, lecz po jego policzku stoczyła się pojedyncza wielka łza. Wilson poczuł się podle, od razu

pożałował, że zaczął tę rozmowę. Zacisnął mocniej palce na kierownicy i skoncentrował się na prowadzeniu auta. Zaprağnął jak najszybciej znaleźć się ta domu. Zależało mu tylko na tym, by dostarczyć chłopaka rodzinie i powrócić do swojego życia.

CZEŚĆ TRZECIA

Więzy krwi

Następnego ranka Golden zadzwonił pięć po ósmej. Prawdopodobnie nie wstawał tak wcześnie od wielu lat, toteż można było przypuszczać, że w ogóle się nie kładł.

- W porządku, łajdaku. Umówiłem cię z dziewczynami. Zgodziły się porozmawiać, ale są wystraszone. Ostatecznie nikt nie chce się mieszać w takie gówniane sprawy.

- Trudno. To ryzyko zawodowe.

Podyktował, gdzie i kiedy mamy się spotkać, podał nawet telefony kontaktowe i adresy na wypadek, gdyby coś zmusiło mnie do zmiany planów. Zapisałem wszystko skrupulatnie. Nie spodziewałem się, że wszystkie trzy zgodzą się na rozmowę. Najwyraźniej Stephen musiał je jakoś przymusić.

- Dobra. Jak tylko z nimi porozmawiam, zwrócę ci komputer.

- Myślę, że i tak powinieneś mnie najpierw pocałować w dupę. Co za człowiek wdziera się do czyjegoś domu i zabiera sprzęt? Miałbym ci teraz zaufać?

Przemknęło mi przez głowę, że o ósmej rano właśnie tego mi było trzeba - umoralniających gadek alfonsa.

- Nadal nie masz wyboru, Stephen, podobnie jak wczoraj wieczorem.

- Wydaje ci się, że nie mam przyjaciół, łobuzie? Masz mi zwrócić...

Odłożyłem słuchawkę. Beckett powinien dzisiaj dostać informacje od federalnych, a Pardy ruszyć tropem Faustyny, nie łudziłem się jednak, że usłyszę od niego choć jedno słowo. Jeśli zaginięcie Herberta Faustyny zostało zgłoszone, w wykazie musiały się znaleźć jakieś bliższe informacje o nim, które zaoszczędziłyby mi wiele czasu. Zadzwoniłem więc do Starkey.

- Cześć. Zechcesz coś dla mnie zrobić?

- Obok mnie stoi wolne biurko. Nie chciałbyś przywieźć tu swoich gratów i podjąć służby na cały etat?

- Czy mogłabyś sprawdzić w rejestrze osób zaginionych nazwisko Herberta Faustyny?

Musiałem je przeliterować.

- Więc twój nieznajomy nazywał się Faustyna?

- Tak. Nie jestem pewien, czy to jego prawdziwe nazwisko, ale zaoszczędziłabyś mi mnóstwo czasu, gdybyś go poszukała w rejestrze.

- Na pewno nie chcesz, żebym ci jeszcze wywoskowała samochód?

Dlaczego wszyscy postanowili drwić sobie ze mnie?

- Dzięki, Carol. Doceniam twoje poświęcenie.

Na krótko zapadła niezręczna cisza. Wreszcie Starkey odchrząknęła.

- Nie rozumiem, dlaczego dzwonisz z tym do mnie. Przecież mógłbyś poprosić swojego kumpla, Poitrasa, któremu tylko rośnie tłuste dupsko na drugim końcu miasta. Zadzwoiłeś jednak do mnie. Jak mam to potraktować?

Nie licząc Joego Pike'a, Lou Poitras był rzeczywiście moim najbliższym przyjacielem. Kierował wydziałem zabójstw komendy w Hollywood, a w dodatku byłem ojcem chrzestnym trójki jego dzieci. Nie miałem pojęcia, o co chodzi Starkey, ale sądząc po tonie głosu, była poirytowana.

- Nawet o nim nie pomyślałem, skojarzyłem tylko ciebie. Wcale się nie obrażę, jeśli się wykręcisz nawałem pracy. Jeśli wolisz, zadzwonię do Poitrasa. To niezły pomysł.

- Nie twierdzę, że masz dzwonić do Poitrasa. Sprawdzę to cholerne nazwisko i oddzwonię. Zapomnij, że cokolwiek jeszcze mówiłam.

- Oco chodzi?

- O nic.

Przerwała połączenie. Przyszło mi na myśl, żeby zadzwonić do niej jeszcze raz, ale zarzuciłem ten pomysł. Wyszedłem z domu, dokładnie zamknąłem drzwi i ruszyłem w dół z bocza.

Victoria spotkała się z Faustyną ostatnia. I prawdopodobnie jako ostatnia widziała go żywego, dlatego postanowiłem zacząć od spotkania z nią. Zresztą, jeśli wierzyć Goldenowi, była zarazem najbardziej niechętna rozmowie ze mną. Miała męża i dzieci. Pewnie z tego powodu wolała nie rozmawiać w swoim domu, nie życzyła sobie nawet, bym do niej dzwonił, ale wyznaczyła mi spotkanie pod delikatesami Greenblatta przy Sunset Boulevard, gdy będzie wracała po odwiezieniu dzieci do szkoły. Nie miałem nic przeciwko temu.

Wcisnąłem się w poranny sznur aut ciągnących Laurel Street w kierunku Sunset Boulevard, po czym w ostatniej chwili zjechałem na lewo i zaparkowałem na tyłach sklepu Greenblatta. Razem z Lucy często przyjeżdżaliśmy tu po świeże bagietki, bo były to najlepsze delikatesy niezbyt oddalone od mojego domu, ale szybko odepchnąłem od siebie tamte wspomnienia. Wmawiałem sobie, że muszę się skoncentrować na prowadzonej sprawie, lecz prawdę mówiąc, tęsknota nieznośnie ścisnęła mi serce.

W barze szybkiej obsługi tłoczyli się klienci kupujący bułeczki i kawę na wynos. Minałem frontową część sklepu i dział z winami, ale wytrawnym okiem prywatnego detektywa nie wyłowilem żadnej kobiety, która sprawiałaby wrażenie morderczyni.

Kupiłem sobie kubek kawy i poszedłem z nim na piętro do niewielkiej sali jadalnej. Tu także panował tłok, ale rozpoznałem Victorię na pierwszy rzut oka. Nie odwróciła głowy, kiedy nasze spojrzenia się zetknęły. Miała krótko przycięte czarne włosy okalające twarz o bladej cerze i była ubrana w rozpięty bordowy sweterek narzucony na czarny elastyczny trykot i także szorty. Obrzuciła mnie taksującym wzrokiem, gdy skierowałem się w jej stronę.

- Victoria? - zapytałem.

- Usiądźmy w moim samochodzie. Tam będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Poszedłem za nią do srebrzystego mercedesa klasy S wartego osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Wcisnęła guzik pilota i centralny zamek auta odpowiedział cichym piskiem. Nie mogła kupić tego wozu za pieniądze z prostytutki, musiała mieć inne źródło dochodów, najpewniej dobrze zarabiającego męża.

- Proszę wsiadać. Porozmawiamy w środku.

Samochód stał w pierwszym rzędzie parkingu, zatem musieliśmy być doskonale widoczni dla wszystkich wchodzących i wychodzących z baru szybkiej obsługi. Nie miałem wątpliwości, że specjalnie tak to zaplanowała. Jak tylko zatrzasnąłem za sobą drzwi, poczułem się całkowicie odizolowany od odgłosów tętniącego życiem miasta. Victoria splotła dłonie na brzuchu i zaczęła obracać platynową obrączkę na palcu lewej ręki.

Przedstawiłem się i poprosiłem ją o prawo jazdy. Pokręciła głową.

- Nie mam przy sobie dokumentów. Stephen mówił, że nie jest pan z policji.

Nie dostrzegłem nigdzie jej torebki, więc chyba nie kłamała w sprawie dokumentów. Pospiesznie wyjąłem z kieszeni cyfrowy aparat fotograficzny i zrobiłem jej zdjęcie, nim w ogóle uświadomiła sobie, co się dzieje. Błysk flesza sprawił, że szybko zasłoniła rękoma twarz, ale było już za późno.

- Ty łobuzie, cholerny sukinsynu...

- Potrzebne mi twoje zdjęcie do identyfikacji przez nocnego stróża w motelu. Sprawdzę też numer rejestracyjny tego samochodu. Mogłabyś więc przestać udawać oburzenie?

Tylko spiorunowała mnie wzrokiem, na szczęście nie wyskoczyła z auta i nie narobiła rabanu. Podsunałem jej pośmiertne zdjęcie Faustyny.

- Rozpoznajesz tego człowieka?

- Tak. Stephen mówił, że on nie żyje.

- Kiedy i gdzie spotkałaś się z nim po raz ostatni?

- Przedwczoraj wieczorem w motelu Home Away Suites. Nigdy wcześniej go nie widziałam, to było nasze pierwsze i ostatnie spotkanie. Około dziesiątej. Ściślej mówiąc, za pięć dziesiąta.

- Wyszłaś z motelu razem z nim?

- Zostaliśmy umówieni telefonicznie. Weszłam do jego pokoju, i potem wyszłam sama. Zazwyczaj tak to się odbywa.

- Na pewno nie wyszedł razem z tobą?

- Skądże. Nie mam pojęcia, co robił po moim wyjściu. W ogóle nic więcej o nim nie wiem. Nie mam ochoty być zamieszana...

Urwała, szybciej zakręciła obręczką na palcu i energicznie pokręciła głową, ale nie w geście zaprzeczenia, tylko po to, żeby odrzucić włosy sprzed oczu. Jej niezwykle spokojny jakoby nie pasował do nerwowych ruchów, jakbym miał do czynienia z dwiema różnymi osobami.

-Victoria...

- Nazywam się Margaret Keyes.

- Zatem Margaret. Czy mogłabyś udowodnić, że nie byłaś z nim później tamtej nocy, gdyby zaszła taka konieczność?

Patrzyła na mnie przez chwilę z taką samą wystudiowaną obojętnością jak poprzednio, po czym przeniosła spojrzenie trochę w bok, jakby chciała mi coś pokazać.

- Widzisz tamten wóz? Drugiego mercedesa?

Na drugim końcu parkingu stał czarny mercedes AMG. Przez blask słońca odbijającego się w przedniej szybie nie mogłem dojrzeć rysów człowieka siedzącego za kierownicą, zauważyłem tylko, że ma ciemne okulary i czapkę baseballową na głowie.

- Widzisz tamtego AMG? - powtórzyła.

- Tak, widzę.

- To mój mąż. Kiedy wyszłam z motelu, wsiadłam do jego wozu i wjechaliśmy w cichą boczną uliczkę, jedną z tych, które odchodzą od autostrady pod górę. Jeśli się nie mylę, zaparkowaliśmy przy szkole. Kochaliśmy się w samochodzie. Później pojechaliśmy na kolację do Studio City. Musiało być wtedy koło wpół do dwunastej. Często tam jadamy, więc kierownik sali powinien nas pamiętać. Poza tym, może mamy jeszcze gdzieś paragon za opłacenie kolacji kartą kredytową.

Spoglądałem na mercedesa, słuchając jej wyjaśnień, a gdy znowu popatrzyłem na nią, zrobiło mi się głupio, że została zmuszona do intymnych zwierzeń przede mną i przed Pardym.

Wzruszyła ramionami.

- Nie robię tego dla pieniędzy. Mój mąż bardzo lubi, kiedy inni faceci dają mi forszę, i nie ma nic przeciwko temu, żeby trochę zaczekać...

- Jest uzbrojony? Jeśli wysiądzie z auta i będzie coś trzymał w ręku, mogą was spotkać duże nieprzyjemności.

- Nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Stephen zasypał nas pogrozkami. Powiedział, że jeśli nie zgodzę się na rozmowę z panem, powiadomi policję i ujawni dużo więcej niż tylko informacje o tamtym wieczorze, który spędziłam z Faustyną... - zawahała się, jakby szukała w myślach odpowiednich słów. - Stephen dysponuje zdjęciami, a my... Mamy dzieci...

- Porozmawiam ze Stephenem. Nie obchodzi mnie, co robiłaś z Faustyną w jego pokoju. Ciekawi mnie tylko, co mówił. Nie wspominał, co robi w Los Angeles albo jakie ma plany na resztę nocy? Nie wymieniał żadnych nazwisk? Niepotrzebne mi szczegóły waszych łóżkowych wyczynów.

Kąciki jej ust wyraźnie opadły ku dołowi.

- Podczas takich spotkań chodzi tylko o seks.

- Odpowiedz na moje pytanie.

- Modliliśmy się razem.

Urwała, czekając na moją reakcję.

- Modliliście się?

- Dał mi dwieście dolarów, żebym się z nim pomodliła. Sam oceń, czy można to zaliczyć do łózkowych wyczynów. Klęczeliśmy, a on czytał fragment Biblii. Tylko na tym mu zależało.

- O co się modliliście?

- Prosił Boga, żeby mu wybaczył. Mniej więcej tak: „Panie, daruj temu człowiekowi jego grzechy, wybacz grzesznikowi, okaż mu łaskę”. Ja też myślałam, że on się tylko tak podnieca, ale do niczego nie doszło.

- Modliliście się całą godzinę?

- Zapłacił za godzinę, ale wcześniej odebrał telefon i poprosił, żebym sobie poszła. Byliśmy razem jakieś czterdzieści minut. Przyjechałam do motelu na dziesiątą, a wyszłam za dwadzieścia jedenastą.

Prawdopodobnie odebrał telefon od człowieka, z którym chciał się spotkać.

- Nie pamiętasz, co mówił, gdy odebrał telefon?

- Nie. Przykro mi. Nie zwracałam na niego uwagi, a zaraz potem mnie wyprosił. Na pewno po moim wyjściu dalej rozmawiał przez telefon.

Zanotowałam w pamięci, żeby dokładnie sprawdzić rozmowy telefoniczne Faustyny z tamtej nocy. Możliwe, że zapamiętany przez nią telefon był odpowiedzią na któreś z wcześniejszych połączeń. Spojrzałam na jej męża, ale nadal siedział bez ruchu za kierownicą. Tuż za nim krzątał się portier z delikatesów, wskazując wjeżdżającym kierowcom wolne miejsca na parkingu.

Pewien szczegół zwrócił moją uwagę.

- Mówisz, że wyprosił cię z pokoju, ale nie przerwał rozmowy. Mam rozumieć, że odprowadził cię do drzwi ze słuchawką w ręku?

- Zgadza się. Trzymał ją cały czas, zasłaniając dłonią mikrofon.

- Przecież telefon w motelu stoi na stoliku po drugiej stronie łóżka. Kabel od słuchawki na pewno nie sięga do drzwi.

- Nie rozmawiał przez aparat motelowy, tylko przez komórkę. Miał taki miniaturowy model ze słuchawką w odchylanej klapce.

Zatem miał telefon komórkowy, a to oznaczało, że mógł wykonywać więcej połączeń, niż wynikałoby to z wykazu dołączonego do faktury. Łączność komórkowa stanowiła furtkę do całego odrębnego świata niewykrywalnych rozmów, skoro nie znałem jego numeru. Zanotowałem w pamięci, żeby zapytać Diaz, czy nie znaleźli przy zwłokach tego miniaturowego aparatu.

- To wszystko? - zapytała Margaret Keyes.

- Tak. Bardzo mi pomogłaś. Jestem ci wdzięczny.

Znowu zerknąłem na jej męża. Pochwycił moje spojrzenie i odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Niech pan idzie się przedstawić, to i jemu napędzi pan strachu.

Otworzyłem drzwi, ale obejrzałem się jeszcze na nią.

- Naprawdę robisz to dla niego?

Zaśmiała się krótko, a w jej oczach zabłyśły figlarne ogniki.

- Wątpię, żeby pan to zrozumiał.

Wolałem nie pytać, co ma na myśli. Wróciłem do swego samochodu i ruszyłem na spotkania z pozostałymi dziewczynami.

Kiedy Frederick uporał się z ojcem Willsem, wolał już nie wracać do domu Payne'a, chociaż mu na tym zależało. Chciał go przetrząsnąć w nadziei, że znajdzie jakąś wskazówkę, dokąd Payne wyjechał i co zamierzał, ale zrobiło się za późno. Mimo że dom stał w pewnej odległości od szosy, wolał nie zapalać w nim światła w środku nocy, by niepotrzebnie nie ściągać na siebie uwagi.

Wrócił więc do siebie i spędził niespokojną noc, przewalając się w pościeli i roztrząsając w myślach zabójstwo Kellera za pomocą szpikulca od różna. We śnie przebijał się przez jego czaszkę i dostawał do środka, otoczony ze wszystkich stron szarą substancją niczym w trójwymiarowym kinie IMAX-a. Jego marzenia były tak realistyczne, że nieomal czuł w ustach smak coca-coli z puszki, którą popijał w oczekiwaniu, aż szpikulec rozgrzeje się na różnie. Kiedy ostrzejszy koniec zaczął świecić na biało, leżąc na wielkiej stercie węgla drzewnego, tak rozżarzonego, że trudno się było zbliżyć do różna, Payne wyszedł z jego przyczepy mieszkalnej i powiedziała „Przyznałem się do wszystkiego. Pojechałem do Los Angeles, żeby złożyć na policji szczegółowe zeznania z wszystkich naszych paskudnych sekretów i teraz czuję się dużo lepiej. Wiedzą o nas wszystko, a trupy zaprowadzą cię prosto do piekła. I tak powinno być, bo tylko w ten sposób można odzyskać spokój sumienia. Właśnie o to chodzi w spowiedzi. Człowiek wyznaje swe grzechy, żeby czuć się lepiej, gdy odpowiadać za nie musi kto inny”. Fredericka ogarnął istny huragan przerażenia, poczucia zdrady i poniżenia. Toteż w swoim śnie złapał rozżarzony szpikulec i wbił go w sam środek piersi Payne'a z donośnym okrzykiem: „Ty zdrajco!”.

Następnego ranka jeszcze przed otwarciem stacji benzynowej wrócił do domu Kellera. Na niebie rozlewał się dopiero pierwszy szarawy brzask. Niepokoilo go, że Payne mógł spisać swoje zeznania, zostawić ukryty pamiętnik albo dziennik, którego zapisy musiały go obciążać. Przeszukał wszystkie szafki, regały, szafy i komódki, zajrzał do każdej skrytki, jaka mu tylko przyszła na myśl, usiłując znaleźć coś, co wyjaśniłoby powód wyjazdu Kellera do Los Angeles.

Przez prawie trzy godziny coraz bardziej gorączkowo przetrząsał dom, nie będąc w stanie uwolnić się od obaw, co i komu Payne mógł zdradzić, dopóki jego wzrok nie padł na miejski dodatek „Los Angeles Times” leżący na kuchennym blacie, a dokładnie biorąc, na dodatek do regionalnego wydania tej gazety z San Fernando Valley East.

Ostatecznie w Los Angeles Keller musiał się gdzieś zatrzymać.

Frederick otworzył dodatek na żółtych stronach i odnalazł dział poświęcony hotelom. Przebiegł wzrokiem kilkanaście nazw, zanim doszedł do wniosku, że wszystkie są za drogie. Na sąsiedniej stronie znajdował się spis moteli. Dopiero teraz zauważył, że to miejsce jest zaznaczone skrawkiem papieru wetkniętym między kartki. Chwilę później jego uwagę przyciągnęła kropka zrobiona długopisem przy opisie jednego z moteli w Toluca Lake.

Home Away Suites.

Spojrzał na zegarek. Do Toluca Lake było niespełna pół godziny drogi samochodem. Jeśli Payne właśnie tam zorganizował spotkanie, by ujawnić ich przestępstwa, z pewnością powinien teraz za to słono zapłacić.

Podczas gdy Margaret Keyes wołała spotkać się ze mną w ustronnym miejscu, Janice, która mieszkała obok Stadionu Dodgera, nie miała najmniejszych oporów przed tym, bym do niej przyjechał. Okazało się, że dzieli ekskluzywny domek w zabudowie szeregowej ze swoim chłopakiem, bogatym Izraelczykiem o imieniu Sig, który próbował się wybić jako reżyser nietuzinkowych filmów pornograficznych („Jego rodzina ma tyle forsy, że nawet sra na zielono”). Janice zaczęła mówić, ledwie zamknęła za mną drzwi, i trajkotała jak nakręcona, aż musiałem jej przerwać, by naprowadzić na właściwy temat. Pierwszych klientów miała już w ostatniej klasie szkoły średniej („To było obrzydliwe i dlatego tak mi się spodobało!”), na osiemnaste urodziny zafundowała sobie silikonowe implanty („Dostałam wspaniały prezent od mamy”), a podczas studiów na pierwszym roku Kalifornijskiego Uniwersytetu Stanowego dorabiała jako striptizerka („Jakbym zarabiała na swoich melonach”). Miałem wrażenie, że pogrążam się w słownej Niagarze. Ostatecznie jednak opowiedziała mniej więcej to samo co Margaret Keyes, tyle że przy niej Faustyna nie odebrał żadnego telefonu. Była z nim przez godzinę, za co zapłacił jej dwieście dolarów. Modlili się razem.

Dana Mendelsohn figurowała na mojej liście jako ostatnia, ale to ona pierwsza odwiedziła Herberta Faustynę w motelu. Nie sądziłem, że dowiem się od niej czegoś nowego. Zaparkowałem wóz przed imponującym barem szybkiej obsługi przy ulicy Madame Matisse w Silver Lake, żeby odnaleźć adres na planie miasta. Miałem już ruszać dalej, kiedy odezwał się mój telefon komórkowy. Dzwoniła Starkey.

- Nagrałam ci już trzy wiadomości na poczcie głosowej. W ogóle ich nie odbierasz?

Spojrzałem na ekranik aparatu. Nie wskazywał, by czekały na mnie jakieś nagrania.

- Od samego rana mam przy sobie włączoną komórkę. Nie dzwoniła i nie sygnalizowała żadnych wiadomości na poczcie głosowej.

- Na pewno nie pomyliłam numeru. Rozpoznałam twój idiotyczny głos w zapowiedzi.

Mój idiotyczny głos!

To prawda, że nie cierpiałem swojej komórki. Chyba jako ostatni w Los Angeles wkroczyłem w porywający świat łączności komórkowej i już od pierwszej chwili tego żałowałem. Zanim kupiłem sobie komórkę, wszyscy się dziwili, jak sobie bez niej radzę, a moi klienci wprost skarżyli się na brak kontaktu. Dlatego uległem kulturowej presji miasta pełnego szczęśliwych posiadaczy komórek, wyłożyłem forszę, podpisałem umowę z operatorem sieci i stałem się przykładową ofiarą nieistniejących usług, wyłuszcanych jedynie w ulotkach reklamowych. Rzadko udawało mi się uzyskać wystarczającą moc sygnału, a jeśli już go złapałem, nie byłem w stanie utrzymać albo włączałem się w czyjaś rozmowę. Kiedy ktoś do mnie dzwonił, mój aparat czasem to sygnalizował, ale nie zawsze. A gdy ktoś zostawiał wiadomość na poczcie głosowej, telefon informował mnie o tym według własnego uznania. Tak więc wszyscy dokoła byli szczęśliwi, że mam komórkę, tylko nie ja. Już setki razy chciałem ją wyrzucić do studzienki kanalizacyjnej.

- W porządku, założmy, że odebrałem twoje wiadomości i to ja dzwonię do ciebie. Dlaczego miałbym to robić?

- Sprawdziłam nazwisko Faustyny we wszystkich bazach danych i nic nie znalazłam, a to oznacza, że nie był karany, jakby nigdy nie wytykał nosa za okno.

- Jasne.

- Sprawdziłam też rejestry ubezpieczeń społecznych. Nie figuruje w nich żaden Herbert Faustyna. Kimkolwiek był ten gość, albo nigdy nie był ubezpieczony, albo raczej nigdy nie istniał. To zmyślone nazwisko.

Rejestry ubezpieczeń społecznych nie były dostępne na każde żądanie policji, informacji udostępniano tylko na podstawie specjalnego nakazu sądowego, a to znaczyło, że Starkey prawdopodobnie wykorzystwała jakiś osobisty kontakt i mogła nieźle dostać po nosie, gdyby sprawa wyszła na jaw.

- Nie musiałaś tego robić. Sam nigdy bym cię o to nie poprosił.

- Nie przejmuj się. Ale skoro jesteś aż tak wolno kojarzący, pozwól, że zwrócę ci uwagę na sprawę oczywistą. Bez dwóch zdań jestem kobietą, którą powinieneś mieć u swego boku.

- Chyba masz rację.

- No, muszę wracać do roboty. Tylko nie daj się zabić.

Rozbawiło mnie, że tak szybko przerwała połączenie.

Adres Dany doprowadził mnie do niewielkiej czynszowej kamienicy z czerwonej cegły, stojącej na południe od Melrose, między La Brea i Fairfas, przy bocznej uliczce pozbawionej jakiegokolwiek charakteru. Był to jeden z tych rejonów miasta, gdzie stare domki jednorodzinne stopniowo wyburzano i stawiano na ich miejscu tanie, pięcio- lub sześciopiętrowe czynszówki dla emerytów, życiowych nieudaczników i młodych lekarzy pragnących się szybko dorobić. Wzdłuż ulicy ciągnęły się teraz bloki, które sprawiały wrażenie, jakby wstawiony architekt naszkicował je w barze na papierowej serwetce, do wtóru drwin jego kolegów, ile to zarobi na tym projekcie. Budynek, w którym mieszkała Dana, przypominał kartonowe pudełko po big macu.

Zaparkowałem przy krawężniku, przeszedłem krótkim chodnikiem zawalonym puszkami po piwie i odnalazłem jej mieszkanie tuż pod zewnętrznymi schodami prowadzącymi na piętro. Grubym łańcuchem były do nich przymocowane dwa rowery górskie. Nacisnąłem dzwonek, a po chwili głośno zapukałem. Ze środka doleciały podniesione głosy, kobieta i mężczyzna spierali się, które z nich ma otworzyć. Zatem Dana nie była sama. Zapukałem po raz drugi.

Drzwi gwałtownie otworzył wysoki barczysty mężczyzna. Obrzucił mnie wrogim spojrzeniem. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest świadomy wrażenia, jakie robią jego atletyczne bary i byczy kark. Stał w wąskim przejściu wyprostowany jak struna, niczym na pokazie. Na głowie miał wielką zmierzwioną szopę włosów i był stosownie ubrany w dwie sprane bawełniane koszulki.

- Dana? - zapytałem niepewnie.

- Zaraz ci dam Danę, palancie. Ona nie rozmawia z takimi jak ty.

Z głębi pokoju doleciał kobiecy głos:

- Daj spokój, Thomas. Stephen mówił, że muszę z nim porozmawiać.

- To nie jest mieszkanie Stephena.

- Thomas! Wpuść go!

Młoda przysadzista kobieta odepchnęła go na bok. Miała najwyżej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, tlenione włosy, silną opaleniznę od kwarcówki i wielkie niebieskie oczy, które nadawały jej wygląd bezbronno niewiniątka. Była ubrana w szorty i króciutki T-shirt odsłaniający dolną część wydatnego biustu i złotą błyskotkę w pępku. W przybliżeniu była w wieku Janice, ale wyglądała młodziej, a niemal całe pokolenie dzieliło ją od Margaret.

- To jest Thomas - zaczęła. - Nie jest moim chłopakiem ani krewnym. Po prostu mieszkamy razem.

Na moje oko był nie tylko jej kochankiem, ale również szoferem i obstawą. Nie za bardzo usunął mi się z drogi. Stał z rękoma zwieszonymi wzdłuż boków, lekko pochylony, jakby chciał dać do zrozumienia, że w każdej chwili jest gotów wyładować swoją wściekłość.

- A czym się zajmuje? To on zawiózł cię na spotkanie z Faustyną?

Thomas machnął jej pięścią przed nosem.

- To nie jego zasrany interes. Nie powinnaś rozmawiać o tej sprawie ani z nim, ani z kimkolwiek innym.

- Stephen mówił, że powinniśmy się zgodzić.

A jednak „my”.

- Pieprzę Stephena. Po co wpakował nas w to gównno? Teraz gliny zaczną szukać kozła ofiarnego i oczywiście skupią się na mnie.

Stephen twierdził, że nic nie wie o mężczyznach wożących jego panienki na umówione spotkania, ale najwyraźniej dobrze się znali z Thomasem. To kazało mi się zastanowić, o czym jeszcze Stephen nie powiedział.

Przecisnąłem się do środka i obrzuciłem mieszkanie szybkim spojrzeniem. Było dość ciasne, ale zadbane. Na prawo otwierał się duży pokój, po lewej była jadalnia połączona z kuchnią. Stół, wciśnięty w sam kąt, stykał się z biurkiem, na którym stał komputer, a powyżej widniał plik notatek przypiętych pinezkami do ściany. Na poręczach dwóch krzeseł wisiało kilka czarnych toreb różnej wielkości, chyba ze sprzętem fotograficznym. Naczelne miejsce w dużym pokoju zajmowała wielka kanapa stojąca na wprost regału mieszczącego telewizor, odtwarzacz płyt kompaktowych i szereg oprawionych w ramki kolorowych zdjęć ukazujących Danę w ekwilibrystycznych pozach przy drażku striptizerskim. Zawieszona głową w dół też prezentowała się doskonale.

- Ładne zdjęcia - powiedziałem. - To ty?

- A co cię to obchodzi, do cholery, czy to ona jest na tych ładnych zdjęciach? Naprawdę uważasz, że są ładne? To może jeszcze chcesz, żebyśmy cię przyjęli kawą i pogawędzili w przyjacielskim nastroju?

Obejrzałem się na niego. Najwyraźniej strasznie się nudził od samego rana, nie mając okazji popisać się przed kimkolwiek. Moje spojrzenie też mu nie pasowało, bo groźnie zmarszczył brwi i warknął:

- Czego?

Dana podeszła i wzięła mnie pod rękę.

- Bardzo się boi kolejnego oskarżenia. Ma już dwa wyroki.

- Kto ci pozwolił mówić mu cokolwiek na mój temat? Lepiej w ogóle się nie odzywaj.

Zrozumiałem przyczynę jego strachu. Gdyby teraz został oskarżony w sprawie o morderstwo, resztę życia spędziłby w więzieniu.

- Nie interesuje mnie nic, co dotyczy ciebie, chyba że masz coś do powiedzenia w sprawie Faustyny. Masz?

- Nie!

- W takim razie nie musisz nic mówić. Policja w pierwszej kolejności będzie przesłuchiwała Stephena. Jeśli on zezna, że odwiozłeś Danę na spotkanie, a ty temu zaprzeczysz, jak to będzie wyglądało?

- W ogóle z nikim nie będę o tym rozmawiał. Nie chcę mieć nic wspólnego z tą sprawą.

W oczach Dany zabłyśły łzy.

- Stephen mówił, że powinniśmy powiedzieć prawdę.

- Pieprzę Stephena! Zapomnij o mnie, w ogóle nie wymieniaj mojego imienia! Nie chcę go słyszeć ani razu! Rozumiesz? Ani razu!

Thomas kilka razy dźgnął palcem powietrze dla podkreślenia swoich słów, przeszedł do jadalni i zakotwiczył się w przejściu. Kiedy przebrzmiały jego wrzaski, w mieszkaniu nagle zapadła martwa cisza. Dana otarła łzy z oczu i odchrząknęła. Odezwała się bardzo cicho, jakby nie chciała, żeby Thomas ją słyszał:

- Stephen mówił, że wszystko będzie w porządku, jeśli zgodzimy się współpracować.

- Trwa dochodzenie w sprawie zabójstwa, Dano. Policja nie zamierza przyskrzynić ani ciebie, ani Thomasa. Będzie tylko wypytywała o twoje spotkanie z Faustyną. Rozumiesz?

Zerknęła przez ramię, by upewnić się, że Thomas nie podsłuchuje, po czym wyjaśniła jeszcze ciszej:

- To on robił te zdjęcia. Jest naprawdę bardzo dobrym fotografem. Prowadzimy płątną stronę internetową z moimi zdjęciami. Thomas szykuje właśnie reklamę do największych portali. Świetnie się na tym zna.

Pokiwałem głową, uświadamiając sobie powód tych wyznań. Wszystkie jej oczekiwania związane z Thomasem opierały się na nadziei, że Stephen ich nie okłamał i rzeczywiście wszystko będzie w porządku.

- Przyjrzyj się tej fotografii, Dano - powiedziałem, wyjmując z kieszeni pośmiertne zdjęcie Faustyny.

Zadawałem jej dokładnie te same pytania co pozostałym dziewczynom. I jej Faustyna zapłacił za wspólną modlitwę o jego rozgrzeszenie. Nie powiedział nic o sobie, nie wyjawiał powodów wizyty w Los Angeles; nie uprawiali seksu, a kiedy skończyli się modlić, odprowadził ją do drzwi. W czasie spędzonej wspólnie godziny nie powiedział, ani skąd pochodzi, ani co robi w mieście i jak długo zamierza tu zostać; nie wymienił żadnego nazwiska czy nazwy firmy. Jej relacja tylko w jednym szczególe różniła się od dwóch wcześniejszych. Pod koniec spotkania Dana zapytała Faustynę, dlaczego tak bardzo pragnie rozgrzeszenia. Chyba jeszcze niezbyt długo pracowała w agencji i nie zubożyła całkiem na problemy klientów.

- I co odpowiedział? - zaciekawilem się.

- Że to z powodu nadmiaru miłości.

- Zapytałaś go, czemu pragnie boskiego przebaczenia, a on odparł, że z nadmiaru miłości?

- Tak. Czy to nie smutne?

- Wobec kogo lub czego okazał ten nadmiar miłości? Czy chodziło o kobietę, którą spotkał tylko raz i już nigdy więcej jej nie widział? A może o syna, którego w ogóle nie znał?

- Nie wiem. Zapytałam, jak można kogoś za bardzo kochać. Przecież miłość to wspaniała rzecz i nie trzeba za nią prosić o przebaczenie. No, wiesz, chciałam, żeby poczuł się trochę lepiej. Ale odparł, że miłość może być okropna, może być jak Piąty Jeździec i zabić tak samo jak pozostałych czterech. Nagle zaczął płakać. Poczułam się tak podle, widząc jego łzy, że sama zaczęłam płakać. Zarzuciłam mu ręce na szyję, żeby go objąć i przytulić, ale on nie życzył sobie żadnego bliższego kontaktu. Szybko uwolnił się z moich objęć, ścisnął mnie tylko za ręce i powiedział, żebyśmy lepiej pomodlili się jeszcze trochę. Grzecznie mnie o to poprosił, tłumacząc, że tylko modlitwa może mu przynieść ulgę. Więc pomodliliśmy się jeszcze trochę. A ja wtedy nawet nie miałam pojęcia, o co mu chodziło. Dopiero później Thomas mi wyjaśnił.

- Chodziło o tego Piątego Jeźdźca - odezwał się cicho Thomas, wchodząc na krok w głąb pokoju. Zatrzymał się jednak w przejściu do jadalni. - Dana nic nie wiedziała o Czterech Jeźdźcach Apokalipsy, musiałem więc jej wytłumaczyć, dlaczego mówił o piątym.

Czterema Jeźdźcami Apokalipsy nazywano wojnę, zarazę, pomór i głód, cztery plagi, które mogły zniszczyć cały świat. Herbert Faustyna dołączył do nich jeszcze piątą.

Thomas spojrział na Danę i przeniósł wzrok na mnie.

- Nic nie wiemy na temat morderstwa. Ona nie uprawiała z nim seksu ani nie nagabywała go na ulicy, więc odpada zarzut prostytutki. A przecież nie łamie się prawa, biorąc od kogoś pieniądze za wspólną modlitwę, prawda?

- Zgadza się. Nikt nie ucierpiał, więc nie może być mowy o winie.

- To jak mogą się do mnie dobrać za to, że ją odwiozłem na wspólną modlitwę?

- Nie mogą.

- No to w porządku.

Pokiwał głową, jakby wciąż się nad czymś zastanawiał, wreszcie rzucił nieoczekiwanie:

- Dobra. Ten gość miał brązowy samochód.

Dana wytrzeszczyła na niego oczy.

- Thomas...

Uciszył ją, podnosząc w górę palec.

- Skoro ten, dupek, Stephen, chce mnie w to wciągnąć, muszę się jakoś zabezpieczyć, no nie? W końcu zawiozłem cię tylko na wspólną modlitwę, więc jeśli teraz będę współpracował z policją, nic mi nie grozi. W życiu nie ma nic za darmo, a ja za żadne skarby nie wrócę do więzienia. Będę wzorowym, uczciwym obywatelem. Więc ten gość jeździł brązową hondą accord. Brakowało jej stłuczonej osłony tylnego lewego światła i miała duże wgniecenie na przednim błotniku i drzwiach od strony kierowcy.

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem, po czym spojrzałem na Danę, która przybrała obojętny wyraz twarzy, jakby w ogóle nie miała pojęcia, o czym on mówi.

- Byłaś w jego samochodzie? Zabrał cię dokądś?

- Nigdzie z nim nie jeździła. Kiedy skończyli się razem modlić, wyszła z pokoju i wsiadła do samochodu... mojego samochodu. Opowiedziała mi o tym, co robili, a ja jej wytłumaczyłem, o co chodziło z tym Piątym Jeźdźcem. Zaczęliśmy się potem zastanawiać, co robić dalej, czy jechać gdzieś na kolację i na drinka, czy wracać do domu, gdy ona nagle powiedziała: „Spójrz. To ten facet”.

Dana energicznie przytaknęła ruchem głowy, jakby dopiero teraz to sobie przypomniała.

- Zgadza się. Wtedy Faustyna wyszedł z motelu.

Thomas ponownie uciszył ją, podnosząc dłoń z palcem wymierzonym w sufit. To on pierwszy zaczął mówić i teraz czuł się jak na scenie przed publicznością. Nic go nie było w stanie powstrzymać.

- Przyjrzałem mu się uważnie, bo ciekawiło mnie, co to za kutas, który z dziewczyną tylko się modlił. A on wsiadł do samochodu i odjechał. Stąd wiem, że miał brązową hondę.

- Nie widziałeś numerów rejestracyjnych?

- Skądże. Patrzyłem tylko na tego nadętego palanta, który się modlił i błagał o przebaczenie.

- Nie wiesz także, czy wóz był zarejestrowany w Kalifornii?

- Mówię, że nawet nie spojrzałem na tablicę. Kiedy wycofywał na parking, zauważyłem stłuczoną osłonę i wgłębienie z przodu. No i to, że samochód był strasznie brudny. Powiedziałem do Dany: „Spójrz, jakim złomem jeździ ten palant”. No bo jak kogoś stać na dwieście dolarów dla dziewczyny na telefon, to stać go i na myjnię.

Poczułem nagle przypływ nadziei. Brązowe hondy accord były tu pospolite jak pchły piaskowe, ale wóz ze stłuczoną osłoną tylnego światła i dużym wgnieceniem z przodu już się wyróżniał. Poza tym, wgnieciony błotnik oznaczał, że nie mógł to być samochód z wypożyczalni.

- W porządku. Co było dalej?

- Nic. A jak ci się zdaje? Odjechał, a my ruszyliśmy do Stephena, żeby mu odpalić jego działkę. Wypaliliśmy po skrócie i wróciliśmy do domu. Stephen był cały w skowronkach, że od razu dostał forszę. Zawsze trzyma w domu trochę niezłego towaru.

Thomas uśmiechnął się chytrze, mówiąc o marihuanie, jakby w ten sposób chciał się odegrać na Stephenie za to, że wpłatał go w sprawę morderstwa. Nie wątpiłem, że policji również nie omieszka o tym wspomnieć.

Pomyślałem, że trzeba jak najszybciej powiadomić Diaz o samochodzie Faustyny. Jeśli wciąż znajdował się gdzieś w mieście, mógł go odnaleźć któryś z patroli, a wówczas łatwo byłoby zidentyfikować właściciela na podstawie numerów rejestracyjnych. A jeśli nadal jeździł nim zabójca, jest szansa na jego schwytanie.

Podziękowałem i ruszyłem już do wyjścia, gdy mój wzrok padł na zdjęcia stojące na regale. Przyjrzałem im się po raz kolejny. Tymczasem Dana podeszła do Thomasa i wzięła go za rękę.

- Faustyna był w błędzie, traktując miłość jak Piątego Jeźdźca Apokalipsy - powiedziałem.

Wyszedłem od nich, wsiadłem do samochodu i zadzwoniłem do Diaz. Przyszło mi do głowy, że jeśli jej nie zastanę, zadzwonię do Starkey, ale odebrała po trzecim sygnale.

- To ty, Cole? - zapytała. - Próbuję się z tobą skontaktować już od godziny.

Rosła we mnie nienawiść do mojego telefonu komórkowego.

- Zdobyłem opis samochodu zabitego. Jeździł...

- Już znamy jego personalia. Beckett ustalił je na podstawie implantów stawów biodrowych. Wiemy już, kim naprawdę był Herbert Faustyna.

NN nr 05-1642, znany także jako Herbert Faustyna, na podstawie wszczepionych przed laty implantów został zidentyfikowany jako George Llewelyn Reinnike pochodzący z Anson w Kalifornii. Poprosiłem Diaz, by przeliterowała jego nazwisko, a ona zaproponowała, żebym przyjechał na komendę, to mi udostępni pełny raport. To były wspaniałe nowiny. Opanowała mnie po nich taka radość, że nie spostrzegłem, iż jestem śledzony.

20

Główna Miejska Komenda Policji mieści się w śródmieściu Los Angeles, przy Sixth Street, kilka przecznic na południe od Harbor Freeway, a więc niedaleko miejsca zbrodni. Nowoczesny pięciopiętrowy budynek robi wrażenie karła w porównaniu z otaczającymi go drapaczami chmur. Codziennie specjalnie

szkolone psy sprawdzają go w poszukiwaniu bomb, jako że stacjonuje tu także brygada antyterrorystyczna oraz elitarna jednostka Metro do tłumienia zamieszek.

Zostawiłem wóz na parkingu przeznaczonym dla gości i wszedłem do środka głównym wejściem od strony Sixth Street, ale musiałem poczekać w holu na Diaz. Tyle że gdy rozsunęły się drzwi windy, ujrzałem w niej Parady'ego. Stał wyprężony niczym struna, jakby miał za ciasny garnitur, i ze wszystkich sił usiłował nie patrzeć na mnie. Pod skórą mięśnie dolnej szczęki chodziły mu tak, jakby ssał kwaśny cukierek.

- No, wskakuj - burknął.

Wsiadłem. Pospiesznie wcisnął guzik drzwi, jakby się bał, że wsiądzie ktoś jeszcze, po czym sztywno obrócił się w moją stronę, nadal prężąc ramiona.

- Mogłeś złożyć na mnie skargę, ale nie zrobiłeś tego. Chcę zatem, byś wiedział, że to doceniam. Działalem bezprawnie.

Zawahał się, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale po chwili odwrócił się do drzwi. Czasami nawet ktoś taki jak on potrafi człowieka zaskoczyć.

- Zachował pan klasę, detektywie. Dziękuję.

Skinął głową, wciąż unikając mojego spojrzenia, ale wyraźnie się rozluźnił.

- Rozmawiałem dziś rano z Goldenem. Odwaliłeś kawał dobrej roboty, odnajdując go tak szybko. Nie będę pytał, jak to zrobiłeś, ale zgodził się z nami współpracować.

- Odwołałem się do jego poczucia obowiązku społecznego.

- Jasne.

- Dziewczyny, które wysyłał na spotkania z Reinnikiem, także będą współpracować. Liczą na to, że potraktujecie je ulgowo.

- Jeśli nie mają nic wspólnego z morderstwem, to nie powinny się o nic martwić. Mnie interesuje wyłącznie sprawa zabójstwa.

- Wytłumacz im to, a wszystko będzie w porządku.

- Po rozmowie z Goldenem pojechałem do Home Away Suites. Też nie będę cię pytał, jakim cudem zdobyłeś rachunek Reinnikego, ale nie rób tego więcej. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

- Jak najbardziej.

- Diaz prosiła, żebym przymknął oko na twoje metody, a ponieważ mam wobec ciebie dług wdzięczności, możesz to uznać za rewanż.

- Sprawdzaliście numery telefonów, pod które dzwonił Reinnike?

Pardy zamyślił się na krótko.

- Wydzwaniał do prawie wszystkich komend w okolicy. Wciąż łamię sobie głowę, po co.

- Ja też.

Winda stanęła. Kiedy wysiedliśmy, Pardy poprowadził mnie pomalowanym na beżowo korytarzem zastawionym szafkami na akta. Detektywi wydziału zabójstw mieli do dyspozycji kiszkowatą salę ogólną pełną biurków, między którymi pozostawiono tylko wąskie przejścia. Podobnie jak w korytarzu, i tutaj wzdłuż ścian ciągnęły się szafki z aktami.

Diaz siedziała w drugim końcu sali z dwoma śledczymi, którzy wyglądali na podstarzałych domokrażnych sprzedawców dywanów. Pardy z daleka pomachał jej ręką.

- Detektyw Diaz zajmie się tobą. Ja mam pilną robotę papierkową.

Przywitała mnie na środku sali i poprowadziła do swojego stanowiska. Znajdowało się przy ścianie naprzeciwko innego biurka, przy którym siedziała drobniutka jak koliber ciemnoskóra śledcza i półgłosem dopytywała się przez telefon, co było potem, jednocześnie robiąc notatki. Nawet na nas nie spojrzała.

- Siadaj, Cole. Czy nazwisko Reinnike albo miasto Anson w Kalifornii z czymś ci się kojarzą? - zapytała Diaz takim tonem, jakby się spodziewała, że lada chwila nad moją głową zabłyśnie mocna żarówka, a ja wykrzyknę z tęsknotą w głosie: „Tato!”.

- Nie. Wiecie już o nim coś więcej?

- Beckett sprawdził to nazwisko w bazie danych wydziału drogowego, ale niczego nie znalazł, co oznacza, że facet na stałe mieszkał poza granicami stanu albo miał prawo jazdy na jeszcze inne nazwisko.

Naszły mnie obawy, że personalia George’a Llewelyna Reinnikego, podobnie jak Herberta Faustyny, także mogą być fałszywe.

Pardy wrócił z grubym czarnym segregatorem. Była to jego „Księga Zabójstwa”. Jako prowadzący śledztwo miał obowiązek gromadzić w jednej teczce wszelkie raporty, zeznania świadków i opisy znalezionych dowodów rzeczowych, ponieważ była to pierwsza prowadzona przez niego sprawa, zapewne też po raz pierwszy został obarczony odpowiedzialnością za tworzenie tej „księgi”. Usiadł, przełożył nogę przez róg biurka i niemal z nabożną czcią otworzył segregator. Na razie było w nim niewiele dokumentów, ale ich liczba musiała znacznie wzrosnąć w toku śledztwa. Wyjął kilka spiętych razem kartek i podał mi.

- Dobra, Cole. To wstępne wyniki autopsji - wyciągi z archiwum firmy, która wyprodukowała te implanty. Możesz się z nimi zapoznać na miejscu i zrobić notatki, ale nie wolno ci ich kopiować. Takie mamy przepisy.

Chciałem jak najszybciej przystąpić do lektury, ale Diaz położyła rękę na papierach.

- Zaczekaj. Mówiłeś, że udało ci się zdobyć opis samochodu ofiary. Zacznijmy więc od niego.

Pardy skrupulatnie zapisywał wszystkie szczegóły, gdy powtarzałem im opis Thomasa.

- Naprawdę nie widzieli tablicy rejestracyjnej?

Diaz spojrzała na niego ze złością, jakby miała do czynienia z głupkiem.

- Przecież powiedzieliby, gdyby zobaczyli i zapamiętali numer. Mów dalej, Cole. To wszystko?

- Modlili się wspólnie.

Diaz i Pardy popatrzyli na mnie w osłupieniu, mniej więcej tak samo jak ja patrzyłem na Margaret Keyes, gdy się o tym dowiedziałem.

Reinnike nie uprawiał z dziewczynami seksu. Płacił im za to, żeby się razem z nim modliły.

Pardy zaśmiał się krótko.

- To jakaś brednia. Kupujesz takie bajeczki?

- Wszystkie dziewczyny mówiły to samo. Prosił, żeby wspólnie z nim pomodliły się o rozgrzeszenie dla niego.

Oczy Diaz przybrały odcień mrocznego zamglonego horyzontu.

- Dlaczego tak mu zależało na rozgrzeszeniu?

- Tego im nie powiedział.

Pardy zmarszczył brwi i zwrócił się do Diaz:

- Mówię ci, że to jakaś lipa. Golden pewnie kazał wszystkim powtarzać tę bzdurę, żeby uniknąć oskarżenia o stręczycielstwo.

Diaz wciąż wpatrywała się we mnie zamglonym wzrokiem, dopiero po chwili ze zmarszczonym czołem zerknęła na kolegę, jakby rzeczywiście podejrzewała u niego porażenie mózgowe.

- Pamiętasz, ile miał krzyży wytatuowanych na całym ciele? Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by dojść do wniosku, że był fanatykiem religijnym, prawda?

Pardy jęknął głucho i skrzywił się z powątpiewaniem.

- Jak skończymy, spisz dokładnie przebieg rozmów Cole'a z poszczególnymi dziewczynami. Kiedy sam będziesz z nimi rozmawiał, sprawdzisz, czy powtarzają słowo w słowo te

zeznania. Może uda ci się przyłapać je na kłamstwie. Ale na razie przygotuj komunikat o poszukiwanym przez nas samochodzie. Brak osłony tylnego światła i wgniecenie błotnika to rzeczy dość charakterystyczne. Może któremuś z patroli uda się namierzyć ten wóz, jeśli jeszcze jest w mieście.

Pardy wstał i ruszył do swojego biurka, żeby wypełnić formularz. Diaz odprowadziła go wzrokiem i powiedziała:

- Musisz mu wszystko dokładnie zrelacjonować. Powoli i szczegółowo. Jeszcze wolniej, niż pracują Meksykanie.

- O twojej pracy też tak mówią, Diaz?

Zaśmiała się krótko, wzięła ode mnie spięte kartki i zaczęła je przerzucać.

- Nie musisz tego wszystkiego czytać. Tylko to cię zainteresuje...

Oddała mi dokumenty otwarte na faksie adresowanym do Becketta, a pochodzącym z Penzler Surgical Orthopaedics Company w East Lansing, Michigan.

Szanowny panie Beckett,

Nawiązuję do naszej rozmowy telefonicznej dotyczącej części nr HSO-5227/HSO-5228:

Części te stanowią komplet (obustronnie odwrócony) implantów stawów biodrowych i zostały wyprodukowane w naszej firmie 16 października 1946 r. (patrz dołączony opis techniczny). W rejestrze z naszego archiwum znajdują się następujące informacje:

Przeznaczenie: Szpital Dziecięcy Andrew Wattsa, 1800 Mission Boulevard, San Diego, Kalifornia

Chirurg prowadzący: Dr Randy Sherman, Szpital Dziecięcy Andrew Wattsa, 1800 Mission Boulevard, San Diego, Kalifornia

Pacjent: George Llewelyn Reinnike, 15612 L Street, NW, Anson, Kalifornia

Stan pacjenta: Zespół biodr. Perthesa, dr. odkształt, zab. funkc.,
utr. ruchu. Oper. 20.06.47 w m. / Sherman, (patrz załącznik)

To wszystkie informacje znajdujące się w naszym archiwum.
Proszę się kontaktować w razie konieczności dalszych wyjaśnień.

Szczerze oddana,

Dr Med. Edith Stone,

V-ce Prezes Działu Sprzedaży

Zapisałem sobie adres Reinnikego, nazwisko chirurga i nazwę szpitala. Na drugiej stronie znajdował się przypominający tekst ulotki reklamowej opis choroby zwanej zespołem Perthesa. Było to zwyrodnieniowe schorzenie stawów biodrowych prowadzące u małych dzieci do osłabienia wydolności ud. Podobnymi implantami wzmocniano kości udowe, co miało zapobiegać dalszemu zwyrodnieniu stawów.

W oczekiwaniu na Pardy'ego Diaz pozwoliła mi się też zapoznać z wynikami autopsji. Bezpośrednią przyczyną śmierci była rana postrzałowa w lewej części klatki piersiowej, kula spowodowała złamanie dwóch żeber, przerwanie rdzenia kręgowego i rozerwanie dwóch ważnych naczyń. George Llewelyn Reinnike zmarł na skutek silnego krwotoku wewnętrznego. Z jego ciała wydobyto części pocisku kalibru 9,65 milimetra w miedzianym płaszczu, który pękł w zderzeniu z kręgosłupem. Patolog nie znalazł śladów nasienia w cewce moczowej, odbytnicy oraz żołądka, na penisie nie było resztek śluzą pochwowego, co oznaczało, że denat w ostatnim czasie nie miał żadnych kontaktów seksualnych. Wyniki analizy krwi nie wyróżniały się niczym szczególnym, nie było w niej śladów narkotyków, wskazywały jednak na posuniętą marskość wątroby, świadcząca, że denat nadużywał alkoholu. Zatem Reinnike nie szukał w mrocznym zaułku ani narkotyków, ani seksu. Wcześniej odebrał telefon, co skłoniło go do skrócenia wspólnych modlitw, po czym

zapewne pojechał do śródmieścia na spotkanie z kimś. Byłem prawie pewien, że to, co się stało w alejce, nie było wynikiem przypadkowej napaści.

Pardy wrócił, gdy już kończyłem czytać, i przysiadł na rogu biurka.

- Jeszcze coś - powiedziałem. - Dziewczyna, która była z nim w wieczór poprzedzający zabójstwo, powiedziała, że Reinnike odebrał telefon w trakcie ich wspólnej modlitwy, przez co skrócił jej wizytę. Odebrał tę rozmowę przez telefon komórkowy. Nie znaleźliście przy zwłokach komórki?

Wymienili szybkie spojrzenia i Diaz pokręciła głową, a Pardy wzruszył ramionami.

- Może zostawił ją w samochodzie. Poszukamy jej, gdy wóz się odnajdzie.

Diaz pochyliła się nad biurkiem, ale zaraz wstała.

- No, dobra. Nie muszę dłużej przy was siedzieć, chcę się zająć swoją sprawą. Pardy, wiesz, co robić, prawda?

- Jasne. Zamierzam przygwoździć mordercę.

- Mam nadzieję, że wszyscy rozumiemy, iż łączy nas dwukierunkowa wymiana informacji. Zgadza się? Nikt nie zgłasza żadnych zastrzeżeń?

Pardy ponownie zagryzł zęby, jak w windzie.

- Mnie interesuje wyłącznie zabójca, Cole. Dopóki twoje działania nie będą szkodziły mojemu dochodzeniu, masz wolną rękę. A jeśli uda ci się odkryć coś, co pomoże w śledztwie, tym lepiej dla nas.

Diaz spojrzała na mnie znacząco.

- Zadowolony?

- Zachwycony. No i wdzięczny.

- Spadam. Tylko pamiętaj: jak na coś natrafisz, od razu informuj.

Zostawiła nas przy swoim biurku. Pardy zsunął się z blatu, obszedł dookoła i zajął miejsce na jej krześle.

- W porządku, Cole. Gadaj, czego się dowiedziałeś od tych dziwek.

Złożyłem mu szczegółową relację. Podczas rozmowy wciąż myślałem o Diaz. Zapomniałem ją zapytać, czy odnalazła tego świadka, którego szukała, podejrzewałem jednak, że nie. Czasami za żadne skarby nie można odszukać jakiejś osoby. A bywa też, kiedy wystarczająco długo prowadzi się poszukiwania, że człowiek zdaje sobie w końcu sprawę, iż szukana osoba istniała tylko w jego wyobraźni.

21

Koszmar

Frederick z trudem opanował dreszcz wściekłości, która nim kierowała. Payne nas zdradził i teraz będzie miał ze mną do czynienia. Wszedł do budki telefonicznej przed sklepem całodobowym znajdującym się naprzeciwko motelu Home Away Suites. W słuchawce rozległ się głos poirytowanego mężczyzny, który najwyraźniej nie cierpi odbierania telefonów.

- Home Away Suites, Toluca Lake.

Ledwie go było słyhać przez szum nasilonego ruchu na autostradzie.

- Och... Czy mógłbym rozmawiać z panem... eee... Payne'em Kellerem? Zatrzymał się u was, ale nie wiem, w którym pokoju.

- Zaraz Sprawdzę.

- Nie wiem, czy...

- Nie mamy gościa o tym nazwisku.

- Aha, więc...

- Mogę panu jeszcze czymś służyć?

Frederick wyczuł zniecierpliwienie rozmówcy, ale miał pustkę w głowie.

- Och, Payne...

- Przykro mi, ale nikt taki u nas nie mieszka.

Odwiesił słuchawkę, wszedł do sklepu, kupił puszkę dietetycznej coli i wrócił do samochodu. Wcześniej objechał cały parking przed motelem, ale nigdzie nie dostrzegł samochodu Payne'a. Podejrzewał, że zameldował się pod fikcyjnym nazwiskiem. Obok sklepu znajdowała się stacja benzynowa sieci Mobil. Podjechał do dystrybutora, zajrzał na stanowiska obsługi i podszedł do technika zmieniającego filtr oleju w nissanie sentra.

- Cześć. Nie masz zbędnego kartonu? Potrzebne mi pudełko mniej więcej tej wielkości. - Frederick rozsunął dłonie na odległość jakichś dwudziestu pięciu centymetrów.

Technik bez słowa podał mu z regału opakowanie po filtrze powietrza. Frederick pogrzebał pod siedzeniem półciężarówki i wyciągnął zepsutą pompę elektryczną i flanelową koszulę, której używał, dopóki nie rozerwał kieszonki na piersi. Nie miała plakietki z nazwą sieci Mobil bądź stacji Payne's Gas & Car Care, ale była granatowa, poplamiona smarami i mogła uchodzić za część firmowego stroju roboczego. W dodatku po prawej stronie na piersi znajdowała się naszywka z jego imieniem: „Frederick”.

Zapakował pompę do pudełka, przebrał się w tę koszulę i znów podjechał pod motel. Wkroczył do lobby, trzymając karton pod pachą, i uśmiechnął się do recepcjonisty, młodego chłopaka z zaczerwienionymi krostami trądziku na brodzie. Plakietka na marynarce przedstawiała go jako Jamesa Kramera.

Frederick z hukiem postawił pudełko na kontuarze.

- Pracuję na stacji obsługi Mobilu po drugiej stronie ulicy. Przyniosłem naprawioną pompę dla tego faceta z wytatuowanymi

krzyżami. Nie pamiętam, jak on się nazywa. Prosił, żeby go zawiadomić, jak będzie gotowa.

Z pozornie obojętną miną przyglądał się uważnie recepcjoniście, chcąc odgadnąć po wyrazie jego twarzy, czy pamięta gościa z tatuażami.

- Zapłacił ci za tę robotę? - zapytał Kramer.

- Nie. Jeszcze nie.

- To masz pecha. Facet został zabity. Gliny nie dają nam spokoju.

Frederick stał bez ruchu, wciąż tak samo uśmiechnięty, z miną głupkowatego prostaczka.

- Co powiedziałaś?

Recepcjonista ułożył dłoń na kształt pistoletu, machnął kciukiem i syknął przez zęby.

- Zameldował się jako Faustyna, ale to nie było jego prawdziwe nazwisko. Ktoś go załatwił. Zrobiła się z tego wielka afera, chłopie. Mamy na karku nie tylko policję, ale i reporterów z programu kryminalnego telewizji, a nawet prywatnych detektywów.

W głowie Fredericka znów zaczęły się przekrzykiwać różne głosy, które zlewały się ze sobą, przypominając szum morza nocą. Kramer dalej coś mówił, ale on go nie słyszał. Nie potrafi nawet ocenić, ile czasu minęło, zanim odzyskał słuch.

- ...wczoraj przez cały dzień, ale powiedzieli, że jeszcze wróca. A największy cyrk był z tymi z telewizji, z programu CSI...

- Payne nie żyje? - wybąkał Frederick.

- Jaki Payne?

- Więc jak się nazywał ten facet?

- Herbert Faustyna, ten z wytatuowanymi krzyżami. Ktoś go zamordował. Gliniarze kazali sporządzić nam listę wszystkich

osób, które z nim rozmawiały bądź przyjeżdżały na spotkanie, więc pewnie i ty będziesz musiał złożyć zeznania.

Frederick nadal nie potrafił zapanować nad mętlikiem w głowie. Oczyma wyobraźni widział siebie, jak idzie przez motelowe lobby z obrzynkiem w dłoniach, strzela Kramerowi między oczy, a potem jeszcze podtyka mu strzelbę pod brodę i strzela drugi raz, żeby nikt nie rozpoznał rysów twarzy zabitego. Miał wrażenie, że ogląda tę scenę jako bierny obserwator, dopóki słowa recepcjonisty nie przywołały go do rzeczywistości.

- ...jeden facet, który przedstawił się jako gliniarz, ale od razu go rozpoznałem. Pamiętasz tę głośną sprawę z zakładnikami z ostatniej jesieni, która zakończyła się strzelaniną w Santa Monica? To był on. Udawał policjanta, jakby się łudził, że nie rozpoznam go ze zdjęć w gazetach.

- Dopytywał się o Payne'a?

- O Faustynę. Zjawił się na długo przed glinami, co bardzo im się nie podobało. Zwłaszcza jeden, chyba prowadzący śledztwo, był cholernie wkurzony. Zadawał mnóstwo pytań na temat Faustyny, jeszcze więcej niż Cole.

- Pamiętasz jego nazwisko?

- Chyba Pardy. Tak, detektyw Pardy.

- Nie pytam o gliniarza, tylko tego, który był pierwszy.

- Cole, Elvis Cole. Mogę się założyć, że z jakichś powodów zmienił kiedyś imię i nazwisko. Przypominasz sobie tamtą strzelaninę? To on w ubiegłym roku przed Halloween położył trupem paru facetów. Pamiętasz?

Frederick wybiegł do samochodu, zostawiwszy karton na kontuarze. Cicho fukał przez zaciśnięte zęby. Coś ścisnęło go w piersi, przez co powietrze ze świstem wylatywało z płuc gwałtownymi zrywami. Mimo to napięcie nie słabło, a wręcz przeciwnie, zdawało się narastać, jakby połknął końcówkę węży sprężarki do pompowania kół i jego pierś napęlała się zimnym, rozsadzającym od środka gazem. Oczy zaszyły mu łzami, a broda zaczęła dygotać. Chlipał i popiskiwał, aż dostał czkawki. Czuł się

samotny i przerażony, tak bardzo chciał znowu mieć Payne'a przy sobie, że z żalu boleśnie ścisnęło go w dołku. Wskoczył do szoferki. Tłukąc dłońmi w kierownicę i fotele, mamrotał pod nosem, zapluwał się i zalewał łzami, kopał deskę rozdzielczą, walił w nią pięściami, obejmował rękoma głowę i wył jak dzikie zwierzę. Ulżyło mu dopiero po pewnym czasie. Popatrzył na siebie. Koszulę miał w strzępach, z licznych zadrapań na piersi i brzuchu sączyła się krew. Uprzytomnił sobie, że sam musiał się okaleczyć, ale nie pamiętał, kiedy to się stało.

Kierował nim strach, ale zarazem był coraz bardziej rozwścieczony. Przyszło mu na myśl, że to ten prywatny detektyw musiał zabić Payne'a. A przecież detektywi nie pracują za darmo, ktoś więc musiał mu zlecić brudną robotę i dobrze za nią zapłacić. A Cole jakimś sposobem zidentyfikował Kellera (pewnie przez tego zakłamanego pastora) i zwabił go do Los Angeles.

Nagle ogarnęła go panika, że Payne coś powiedział, zanim Cole uciszył go na zawsze, zapewne przeplatając wyznania modlitwami do Jezusa i błaganiami o litość. W myślach ujrzał tę scenę tak wyraźnie, jakby był jej świadkiem. W chwili zagrożenia Payne musiał w końcu wyjawic ich wieloletnią tajemnicę, pękniętym dojrzałym pomarańczę pod ciężkim buciorem - trzask! - aż miąższ i pestki rozbryzgnęły się na wszystkie strony.

Głowę Fredericka ponownie wypełnił jednostajny szum, uniemożliwiający mu zebranie myśli, jakby teraz tam znalazła się końcówka węża sprężarki, pogrążająca jego umysł w gęstej szarej mgłę. Z całej siły zacisnął palce w kącikach oczu, potem knykciami pouciskał skronie i pociągnął się za uszy. Zrobił to tak mocno, że zalała go fala nieznośnego bólu. Puścił, po czym jeszcze raz je szarpnął.

Szum w głowie przycichł.

Zapewne Cole tropił ich od lat. Jakimś sposobem zidentyfikował Payne'a i skontaktował się z nim, lecz Keller na pewno nie chciał gadać z własnej woli, bo przecież inaczej Cole przyjechałby od razu do Canyon Camino, zamiast węszyć wokół motelu, w którym Payne się zatrzymał. Tak więc ktoś musiał

wynając Cole'a, żeby ich odszukał i zabił. A teraz, gdy Payne już nie żył, detektyw bez wątpienia chciał wykończyć i jego.

Frederick nie widział innego sensownego wyjaśnienia tego, co się stało: Ktoś wydał na nich wyrok. Nadeszła pora zapłaty, której Payne od dawna się obawiał. Pod wpływem nagłego strachu Frederick zapragnął natychmiast ruszyć na południe, żeby pędząc, ile mocy w półciązarówce, jak najszybciej dostać się do Meksyku.

Ale przecież Elvis Cole zabił Payne'a!

Przemknęło mu przez myśl, że mógł go nawet poddać torturom. Wyobrażenia podpowiadała mu, że Payne, wyjąc z bólu, cały czas się modlił o rozgrzeszenie. Pewnie Cole dostał nawet jakąś premię za te tortury. Frederickowi znów łzy napłynęły do oczu, ujrzał przed nimi zniekształcony i rozmyty obraz wydarzeń, jakby rozgrywały się tu, w jego półciązarówce - nagi Payne leżał przywiązany do foteli, jego starcze obwisłe ciało krwawiło z licznych ran, a groźny mroczny cień zadawał mu następne, wyrwijąc cęgami płaty skóry. Keller wrzeszczał przy tym nieznośnie, ale Cole był nieczuły na jego krzyki. Frederick zakrył uszy dłońmi.

- Dość! Dosyc tych wrzasków!

Payne i Cole zniknęli mu sprzed oczu, ale i tak musiało minąć trochę czasu, zanim się uspokoił. Był przerażony, a na myśl o tym, co Cole zrobił Payne'owi, ogarniały go mdłości. Miał ochotę uciekać, ale nie mógł pozwolić, żeby zabójca pokroju Cole'a dalej go tropił. Wiedział, że detektyw nie spocznie, dopóki go nie odnajdzie. Musiał go zatem powstrzymać już teraz, przy okazji każąc mu słono zapłacić za śmierć Kellera.

Nie zastanawiał się dłużej. Przyszło mu jeszcze na myśl, żeby wrócić do motelu i rozprawić się z tym wygadanymszczeniakiem z recepcji, ale odrzucił ten pomysł. Przebrał się, wyjechał z parkingu i znowu stanął przed sklepem całodobowym. Z budki zadzwonił do informacji telefonicznej.

- Jakie miasto?

- Los Angeles.
- Nazwisko abonenta?
- Elvis Cole.
- Nie mam nikogo takiego w spisie abonentów indywidualnych, ale jest Agencja Detektywistyczna Elvise'a Cole'a.
- To mi wystarczy.

Był już całkiem spokojny, gdy zapisywał adres i numer telefonu. Znalazł sobie nowy cel, który przywrócił mu radość życia - tym większą, że przecież miał dokonać zemsty na zabójcy Payne'a,

22

W popołudniowym szczyście ze śródmieścia Los Angeles wylewały się strumienie aut. Z kiepsko oznakowanych wąskich uliczek jednokierunkowych - zorganizowanych na kształt gniazda żmij - wszyscy usiłowali się przedostać do rozszaniowanych z rzadka (i tak samo kiepsko oznakowanych) wjazdów na autostradę, przez co wspomniane uliczki przypominały place parkingowe opróżniające się fala za falą. Piesi poruszali się znacznie szybciej, a ludzie na rowerach podróżowali z zawrotną wręcz prędkością. W takim ścisunku człowiek błyskawicznie pozbywał się złudzeń co do „życia na pasie szybkiego ruchu”.

Ale ja nie przejmowałem się za bardzo korkiem, będąc myślami w innym świecie po tym, jak poznałem prawdziwe personalia i adres rodzinnego domu Faustyny. Chciałem jak najszybciej ruszyć tym tropem, choć zdawałem sobie sprawę, że i on może zaprowadzić w ślepy zaułek. Nie mogłem jednak przestać o tym myśleć i pewnie tylko dlatego nie zauważyłem zbliżającego się człowieka.

- Cześć, kolego! Co tu się dzieje?

Miał wydatne mięśnie, głowę ogoloną do gołej skóry i oczy ukryte za wielkimi ciemnymi okularami w chromowanej oprawce. Zaszedł mnie od tyłu, od strony słońca odbijającego się w bocznym lusterku, podczas gdy skupiałem uwagę na autach stłoczonych przede mną. Musiał się zbliżyć w tłumie przechodniów i dopiero w ostatniej chwili zeskoczyć z krawężnika. Uśmiechał się promiennie, pewnie po to, by kierowcy sąsiednich samochodów pomyśleli, że jesteśmy przyjaciółmi. Na pierwszy rzut oka trzymał w ręku pustą papierową torbę. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że nie jest pusta, a on trzyma dłoń w środku.

Upewnił się, że ją dobrze widzę, po czym lewą ręką otworzył sobie drzwi i wsunął się na prawe siedzenie. Wymierzył we mnie papierową torebkę, trzymając ją na kolanach, żeby przez szybę nie rzucała się w oczy. Wciąż uśmiechał się szeroko.

- Trzymaj obie ręce na kierownicy, skurwielu.

Jeśli ludzie mówią do kogoś „skurwielu”, znaczy to, że nie zamierzają się patyczkować.

- Mam wóz na czwartym biegu. Będę musiał go przerzucić.

Spojrzał na dźwignię biegów i zawahał się przez chwilę, jakbym mu zepsuł z góry przygotowany scenariusz.

- Więc trzymaj jedną rękę na kierownicy, a drugą na drążku, spryciarzu. Chyba się domyślasz, co trzymam w tej torebce?

- Rękę?

- Pieprzoną bombę atomową. Jeśli nie będziesz robił tego, co ci każę, poczujesz ją w brzuchu.

- Jedna ręka na kierownicy, druga na dźwigni zmiany biegów. Słuch mam jeszcze dobry.

- Spójrz w lusterko. Widzisz tę białą toyotę dwa rzędy z tyłu?

Bezpośrednio za mną stała młoda kobieta w zielonym lexusie, ale przez jego szyby mogłem dostrzec zarys białej toyoty. Siedziało w niej dwóch mężczyzn.

- Są z nami?

- Są tak bardzo z nami, bracie, że mogliby ci stratować dupsko. Jeśli przyjdzie ci do łba, żeby pogrywać ze mną nieczysto, przysmażą ci gumy w tym twoim wózku. Rozumiemy się?

Przyjrzałem mu się dokładniej, ale nie zrobił na mnie specjalnego wrażenia. Zgrywał twardziela głównie przez ten ogolony czerep i napakowane mięśnie. Może faktycznie był groźny, ale w moich oczach wyglądał jak podrzędny aktorzyzna, który wygrywa bójki bez większego wysiłku, bo żyje w urojonym świecie, gdzie każda ślicznotka to ubiegłoroczna Miss Czerwca „Playboya”.

- Jak miałbym nie rozumieć, że tamci są gotowi strąlać moje dupsko? A skoro już napędziłeś mi strachu, może raczylibyś powiedzieć, kim jesteś i czego chcesz.

- Komputera Goldeną.

Zerknąłem jeszcze raz we wsteczne lustro. Żaden z facetów w toyocie nie wyglądał na Goldeną, ale nie mogłem być tego pewien.

- Myślisz, że wożę go w bagażniku? Nie mam przy sobie.

- To gdzie jest?

- U mojego przyjaciela w Culver City. Oddałem, mu na przechowanie.

- Świetnie. W takim razie odbierzemy go od przyjaciela.

- Golden was przysłał?

- To już nie twoje zmartwienie.

- Jest w toyocie?

- Lepiej skup się na tym, żebyśmy dojechali do twojego przyjaciela.

Szczęknął kurkiem swojej bomby atomowej, chcąc mi przypomnieć o jej istnieniu, toteż wzruszyłem tylko ramionami.

- W porządku. Jeśli tak ci na tym zależy...

Zrezygnowałem z wjazdu na autostradę i skierowałem się na południe śródmiejskimi uliczkami. Jechało się nimi szybciej.

Dotarcie na miejsce zajęło nam zaledwie godzinę i dwadzieścia minut.

Gdy tylko znaleźliśmy się w Culver City, od razu skręciłem, żeby podjechać na tyły sklepu boczną uliczką przez osiedle, bo obstawa trzymała się tuż za nami. Wołałem nie wskazywać im drogi aż do ostatniej chwili, kiedy będzie już za późno.

- Dokąd jedziesz?

- Mój przyjaciel prowadzi tu mały sklepik. O tej porze jest już zamknięty, ale on na pewno będzie wciąż na zapleczu z komputerem Goldena.

- Jak się ten dupek nazywa?

- Joe.

- Jeśli przysporzy nam jakichś kłopotów, i jemu osmalimy dupsko.

- Rozumiem. W końcu to ty trzymasz mnie na muszce.

- No właśnie. Nie zapominaj o tym.

Skręciłem w alejkę dojazdową na tyłach pawilonu, w którym mieścił się sklep Pike'a, i zatrzymałem wóz na wprost drzwi dostawczych, między błyszczącym czerwonym dżipem Joego z lewej i świeżo umytą półciężarówką Chevroleta z prawej. Biała toyota stanęła tuż za mną, blokując wyjazd. Spojrzałem na mały szary wizjer znajdujący się w tylnych drzwiach sklepu.

- Dobra - powiedziałem. - Jesteśmy na miejscu.

Mój pasażer utkwiał spojrzenie w tablicy wiszącej nad drzwiami, która głosiła:

BROŃ PALNA

Z BRONIĄ WITAM NIEPROSZONYCH GOŚCI

- Co jest, do kurwy? Przecież to sklep z bronią.

- Zgadza się. Mój przyjaciel prowadzi kilka różnych interesów.

Dwa razy krótko nacisnąłem klakson i człowiek błyskawicznie osunął się na fotelu, wyciągając papierową torbę w moim kierunku.

- Co robisz, kretynie?! Kurwa mać!

- Spokojnie. Joe nikomu nie otwiera po zamknięciu sklepu. Muszę mu dać znać, żeby przeszedł na zaplecze. Co z tobą? Zależy ci na tym komputerze czy nie?

Czekałem z rękoma ułożonymi na kierownicy, aż, wreszcie machnął rewolwerem w torbie, żebym wysiadł. Zrobiłem to powoli. On wysiadł z drugiej strony i razem podeszliśmy do drzwi. Śmiało stanąłem na wprost nich, on jednak z boku przywarł plecami do ściany, żeby przez wizjer nie można było go zobaczyć. Przypomniałem sobie, że Pike zajął dokładnie taką samą pozycję, kiedy stanęliśmy przed domem Goldeny.

- Mogę zapukać? - spytałem.

- Byle szybko. Pukaj, do cholery.

- Wykonywałeś już kiedyś takie zlecenia?

- Pukaj, kutasie.

Zrobił to za mnie. Trzy razy załomotał lewą pięścią w drzwi - Bum! Bum! Bum! - znów wymierzywszy we mnie papierową torbę. Zaraz po trzecim uderzeniu Pike wyrósł za jego plecami jak spod ziemi. Błyskawicznie poderwał mu w górę rękę trzymaną w torbie i mocno wykręcił ją do tyłu.

Facet nie zdążył się nawet zorientować, co się dzieje. A kiedy impet szarpnięcia zmusił go do pochylecia głowy, Joe pchnął go z całej siły twarzą w tylny zderzak półciężarówki. Rozległ się odgłos przypominający trzask pękającego melona zrzuconego z dachu na chodnik. Tymczasem dwaj pomocnicy Pike'a wyciągnęli obu gości z toyoty i pod bronią kazali im się wyciągnąć na ziemi. Byli uzbrojeni w czarne sig saury kalibru 11,43 milimetra, a

świetnie wiedziałem, że obaj potrafili zakasować każdego tutejszego gliniarza w strzelaniu do tarczy na maksymalnym dystansie. Poważnie.

Podniosłem z ziemi torbę i pokazałem Joemu, co było w środku: zgrabny mały rewolwerek kalibru 9,65 milimetra z krótką lufą.

- To broń Goldena - powiedziałem.

- Zgadza się.

Pike ściągnął napastnika ze zderzaka i obrócił twarzą do nas. Był cały zalany krwią. Próbował przycisnąć do ciała złamaną rękę, ale Joe trzymał go mocno pod ramię. Przykucnąłem, żeby spojrzeć mu prosto w oczy, i dostrzegłem czający się w nich strach.

- Jak się nazywasz?

- Rick.

- Dobra, Rick. Zadarłeś z zawodowcami, a więc to ty wyszedłeś na kretyna. Rozumiesz, co to oznacza?

Smętnie pokiwał głową. Odniosłem wrażenie, że ledwie się powstrzymuje od płaczu.

- Co miałeś zrobić, jak już odbierzesz mi komputer? Od razu zawieźć go Goldenowi czy wcześniej zadzwonić?

- Zadzwonić.

- Zatem Golden czeka na wiadomość od ciebie?

- Tak.

- Pozwól mu zadzwonić, Joe.

W kieszeni Ricka znalazłem srebrzystą komórkę Samsunga. Podąłem mu, kazałem odczytać z pamięci numer Goldena i wybrać połączenie. Kiedy to zrobił, zabrałem mu aparat.

- Zapłaciłeś ubezpieczenie za tych zbirów, których na mnie nasłałeś?

- Kto mówi?

- Dwaj idioci z toyoty leżą wyciągnięci na ziemi, a Rick ma złamaną rękę. Nos chyba też. Chcesz, żebym osobiście zdał ci relację, jak do tego doszło?

Chyba dopiero teraz zrozumiał, z kim rozmawia, bo na linii zaległa martwa cisza. Prawda docierała do niego powoli.

- Obiecałeś, że oddasz mi komputer.

- Po tym, jak dziewczyny złożą zeznania na policji i potwierdzą to wszystko, co mi powiedziały. Dostaniesz go dopiero wtedy, jak się upewnię, że wszystko jest w porządku.

- Bez komputera nie mogę prowadzić interesu.

- Jakoś to przeżyjesz. Nie dociera do ciebie, Stephen, że mogłaby cię spotkać surowsza kara?

- Tak, rozumiem.

- Muszę ci tłumaczyć, jak zareagowałby detektyw Pardy, gdyby się dowiedział, że nasłałeś na mnie bandziorów?

- Nie chciałem, żeby cię skrzywdzili. Mieli tylko odebrać mój komputer.

- No to go nie odebrali.

- Bez komputera nie mogę zarabiać na życie. Chcesz za niego trochę forsy? Mogę go od ciebie odkupić. Ile?

Przerwałem połączenie i pokręciłem głową. Ten gość nie przestawał mnie zadziwiać.

- Co mam z nimi zrobić? - zapytał Pike.

Rozbroiliśmy ich, zrobiliśmy im zdjęcia, zabraliśmy dokumenty i puściliśmy wolno. Kiedy odjechali, Joe odprowadził mnie do samochodu i popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem. Niebo ciemniało, chciałem jak najszybciej wracać do domu.

- Mogę cię o coś zapytać? - mruknął Pike.

Czekałem w milczeniu.

- Jak to się stało, że amator pokroju Ricka zdołał osiągnąć aż tak wiele?

Opowiedziałem mu pokrótce o przebiegu rozmów z Pardym i Diaz, o tym, czego się dowiedziałem na temat George'a Reinnikego. Rick zdołał osiągnąć tak wiele, bo nie zwracałem uwagi na otoczenie, całkowicie pochłonięty myślami o Reinnikiem.

Joe nie skomentował tego. Jeszcze raz popatrzył na mnie takim wzrokiem, że gdzieś w głębi duszy poczułem rodzący się wstyd.

23

Drapieżca

Dowiedziawszy się w informacji telefonicznej, że Agencja Detektywistyczna Elvisa Cole'a mieści się przy Santa Monica Boulevard, Frederick postanowił nie dzwonić, bo byłoby to tylko zbędne ostrzeżenie, lecz od razu tam pojechać. Znalazł wolne miejsce przy krawężniku w bocznej uliczce dwie przecznice od podanego adresu, zaparkował i ruszył dalej pieszo, niosąc pod pachą futerał z obrzynkiem. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Zawsze sprawiała mu radość myśl, że ludzie zapewne uważają, iż niesie jakiś instrument muzyczny, siatkę z długim drążkiem do czyszczenia basenów albo wędkę. Pod tym względem wszyscy odznaczyli się dziecinną naiwnością.

Odnalazł biuro Cole'a w starej pięciopiętrowej kamienicy utrzymanej w stylu hiszpańskim. Z ulicy wchodziło się do wąskiego lobby, w którym znajdowały się schody i archaiczna winda. Na wprost niej wisiała tablica informacyjna. Agencja detektywistyczna najmowała lokal na trzecim piętrze.

Frederick wszedł do windy. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, rozpiął suwak futerału. Kiedy winda zatrzymała się na trzecim piętrze, wyszedł na korytarz, ale zawahał się przez

chwile. Serce waliło mu jak młotem i czuł dokuczliwe swędzenie karku. Pospiesznie cofnął się do windy i przytrzymał otwarte drzwi. Nie był pewien, czy detektyw go rozpozna. Gdyby Cole pierwszy go zobaczył, mógłby od razu rzucić się na niego. Chciał działać szybko i zabić detektywa, nim tamten zdąży się zorientować, co się dzieje, ale wyłaniał się pewien problem...

Nie miał pojęcia, jak Cole wygląda.

Z mocno bijącym sercem zamarł w wejściu do windy, widząc w wyobraźni rozległy pokój pełen mężczyzn. Jak miał wśród nich rozpoznać detektywa?

Po krótkim namyśle wyszedł i ruszył w głąb korytarza. Postanowił działać w zależności od rozwoju wydarzeń. Mógł przecież zabić wszystkich obecnych w agencji.

Mijając uchylone drzwi, usłyszał dobiegający zza nich stłumiony kobiecy głos. Poczul się jeszcze bardziej nieswojo. Stanął przed drzwiami agencji, z trudem łapiąc powietrze. Wsunął prawą rękę do futerału, zacisnął dłoń na kolbie i ułożył palec na spuście. Upewnił się też, że strzelba jest odbezpieczona. Lewą ręką złapał gałkę drzwi, która wydawała się wilgotna i śliska.

- Nie ma go - odezwał się ten sam kobiecy głos.

Frederick mocniej objął gałkę i próbował ją obrócić, ale wysliznęła mu się z dłoni.

- Już się tu nie pojawia od czasu tamtego zamieszania.

Gwałtowniej szarpnął gałkę, jednocześnie napierając na drzwi, a po chwili pociągnął je do siebie, ale nie chciały się otworzyć.

- Halo! Proszę pana! - odezwała się głośniejszą kobietą.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że mówi do niego. Była dość młoda, miała elegancką garsonkę i długie paznokcie. Stała w otwartych drzwiach mieszkania naprzeciwko agencji Cole'a. Ponad jej ramieniem Frederick dostrzegł drugą kobietę, starszą,

siedzącą za biurkiem. Pospiesznie wyciągnął rękę z futerału i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Och, dzień dobry. Miałem to dostarczyć panu Cole'owi.

- Bardzo rzadko ostatnio go tu widzujemy. Jeśli pan chce, może pan to zostawić u nas.

- Och, dziękuję, to bardzo miłe z pani strony, ale nie mogę zostawić tej przesyłki. Nie wie pani, czy zastanę go dziś po południu?

Frederickowi nie podobało się spojrzenie, którym kobieta obrzuciła wypchany futerał, jakby próbowała odgadnąć, co jest w środku.

- Nie widziałam go od paru tygodni - odparła. - Powinien chyba częściej zaglądać do swojego biura, ale nigdy nie siedzi tu za długo.

- Aha, rozumiem... No cóż... A nie ma sekretarki albo jakiegoś pomocnika?

- Nie, pracuje sam. Ale i tak może pan zostawić tę przesyłkę u nas. Często odbieramy pocztę pana Cole'a.

Frederick zamyślił się głęboko. Był pewien, że w biurze odnalazłby adres domowy detektywa. Miał ochotę wyważyć zamknięte drzwi agencji, ale przecież nie mógł tego zrobić na oczach świadków. Nie przejmowałyby się nimi, gdyby udało mu się zabić Cole'a. Nie obchodziłoby go, czy ktoś go widział. Nie wątpił jednak, że gdyby przy kobietach wyważył drzwi biura, z pewnością natychmiast zawiadomiłyby właściciela.

- Nie wie pani, gdzie on mieszka? - zapytał.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Skąd miałabym wiedzieć?

- Pomyślałem tylko, że mógłbym dostarczyć mu tę przesyłkę do domu - rzekł Frederick. - Na pewno nie miałby nic przeciwko temu.

- Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc.

Z dumnie zadartą głową odwróciła się do niego tyłem. Suka, pomyślał. Jeszcze raz przekreślił gałkę drzwi agencji, próbując je otworzyć, po czym zawrócił do windy. Postanowił przyjechać tu później, po godzinach urzędowania kobiet, żeby odszukać domowy adres Cole'a.

24

Wróciłem do domu kwadrans po siódmej i natychmiast zacząłem szukać na mapie Kalifornii miasteczka Anson. Odnalazłem drobną czerwoną plamkę przy autostradzie numer 86, na południowy wschód od jeziora Salton Sea. Zadzwoiłem do informacji telefonicznej i zapytałem, czy wśród abonentów miasta Anson figuruje nazwisko Reinnike. Musiałem je przeliterować.

- Nie, proszę pana, w książce nie ma nikogo o takim nazwisku.

Popatrzyłem jeszcze raz na mapę. W sąsiedztwie znajdowały się dwa inne miasteczka.

- A może jest ktoś taki w Alamorio albo Westmorland?

- Nie, przykro mi.

Postanowiłem sprawdzić jeszcze trochę dalej.

- A w Calipatrii?

- Tak, jest. Alex Reinnike mieszka w Calipatrii.

Operatorka przełączyła mnie na komputerowy syntezytor, nim zdążyłem jeszcze cokolwiek powiedzieć, toteż zapisałem podyktowany numer i ponownie zadzwoniłem do informacji. Tym razem podałem od razu kilka nazw miejscowości i poprosiłem, żeby nie przełączała rozmowy.

Trzy minuty później, po sprawdzeniu sześciu nieco oddalonych miast, udało mi się jeszcze natrafić na Edelle Reinnike mieszkającą w Imperial.

Obrzuciłem krytycznym spojrzeniem oba zapisane numery telefonów i poszedłem do kuchni po szklanę wody. Wypiłem ją duszkiem i znów zasiadłem przy telefonie. Ręce mi się trzęsły.

Najpierw zadzwoniłem do Aleksa Reinnikego, bo Calipatria leżała bliżej Anson. Odebrał mężczyzna, który, sądząc po głosie, nie przekroczył czterdziestki. Wysłuchał cierpliwie moich tłumaczeń dotyczących George'a Reinnikego z Anson, po czym zapytał, czy jestem jego krewnym.

Kiedy skończyłem dalszy ciąg wyjaśnień, rzekł:

- Chciałbym ci pomóc, chłopie, ale przeprowadziłem się tu dopiero w ubiegłym roku, w kwietniu, gdy skończyłem służbę w marynarce. Moja rodzina pochodzi z Baltimore. Nie słyszałem, by ktoś w niej nosił imię George.

Podziękowałem mu i zadzwoniłem do Edelle Reinnike.

Dopiero po czwartym sygnale doleciało mnie jej flegmatyczne „Halo?”. Telewizor miała ustawiony tak głośno, że łowiłem wyraźnie każde słowo. Oglądała *Koło fortuny*.

- Halo?! - powtórzyła głośniej. - Kto mówi? Halo!

Musiałem krzyczeć, żeby mnie usłyszała.

- Zaraz, tylko ścisze telewizor. Gdzieś tu miałam pilota. Gdzie on się zapodział?

Seria głośnych pomruków towarzyszyła jej poszukiwaniom, wreszcie telewizor przycichł.

- Kto mówi? - zapytała jeszcze raz kobieta.

- Edelle Reinnike?

- Tak. A kto mówi?

- Nazywam się Cole i dzwonię w sprawie George'a Reinnikego z Anson.

- Ja nie mieszkam w Anson. To trochę dalej, nad samym jeziorem.

- Tak, wiem, proszę pani. Chciałem zapytać, czy zna pani George'a Reinnikego.

- Nie.

- Czy w okolicy mieszkają inni ludzie o nazwisku Reinnike?

- Nie, już nie żyją. Kiedyś mieszkali tu moi krewni, ale zmarli. Ja mam dwóch synów i pięcioro wnucząt, ale od tak dawna ich nie widziałam, że dla mnie też jakby już zmarli. Mieszkają w Egipcie. Nigdy nie słyszałam, żeby jacyś Amerykanie chcieli mieszkać w Egipcie, a jednak oni właśnie tam wyjechali.

Rozmawiający z różnymi ludźmi, można się dowiedzieć wielu zdumiewających rzeczy.

- A czy ktoś z pani zmarłych krewnych mieszkał w Anson?

- Nie - powiedziała, doszedłem więc do wniosku, że się zastanawia.

- To nie jest świeża sprawa, pani Reinnike. George mieszkał w Anson jakieś sześćdziesiąt lat temu. Był wtedy chłopcem, zaledwie paroletnim. W każdym razie przeszedł operację stawów biodrowych.

Na linii wciąż panowała cisza.

- Pani Reinnike?

- Mój dalszy kuzyn miał za młodu coś z nogami. Kiedy spotykaliśmy się w gronie rodziny, zawsze siedział tylko przy rodzicach i nigdy się z nami nie bawił. Mówię o synu mojej ciotki Lity, George'u. Byłam od niego starsza, ale pamiętam, że zawsze tylko siedział w jednym miejscu.

- Zatem знаła pani George'a Reinnikego?

- No tak, tego z chorymi nogami. Oni rzeczywiście mieszkali w Anson. Całkiem o nim zapomniałam. Nie pomyślałabym, że to o niego może panu chodzić.

- Czy George nadal tam mieszka?

- Mój Boże, nie widziałam go od dzieciństwa. Wie pan, nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów. Moi rodzice niezbyt lubili tamtą część rodziny.

- I nie ma pani ich adresu albo numeru telefonu?

- Minęło tyle lat...

- Może znalazłaby pani coś w starym kalendarzyku z telefonami czy rodzinnym albumie. Na przykład świąteczną kartkę z tamtych lat. Ludzie często zostawiają takie drobiazgi na pamiątkę i z czasem o nich zapominają.

- Mam trochę staroci po matce, ale nawet nie wiem, co w nich jest.

- Nie zechciałaby pani do nich zajrzeć?

- Mam też trochę starych zdjęć w szufladzie. Możliwe, że na którymś znalazł się George, ale nie jestem pewna.

Mówiła to bez przekonania, ale przecież nie mogłem oczekiwać, że zaangażuje się w sprawę tak samo jak ja.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pani to sprawdziła. Czy nie miałaby pani nic przeciwko temu, gdybym do pani jutro przyjechał?

- No, nie... Tylko niech mi pan nie próbuje niczego sprzedawać. Nie dam się na nic naciągnąć.

- Oczywiście, proszę pani. Wcale nie chcę pani, niczego sprzedać. Zależy mi wyłącznie na Odnalezieniu George'a.

- No to w porządku. Wy tłumaczę panu, jak dojechać.

Zapisałem jej adres, odłożyłem słuchawkę, ale jeszcze przez jakiś czas stałem przy stole. Ręce nadal mi się trzęsły, lecz już nie tak mocno jak wcześniej.

Jeszcze raz spojrzałem na mapę południowej Kalifornii. Anson leżało w samym sercu odpychającego pustkowia. Naprawdę istniały jakieś szanse? Kiedy byłem dzieckiem, matka zniknęła z domu na kilka dni, czasem na tydzień. Nigdy nie mówiła, dokąd wyjeżdża, ale mieszkaliśmy tak daleko od

południowej Kalifornii, że uznałem to za nieprawdopodobne, by mogła dotrzeć aż tam. Nie miałem jednak żadnej pewności. W końcu znikająca dość często. I dziadek nieraz wynajmował kogoś, żeby ją odszukał.

Ken Wilson

Miami, Floryda

Wilson siedział na ocienionej werandzie swego domu wsłuchany w rechot żab dochodzący z rzeki Banana. Czuł się stary i nikomu niepotrzebny. Ómy wielkości dziecięcej piastki tłukły się o siatkowe drzwi, jedyny element odgradzający go od chmar moskitów i komarów, które wypełniały nocny mrok złowieszczym bzyczeniem. Miał wrażenie, że wystarczyłoby mu tylko wytknąć palec za te drzwi, a obsiadłoby go tyle krwiożerczych potworów, że do świtu wyssałyby z niego całą krew. Chodziło mu nawet po głowie, żeby to zrobić. Byłby to całkiem przyjemny koniec w porównaniu z koszmarem, w jaki zmieniło się jego życie.

Pociągnął łyk szkockiej z wodą sodową i wrócił do przerwanej rozmowy ze swoją zmarłą żoną.

- Nie powinnaś była ode mnie odchodzić, Edie. Postąpiłaś paskudnie, zostawiając mnie samego. Zachowałaś się parszywie. Tylko spójrz na mnie. Siedzę tu teraz całkiem sam. No, spójrz.

Przyszło mu na myśl, żeby dolać sobie whisky, ale nie chciało mu się ruszyć z miejsca. Siedział na werandzie swojego małego domku, który wydawał mu się tak odmieniony po odejściu żony.

Edie pochował trzy tygodnie wcześniej. A była to już jego trzecia żona. Potrzebował trzech prób, żeby wyprostować swoje życie, za to spędził z nią aż dwadzieścia osiem lat i w tym czasie ani razu nawet przez chwilę, nie żałował, że się z nią ożenił. Żałował tylko, że nie mieli dzieci, bo byli już na to za starzy, kiedy się zeszli. Jego pierwsza żona w ogóle nie chciała słyszeć o

dzieciach, a z druga, dzięki Bogu, był za krótko. Zresztą wówczas wcale się tym nie przejmował, mając wiele innych spraw na głowie. Tyle że z wiekiem żal coraz bardziej dawał mu się we znaki. Zwłaszcza po szkockiej.

Dopił whisky, wypluł resztki nieroztopionych kostek lodu i odstawił szklaneczkę na podłogę przy fotelu.

- No, chodź do tatusia - mruknął.

Z szuflady nocnej szafki wyjął rewolwer smith & wesson kalibru 8,13 milimetra i położył go sobie na kolanach. Miał go od czasu powrotu z wojny koreańskiej, zapłacił za niego pięć dolarów w sklepie ze starzyzną w Kansas City. Srebrzysty, z oksydowanym kurkiem i białą bakelitową okładziną kolby, zawsze wydawał mu się za mały do jego wielkiej dłoni, ale jakoś nie mógł się z nim rozstać. Teraz przytknął sobie lufę do skroni i pociągnął za spust. Trzask!

Przed szesnastu laty Wilson sprzedał swoją agencję detektywistyczną i przeszedł na emeryturę. Razem z Edie spakowali rzeczy, przyjechali na południową Florydę i kupili ten skromny domek nad rzeką, głównie dlatego, że jej się bardzo spodobał. Nie sprzeciwiał się jednak. Tamtego dnia, kiedy się pakowali, rozładował rewolwer i od tamtej pory nie widział potrzeby, żeby znów go naładować. Czasy, kiedy pragnął mieć przy biodrze to „maleństwo” na wypadek niepomyślnego przebiegu zdarzeń, minęły bezpowrotnie. Od szesnastu lat broń leżała w szufladzie rozładowana.

Ale i te czasy już minęły.

Wilson miał teraz pudełko nowych ślicznych naboje. Otworzył je, wytrząsnął kilka na otwartą dłoń i postawił pudełko na podłodze przy szklaneczce. Naboje tego kalibru były dość małe, ale powinny świetnie spełnić swoje zadanie. Otworzył zatrzask rewolweru, odchylił bębenek i zaczął powoli ładować naboje. Zapełniwszy wszystkie miejsca, pchnął bębenek do normalnej pozycji, aż zatrzask zaskoczył. Uśmiechnął się, kiedy usłyszał ten cichy metaliczny szczęk.

- No cóż, ta okazja aż się prosi o drinka. Nie sądzisz? - zapytał.

Położył rewolwer na wiklinowym stoliku i wszedł do pokoju, żeby przygotować sobie następną porcję szkockiej z wodą sodową w proporcji jeden do jednego. Miał już wyjść z powrotem na werandę, kiedy zadzwonił telefon. Przeniknęło mu przez myśl, żeby nie odbierać, ale zaraz doszedł do wniosku, że to przecież w niczym mu nie przeszkodzi, bo o tak późnej porze ktoś może dzwonić tylko w ważnej sprawie. Na moment wyobraził sobie nawet, że to dzwoni Edie, zatroskana jego postępowaniem.

Podniósł słuchawkę i odpowiedział tak jak zawsze, chociaż Edie tego nie znosiła, skarżyła się ciągle: „Do diabła, Kenny, przecież to nasz prywatny dom, a nie twoje biurko. Nie mógłbyś mówić «Halo!» jak normalni ludzie?”.

Więc jakby na przekór jej odezwał się jak zwykle:

- Ken Wilson.

- Panie Wilson, tu Elvis Cole. Pamięta mnie pan?

Jak mógłby zapomnieć, mimo że minęło tyle lat od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni? Chłopak miał trochę inny głos, wyraźnie zmeźniał od tamtej pory, ale i tak żywe wspomnienia dopadły Wilsona jak sfora gończych psów tropiących królika.

- Och, do diabła... Co u ciebie słyhać, chłopcze? Jezu, ile to już lat? Osiem, dziewięć? Doskonale cię słyszę, jakbyśmy spotkali się na ulicy.

- Jestem w Los Angeles, panie Wilson. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze.

- Jeszcze nie spałem. Prawdę mówiąc, popijałem whisky i gadałem sam do siebie. W moim wieku człowiek nie ma wiele do roboty. Więc jak ci leci, chłopcze? W czym mogę pomóc?

Postanowił szybko, że nie powie Cole'owi o śmierci Edie, chyba że zapyta o nią wprost. Zresztą i w takim wypadku gotów był skłamać, zasłonić się jakimś wykretem, na przykład, że położyła się już do łóżka. Bał się, że gdy zacznie mówić o

pogrzebie żony, rozplącze się, a miał już serdecznie dosyć płaczu, po prostu nie cierpiał swoich łez.

- Chciałem pana o coś zapytać w związku z moją matką - rzekł Elvis.

A więc jednak wszystko wracało do punktu wyjścia.

- Śmiało. Słucham.

- Wie pan, gdzie znajduje się jezioro Salton Sea?

- Gdzieś koło San Diego, tylko bardziej w głąb lądu, niedaleko granicy meksykańskiej. Zgadza się?

- Tak, leży mniej więcej pośrodku Kalifornii, między oceanem a granicą Arizony.

- No tak. Jasne.

- Czy przypomina pan sobie nazwisko George'a Reinnikego? George'a Llewelyna Reinnikego?

Wilson przygryzł wargi i zamyślił się głęboko, wyteżając pamięć, ale nawet w odległych zakamarkach jego umysłu ciemność pozostała nienaruszona. Z drugiej strony w tych mrocznych odmętach zatoneło wiele nazwisk, zapadły tak głęboko, że nie sposób już było ich wydobyć na powierzchnię.

- Nie, z niczym mi się nie kojarzy. Kto to jest?

- George Reinnike mieszkał w Anson, niewielkim miasteczku nad jeziorem. Kilka dni temu przyjechał do Los Angeles, żeby mnie odnaleźć. Przedwczoraj w nocy został zastrzelony, ale przed śmiercią zdążył jeszcze powiedzieć kilka słów policjantce, która go znalazła. Wyznał, że jest moim ojcem.

Ken przez jakiś czas nie odpowiadał. Chłopak mówił rzeczowo, jak gliniarz przedstawiający fakty na podstawie swoich notatek, ale w tonie jego głosu pobrzmiwały dawne płonne nadzieje. Wilson od lat nie słyszał tej tęsknoty w jego głosie,

- Właściwie dlaczego do mnie dzwonisz, synu? - zapytał ostrożnie.

- Bo znał pan moją matkę.

- Aha.

Wilson nakazał sobie w duchu zachować ostrożność.

- Znał pan ją chyba lepiej niż ja.

- Nie powiedziałbym tego.

- Ale ja tak, panie Wilson. Znałem ją tylko trochę, natomiast pan miał okazję poznać ją od tej strony, która pozostała dla mnie wieczną tajemnicą. Dlatego chciałem zapytać, czy to możliwe, żeby moja matka dotarła aż do południowej Kalifornii i tam poznała tego mężczyznę.

Stary detektyw pomyślał, że chłopak naprawdę jest godzien podziwu. Mimo upływu tylu lat wciąż żył nadzieją na odnalezienie swego ojca.

- Panie Wilson?

- Zastanawiam się.

Pięć razy angażowano go do odszukania chłopaka i za każdym razem odnajdywał go w jakimś wesołym miasteczku, tropiącego ludzi występujących jako żywe kule armatnie, ponieważ jego szurnięta matka - głupia suka regularnie wpadająca w szal niczym pluskwa w piątkową noc - nabiła mu do głowy bzdur na temat cyrkowej kariery jego ojca. Ale przy siedmiu innych okazjach, w tym czterech jeszcze sprzed narodzin Elvisa, jego dziadek zlecał Wilsonowi odszukanie matki chłopaka. Zawsze wymykała się po kryjomu, nie mówiąc, dokąd i po co wyjeżdża. Po prostu którejś nocy znikwała, nie zostawiając żadnej wiadomości. Zazwyczaj wracała, kiedy jej pasowało, i zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, nie licząc tych okazji, kiedy to on ją odnajdywał. Zgodnie z poleceniem jej ojca sprawdzał tylko, czy jest bezpieczna, po czym zawiadamiał go telefonicznie i cierpliwie czekał, aż stary przyjedzie, żeby zabrać córkę. Nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek realizowała jakiś z góry ustalony plan albo by w ogóle miała konkretny cel tych wyjazdów. Najwyraźniej działała pod wpływem nagłego impulsu niczym pies przekopujący się pod płotem w nadziei odzyskania wolności. Na szosie łapała pierwszą lepszą okazję w

tym czy innym kierunku, wędrowała własnymi, chyba nawet sobie nieznanymi ścieżkami, dosłownie gdzie oczy poniosą. Jednej nocy sypiała z włóczęgami i hipisami, następnej z kucharzem, jeśli akurat, udało, jej się dostać pracę kelnerki i znaleźć dach nad głową. I chociaż jeździła tak bez żadnego celu, kilka razy w tych wędrówkach zapuściła się dość daleko, ale raczej nie do południowej Kalifornii. Tylko kto mógł powiedzieć na pewno, że nie była aż w Anson, zanim on ją odnalazł, albo nie trafiła tam podczas ucieczki, o której nawet nie wiedział? W końcu wyruszał jej śladem tylko na wyraźne zlecenie ojca.

- Pamięć mnie już zawodzi, więc nie traktuj ostatecznie tego, co powiem. Nie przypominam sobie ani tego nazwiska, ani nazwy miasteczka. W każdym razie twoja matka nigdy nie wymieniła ani jednego, ani drugiego. Na pewno nigdy tam nie byłem, szukając jej. Ale przecież minęło tyle lat...

- Rozumiem.

- Kilka razy zawędrowała naprawdę daleko, więc pewnie mogłaby dotrzeć i tam, gdyby miała na to ochotę. Nie twierdzę, że to zrobiła, bo tego nie wiem. Lecz jeśli chcesz wiedzieć, czy to w ogóle możliwe, to przyznam, że tak.

- Rozumiem. Muszę zapytać jeszcze o jedną rzecz.

- Pytaj śmiało, o co chcesz.

- Zawsze sądziłem, że ona sama nie wie, kto jest moim ojcem. I byłem przekonany, że on nie ma nawet pojęcia o moim istnieniu...

Wilson domyślił się już, do czego Elvis zmierza, ale nie chciał mu przerywać.

- Zastanawiam się jednak, czy nie mogli utrzymywać ze sobą kontaktu już po moim narodzeniu. Bo przecież tylko w ten sposób Reinnike mógłby się dowiedzieć, jak się nazywam.

Detektyw znów zamyślił się głęboko, gdyż i jemu ta sprawa nie dawała spokoju. Po chwili odpowiedział z ociąganiem:

- Twój dziadek bardzo często przeglądał wszystkie rzeczy twojej matki. Nie myśl tylko, że robił to z wścibstwa. Po prostu był do tego zmuszony. Bez przerwy się bał, że córka któregoś dnia zniknie na zawsze, zostanie zamordowana, dlatego regularnie...

- Nie trzeba go przede mną tłumaczyć, panie Wilson. Dobrze wiem, co przeżywał. Ja przechodziłem mniej więcej to samo.

- Jestem przekonany, że powiedziałby mi, gdyby znalazł jakieś listy od mężczyzny. Zresztą twoja ciotka też stale miała siostrę na oku, lecz ani razu nie słyszałem od niej, by natknęła się na coś podejrzanego. Na pewno powiedzieliby mi o tym, zwłaszcza gdy i ty zacząłeś uciekać z domu...

- Pewnie tak - przerwał mu Cole.

- Z drugiej strony, jeśli dwoje ludzi pragnie utrzymać ze sobą kontakt, są gotowi prawie na wszystko. Moim zdaniem to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę charakter twojej matki, ale...

Wilson chciał powiedzieć coś więcej, bał się jednak, że musiałby zacząć kłamać, a jego zdaniem chłopak wystarczająco się już w życiu nacierpiał.

- ...sam nie wiem.

Na linii przez chwilę panowała cisza.

- Rozumiem, panie Wilson - odezwał się Elvis. - Chciałem zasięgnąć pańskiej opinii. Jak zawsze.

Na brzmienie tych słów detektywowi zrobiło się cieplej na sercu.

- Żałuję, że nie mogę ci w niczym pomóc.

- Już mi pan pomógł. Jak zawsze.

- Czy ten człowiek, Reinnike, miał jakiś dowód? Cokolwiek, co pozwalałoby go łączyć z tobą lub twoją matką?

- Nie.

- A występował jako żywa kula armatnia?

Cole zaśmiał się głośno, lecz trochę sztucznie.

- Nie wiem. Spróbuję się tego dowiedzieć.

- No cóż, możesz jeszcze przeprowadzić badania porównawcze DNA.

- Już o tym myślałem. Do takich badań potrzebny byłby jeszcze ktoś z najbliższej rodziny. No i musiałbym uzyskać pozwolenie.

- Daj spokój. Obaj dobrze wiemy, że istnieją sposoby na obejście zakazów. Mimo swojego wieku nawet ja potrafiłbym to załatwić.

- Muszę już kończyć, panie Wilson. Proszę pozdrowić ode mnie żonę.

Detektywowi serce ścisnęło się w piersi. Poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Popatrzył przez nie na rewolwer i rzucił do słuchawki:

- Mógłbyś dzwonić częściej, do pioruna. Zawsze chętnie z tobą porozmawiam.

- Obiecuję, że wkrótce zadzwonię.

Wilson nie odpowiedział. Przyszło mu do głowy, że został sam jak palec w tym skromnym domku nad rzeką Banana, a przecież rozmawia z człowiekiem, którego zna od dzieciństwa i który jest mu tak bliski jak rodzony syn.

- Zawsze byłem bardzo dumny z ciebie, z tego, jak ustawiłeś się w życiu. Przerosłeś wszelkie oczekiwania, synu. Każdy człowiek powinien do tego dążyć, tyle że większości nawet się nie chce próbować. Ale tobie się udało, dlatego jestem z ciebie taki dumny.

- Naprawdę muszę już kończyć.

- Masz rację, na mnie też pora. Trzymaj się.

Chciał już odłożyć słuchawkę, gdy jeszcze sobie o czymś przypomniał.

- Elvis?

- Tak?

Na szczęście zdążył w ostatniej chwili.

- To naprawdę nie ma znaczenia, kto jest twoim ojcem. Przecież wciąż jesteś sobą. Słyszysz, co mówię? W życiu nie ma czegoś takiego jak ślepa uliczka. W każdym razie nie w tej sprawie. Dlatego szukaj dalej. Jestem przekonany, że w końcu odnajdziesz to, na czym ci zależy.

- Dziękuję, panie Wilson.

- Dobrej nocy.

- Dobranoc.

Dopiero gdy w słuchawce rozległ się trzask przerywanego połączenia, detektyw odłożył ją na widełki. Odniósł wrażenie, że rechot żab i bzyczenie komarów nagle przybrały na sile, a ocieniona weranda jego domu znów przypomina wnętrze odrażającej klatki. Kiedy rozmawiał z Cole'em, ta rudera nad rzeką wydawała mu się jaśniejsza i przytulniejsza, ale teraz to wrażenie prysło jak bańka mydlana.

- Dlaczego, do cholery, musiałeś tak szybko skończyć rozmowę?

Dopił resztę whisky ze szklaneczki, podniósł rewolwer, otworzył bębenek i wytrząsnął z niego naboje. Zostawił je razem z bronią na wiklinowym stoliku i wszedł do środka, żeby położyć się spać. Jak zwykle usnął, myśląc o zmarłej żonie i tych wszystkich chwilach, kiedy ją zawiódł, ale tym razem wśród jego ponurych rozważań błyszczała iskierka nadziei, że postąpił słusznie w stosunku do chłopaka.

Frederick kręcił się wokół agencji Cole'a, dopóki z podziemnego garażu nie przestały wyjeżdżać samochody, po czym zakradł się na czwarte piętro i ukrył w męskiej ubikacji, gdzie odczekał do godziny ósmej. Kiedy wyczuł, że wszyscy już sobie poszli, ostrożnie zszedł piętro niżej i ponownie stanął przed zamkniętymi drzwiami biura. Obawiał się, że ktoś może go zaskoczyć w środku, ochrona albo sprzątaczką, toteż nie patyczkował się i zwyczajnie wyważył drzwi łomem. Miał świadomość tego, że zostawia wyraźny ślad włamania, ale musiał działać szybko. Pospiesznie zgarnął rolodexa pełnego kartek z adresami i telefonami oraz leżące na biurku listy, rachunki i reklamówki. Zabrał wszystko, co mogło zawierać domowy adres detektywa, i pognął ze swoim łupem schodami do wyjścia. Działął w rękawiczkach, toteż nie zostawił odcisków palców. Ale nawet w samochodzie wolał nie tracić czasu na przeglądanie papierów, wolał to zrobić spokojnie w domu. Miał za sobą dość wyczerpujący dzień, więc głośno odetchnął z ulgą po dotarciu na miejsce. Marzył mu się odpoczynek we własnym łóżku. Wreszcie czuł się bezpieczny. No i dopisało mu szczęście. Już na trzecim otwartym rachunku znalazł domowy adres Cole'a. Tej nocy śnił właśnie o nim. Pławił się w marzeniach o tym, co mu zrobi. W wyobraźni słyszał już histeryczne wrzaski detektywa.

O wpół do czwartej nad ranem auta poruszały się po ulicach dość płynnie. O tak wczesnej porze kierowcy dostawczych

ciężarówek nie musieli lawirować między stłoczonymi pojazdami, toteż i ja wyprzedzałem ich bez przeszkód. Kiedy niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać i dotarłem do rzadziej zabudowanej doliny Coachella, skręciłem na południe i skierowałem się w stronę poszarpanych linii wysokich gór.

Salton Sea to największe i najniżej położone jezioro w Kalifornii. Nieruchoma tafla wody wypełniającej rozległe i płytkie zapadlisko połyskuje niczym lustro, a w otoczeniu jałowej pustyni i porozrzucanych z rzadka skał wygląda jak kałuża na dnie piekła, Smród gnijących alg też bywa iście piekielny. W czasie największych upałów temperatura wody przy brzegu dochodzi do 55 stopni, ale teraz na szczęście wiał od jeziora lekki orzeźwiający wiaterek pozbawiony jakichkolwiek przykrych zapachów.

Pojechałem drogą biegnącą wzdłuż zachodniego brzegu jeziora, przyglądając się stadom pelikanów i wędkarzom polującym głównie na tilapie. U południowego krańca Salton Sea teren pocięty kanałami nawadniającymi zaczął się szybko podnosić. Wjechałem między pola uprawne i rozrzucone wśród nich dziesiątki drobnych miasteczek podobnych do siebie jak dwie krople wody. Za dziesięć siódma wjechałem do Anson. Imperial znajdowało się trzydzieści kilometrów dalej na południe, ale chciałem najpierw zobaczyć rodzinny dom George'a Reinnikego. Ktoś z sąsiadów mógł przecież nadal utrzymywać kontakt z jego rodziną.

Anson zrobiło na mnie wrażenie sennego skupiska wiejskich sklepików, wypożyczalni wideo i warsztatów rzemieślniczych. Przejeżdżały tamtędy wielkie osiemnastokołowce wyładowane pomidorami i karczochami, wzbijając w powietrze gigantyczne chmury białego pyłu, który osiadał na zabudowaniach i samochodach. Ale chyba nikomu to nie przeszkadzało.

Zatrzymałem się na stacji benzynowej. Spasiony sprzedawca pożerał burrito z fasolą, jajkami i serem.

- Dzień dobry. Potrzebna mi dokładna mapa okolicy - powiedziałem. - Ma pan coś takiego?

Ruchem głowy wskazał mi starą wystrzępioną mapę rozpiętą w szklanej gablocie. Nawet nie odłożył swojego burrito. Przyszło mi do głowy, że musi być tak apetyczne, iż nie sposób się od niego oderwać.

- Tam, na ścianie - mruknął.

Była to mapa geodezyjna z Biura Zagospodarowania Przestrzennego. Musiała wisieć w gablocie od lat, bo całkiem wypłowiała.

- A nie ma pan drugiej, którą mógłbym kupić?

- Nie. Trzeba zapytać w siedzibie Izby Handlowej, może jeszcze mają parę egzemplarzy.

- Rozumiem. Gdzie jest ta Izba?

- Dwa skrzyżowania dalej, obok Urzędu Rolnictwa, ale otwierają dopiero za dwie godziny. Pewnie mógłbym panu powiedzieć, jak dojechać tam, dokąd się pan wybiera.

Podąłem mu adres Reinnikego. Wyszedł zza kontuaru, popatrzył na mapę i po chwili postukał palcem w ulicę L.

- To ta musi być Northwest L, ale tam nic nie ma, same pola. Na pewno nikt tam nie mieszka.

- I nie ma innej ulicy L?

- Nie słyszałem, a mieszkam tu od dzieciństwa. Tę musiał pan minąć, wjeżdżając do miasta.

Skorzystałem z łazienki, kupiłem kubek kawy na wynos i zgodnie z jego wskazówkami pojechałem z powrotem. Jak mówił, ulica L odchodziła od szosy przy słupku oznaczającym odległość pięciu kilometrów od rynku. Skręciłem w lewo, w tę jej część, którą oznakowano jako Northwest, i pojechałem prosto, aż dotarłem do tablicy z napisem KONIEC DROGI. Przede mną horyzont zasłaniały dwa olbrzymie srebrzyste kontenery, ale były to jedyne elementy przypominające zabudowania. Jak okiem sięgnąć dookoła ciągnęły się pola kiełkującej brukselki. W regularnych odstępach stały tam na wielkich żelaznych kołach maszyny irygacyjne, które wypływały na zasiewy fontanny wody

z chemikaliami, pewnie tylko po to, żeby ziemia nie leżała odłogiem. Rzeczywiście nikt tu nie mieszkał i można było sądzić, że jakiegokolwiek zabudowania zniknęły już przed laty. Grubas obżerający się burrito miał rację, mieszkańcy tego obrzeża Anson woleli się stąd wynieść i sprzedać za grosze swoje działki właścicielowi plantacji.

Powróciłem na autostradę i skierowałem się dalej na południe, do Imperial.

Edelle Reinnike mieszkała w skromnym domku niedaleko zjazdu z autostrady w południowym krańcu miasta. Wszystkie domy na osiedlu były białe lub jasnobezowe i miały dachy kryte płytami białego piaskowca chroniącego przed słonecznym żarem. Przed większością stały ciężarówki lub dostawcze furgonetki. Gospodyni otworzyła drzwi, ledwie wysiadłem z samochodu. Było dopiero wpół do dziewiątej rano, a już robiło się gorąco nie do zniesienia.

- Pani Reinnike? Nazywam się Elvis Cole. Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną zobaczyć.

- Przecież umówił się pan przez telefon... Proszę się nie bać psa. Nie ugryzie, dopóki go pan nie rozdrażni.

Miała osiemdziesiąt sześć lat i wysuszoną jak pustynny piasek pomarszczoną skórę o odcieniu złotej rodzyнки. A jej pies, bokser o łbie wielkości głowicy hydrantu, odznaczał się wielkimi wylupiastymi ślepiami i miał minę zdumionej złotej rybki. Nie byłem nawet pewien, czy gapi się na mnie, czy na coś innego, ale warknął ostrzegawczo, gdy się zbliżyłem. Może działał według wskazań radaru.

- Spokój, Margo! - rzuciła w jego stronę pani Reinnike. - I tak nikogo nie oszukasz.

Zaprosiła mnie do środka, wskazała miejsce na kanapie i poszła do kuchni, żeby przygotować kawę. Nie miałem specjalnej ochoty na drugą kawę w tak krótkim czasie, ale jak zwykle wolałem nie odmawiać. Margo usadowiła się na wprost mnie. Gospodyni zawołała z kuchni:

- Polubiła pana.

- Miała pani czas, żeby przejrzeć rzeczy po matce?

- Owszem. Znalazłam stare zdjęcie George'a, ale tylko jedno. Mama nie znosiła ciotki Lity, kiedyś strasznie się pokłóciły. A George był jej synem. Mama zawsze powtarzała, że Lita zachowuje się wyzywająco, a w jej ustach to określenie oznaczało, że uważa swoją szwagierkę za hołotę.

Wróciła z dwiema filiżankami i usiadła w fotelu z podnóżkiem stojącym obok kanapy. Włożyła okulary do czytania, wzięła z sąsiedniego stolika zniszczony album ze zdjęciami, otworzyła go w miejscu założonym skrawkiem papieru i odwróciła w moją stronę.

- Proszę, to właśnie Lita i Ray, który był młodszym bratem mojego taty, a obok nich George. Proszę zwrócić uwagę, z jaką miną Lita pozuje do zdjęcia. To byli naprawdę niesympatyczni ludzie.

Bomba, pomyślałem. Właśnie takie rzeczy każdy chciałby usłyszeć o ludziach, którzy mogą być jego krewnymi.

Na zdjęciu młode małżeństwo z chłopcem o wydłużonej, niemal trójkątnej twarzy stało przed świąteczną choinką. Popatrzyłem na George'a. Wsparty na kulach, patrzył w obiektyw z taką miną jakby fotograf go zaskoczył. Jego ojciec wyglądał na dobrotliwej naiwniaka, natomiast matka miała tak ostre rysy twarzy, że sprawiała wrażenie, jakby była wściekła. Uderzało w oczy podobieństwo chłopca do ojca.

- To zdjęcie zostało zrobione jeszcze przed operacją. Później moi rodzice zerwali już całkiem kontakty z Litą. Pamiętam, że Ray prosił ojca o pożyczkę na operację, ale mama się sprzeciwiła, tłumacząc, że ledwie mogą wyżywić swoją rodzinę. W każdym razie Lita przysłała jej najbardziej odrażający list, jaki można sobie wyobrazić, i na tym kontakty się urwały.

Oddałem jej album.

- Więc nie wie pani, co się dalej z nimi działo?

- Skąd, na Boga? Mama nigdy by mi nie pozwoliła skontaktować się z nimi. Od tamtej pory nie widziałam George'a i nic o nim nie słyszałam. Zdaje się, że rzucił szkołę średnią, kiedy wychodziłam za męża. Nie powiedział mi pan jeszcze, z jakiego powodu go szuka.

- George nie żyje. Cztery dni temu został zamordowany.

Przez chwilę spoglądała na mnie z obojętną miną, wreszcie spuściła obie ręce wzdłuż poręczy fotela. Margo błyskawicznie się podniosła i zaczęła obwąchiwać jej palce.

- To bardzo smutne. Coś straszego.

- A pani bracia i siostry? Czy ktoś z nich mógł dłużej utrzymywać kontakt z George'em?

- No cóż, pewna nie jestem, ale wątpię. Teraz już nie żyją. Ja byłam najmłodsza z rodzeństwa.

- A pani dzieci?

Prychnęła pogardliwie, aż Margo odskoczyła od niej.

- Nawet ja ich nie obchodzę, a co dopiero jakiś George. Zapewne się stoczył, zanim osiągnęły ten wiek, kiedy mogło ich to zainteresować.

- Jak mam rozumieć, że się „stoczył”?

- Podobno zrobił dziecko jakiejś dziewczynie i dlatego musiał rzucić szkołę. Mama mówiła, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Lita była wyzywająca, a Ray lubił zaglądać do kieliszka. Też pobrali się z przymusu. Mama powtarzała, że z chłopaka nie wyrośnie nic dobrego. No i proszę. Najpierw zrobił dziewczynie dziecko, a teraz został zamordowany. Wygląda na to, że mama miała rację.

Upiłem łyczek kawy i w zamyśleniu przeciągnąłem długopisem po kartce notatnika. Cienka czarna linia zniweczyła idealny ład żółtego papieru.

- Zrobił dziecko?

- Wśród ludzi z dołów społecznych to się często zdarza.

Uniosła brwi i uśmiechnęła się ironicznie. Narysowałem na kartce drugą czarną linię.

- Czy wie pani, kim była ta dziewczyna?

Czułem, że dłonie zaczynają mi się pocić. Ukradkiem wytarłem je o nogawki spodni.

- Nie. Zresztą wcale nie jestem pewna, czy nie były to tylko złośliwe plotki. W każdym razie, jeśli George w ogóle miał jakąś dziewczynę, nigdy jej nie widziałam i nie mam pojęcia, kto to mógł być.

- Czy tamtego roku, kiedy George... się „stoczył” żadna dziewczyna nie wyprowadziła się z miasta?

Pani Reinnike zaśmiała się krótko.

- Na pewno nie z tego powodu. To był rok pięćdziesiąty trzeci. Kiedy któraś dziewczyna popadała w tego rodzaju kłopoty, pozbywała się ich tuż za granicą, w Mexicali, i wracała następnego dnia. Nazywałyśmy to jednodniowymi kursami do Meksyku.

Znowu zachichotała, jakby dobrze znała przyczyny tego rodzaju jednodniowych kursów kilku swoich koleżanek.

- Nie przypomina sobie pani, co ludzie o niej mówili. Czy pochodziła stąd, czy może była przyjezdna, na krótko zjawiała się w Kalifornii.

- Dopytuje się pan tak, jakby się pan domyślał, o kogo chodzi.

- Po prostu staram się pobudzić pani wspomnienia.

Wzruszyła ramionami, jakby moje wyjaśnienie nie trafiło jej do przekonania.

- Co to ma wspólnego z zadaniem odszukania najbliższych krewnych George'a?

Niezrozumiała czegoś tak oczywistego?

- Jego dziecko to także najbliższy krewny, a matka dziecka mogłaby wiedzieć, gdzie George ostatnio mieszkał.

- Owszem, to prawda. Ale, niestety, nie mogę panu pomóc, bo nic więcej nie wiem. Nawet nie mam pojęcia, kto mógłby coś wiedzieć. George nie był powszechnie lubianym chłopcem. Odziedziczył charakter po matce. Zresztą może to z powodu choroby nóg stał się zgorzkniały i złośliwy. W każdym razie nie przypominam sobie, by ktoś choć raz się dobrze o nim wyraził. Często wdawał się w bójki, ciągle miał jakieś kłopoty, no i szastał pieniędzmi. Nikt nie chciał się z nim przyjaźnić.

Szastanie pieniędzmi jakoś mi nie pasowało do tandetnych mebli na świątecznej rodzinnej fotografii oraz do tego, że Ray i Lita musieli prosić rodziców Edelle o pożyczkę na operację syna.

- Zapytałem ją o to.

- Och, George miał mnóstwo pieniędzy. W szpitalu coś sknócili z jego operacją i trzeba było ją powtarzać. Ray i Lita zagrozili procesem i zawarli jakąś sprytną umowę. Ale nie dostali pieniędzy, odszkodowanie przyznano George'owi. Od tamtej pory regulamie co miesiąc dostawał czek.

- Odbierał odszkodowanie w ratach?

Pani Reinnike uśmiechnęła się chytrze.

- Tak postanowił sędzia. Pewnie wystarczyło tylko raz spojrzeć na Raya i Litę, by dojść do wniosku, że lepiej przyznać odszkodowanie chłopakowi. Widocznie doszedł do wniosku, że jak pieniądze będą wypłacane w ratach, Ray i Lita nie zdołają wszystkiego od razu wydać.

- Operację przeprowadzono w San Diego?

- Chyba tak. Naprawdę nie pamiętam. Ale bliżej nie ma innego specjalistycznego szpitala.

Jeśli George co miesiąc dostawał odszkodowanie w ratach, w szpitalu albo firmie ubezpieczeniowej powinny być zapisy z jego kolejnymi adresami. Spojrzałem na zegarek. Było jeszcze przed południem, a od San Diego dzieliły mnie najwyżej dwie godziny jazdy.

Podziękowałem Edelle Reinnike i oboje ruszyliśmy do wyjścia. Miałem na końcu języka jeszcze jedno pytanie, ale najpierw musiałem opanować nerwy. Dopiero gdy wyszedłem na ganek, odwróciłem się do niej i zapytałem:

- Pani Reinnike, czy moja twarz nie wydaje się pani znajoma?

- Nie. A powinna?

Słońce świeciło oślepiająco na pustynnym niebie, jego blask odbijał się od białego pyłu, jakby to był śnieg.

Szpital Dziecięcy Andrew Wattsa wyglądał jak ponura hiszpańska cytadela przycupnięta u stóp pasma wzgórz El Cajon, przytłaczająca forteca z kamieni i cementu wzniesiona w nadziei, że ostanie się do końca świata. Zapłaciłem pięć dolarów za wjazd na parking dla odwiedzających, wszedłem do głównego lobby i kręciłem się po nim dobre dziesięć minut, próbując znaleźć recepcję. O ile z zewnątrz gmach przypominał cytadelę, to jego wnętrze kojarzyło mi się tylko z Grand Central Station.

Pielęgniarka wskazała mi drogę, ale zgubiłem się i musiałem pytać dalej. Dopiero za trzecim razem trafiłem na właściwy korytarz, przeszedłem przez szklane wahadłowe drzwi i stanąłem przed recepcjonistką.

- Dzień dobry. Elvis Cole do pana Brashera. Jesteśmy umówieni.

- Zechce pan łaskawie usiąść. Zaraz go zawiadomię.

Po dwóch godzinach za kierownicą nie miałem najmniejszej ochoty siadać. Podszedłem do innych szklanych drzwi i wyjrzałem chyba na poczekalnię izby przyjęć. Pod ścianą ciągnęły się wyściełane ławki, przed nimi stały foteliki, ale nie było tam żywej duszy. Dwie przechodzące pielęgniarki zaśmiały się na głos. Jedna z nich spojrzała na mnie, więc odpowiedziałem uśmiechem, ale nie zareagowała, jakbym był niewidzialny. Wyobraziłem sobie idącego przez tamtą salę kilkuletniego chłopca wspierającego się na kulach. Od jego ojca zalaływało tanią whisky, a matka zachowywała się wyzywająco. Ciekawe, czy George bał się operacji. Ja bym się bał.

Tuż zatoną rozległ się męski głos:

- Panie Cole, jestem Ken Brasher. Zapraszam do swojego gabinetu. Pokażę panu całą dokumentację, jaką mamy.

Brasher był zadbanym łysiejącym mężczyzną pod czterdziestkę, nosił okulary w ciemnej oprawce i wyglądał raczej na bankiera. Zadzwoiłem do niego podczas jazdy, chcąc sobie umilić monotonna dwugodzinna podróż. Jechałem przez pustynię równoległe do granicy meksykańskiej, zaledwie kilka kilometrów od niej, a mimo to moja komórka działała bez zarzutu, poszedłem do wniosku, że chyba powinienem się przeprowadzić na to odludzie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Brasher odwrócił się do recepcjonistki i rzekł:

- Zawiadom Marjorie, że nasz gość już jest, i poproś, żeby do mnie zeszła.

Dziewczyna natychmiast chwyciła za słuchawkę. Poszedłem za Brasherem w głąb korytarza.

- Ludzie z naszego działu prawnego chcą być obecni przy tej rozmowie. Mam nadzieję, że nie będzie to panu przeszkadzało.

- Ani trochę. Czy skontaktował się pan z biurem koronera?

- Tak. Posłałem faksem kopię aktu zgonu.

- Zatem nie będzie żadnych problemów, bym poznał adresy zabitego?

- Raczej nie, ale zostawiam to do decyzji Maijorie. Jest naszym radcą prawnym.

W rozmowie telefonicznej Brasher potwierdził, że władze szpitala zawarły polubowną ugodę z państwem Reinnike, ale nie chciał zdradzić żadnych szczegółów przed uzyskaniem potwierdzenia śmierci George'a Reinnikego i naradą z radcą prawnym. Podałem mu numer Becketta z biura koronera i poprosiłem, żeby się z nim skontaktował. Oczywiście uzyskał żądane potwierdzenie. I zapewne dowiedział się od Becketta, że jestem zaangażowany w dochodzenie.

Niespodziewanie skrzył w prawo, wszedł do małego, pozbawionego okien pokoju i usiadł za biurkiem. Za jego plecami było przypięte do ściany niezwykle dzieło z papieru: na kartce z

bloku rysunkowego kłębiła się masa żółtych i niebieskich zawijasów mogących wyobrażać kota, drzewo bądź cokolwiek innego, a pod spodem ciągnął się wielki czerwony napis zrobiony chwiejną dziecięcą rączką: KOHAM CIE TATO.

Brasher uśmiechnął się do mnie przyjaźnie.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, bym skserował pańskie dokumenty? Marjorie będzie chciała je włączyć do akt.

Podąłem mu prawo jazdy i licencję detektywa. Ułożył je na szybie kserokopiarki, wcisnął klawisz i ponownie zaszczycił mnie miłym uśmiechem, czekając, aż maszyna wypluje kilka kopii moich dokumentów. Miał uśmiech domokrażnego sprzedawcy aluminiowych paneli ściennych. Ani trochę mi się nie podobał.

- Na pewno wszystko w porządku, panie Brasher? - zapytałem.

- Marjorie zaraz tu będzie.

Nie taką odpowiedź chciałem usłyszeć. Naszły mnie nagle obawy, że tajemnicza Marjorie wcale nie będzie skora do okazania mi szpitalnej dokumentacji.

- Przecież rozmawiał pan z Beckettem. Musiał się pan od niego dowiedzieć, że policji zależy na odszukaniu najbliższych krewnych zabitego.

- Tak, oczywiście. Marjorie też z nim rozmawiała.

- Ten człowiek został zamordowany. Mieszkał w hotelu pod przybranym nazwiskiem i do tej pory policja zdołała ustalić tylko jego prawdziwe personalia. Wasz szpital regularnie wysyłał mu czeki z ratami odszkodowania. Gdyby policji udało się odkryć, po co przyjechał do Los Angeles i dlaczego posługiwał się fikcyjnym nazwiskiem, może ułatwiłoby to identyfikację jego zabójcy. Liczymy na to, że ktoś z jego krewnych lub sąsiadów będzie w stanie cokolwiek wyjaśnić.

Brasher nerwowo zerknął na drzwi, ale Marjorie wciąż się nie pojawiała. Jego wystudiowany uśmiech wyraźnie przybladł,

jakby nie potrafił dłużej utrzymywać pozorów bez wsparcia radcy prawnego.

- Jesteśmy skłonni do pełnej współpracy z policją w zakresie naszej odpowiedzialności prawnej, ale wcześniej trzeba wyjaśnić kilka spraw.

- Jakich spraw?

Jeszcze raz zerknął na drzwi i natychmiast się rozpromienił, na jego usta powrócił sztuczny uśmiezek sprzedawcy aluminiowych paneli.

- Wejdz, Marjorie. Przedstawiam ci pana Cole'a. Panie Cole, oto Marjorie Lawrence z naszego działu prawnego.

Kobieta była niska, ponura, ubrana w granatową garsonkę. Sztywno skinęła mi głową, uściśnęła dłoń, po czym odsunęła krzesło jak najdalej ode mnie i usiadła. Trzymała grubą kartonową teczkę z dokumentami, która wyglądała na starą i zakurzoną.

- Dowiedzieliśmy się, że przed śmiercią pan Reinnike oświadczył, iż jest pan jego synem. Czy to prawda?

Śmiało spojrzała mi prosto w oczy, ale nie odwróciłem wzroku. Czułem się zakłopotany i zaskoczony, choć próbowałem nie dać tego po sobie poznać. W rozmowie z Brasherem nie wspominałem o tym ani słowem, bo uważałem to za nieistotny szczegół. Musieli się tego dowiedzieć od Becketta.

- Tak powiedział, ale nie mam żadnego powodu, aby w to wierzyć. Nigdy wcześniej nie spotkałem tego człowieka.

Lawrence przytaknęła ruchem głowy. Cała mowa jej ciała nie pozostawiała żadnych złudzeń co do tego, kto tu ma decydujący głos.

- Niezależnie od tego może być pan prawdopodobnym spadkobiercą zabitego.

Ach, tak. Wykombinowali, że przyjechałem upominać się o swoją dolę. Przeniosłem wzrok na Brashera i wolno pokręciłem głową. Nie czułem się żadnym spadkobiercą.

- Zależy mi wyłącznie na poznaniu adresów, pod które wysyłali państwo czeki. Chciałbym uzyskać te informacje jak najprędzej, gdyż mam nadzieję, że to przyspieszy dochodzenie. Jeśli nie zechcą mi ich państwo teraz udostępnić, w najbliższym czasie zażąda ich policja, więc i tak je zdobędę. Jeśli życzą sobie państwo, bym podpisał jakieś zobowiązanie, w którym zrezygnuję z wszelkich roszczeń wobec szpitala, zrobię to od ręki.

Prawniczka spojrzała na Brashera, a ten wzruszył ramionami.

Jak się okazało, zdążyli już przygotować takie zobowiązanie. Marjorie wyciągnęła dokument z teczki i szybko podpisałem go na rogu biurka Brashera. Gdy tylko złożyłem podpis, dostałem z powrotem swoje dokumenty i wróciłem na miejsce. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Lawrence znów otworzyła teczkę, spojrzała na pierwszą kartkę i podniosła na mnie wzrok.

- W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym Zarząd szpitala, za pośrednictwem naszego ówczesnego ubezpieczyciela, zawarł polubowną ugodę z Rayem i Litą Reinnike, rodzicami George'a Reinnikego występującymi w imieniu syna. Na jej mocy, zamiast wypłaty jednorazowego odszkodowania, zgodziliśmy się wypłacać je w miesięcznych ratach na rzecz pacjenta przez okres trzydziestu lat. Wypłaty miały zostać zakończone w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym.

- W siedemdziesiątym ósmym?

- Tak.

Zalała mnie fala rezygnacji. Skoro szpital tak dawno zakończył wypłaty, najświeższy adres znajdujący się w dokumentach musiał pochodzić sprzed prawie trzydziestu lat.

- Proszę zaspokoić moją ciekawość. Dlaczego w takim razie musiałem podpisać to zobowiązanie?! Przecież ugoda sądowa już dawno wygasła.

- Panie Cole, sprawa jest nieco bardziej skomplikowana.

Kobieta znowu otworzyła teczkę, wyjęła z niej jeden dokument i podała mi go. Był to wykaz wpłat dokonanych na rzecz George'a L. Reinnikego zawierający kolejne jego adresy, numery czeków i daty ich wysłania. Informacje zestawione w prostej i klarownej tabeli były dla mnie w pełni zrozumiałe, jeśli nie liczyć znajdującej się na końcu pieczętki z dopiskiem DOWÓD RZECZOWY 54, która jakoś mi nie pasowała do zestawienia księgowego.

- Jak pan sam widzi, чеки były wysyłane pod trzy różne adresy, na początku do rodzinnego domu państwa Reinnike w Anson...

Pochyliła się w moją stronę, żeby wskazać znany mi już adres na początku zestawienia.

Ja jednak nie mogłem przestać myśleć o tej dziwnej pieczętce na końcu.

- Co to za dowód rzeczowy numer pięćdziesiąt cztery?

- Чеки były wysyłane do Anson do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego, kiedy to pan Reinnike powiadomił o zmianie adresu. Przeprowadził się do Calexico, także w Kalifornii, gdzie odbierał чеки przez pięć lat i siedem miesięcy, dopóki nie przeniósł się... - Pociągnęła palcem wzdłuż tabeli - ...do miasta Temecula, również w Kalifornii. Po raz drugi złożył stosowne dokumenty potwierdzające zmianę adresu i odtąd чеки były wysyłane do Temeculi, aż do roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego, kiedy to na jaw wyszło oszustwo i wypłaty zostały zawieszane.

Podniosłem głowę i spostrzegłem, że oboje bacznie mi się przyglądają.

- Jakie oszustwo?

- Reinnike wyprowadził się z Temeculi w roku sześćdziesiątym dziewiątym, ale nie powiadomił o zmianie adresu - wyjaśnił Brasher. - Do jego domu wprowadził się niejaki Todd Edward Jordan, który odbierał чеки, podając się za Reinnikego...

- Gdyby pan Reinnike i tym razem złożył odpowiednie dokumenty poświadczające zmianę adresu - wtrąciła pośpiesznie Marjorie, najwyraźniej czując się w obowiązku strzec interesów szpitala jak pies ogrodnika - czy też skontaktował się z nami w sprawie przelania praw do pozostałej części odszkodowania na osobę trzecią, natychmiast podjęlibyśmy działania w celu rozwiązania tego problemu. Ale w zaistniałej sytuacji staliśmy się taką samą ofiarą oszustwa jak pan Reinnike.

- Tak więc dalej wysyłaliśmy czeki do Temeculi, lecz to już nie Reinnike je odbierał - podjął natychmiast Brasher. - Pieniądze zawłaszczwał sobie Jordan, który podszywał się pod naszego pacjenta, i lokował je na swoim koncie. Ludzie bardzo często dopuszczają się podobnych oszustw, odbierając zasiłki z ubezpieczenia społecznego. Kiedy w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym wykryliśmy oszustwo, natychmiast wstrzymaliśmy dalsze wypłaty i zawiadomiliśmy policję.

- Reinnike wyprowadził się z Temeculi?

- Na ile zdołano ustalić, to tak, ale pewne jest tylko to, co zapisano w policyjnym raporcie, panie Cole. Żadne z nas jeszcze tu wtedy nie pracowało.

- Ja nie miałam nawet matury - dodała Marjorie.

Zapatrzyłem się na zestawienie, jakbym chciał wyczytać z niego coś więcej, ale w rzeczywistości potrzebowałem tylko czasu do namysłu. George Reinnike miał co miesiąc otrzymywać swoje czeki jeszcze przez dziewięć lat, a mimo to nie przekazał żadnej wiadomości, wyprowadzając się po raz kolejny.

Marjorie Lawrence jeszcze raz otworzyła teczkę i tym razem wyjęła z niej kilka pożółkłych wycinków z gazet.

- To zostało dołączone do naszych akt. Są to głównie artykuły dotyczące aresztowania i procesu Jordana. Może znajdzie pan w nich coś ciekawego, panie Cole.

Prawniczka zaprowadziła mnie do wolnej sali konferencyjnej i zostawiła sam na sam z wycinkami.

Łącznie dostałem jedenaście pożółkłych kartek. Wszystkie artykuły pochodziły z „San Diego Union-Tribune” i zostały ułożone chronologicznie. Pierwszy opisywał Todda Edwarda Jordana, bezrobotnego elektryka, któremu postawiono zarzuty oszustwa, kradzieży i defraudacji pieniędzy pochodzących z wypłacanego w ratach odszkodowania należnego poprzedniemu właścicielowi domu, od którego go wynajął. Autor przedstawiał tylko zasadnicze fakty, świadczące wyraźnie, że publikacja ukazała się przed ujawnieniem zniknięcia Reinnikego. Następny artykuł był już bardziej interesujący. Policja nie zdołała ustalić nowego miejsca pobytu George’a Reinnikego, a przecieki z biura szeryfa wskazywały, że mógł paść ofiarą zabójstwa. Co zrozumiałe, dziennikarze natychmiast dopatrzyli się sensacyjnej zagadki kryminalnej. Kolejny artykuł całkowicie mnie zaskoczył...

Trwają poszukiwania ofiary oszustwa

Eric Weiss

„San Diego Union-Tribune”

Sześć lat temu George Reinnike zniknął bez śladu z wynajmowanego przez siebie domu przy Adams Drive 1612 w Temeculi. Według właściciela posesji nikogo nie powiadomił o wyprowadzce. A porzucił nie tylko dom, lecz również małą fortunę, na jaką składały się wypłacane mu co miesiąc raty odszkodowania. Pojawiły się podejrzenia o charakterze kryminalnym.

Todd Edward Jordan, lat 38, został oskarżony o zawłaszczenie przychodzących pocztą czeków, które odbierał, podając się za Reinnikego. Ten bezrobotny elektryk wprowadził się do opuszczonego domu w maju 1969 r., kilka tygodni po zniknięciu Reinnikego. Jak

tylko odkrył, co zawierają listy przychodzące z towarzystwa ubezpieczeniowego Claremont Insurance Group, zaczął realizować czeki i wpłacać pieniądze na swoje konto, co uchodziło mu bezkarnie przez sześć lat. Policyjne dochodzenie nie wykazało jednak, by Jordan coś wspólnego ze zniknięciem poprzedniego lokatora. Pan Jordan wynajął dom w odpowiedzi na ogłoszenie w lokalnej prasie. Jesteśmy przekonani, że nigdy nie spotkał się z panem Reinnike” - powiedział detektyw Martin Poole z biura szeryfa okręgu San Diego.

Ówczesny właściciel domu, Charles Izzatola, nic nie wiedział o oszustwie.

„Todd był dobrym lokatorem, miłym i uprzejmym, zawsze wpłacał czynsz w terminie”.

Według Izzatoli Reinnike wyprowadził się, nikogo o tym nie informując.

„Nie dostałem w porę czynszu, pojechałem więc do niego, ale w domu nikogo nie zastałem. Wyniósł się bez uprzedzenia”.

Reinnike, który samotnie wychowywał nastoletniego syna, nie był lubiany w sąsiedztwie.

„Ludzie wciąż skarżyli się na George’a i jego chłopaka. Kilka razy wzywali nawet policję. Możliwe, że któryś z sąsiadów miał już dość uciążliwego lokatora i go przepędził”.

Według oświadczenia Poole’a po aresztowaniu Jordana śledczy z biura szeryfa próbowali odnaleźć Reinnikego, ale przez sześć lat im się to nie udało.

Detektyw powiedział:

„Nikt nie wyprowadza się bez uprzedzenia, gdy w grę wchodzi takie pieniądze. Wcześniej Reinnike zawsze powiadamiał towarzystwo ubezpieczeniowe o zmianie miejsca zamieszkania. Teraz tego nie zrobił i ani razu nie zgłosił „się po należne mu pieniądze. Dlatego próbowaliśmy wyjaśnić, co się stało”.

Jeśli ktokolwiek zna miejsce pobytu George’a Reinnikego lub jego syna, Davida, wówczas szesnastoletniego; proszony jest o kontakt z detektywem Martinem Poole’em z biura szeryfa okręgu San Diego.

Przeszedłem w drugi koniec sali konferencyjnej i zasłuchałem się w panującą tam ciszę. Pokój był gustownie urządzone, podłogę zakrywał gruby dywan, przy stole stały wygodne, miękko wyściełane krzesła. Z samego wyglądu była to sala, w której zapadają ważne decyzje.

„Jeśli ktokolwiek zna miejsce pobytu George’a Reinnikego lub jego syna, Davida”...

Wróciłem na miejsce.

Reinnike samotnie wychowywał nastoletniego syna i tym dzieckiem nie byłem ja. Odwróciłem połówkę wycinek.

Kolejne trzy artykuły mniej lub bardziej szczegółowo relacjonowały proces Jordana, który początkowo wszystkiemu zaprzeczał, mimo że wyciągi bankowe jednoznacznie świadczyły o regularnych wpłatach pieniędzy na jego konto. Udowodniono, że zlecenia wpłat na czekach z towarzystwa ubezpieczeniowego były robione odręcznie jego charakterem pisma. Zeznał jednak, że w ogóle nie znał i nigdy nie spotkał Reinnikego, a policji nie udało się ustalić jakichkolwiek powiązań między obydwojma mężczyznami. Jordan został uznany za winnego i skazany. Wreszcie, po publikacjach dotyczących samego przestępstwa, znalazłem artykuł przedstawiający podłoże oszustwa.

Bez pożegnania

Erie Weiss

„San Diego Union-Tribune”

George Reinnike i jego 16-letni syn David mieszkali przy spokojnej ulicy na przedmieściach Temeculi przez prawie dziesięć lat. Samotny ojciec, zamknięty w sobie, który zawsze terminowo opłacał czynsz, często kłócił się z sąsiadami, a powodem kłótni były wybryki jego niesfornego syna. Aż nagle pewnej wiosennej nocy przed sześcioma laty Reinnike spakował swoje rzeczy do samochodu i

wyjechał, nie mówiąc nikomu ani słowa. Od tamtej pory wszelki śluch o nim zaginął.

„Ludzie często się stąd wyprowadzają - powiedział detektyw Martin Poole z biura szeryfa okręgu San Diego. - Ale ta sprawa wprawiała nas w zdumienie”.

Chociaż wyjazd George'a Reinnikego z synem był zaskoczeniem dla policji, to większość jego sąsiadów odetchnęła z ulgą.

Przez dziesięć lat George Reinnike, który mieszkał w niewielkim wynajętym domku przy Adams Drive w Temeculi, nie zyskał żadnych przyjaciół i najwyraźniej nie zależało mu na tym. Jego syn, David, przysparzał wszystkim wiele kłopotów.

„George był ponury i wrogo nastawiony, a Davida starałam się w ogóle unikać - powiedziała pani Alma Sims, lat 48, najbliższa sąsiadka Reinnikego. - Za nic nie pozwoliłabym swoim dzieciom się z nim bawić”.

Przypomniała pewne zdarzenie, kiedy to napotkała na ulicy Davida Reinnikego, wówczas 12-letniego, gdy wracała ze swoimi synami z treningu drużyny piłkarskiej.

„David szedł środkiem ulicy i nie chciał zejść na bok. Kiedy na niego zatrafiłam, zaczął robić do mnie miny, wciąż trzymając się środka jezdni. A gdy próbowałam go wyminąć, zaczął obrzucać mnie wulgarnymi wyzwiskami, biegnąc przed maską samochodu. Po prostu nie było sposobu, żeby go poskromić”.

Tamtego wieczora, kiedy mąż pani Sims, Warren, poszedł do sąsiada, by zwrócić mu uwagę na zachowanie syna, Reinnike zasypał go pogrózkami.

„George był przeczulony na punkcie syna i na wszystkie uwagi reagował agresywnie, niezależnie od tego, co David spsocił. Wszelkie próby rozmowy kończyły się pogrózkami”.

Jeśli wierzyć sąsiadom, młody Reinnike bardzo często przysparzał im kłopotów. Akty wandalizmu, bójki z istnymi dziećmi i dziwaczne wybryki były na porządku dziennym.

„Jednej nocy ktoś powybił szyby we wszystkich domach po tej stronie ulicy - opowiadała Pam Wally, lat 39. - Wszyscy wiedzieli, że to sprawka Davida, ale nikt nie mógł tego udowodnić”.

Mieszkańcy osiedla byli przekonani o winie chłopaka, gdyż tylko w jego domu szyby nie zostały wybite.

Karen Reese, lat 47, opisała podobny incydent. Jej dwóch synów wdało się w kłótnię z Davidem. Kiedy następnego dnia pani Reese odwoziła chłopców do szkoły, ujrzała Davida stojącego przy krawężniku przed swoim domem.

„Kiedy się zbliżyliśmy - opowiadała pani Reese - rzucił młotkiem w naszym kierunku. To było coś niesłychanego. Nawet nie próbował się przed nami schować. Roztrzaskał mi tylną szybę w samochodzie. Cud boski, że nikt nie ucierpiał”.

Pani Reese wezwała policję, ale nie wniosła oskarżenia, gdyż pan Reinnike zgodził się pokryć koszty naprawy auta.

„Nawet nie jestem pewna, czy ten urwis w ogóle chodził do szkoły - powiedziała Chester Kerr, lat 52, która mieszkała naprzeciwko. - W dzień powszedni, w porze zajęć szkolnych, często się go widywało na osiedlu”.

Tabitha Williams, lat 44, matka dwójki małych dzieci, opowiedziała zupełnie inną historię.

„David był opóźniony w rozwoju i pobierał prywatne lekcje w domu. Nigdy nie miałam żadnych kłopotów ani z nim, ani z Georgem. Dobrze wiem, jak ciężko było im obu bez matki Davida”.

Jej nieobecność okazała się tajemnicą, gdyż George Reinnike udzielał sprzecznych wyjaśnień. Raz mówił sąsiadom, że jego żona zmarła, kiedy indziej, że odeszła od niego, gdy chłopiec był mały, albo że po rozwodzie wyszła ponownie za mąż i mieszka w Europie.

Do dziś miejsce pobytu George'a Reinnikego i Davida pozostaje nie mniejszą zagadką. Mimo licznych podejrzeń co do okoliczności zniknięcia samotnego ojca z synem nie udało się znaleźć żadnych dowodów przestępstwa, a skazany Jordan został oczyszczony z zarzutów.

„Może ten człowiek zapragnął nagle zmienić otoczenie, a nie przyszło mu do głowy, żeby poinformować sąsiadów o wyjeździe - uznał detektyw Poole. - A taka ukradkowa wyprowadzka nie jest niezgodna z prawem. Mimo to chcielibyśmy poznać prawdę”.

Jeśli mają państwo jakiekolwiek informacje na temat George'a lub Davida Reinnike; prosimy o kontakt z detektywem Martinem Poole'em z biura szeryfa okręgu San Diego.

Po suchych relacjach z procesu sądowego ten artykuł sprawił, że Reinnike i jego syn znów stali się dla mnie ludźmi z krwi i kości.

Porównałem informacje prasowe z tym, co wiedziałem wcześniej. Ani detektyw prowadzący sprawę, ani sąsiedzi w rozmowie z dziennikarzami nie wspomnieli nawet słowem o tatuażach czy dewocyjnej religijności George'a. Charakter tatuaży był tak wymowny, że należało wnioskować, iż mężczyzna nie miał ich jeszcze, kiedy mieszkał w Temeculi. Musiał je sobie zrobić później, a to świadczyło o gruntownej zmianie jego stanu emocjonalnego. Policja podejrzewała, że nagłe zniknięcie Reinnikego z synem może być wynikiem przestępstwa, ale trzydzieści lat później miałem niezbitą pewność, że mężczyzna nie został wtedy zamordowany. Upłynęło jeszcze trzydzieści pięć lat, nim go to spotkało. Człowiek myślący racjonalnie z pewnością nie zrezygnowałby z wypłacanych co miesiąc rat odszkodowania, zatem Reinnike albo już wtedy był niestabilny emocjonalnie, albo działał w stanie desperacji. Zresztą wydarzyło się to jeszcze w latach sześćdziesiątych. Mnóstwo ludzi próbowało wtedy gruntownie zmienić swoje życie, a większość miała ku temu ważne powody. Może Reinnike doszedł do wniosku, że taka gruntowna zmiana pomoże jego synowi. Może zrezygnował z pozostałej części odszkodowania, bo przychodzące co miesiąc czeki tylko przypominały mu o znienawidzonym wcześniejszym życiu. A może szukał ucieczki przed samym sobą, w czym miały mu pomóc tatuaże i modlitwy. No i po trzydziestu pięciu latach zjawił się w Los Angeles, przeświadczony, że jest

ojcem drugiego dziecka, Elvisa Cole'a. Może był to przejaw nasilającej się choroby psychicznej.

Po pewnym czasie zmęczyły mnie te rozważania. Zebrałem z powrotem wycinki, odszukałem Marjorie Lawrence i poprosiłem, by skserowała mi stare artykuły. Zapytałem też, czy mogę skorzystać z telefonu. Pozwoliła mi na to niemal z radością.

Zadzwońiłem do Starkey. Powinienem zawiadomić Diaz i Pardy'ego, ale Starkey pracowała w sekcji dla nieletnich. Jeśli David był kiedyś notowany, nie miałem szans uzyskania dostępu do jego akt. Sprawy nieletnich przestępców są zwykle otoczone wielką tajemnicą.

- Witaj, kolego! - powitała mnie z entuzjazmem. - Skąd dzwonicz?

- Z San Diego. Znalazłem tu coś, w czym pewnie będziesz mogła mi pomóc.

- Och, tylko czekałam na taką okazję. Nie mam swojej roboty i piekielnie się nudzę.

Przedstawiłem jej pokrótce historię zniknięcia George'a Reinnikego i opisałem wybryki Davida.

- Ach, to ten facet miał jeszcze jednego syna?

- To wcale nie jest zabawne.

- Nie dąsaj się.

- Więc jak, zechcesz to dla mnie sprawdzić? Oczywiście, Cole, sprawdzę dla ciebie wszystko, czego sobie życzysz. Nie bądź taki nadęty. Posłuchaj, czy w tych artykułach wymieniono nazwiska śledczych prowadzących dochodzenie?

- Tak. Sprawą zajmował się niejaki Poole z biura szeryfa okręgu San Diego.

- Wracasz dziś wieczorem?

- Tak, wyjeżdżam już za kilka minut. Chciałabym zobaczyć te wycinki. Chodzi o sprawę sprzed trzydziestu lat, toteż nazwiska śledczych bardzo mi pomogą.

- Tak, rozumiem.

- No więc?

- Co?

- Skoro zadaję sobie aż tyle trudu, może wpadłabym do ciebie dziś wieczorem i przynajmniej ugościłbyś mnie jakąś kolacją. Właśnie czekam na zaproszenie.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

- Może być o ósmej? Powiniennem wrócić do tej pory.

- Zatem jesteśmy umówieni na ósmą. Tylko nie spiesz się za bardzo i nie daj się zabić na autostradzie.

Starkey zawsze umiała podnieść człowieka na duchu. Nie bez trudu odnalazłem wyjazd na autostradę. Miałem za sobą długi męczący dzień, a przed sobą wielogodzinną podróż. W dodatku nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że będzie to podróż o wiele dłuższa, niż wynikałoby to z odległości między miastami, co wprawiało mnie w ponury nastrój.

Od kłębiących się bez ładu myśli o George'u Reinnikem rozbolała mnie głowa. Zastanawiałem się, czy ten człowiek naprawdę coś dla mnie znaczył, a jeśli tak, to ile. Skoro był przekonany, że jest moim ojcem, to dlaczego wcześniej nie szukał ze mną kontaktu? Naprawdę byłem zmęczony doszukiwaniem się w tym sensu, bo żadne sensowne wyjaśnienia nie przychodziły mi do głowy. Wszystko było możliwe. Reinnike mógł stracić zarówno dziecko, jak i rozum, przez co wmówił sobie, że jestem długo wyczekiwaną namiastką jego syna. Dzieci na wynajem, do usług. Moje zdjęcia pojawiały się w prasie i telewizji. Może David Reinnike był do mnie podobny. W końcu wyglądałem jak typowy biały Amerykanin, ciemnoblond, z piwnymi oczami, średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Niewykluczone, że zobaczył gdzieś moje zdjęcie i w swoim szaleństwie nabrał przeświadczenia, że to właśnie ja jestem tym długo poszukiwanym „drugim” dzieckiem. Tylko z tego powodu, jadąc autostradą w sznurze aut, nie mogłem się teraz uwolnić od myśli o nieznanym George'u Reinnikem, który z impetem wdarł się w

moje życie. Stał się dla mnie człowiekiem z krwi i kości, mającym swoje słabostki, którego złożona droga życiowa łatwo mogła się przeciąć z moją. Nawet jeśli nie był częścią mojej przeszłości, coraz mocniej zaczynałem odczuwać, że jednak coś nas łączyło. Więc ilekroć wspominałem swoją matkę, pojawiał się w moich myślach obok niej niczym półprzezroczysta zjawia. Przez całe życie traktowałem wspomnienia z dzieciństwa jak układankę, w której brakowało jednego kawałka, i oto teraz Reinnike idealnie wpasował się w puste miejsce. I mogłem już ogarnąć cały obraz. Ojciec, rzeczywisty czy też nie, był w domu.

Trzy godziny później wjechałem na ocienioną wysokimi drzewami Mulholland Drive. Odczuwałem wszechogarniające zmęczenie. Niebo stopniowo szarzało, a gasnące światło dnia zalewało korony drzew purpurowym blaskiem.

Gdy tylko skręciłem w swoją uliczkę, od razu spostrzegłem samochód zaparkowany przed moim domem. Poprzednim razem natknąłem się w środku na Pardy'ego. Pomyślałem, że jeśli i teraz Pardy czeka na mnie w saloniku, napędzę mu niezłego strachu.

Wjechałem na podjazd, wyjąłem rewolwer i ruszyłem do kuchennego wejścia. Nawet nie próbowałem zachowywać się cicho. Zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Po skończeniu rozmowy z Cole'em Starkey odłożyła słuchawkę i z szerokim uśmiechem na ustach odepchnęła się z krzesłem biurka. Była bardzo zadowolona, że naciągnęła detektywa na wspólną kolację. Oczywiście byłoby dużo lepiej,

gdyby ten idiota sam wpadł na taki pomysł, ale musiała się cieszyć z tego, co miała.

- Widzę, że dzwonił twój nowy chłopak, Cole.

Jej uśmiech natychmiast przybladł. Siedzący przy sąsiednim biurku Ronnie Metcalf przyglądał jej się uważnie. Był aplikantem z hollywoodzkiego wydziału do spraw kradzieży, z którym wydział nieletnich dzielił pomieszczenia. Postukał się palcem po ustach i dodał:

- Łatwo poznać po twoim uśmiechu.

Wydał wargi i głośno cmoknął.

Starkey zmierzyła go ostrym spojrzeniem. Nawet się nie zaczerwieniła.

- Alez ciebie palant.

Metcalf zaśmiał się, wstał i ruszył w kierunku automatu do kawy. Odwróciła się w stronę swojego biurka, ale jej świetny nastrój przysł bezpowrotnie. Brzydziła się świadomością, że Metcalf podsłuchuje jej rozmowy telefoniczne. Mogła mieć kłopoty z powodu wykorzystywania kontaktów służbowych do załatwiania spraw prywatnych, a nie wątpiła, że dupek pokroju Metcalfa bez wahania wykorzysta to przeciwko niej. Przez chwilę zastanawiała się nad możliwymi konsekwencjami, wreszcie uświadomiła sobie, że jej irytacja nie ma nic wspólnego z perspektywą ewentualnych kłopotów w pracy. Rozzłościło ją, że tak łatwo poznać po niej, co czuje. W końcu jej stosunek do Cole'a czy kogokolwiek innego był wyłącznie jej sprawą. Zanotowała więc w myślach, żeby nie uśmiechać się tak szeroko, gdy następnym razem będzie rozmawiała z detektywem.

Odwróciła się do komputera, wywołała Kalifornijską Stanową Bazę Danych Kryminalnych i wpisała do wyszukiwarki Davida Reinnikego. Jeśli był choć raz aresztowany, informacja o tym powinna znajdować się w bazie. Do uruchomienia wyszukiwarki potrzebny był numer sprawy, ale bez zastanowienia wpisała indeks jednej z szesnastu prowadzonych

obecnie spraw oraz swój numer służbowy, powtarzając w myślach „pieprzyć Metcalfa”.

Przez kilka sekund obserwowała obracającą się powoli klepsydrę, lecz wyszukiwanie szybko dobiegło końca. W policyjnych archiwach nie odnotowano żadnej wzmianki na temat Davida Reinnikego.

To byłoby pewnie zbyt łatwe.

Zamyśliła się nad tym, co usłyszała od Cole'a. Policja z San Diego co najmniej raz interweniowała w sprawie chłopaka, nie oznaczało to jednak, że w tamtejszym wydziale do spraw nieletnich od razu założono mu teczkę. Gliniarze i sędziowie zazwyczaj nie spieszyli się ze ściganiem chuliganów, a ich kartoteki często likwidowano bądź utajniano. Niemniej młodocianych mających liczne kłopoty z prawem brali czasami, pod specjalną kuratelę szkoleni do tego oficerowie, zwłaszcza gdy dziecko miało skłonności do szczególnie agresywnych zachowań lub niezwykłych wybryków. Ich akta pozostawały w archiwach miejscowej policji.

Starkey podeszła do wiszącej na ścianie szczegółowej mapy Kalifornii i po chwili odnalazła Temeculę. Miasto leżało przy autostradzie I-15, nieco na północ od Fallbrook.

- Hej, Starkey! - zawołał Metcalf stojący wciąż przy automacie do kawy.

Ułożył wargi na kształt litery O i językiem wypchnął policzek.

Starkey odwróciła się do mapy.

Na wezwanie wysłano zapewne miejscowy patrol z Temeculi, lecz miasteczko było za małe na to, żeby istniał tam wyodrębniony wydział do spraw nieletnich. Pewnie i ta sprawa trafiła do biura szeryfa okręgu San Diego, więc tam należało ewentualnie szukać akt, jeśli takowe w ogóle istniały. Pracowała w wydziale do spraw nieletnich dopiero od kilku miesięcy i nie miała pojęcia, jak nakłonić kogoś nieznanego, by zechciał

poszukać dokumentów pochodzących sprzed trzydziestu lat. Ale musiał to wiedzieć Gittamon.

Podeszła więc do boksu sierżanta i zapukała w ściankę działową. Dave Gittamon, który był jej bezpośrednim przełożonym, pracował w hollywoodzkim wydziale do spraw nieletnich od trzydziestu dwóch lat i znał większość oficerów z bliźniaczych wydziałów całego południowego zachodu Stanów Zjednoczonych.

Uniósł głowę, spojrzał na nią znad oprawki okularów do czytania. Odznaczał się nadzwyczaj łagodnym charakterem i rozbajającym uśmiechem. Był najbardziej wyrozumiałym człowiekiem, jakiego znała.

- Dave? - zagadnęła. - Nie masz jakiegoś znajomego w biurze szeryfa okręgu San Diego?

Gittamon zamyślił się na chwilę, po czym odparł miękko:

- Owszem, znam tam parę osób.

Pokrótce opisała mu sprawę Davida Reinnikego, dodając, że chciałyby sprawdzić, czy istnieją akta chłopaka. Nie wspomniała tylko, że robi to na prośbę Elvise Cole'a.

Sierżant odchrząknął w zakłopotaniu.

- Chodzi ci wgląd w kartotekę kilkuletniego dziecka? Obawiam się, że do tego byłby ci potrzebny sądowy nakaz, Carol. Dlaczego zainteresowałaś się tą sprawą?

Od razu zwróciła uwagę, że użył słowa „byłby”.

- Jeśli chłopaka aresztowano, w jego aktach mogą znajdować się dane jednej czy kilku osób, za których pośrednictwem dałoby się go odnaleźć. Tylko na tym mi zależy. Ojciec z synem zniknęli bez śladu, Dave. Najprawdopodobniej wyjechali dokądś pod przybranymi nazwiskami.

- I nawet nie jesteś pewna, czy chłopak był aresztowany?

- Nie.

- Więc nie masz pojęcia, czy takie akta w ogóle istnieją?

- Nie.
- Wydarzyło się to w Temeculi?
- Tak.

Gittamon mruknął i znów się zamyślił, toteż Starkey postanowiła go trochę przycisnąć.

- Wystarczyłaby mi zwykła koleżeńska przysługa, Dave. Gdybym ja miała w archiwum takie akta i ktoś z ważnych powodów chciałby do nich zajrzeć, z pewnością bym się zgodziła, bez zbędnych ceregieli i biurokratycznych rygorów. Poszłabym koledze na rękę. Rozumiesz? Wcale bym nie wymagała oficjalnego pisemka czy nakazu sądowego.

- Możesz powtórzyć, jak on się nazywa?

Od razu zrozumiała, że trąciła właściwą strunę.

- Im szybciej, tym lepiej, Dave.

Gittamon sięgnął po słuchawkę, jakby i on nie miał nie ważniejszego do roboty.

- Myślę, że uda mi się coś załatwić po znajomości. A przy okazji przekaz Cole'owi moje pozdrowienia.

Starkey poczuła, że się czerwieni. Pospiesznie wyszła do sali ogólnej.

30

W ciemnej kuchni panowała cisza, ale w saloniku paliła się lampka. Szklane drzwi prowadzące na werandę były otwarte. Ruszyłem w tamtym kierunku, czując, jak sztywnieją mi mięśnie karku, lecz gdy tylko poczułem delikatny zapach unoszący się w pokoju, w jednej chwili zrozumiałem, kto na mnie czeka. Zmęczenie wielokilometrową podróżą natychmiast zniknęło.

Musiała mnie usłyszeć, bo szybko pojawiła się w przejściu. Na jej widok serce zabiło mi mocniej.

- Otworzyłam sobie drzwi kluczem. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Skądże znowu, Lucy.

Sprawa George'a Reinnikego nagle przestała dla mnie istnieć, a cały świat pograżył się w błogim spokoju.

Lucy Chenier ujrzała rewolwer w mej dłoni i szybko odwróciła wzrok. Na początku naszej znajomości zapewne obróciłaby to w żart, ale teraz broń była dla niej symbolem przemocy, powodu której ode mnie odeszła. Nie rozmawiałem z nią od paru tygodni. Nie widzieliśmy się od prawie dwóch miesięcy.

Odpiąłem uprząż z kaburą podramienną, schowałem do niej rewolwer i odłożyłem go na lodówkę, żeby nie rzucał się w oczy.

- Ostatnio mam trochę kłopotów z myszami.

Uśmiechnęła się skąpo, jakby z politowaniem. Miała na sobie džinsy i ciemnopomarańczowy golf, idealnie pasujący do złotawego odcienia jej cery i kasztanowych włosów. Kiedyś zwykła żartować, że to dla niej najlepszy kolor ze wszystkich możliwych.

- Proszę - powiedziała. - Przywiozłam ci parę produktów pierwszej potrzeby.

Wskazała stojące na stole dwa opakowania kawy Community Dark Roast, dwie paczki czerwonej fasolki marki Camellia i sześciopak piwa Abita, wszystko prosto z Baton Rouge. Zadała sobie trochę trudu, żeby przywieźć to aż z Luizjany. Potraktowałem to jak dobry znak.

- CC Dark... To wspaniała kawa, Lucy. Bardzo dziękuję.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz, iż wpadłam bez uprzedzenia. Joe powiedział mi, że już wracasz do domu, dlatego postanowiłam poczekać w środku.

- Przecież wiesz, że nie potrafię się na ciebie gniewać. Zrobiłaś mi wspaniałą niespodziankę. Co porabiasz w Los Angeles? Jak się miewa Ben?

Nie wyczułem u niej rezerwy, toteż delikatnie cmoknąłem ją w policzek, ale zaraz się odsunąłem, by dać jej do zrozumienia, że szanuję wytyczone przez nią granice. Pachniała malinami.

- Ben radzi sobie doskonale. Stałeś się prawdziwym bohaterem w jego klasie, wszyscy w szkole chcą się dowiedzieć, jaki naprawdę jest Elvis Cole.

Zaśmiałem się krótko, głównie dlatego, że chyba tak powinienem zareagować. Kiedy wyobraziłem sobie, jak Ben Chenier opowiada swoim dziesięcioletnim kolegom o moich wyczynach, zakłuło mnie w sercu. Bardzo chciałem wyznać Lucy, jak strasznie za nimi tęsknię, obawiałem się jednak, że wzbudzi to w nas obojgu poczucie winy. Szybko zmieniłem temat.

- Napijesz się czegoś? A może masz ochotę coś zjeść?

- Jedno i drugie. Ale najpierw pokaż mi swoją rękę. Jak się goi?

Ujęła moją prawą dłoń, obróciła wewnętrzną częścią ku górze i popatrzyła na długą bliznę przecinającą trzy palce i ciągnącą się aż do krawędzi. Zostałem zaatakowany nożem, kiedy ścigałem porywaczy Bena. Lekarze założyli mi czterdzieści dwa szwy i przeprowadzili dwie operacje. Twierdzili, że odzyskam w niej dziewięćdziesiąt pięć procent sprawności. Nie wspomnieli tylko o ustawicznym dokuczliwym bólu.

- Wszystko w porządku. Ubytki uzupełnili bionicznymi silniczkami i stalowymi linkami, więc jestem teraz podobny do terminatora. Mam wreszcie coś wspólnego z naszym gubernatorem.

Jeszcze przez chwilę spoglądała na bliznę, po czym puściła rękę. Uśmiechnęła się znowu, ale tym razem sztucznie.

- Więc co z tym drinkiem?

- Już się robi.

A więc przyleciała do Kalifornii na spotkanie z prokuratorem w sprawie udziału Bena w procesie jej byłego męża. Ja odniosłem tylko ranę ciętą, za to postrzelony Richard omal nie umarł. Kto wie, czy nie wolałby przenieść się na tamten świat. W końcu to on wynajął trzech zbirów, żeby porwali jego syna, przez co śmierć poniosło pięcioro ludzi, zanim udało się uwolnić chłopaka. Co prawda Richard sam nie pociągnął za spust, ale był pomysłodawcą i organizatorem tego przedsięwzięcia, będzie zatem odpowiadał przed sądem za współudział w zbrodni. W świetle kalifornijskiego prawa został oskarżony o wielokrotne zabójstwo. Na razie przebywał w tutejszym szpitalu akademickim, gdzie czekało go jeszcze kilka operacji, ale prosto z niego miał trafić na salę rozpraw. Lucy zrelacjonowała mi w wszystko sącząc powoli drinka.

- Sędzia zgodził się, by wysłuchać zeznań Bena nagranych na kasetę wideo, ale chcę go osobiście zapewnić, że na nic więcej nie powinien liczyć. Na pewno nie przywiezę Bena na rozprawę i nie pozwolę na jego przesłuchanie przez adwokata Richarda.

- Dlaczego twój mąż nie zechce oszczędzić wszystkim kłopotów i nie przyzna się do winy? Dla Bena to byłoby najlepsze.

Ludy pociągnęła drobny łyczek dzinu.

- Zależy mu na tym, żeby doprowadzić do procesu. Ciężą na nim zarzuty współudziału w dwóch morderstwach pierwszego i trzech drugiego stopnia. Adwokat go przekonał, że jeszcze przed rozprawą zdoła doprowadzić do redukcji pierwszych dwóch oskarżeń do nieumyślnego zabójstwa i wycofania trzech pozostałych. - Odwróciła głowę i na jakiś czas zapatrzyła się w okno, po czym upiła jeszcze trochę dzinu i wzruszyła ramionami. - Obawiam się, że tak to się właśnie skończy, na zarzutach o współudział w dwóch morderstwach, o ile wcześniej strony dogadają się co do wysokości wyroku. Tylko dlatego Richard gra na zwłokę. Przykro mi, że ucierpiał w strzelaninie, ale przecież w końcu musi zapłacić za to, co zrobił.

Dopiła dzin, potrząsnęła szklaneczką, aż zagrzechotały kostki lodu, i popatrzyła na nie takim wzrokiem, jakby spotkało ją właśnie kolejne z całego ciągu nieuchronnych życiowych rozczarowań.

- Wiesz co? - zapytała. - Znudziła mi się rola przykładnej żony. Żał mi tylko Bena, który musiał tyle wycierpieć. Richard w pełni zasłużył sobie na wszystko, co go spotkało.

Sięgnąłem po jej szklaneczkę.

- Pozwól, doleję ci.

Kiedy wciągnęła ją w moim kierunku i nasze palce się zetknęły, nie cofnęła ręki. Przez chwilę oboje trwaliśmy w bezruchu niczym dwaj zapaśnicy unieruchomieni w klinczu, z którego żaden nie ma siły się uwolnić.

Nagle Lucy opuściła rękę, robiąc taką minę, jakby nic się nie wydarzyło. Ja pewnie powinienem także potraktować to z obojętnością.

- Kiedy wracasz?

- Jutro po południu. Rano mam kolejne spotkanie z prokuratorem okręgowym, a potem jadę prosto na lotnisko.

Jutro po południu. Odwróciłem się, żeby nalać jej drinka. Wrzuciłem do szklaneczki parę świeżych kostek lodu, ukroiłem plasterk limonki i wycisnąłem sok na lód. Starąłem się zachować spokój, ale moje oczekiwania musiały być czytelne jak na dłoni. Dlatego przestałem szykować drinka odwróciłem się do Lucy. Od jutra dzielila nas noc.

- Zostaniesz dzisiaj ze mną?

Bez namysłu pokręciła głową, ale odpowiedziała miękko:

- Lepiej zrób tego drinka, detektywie, i powiedz mi, jak mogę ci pomóc w przyszykowaniu kolacji.

Zapanowała niezręczna atmosfera. Trzeba bardzo uważać, kiedy się stąpa po cienkim lodzie, poruszać się powoli i ostrożnie, a wtedy może dotrze się do celu. Uśmiechnąłem się szeroko,

chcąc dać jej do zrozumienia, że znów wszystko jest w porządku i nie będę nalegał. Dolałem dżinu do jej szklaneczki.

- Co powiesz na spaghetti z sosem putanesca?

Z wyraźnym zadowoleniem pomachała dłonią w powietrzu.

- Brzmi zachęcająco.

- Mam też w zamrażalniku paczkę włoskich kiełbasek. Możemy je przypiec na grillu i wkroić do sosu.

Jeszcze raz pomachała ręką.

- Jestem coraz bardziej głodna.

31

Obserwator

Frederick normalnie przepracował swoją zmianę i po południu przekazał nadzór nad stacją Elroyowi, który znów zaczął utyskiwać na brak wiadomości od Payne'a, aż Frederick ledwie zdołał się opanować, żeby nie złapać tego żylastego kretyna za kark i nie roztrzaskać mu gęby o podnośnik hydrauliczny. Ale był na to zbyt doświadczony. Dlatego udawał, że wciąż jest tym samym gamoniowatym mechanikiem, za którego Elroy go uważał, i że nic nie wie o losie Payne'a, o straszliwej zemście, jakiej dopuścił się na nim Elvis Cole, jak też o jeszcze straszliwszej zemście, którą w rewanżu zamierzał ściągnąć na głowę detektywa. W każdym razie jeśli Elroy coś podejrzewał, nie dał tego po sobie poznać. Chyba nie zauważył też, że Frederick przed odjazdem wyniósł z magazynku do samochodu masywne cęgi do cięcia karoserii, którymi chciał torturować Cole'a tak samo jak on musiał torturować wcześniej Payne'a: kawałek po kawałku rozcinając mu i odrywając skórę.

Tego popołudnia ponownie przyjechał do Los Angeles. W jego oczach dom Cole'a przypominał gęstą pajęczynę rozciągniętą na samej krawędzi urwiska, ukrytą w mrocznym kącie i przeznaczoną dla chwytania bezbronnych ofiar. Na podjeździe nie było samochodu. Przed domem przechodziły właśnie dwie kobiety z psem, toteż Frederick minął go i pojechał dalej. Zaparkował przy pobliskiej budowie, po czym znalazł sobie dogodny punkt obserwacyjny pod drzewkiem oliwnym, skąd miał doskonały widok na dom Cole'a.

Kilka minut przed szóstą na podjazd skręcił samochód, wysiadła z niego jakaś kobieta. Nie zapukała ani nie zadzwoniła, otworzyła drzwi własnym kluczem, co dało Frederickowi do myślenia. Przyszło mu do głowy, że imię Elvis równie dobrze mogłaby nosić kobieta. Czyżby zatem miał do czynienia z detektywem w spódnicy? Dopiero po jakimś czasie przypomniał sobie, że James Kramer mówił o Cole'u jak o mężczyźnie, doszedł więc do wniosku, że widział jego żonę. Rozwahał jeszcze, czy ją także powinien zamordować, kiedy na ulicy pojawiła się zakurzona żółta corvette i także skręciła na podjazd przed domem. Zaciekawionym spojrzeniem obrzucił ten niecodzienny model pochodzący jeszcze z lat sześćdziesiątych, zwany powszechnie sting rayem, przeczuwając, że oto ma wreszcie przed sobą Elvisa Cole'a. Był tego niemal pewien. Nie wątpił też, że detektyw równie dobrze jak on maskuje się wobec całego otoczenia, świadczył o tym straszliwie brudny samochód, powycierane dżinsy i zniszczone adidas, jak również idiotycznie wzorzysta hawajska koszula wypuszczona luźno na spodnie. Cole ewidentnie chciał uchodzić za przeciętnego Amerykanina, umiejętnie skrywając swój prawdziwy charakter bezwzględnego najemnego zabójcy całkowicie pozbawionego ludzkich uczuć.

Jego podejrzenia zostały potwierdzone chwilę później, gdy Cole sięgnął pod luźną połę koszuli i wyciągnął rewolwer, zanim kuchennymi drzwiami wszedł do domu. Frederick skulił się jeszcze bardziej, oczekując gwałtownej strzelaniny, ale w domu panowała cisza.

Poczuł się całkiem zbity z tropu. Zamierzał wykończyć Cole'a zaraz po jego powrocie do domu, tymczasem detektyw był

uzbrojony i najwyraźniej spodziewał się kłopotów. Niewykluczone, że mógł od razu zacząć strzelać, jak tylko Frederick zbliżył się do drzwi.

Niedługo przed dom zajechał kolejny samochód, który prowadziła druga kobieta. Zaparkowała po drugiej stronie ulicy, na wprost podjazdu. Kiedy wysiadła, Frederick spostrzegł przypiętą do paska spodni policyjną odznakę. W pierwszej chwili pomyślał, że przyjechała aresztować Cole'a, lecz gdy ten otworzył drzwi, powitał ją szerokim przyjacielskim uśmiechem.

32

Wyciągałem z zamrażalnika kielbaski, kiedy przypomniałem sobie o Starkey. Miała wkrótce przyjechać. Pewnie była już w drodze.

- Hej, pamiętasz Carol Starkey? Całkiem zapomniałem. Ma wpaść dzisiaj na kolację.

W oczach Lucy zabłysło na moment coś, co przypominało iskierkę zazdrości, ale szybko zniknęło zamaskowane miłym uśmiechem.

- Naprawdę o niej zapomniałeś?

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków, Lucille. Starkey obiecała mi pomóc w dotarciu do akt człowieka, którego poszukuję. Muszę jej przekazać te archiwalne wycinki prasowe, dlatego zaprosiłem ją na kolację. Nic więcej się za tym nie kryje. - Wskazałem leżące na blacie kopie poszarzałych artykułów z gazet.

- Zapytam całkiem poważnie: Nie byłoby lepiej, gdybym sobie poszła?

- Wykluczone. Gdybym wiedział, że mnie dziś odwiedzisz, nie umawiałbym się ze Starkey. Na pewno by to zrozumiała.

Razem z Lucille rozpakowywaliśmy mrożone kiełbaski, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- To na pewno ona.

- Zaproś ją, żeby została. Nie mam nic przeciwko temu.

Zawołałem, że już idę, i ruszyłem w stronę drzwi. Kiedy je otworzyłem, Starkey pstryknęła w bok niedopałek papierosa, wydmuchnęła w stronę drzew gęstą smugę dymu i weszła do środka. Niosła różowe kartonowe pudełko z cukierni.

- Czyj to samochód? - zapytała.

Lucy wyjrzała z kuchni. Wciąż trzymała w rękach nóż i paczkę kiełbasek. Uśmiechnęła się szeroko.

- Witam, pani detektyw. Miło mi, że znów się spotykamy.

Starkey wybałuszyła oczy, jakby zobaczyła zjawę.

- To matka Bena - pospieszyłem z wyjaśnieniami.

- Dobrze wiem, kto to jest, Cole. Witam, pani Chenier. Jak się miewa pani syn?

- Dziękuję, doskonale. Radzi sobie świetnie. - Lucy wskazała trzymane w ręku kiełbaski. - Muszę się nimi zająć, bo już kapie z nich, na podłogę - powiedziała i zniknęła z powrotem w kuchni.

Pochyliłem się nad Starkey i wyjaśniłem półgłosem:

- Była już tu, kiedy przyjechałem. Nie miałem pojęcia, że przylatuje do Los Angeles.

- Poproś koleżankę, żeby została na kolacji - zawołała Lucy.

Jeszcze bardziej ściszyłem głos.

- Posłuchaj, Starkey. Nie chciałabyś odłożyć tego na kiedy indziej? Lucy przyjechała tylko...

Starkey ze złością wepchnęła mi w ręce kartonowe pudło.

- Trzymaj. To tarta owocowa. I niczym się nie przejmuj, Cole. Daj mi te wycinki i już znikam.

Wszedłem z ciastem do kuchni i powiedziałem Lucy, że Starkey wychodzi. Zebrałem kserokopie i przeszedłem do saloniku, a Lucy wyszła za mną. Starkey wciąż stała przy drzwiach, nie zrobiła nawet trzech kroków w głąb domu.

- Proszę, pani detektyw - zaczęła Lucy. - Niech pani zje z nami kolację. Albo przynajmniej wypije drinka.

- Ja nie piję. Tylko palę.

Starkey wyszarpnęła mi z ręki plik odbitek, złożyła je byle jak i zaczęła wtykać do tylnej kieszeni spodni.

- Szukałam we wszystkich bazach danych nazwiska Reinnikego. Nigdzie nie figuruje, co znaczy, że i tym razem szczęście ci nie dopisało. Dam ci znać, jak znajdę coś w kartotekach wydziału do spraw nieletnich.

- Proszę, niech pani usiądzie choć na chwilę - Nalegała Lucy. - Chyba możemy porozmawiać?

- Muszę lecieć.

Bezsukutecznie usiłowała wepchnąć dość gruby plik kartek do ciasnej kieszeni. Rogi papieru wywijają się na zewnątrz.

- Pogniesz je - powiedziałem.

Wepchnęła je jeszcze mocniej.

- Cholerny świat.

- Zaraz je porwiesz - dodałem.

Wreszcie zrezygnowała z dalszych prób i z odbitkami w garści odwróciła się do wyjścia.

- Miło było panią znów widzieć, detektywie - odezwała się Lucy.

- Proszę przekazać synowi moje pozdrowienia.

Lucy uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej poruszona.

- Nie omieszkać. Bardzo dziękuję.

Starkey zatrzymała się przed drzwiami, spojrzała na mnie, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, a po chwili przeniosła wzrok na Lucy.

- On bardzo za panią tęskni.

Lucy zagryzła wargi i nie powiedziała już ani słowa, dopóki Starkey nie wyszła. Zostałem w otwartych drzwiach, spoglądając, jak wsiada do samochodu, wreszcie wróciłem do kuchni. Lucy szukała czegoś w szafkach. Zerknęła na mnie i uśmiechnęła się promiennie.

- W porządku, szefie, bierzmy się do roboty. Umieram z głodu.

- Wybacz tę jej ostatnią uwagę. Nie powinna zabierać głosu w nie swoich sprawach.

Lucy wystawiła na blat dwie duże puszki krojonych pomidorów i przystąpiła do ich otwierania, jakby nic się nie stało. Dopiero po chwili uniosła brwi i powiedziała:

- Ona bardzo cię lubi, panie Cole.

- Nie w taki sposób, jak mogłabyś podejrzewać.

Znów spojrzała na mnie, lekko pokręciła głową i skupiła się na otwieraniu puszek.

- Lepiej opowiedz mi coś o tej sprawie, w której Starkey ci pomaga, zanim kolacja będzie gotowa.

Popatrzyłem na nią, zastanawiając się, co i w jakiej formie mam jej powiedzieć. Na jej widok miękło mi serce. Nie wiem, czy sprawiał to wyjątkowy odcień jej włosów (jak mawiała, jedyny, jaki do niej pasuje), czy owal twarzy lub szczególnie inteligentne oczy, czy też zapach, nieco zachodzące na siebie przednie zęby albo delikatna siateczka zmarszczek w kącikach oczu. W każdym razie jej widok napełniał mnie bezgranicznym spokojem, jakiego bez niej w ogóle nie znałem. Natychmiast rozluźniały mi się zazwyczaj napięte mięśnie karku i zanikało mrowienie w piersi. Nie opowiedziałem jej jednak o zabójstwie Reinnikego. powiedziałem tylko, że pracuję nad sprawą zaginionej człowieka.

Przedstawiłem krótko historię poszukiwanego przeze mnie samotnego ojca, który przepadł bez śladu razem z synem. Nie okłamałem jej, tylko nie powiedziałem wszystkiego. Zataiłem to, co wydawało mi się najistotniejsze. Może byłem już zmęczony rozgrywającym się dramatem, a może po prostu nie chciałem psuć tego wyjątkowego wieczoru.

Szykowaliśmy razem kolację, jakby Lucy była gospodynią w tym domu. Niemal całkiem zapomniałem, że odeszła ode mnie, przypomniałem to sobie dopiero wtedy, kiedy chciałem jej dotknąć i uświadomiłem sobie, że nie mam do tego prawa. Bardzo pragnąłem, by wszystko między nami znów było tak jak kiedyś, ale musiałem szanować jej wybór, tym bardziej że wiedziałem, z jakim trudem go dokonała. Usłuchała głosu sumienia i wybrała to, co jej zdaniem będzie najlepsze dla dziecka. Nie wiem, czy ze względu na własne doświadczenia bardziej niż inni szanowałem jej decyzję, czy też byłem wtedy po prostu pijany. Bo przecież w moich marzeniach matka kochała mnie tak samo jak Lucy Bena, a i ojciec troszczył się o rodzinę. Świadomość, z ilu rzeczy Lucy musiała zrezygnować dla dobra Bena, sprawiała, że kochałem ją jeszcze mocniej i bardziej pragnąłem, gotów poświęcić całe swoje życie dla tej miłości. To, co dawała synowi, było wszystkim, czego i ja sam pragnąłem, a to, kim dla niego była, stanowiło wręcz kwintesencję wszystkiego, czego na próżno oczekiwałem od swoich rodziców.

Przygotowaliśmy kolację, zjedliśmy i przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu na kanapie w saloniku, obok siebie, niemal przytuleni, trzymając się za ręce. Mój dom znów wydawał się przytulny i pełen życia, stał się czymś więcej niż tylko konstrukcją z drewna, szkła i kamieni. Wiedziałem, że Lucy niedługo będzie musiała iść. Ona też zdawała sobie z tego sprawę. Pewnie dlatego siedzieliśmy w milczeniu. Po jakimś czasie szepnęła ledwie słyszalnie:

- Muszę już iść.

Odpowiedziałem również szeptem:

- Tak, wiem.

Żadne z nas się nie poruszyło. Trwałem w przekonaniu, że ona wciąż mnie kocha, bo przecież inaczej by tu nie przyjeżdżała. Na samym początku poprosiłem, żeby została, i miałem wrażenie, że gdybym powtórzył swoją prośbę, może by się na to zgodziła. Chciałem muskać wargami jej; uszy i szeptać do nich najczulsze słowa. Pewnie gdzieś w głębi duszy i ona pragnęła, bym ją przekonał, wiedziałem jednak, że gdybym to zrobił jej poprzednia trudna decyzja stałaby się teraz jeszcze trudniejsza do przyjęcia. A wołałem jej do niczego nie zmuszać. Nie chciałem jeszcze bardziej pogarszać jej sytuacji.

- Idę - szepnęła.

Ale nadal siedziała bez ruchu. Zostawiała wszystko w moich rękach. Pocałowałem jej dłoń i uśmiechnąłem się, chcąc dać w ten sposób do zrozumienia, że ani trochę jej nie zazdroszczę.

- Odprowadzę cię.

Jeśli krótkie błyski w jej oczach oznaczały rozczarowanie, jak na to liczyłem, to zmusiłem się, by je zignorować.

Wzięła swoją torebkę i razem wyszliśmy przed dom. Od nocnego chłodu natychmiast zaczęły mnie szczypać oczy, zamrugąłem szybko. Właśnie tak, pomyślałem, to tylko od chłodu. Lucy cmoknęła mnie w policzek i wsiadła do samochodu.

- Cieszę się, że wróciłeś do domu - powiedziała. Chciałem odpowiedzieć w taki sam sposób, ale nie mogłem wydobyć: głosu przez ściśnięte gardło.

Chwilę później tylne światła pozycyjne auta zniknęły za zakrętem ulicy. Mignęły jeszcze między drzewami i przepadły na dobre. Stałem przed domem, wyteżając wzrok w nadziei, że dojrzę je choć jeszcze jeden raz, ale szybko uświadomiłem sobie, że odjechała za daleko. Ken Wilson powiedział, że w życiu nie ma czegoś takiego jak ślepy zaułek. Naszły mnie obawy, że się pomylił.

Kiedy policjantka odjechała, Frederick podjął decyzję, że zabije Cole'a i tę drugą kobietę. Zrobiło się już całkiem ciemno i nie musiał się obawiać, że ktoś z sąsiedztwa zobaczy, jak podkrada się do domu. Jeśli nawet Cole czuwał z bronią gotową do strzału, Fredericka bardziej niepokoiło zaangażowanie policji. Bo ta policjantka, najwyraźniej kochanka detektywa, która pewnie pomogła mu zamordować Payne'a, mogła przecież służyć także pomocą w identyfikacji Fredericka. Toteż dziesięć minut po jej odjeździe wyciągnął karabin z futerału i zaczął się przygotowywać do działania.

Nagle na zakręcie ulicy pojawiły się światła. Kiedy samochód zwolnił przed domem, Frederick rozpoznał za kierownicą tę samą policjantkę. Nie zatrzymała się jednak, tylko pojechała dalej. Jej powrót obudził w nim złe przeczucia, ale nie wiedział, co naprawdę może oznaczać.

Zdecydował się więc jeszcze zaczekać. Miał nadzieję, że Cole wyjdzie, na przykład wyrzucić śmieci, i stworzy mu okazję do oddania strzału z ukrycia spośród drzew. Albo wybierze się z tą drugą kobietą na spacer...

Ale po dwudziestu minutach na ulicy znów pojawił się wóz policjantki. Najwyraźniej patrolowała okolice domu detektywa.

Fredericka naszyły obawy, że zainteresuje ją jego półcieżarówka. Ujrzał w wyobraźni, jak spisuje numery rejestracyjne i zawiadamia Cole'a o obecności podejrzanego wozu w okolicy. Niewykluczone, że już teraz wzywała przez telefon posiłki.

Zrób to, Fredericku! W tej chwili!

Poczuł się rozdarty między pragnieniem zemsty za śmierć Payne'a a strachem przed policją.

Zrób to, Fredericku!

Wystarczyło przecież tylko podbiec do drzwi, Wyważyć je kopniakiem i wpaść do domu detektywa. Gdyby udało mu się ich zaskoczyć, na pewno zdążyłby położyć trupem na miejscu i Cole'a, i jego żonę.

Policjantka po raz kolejny wolno przejechała przed domem i nagle zrozumiał, że to wszystko zmienia. Na pewno wiedziała już o jego obecności w tej okolicy. Bo z jakiego innego powodu patrolowałyby osiedle. A zatem Cole także musiał już wiedzieć! I z pewnością go szukał! Frederick jak idiota siedział ukryty pod drzewem, podczas gdy zamaskowani najemnicy detektywa otaczali go, poruszając się bezszelestnie jak dym.

Z pewnością, chcieli go zapędzić w pułapkę i oddać do dyspozycji Cole'a, który przeciągnie nożem po jego gardle i zaraz go bez skrpułów, tak samo jak zabił Payne'a. Wszak był krwiożerczym potworem. Frederiek wyskoczył gwałtownie spod drzewa oliwnego i pognał do swojego samochodu, myśląc tylko o jednym - żeby wyjechać z osiedla, nim na ulicy ponownie zjawi się patrolująca policjantka i nim dopadną go zamaskowani najemni zabójcy.

34

Włączyłem telewizor, żeby zagłuszyć panującą w domu ciszę, i wyszedłem na werandę, zastanawiając się, dlaczego właściwie nie powiedziałem Lucy o zabójstwie George'a Reinnikego. Przeciwnie z boczne kanionu było jak zwykle upstrzone pojedynczymi światłami, które ciągnęły się przez całą jego długość niczym rzeka gwiazd wlewających się do miasta. Wysoko ponad nią na tle wschodniego nieba zamigotał wielki czerwony krzyż światła pozycyjnych samolotu wzbijającego się po starcie z

lotniska, wszystkie maszyny startowały w kierunku morza, ale większość zawracała nad miastem jak gdyby w ostatnim pożegnaniu. Samolot z Lucy na pokładzie miał wzbić się jutro w niebo tą samą trasą.

Wszedłem do środka, zrobiłem sobie kubek rozpuszczalnej kawy i stanąłem z nim pośrodku saloniku. W telewizji skończył się blok reklamowy i pokazywano przebitki najważniejszych wiadomości. Zwiększyła się lista ofiar Zabójców Czerwonych Świąteł. Informację zilustrowano zdjęciami z policyjnej kamery ukazującymi kilka aut przemykających z wielką prędkością przez skrzyżowanie. Uderzyło mnie nagle, że nie sprawdziłem, czy w motelu Home Away Suites nie ma kamery systemu bezpieczeństwa nakierowanej na parking. W końcu takie urządzenia instalowano na stacjach benzynowych, przed supermarketami i nocnymi sklepami, więc może również w Home Away Suites była kamera, która zarejestrowała samochód Reinnikego. Istniała pewna szansa, że na podstawie tych ujęć dałoby się odczytać numer rejestracyjny.

Umyłem zęby, żeby zamaskować zapach dżinu, wyszedłem z domu i pojechałem do motelu. Uznałem, że to znacznie lepsze od rozpamiętywania wizyty Lucy.

Ruch był nieduży, a w Toluca Lake panował spokój, kiedy dotarłem na miejsce. Zwróciłem uwagę, że parking jest dość jasno oświetlony, ale nie na tyle, by zakłócać wypoczynek mieszkańcom sąsiednich budynków. Wsiadłem i samochodu, lecz nie od razu wszedłem do środka. Ruszyłem między samochodami, wypatrując kamery zamocowanej na słupie bądź ścianie motelu. Nie dostrzegłem jej nigdzie. Nie mogłem jednak wykluczyć, że była dobrze ukryta.

Podszedłem do stanowiska recepcyjnego i przedstawiłem się. Tym razem na nocnej zmianie pracowała kobieta w średnim wieku, która skrzywiła się ze złością, gdy powiedziałem, o co mi chodzi.

- Ja się na tym nie znam - burknęła niechętnie. - Z powodu całego tego zamieszania ściągnęli mnie aż z Bakersfield.

Okazało się, że nocny recepcjonista wyleciał na bruk, kiedy wyszło na jaw, że przemykał oko na wizyty prostytutek w motelu. Kobieta nie tylko z niechęcią przeniosła się z bliźniaczego motelu w Bakersfield, ale nawet nie ukrywała, że jej zdaniem to nie w porządku, gdy zwalnia się człowieka z pracy za taką błahostkę.

- Interesuje mnie parking przed budynkiem. Czy macie tam kamerę systemu bezpieczeństwa?

Wskazała róg lobby, gdzie pod sufitem była umieszczona kamera na niewielkiej metalowej podstawie.

- Jest tylko ta jedna. Policja już wypytywała o taśmę, ale kamera nie działa. Z tego powodu ma się tu zjawić kolejny bubek z zarządu sieci i pewnie następni ludzie stracą pracę. Wszystko to diabła warte. Kupują najtańszy sprzęt, samą tandetę, a potem zwalają winę na pracowników, jak coś nie działa.

- Policja już pytała o kamery? Nie pamięta pani nazwiska detektywa, który się tym interesował?

- Nie ja z nim nie rozmawiałam. Przyjechał w ciągu dnia.

- Rozumiem. Chcę się trochę rozejrzeć po parkingu i wokół budynku. Wolę uprzedzić, żeby wiedziała pani, co robię.

- Zaczyna się z tego robić taki cyrk, że niedługo będziemy musieli zatrudniać uzbrojonych ochroniarzy. Można by pomyśleć, że tego biedaka zamordowano tutaj, w lobby, na oczach wszystkich. Czysta paranoja.

Wyszedłem, nie chcąc wysłuchiwać jej dalszych narzekania.

Home Away Suites nie miał zainstalowanej kamery na zewnątrz, ale takie urządzenia mogły być gdzieś w sąsiedztwie. Według Zeznań Thomasa Reinnike parkował dokładnie na wprost wejścia do motelu, które znajdowało się po północnej stronie budynku. Podszedłem do ulicy i stamtąd popatrzyłem na parking. Po drugiej stronie, naprzeciwko motelu, była duża stacja benzynowa zajmująca cały południowo-wschodni róg przy skrzyżowaniu. Dalej, na południowo-zachodnim rogu, stał niewielki pawilon handlowy, a w nim pierwszy od ulicy był sklep

z alkoholami. I tu, i tu musiały być zainstalowane kamery, ale z pewnością motelowy parking zostawał poza polem ich widzenia.

Obok stacji benzynowej po przeciwnej stronie Cahuenga Boulevard mieścił się sklep całodobowy. Nie wątpiłem, że i tam zamontowano system bezpieczeństwa z kamerami. Być może te obejmowały zasięgiem parking.

Przeszedłem na drugą stronę. Przy pierwszej wysepce dystrybutorów tankowały dwa auta, z małej toyoty dolatywały rytmiczne basowe dudnienia grającego głośno radia.

W sklepie stanąłem jako czwarty w kolejce do lady. Klientów obsługiwał młody mężczyzna ze starannie przystrzyżoną brodą, ubrany w wypłowiały T-shirt. Mechanicznie zaczytywał kody paskowe towarów, inkasując pieniądze bez większego zainteresowania. „Jak się pani dziś miewa?... Należy się sześć dolarów i czterdzieści dwa centy... Życzę miłego wieczoru”. Z jego stanowiska rozciągał się doskonały widok na motelowy parking. Pod sufitem znajdowała się kamera systemu bezpieczeństwa wymierzona w kasę, druga była zwrócona obiektywem w kierunku tylnej części sklepu. Byłem niemal pewien, że musi być również kamera rejestrująca widok terenu przed sklepem.

Kiedy nadeszła moja kolej, powitał mnie tak samo obojętnym tonem:

- Czym mogę służyć?

- Jestem detektywem prowadzącym dochodzenie w sprawie morderstwa człowieka, który zatrzymał się w motelu po drugiej stronie ulicy. Mam do pana kilka pytań.

- O rety. Nie co dzień zdarzają się tacy klienci.

Zapytałem, czy kamera umieszczona na zewnątrz obejmuje swym zasięgiem parking motelowy.

- Przykro mi, ale nie sięga aż tak daleko. Proszę się pochylić nad kontuarem, to sam pan zobaczy, jaki obszar pokazuje.

Pochyliłem się i wykręciłem szyję, ale z tego miejsca niewiele było widać, toteż pozwolił mi wejść za ladę, Monitor systemu

bezpieczeństwa stał na półce obok kasy. Ekran był podzielony na cztery części, widzieliśmy niewyraźnie, nas stojących przy kontuarze, dwa ujęcia wnętrza sklepu i jedno chodnika między stacją benzynową a wejściem. Sprzedawca postukał palcem w monitor.

- Widzi pan? Kamera na zewnątrz nie sięga nawet do ulicy, a co mówić o motelu.

Rzeczywiście, w polu widzenia obiektywu znajdował się tylko najbliższy fragment jezdni, za to doskonale było widać oba samochody stojące na stacji. Reinnike także mógł tutaj tankować, istniała więc szansa, że kamera zarejestrowała jego numer rejestracyjny.

- Jak długo przechowujecie nagrania z kamer?

- Dwadzieścia cztery godziny. Nie używamy magnetowidu, rejestrujemy obraz cyfrowy na komputerze, bezpośrednio na twardym dysku. Ale z powodu oszczędności miejsca w pamięci zapisywany jest tylko przekaz z ostatniej doby, dopóki nie zaprogramuje się jego utrwalenia w odrębnym pliku.

- I pewnie robicie to tylko wtedy, gdy coś się wydarzy?

- Tak, gdy dojdzie do napadu, włączy się alarm przeciwwłamaniowy albo coś w tym rodzaju.

Reinnike został zamordowany ponad trzy doby temu. Zapisy z ostatnich dwudziestu czterech godzin były dla mnie bezużyteczne.

Sprzedawca skrzyżował ręce na piersi i obrzucił mnie krytycznym wzrokiem.

- Wczoraj wieczorem widziałem wozy policyjne przed motelem. Chodzi o tę samą sprawę?

- Jeden z gości trzy dni temu został zamordowany.

- Tutaj, w motelu?

- Nie, w śródmieściu, ale tutaj się zatrzymał.

Pokazałem mu zdjęcie z kostnicy. Przyjrzał mu się uważnie i pokręcił głową.

- Nie mam pamięci do twarzy. Nie umiałbym nawet opisać trzech ostatnich klientów.

- Jeździł brązową hondą accord z dużym wgnieceniem na lewym błotniku i stłuczonym tylnym światłem. Może tankował po sąsiedzku?

- Naprawdę mi przykro. Jeśli system akceptuje kartę kredytową, często nie patrzę nawet na kupującego.

- Raczej płacił gotówką.

- Mnóstwo ludzi płaci gotówką. Nie pamiętam tego człowieka.

Do sklepu wszedł robotnik z budowy obsypany białym cementowym pyłem. Zamówił dwa hot-dogi bez żadnych dodatków i dużą kawę z czterema kostkami cukru. Odsunąłem się na bok, żeby umożliwić sprzedawcy wyjęcie hot-dogów z piecyka i nalanie kawy do styropianowego kubka. Za ladą stały szafy chłodnicze z napojami gazowanymi, kawiarka, automat do sprzedaży mrożonego jogurtu i elektryczny piecyk z kanapkami. Nie zauważyłem jednak ekspresu do kawy. Nigdzie zresztą nie było reklamy mokki ani cappuccino.

Kiedy robotnik wyszedł, zapytałem:

- Jest tu gdzieś w pobliżu kawiarnia?

- Jest Starbucks przy Riverside, ale to dobry kilometr stąd, może nawet dalej. Ja mam dobrą kawę. Jaka pan sobie życzy?

- To nie dla mnie. Świadek z motelu mówił, że przechodził na drugą stronę ulicy na dobrą mokkę. Ciekaw jestem, gdzie ją kupował.

- Zaraz mogę przygotować. Niewykluczone, że przychodził do mnie. Mamy nie tylko mokkę, ale i kawy aromatyzowane, waniliową, orzechową, cały asortyment kawy rozpuszczalnej, jaki sprzedaje się w porcjach. Słyszał pan, że głównym składnikiem tych mieszanek jest piasek? Wystarczy go zalać wrzątkiem... -

Sprzedawca urwał nagle i zmarszczył brwi. - Hej, nie chodzi przypadkiem o tego czarnego gościa?

No i proszę. Kiedy rozmawia się z ludźmi, nigdy nie wiadomo, co im się nagle skojarzy. Czasami jedno pytanie jest jak kopnięcie kamienia, pociągającego za sobą całą lawinę, Spod której wyłania się goła ziemia, a w niej coś błyszczący.

- Nie wiem. Może go pan opisać?

- To było... - Zaczął bezgłośnie poruszać wargami i odliczać na palcach. - ... pięć nocy temu. Potężny facet, barczysty i muskularny, z długimi włosami zebranymi w kucyk.

Pięć dni temu w motelu była Dana, która modliła się razem z Herbertem Faustyną.

- Pamięta pan, że sprzedawał mu pan mokkę?

Uśmiechnął się chytrze.

- Niespecjalnie. Zapamiętałem go z powodu jego kociaka. Człowieku, co to była za babka,..

Obiema dłońmi pokazał przybliżony rozmiar jej biustu. Thomas nie wspominał, że przyszli tu z Daną na kawę.

- Ona też piła mokkę?

- Nie, przyszedł do sklepu sam. Leciała transmisja meczu Lakersów, więc został trochę dłużej, ale bez przerwy zerkał przez okno. Wydało mi się to podejrzane, aż nabrałem obaw, że chce mnie okraść. Lecz nagle rzucił: „Cholera, to moja dziewczyna”, i ruszył do wyjścia tak szybko, że aż rozchlapał gorącą kawę z kubeczka. Zalał nią sobie całą rękę.

- Poparzył się?

- Chyba tak. Ale dziewczyna była naprawdę niesamowita. Ja na jego miejscu też pewnie bym rozlał kawę.

- Rozumiem.

- W każdym razie pobiegł truchtem przez ulicę. Miałem okazję dobrze się przyjrzeć tej laleczce, bo i ona ruszyła biegiem

w jego kierunku, a przy każdym kroku jej bluzka fantastycznie falowała. Takie rzeczy mogą się tylko przyśnić.

Jeszcze raz uniósł obie ręce i zakołysał nimi, wymownie pokazując falujący ruch piersi.

- Dlaczego biegła?

- Wskoczyli razem do samochodu. Myślałem, że się spieszą, ale ona zaraz znów wysiadła i podbiegła do drugiego faceta...

W zeznaniach Thomasa brakowało również tego fragmentu, nie powiedział, że Dana wysiadła z samochodu. No i, rzecz jasna, nie opisywał mi falistego kołysania jej piersi.

Zadźwiewał dzwoneczek przy drzwiach i do sklepu weszło ormiańskie małżeństwo z małym dzieckiem. Ona była piękna i nadzwyczaj ponętna. Sprzedawca zagapił się na nią, jakby nagle zapomniał o całym bożym świecie. Położyłem dłoń na jego rękę.

- Może pan opisać tego drugiego faceta, do którego podbiegła?

- Prawdę mówiąc, nawet na niego nie spojrzałem. Patrzyłem tylko na jej cycki, które apetycznie podskakiwały.

- Nie był przypadkiem starszy, chudy, z kiepsko ufarbowanymi włosami?

- Ma pan na myśli tego ze zdjęcia?

- Chciałbym to usłyszeć od pana.

Obejrzał się leszcze za kobietą skręcającą między regały, westchnął i popatrzył z powrotem na mnie. Zakłóciłem tok jego marzeń.

- Naprawdę nie widziałem jego twarzy. Chyba rzeczywiście był starszy, ale nie potwierdziłbym tego pod przysięgą. Pamiętam tylko, że omal nie zwała go z nóg, kiedy rzuciła mu się na szyję.

To musiał być Reinnike. Po rozmowie telefonicznej wyszedł z motelu, i Dana wyskoczyła z samochodu i podbiegła do niego. O tym Thomas także nie wspominał. Coraz bardziej mnie ciekawiło, dlaczego.

- A co z tym czarnym? Także wysiadł, żeby się z tamtym przywitać?

- Skądże. Osunął się błyskawicznie na fotelu, jakby się przed nim ukrywał. Pomyślałem, że to dziwne, ale wydawało mi się, że robił zdjęcia zza kierownicy.

- Co pana skłoniło do takiego wniosku?

- Widziałem w jego rękach aparat...

Uniósł ręce do twarzy i ułożył palce tak, jakby trzymał w nich aparat. Do lady podszedł Ormianin i zapytał, gdzie znajdzie skondensowane mleko. Sprzedawca skierował go do ostatniego regału pod ścianą.

- Jest pan pewien, że to był aparat? - zapytałem. - Może trzymał telefon komórkowy?

- Przecież potrafię odróżnić aparat od komórki, no nie? Zresztą to nie był zwykły tani pstrykacz, tylko porządny profesjonalny aparat z długim teleobiektywem. - Wskazał przez szybę biały wóz stojący na motelowym parkingu. - Widzi pan tego białego sedana? Na... czwartym, piątym, szóstym miejscu od wjazdu, w pierwszym rzędzie od ulicy? Stali wtedy tam, gdzie ten sedan. Wyraźnie widziałem aparat w rękach tego gościa.

- Jak długo dziewczyna rozmawiała z tym starszym facetem?

- Kilka minut. Może nawet krócej.

- A co było potem?

- Odjechali.

- Nie zauważył pan, czy pojechali za tym starszym gościem?

Sprzedawca zrobił kwaśną minę.

- Człowieku, niby skąd miałbym to wiedzieć? Odjechali i tyle ich widziałem.

Ormiańskie małżeństwo postawiło na ladzie dwie puszki skondensowanego mleka i duży słój przecieru jabłkowego.

- Przepraszam, muszę wracać do pracy - mruknął sprzedawca.

- Ja też.

Podziękowałem mu za pomoc, wyszedłem zza lady i skierowałem się do samochodu. Robiło się coraz chłodniej, ale nawet tego nie czułem. Dokładnie o dziesiątej pięćdziesiąt trzy zadzwoniłem do Joego Pike'a.

- Muszę się z tobą spotkać - powiedziałem.

Nawet nie zapytał, w jakim celu. Chciał tylko wiedzieć, gdzie. Podałem mu adres Dany.

Musiałem jednak przyznać rację Kenowi Wilsonowi. Nie ma czegoś takiego jak życiowe ślepe zaułki. Lucy odeszła, ale miała jeszcze do mnie wrócić.

35

Ludzie kłamią jak najęci. Chyba z połowa siedzących w więzieniach została aresztowana wyłącznie przez swoje kłamstwa, nawet jeśli nie zrobiła niczego złego. Jeśli gliniarz pyta przesłuchiwanego, gdzie byli we wtorek wieczorem, a oni nie chcą się przyznać, że wpadli na piwo do Starlite Lounge, tylko mówią, że byli w Bakersfield, to reflektują się dopiero za kratkami, gdzie trafiają oskarżeni o udział w napadzie w Bakersfield, ponieważ pasują do popisów sprawców. Przypominają sobie nagle, że przecież byli w Starlite, ale jest już za późno. Z powodu niewinnego kłamstwa zostają aresztowani i osądzeni, a zanim detektywi dojdą prawdy na temat ich pobytu w Starlite, dokopią się także do niezapłaconych alimentów albo do niestawienia się na rozprawie przed sądem. I wszystko to z powodu niewinnego kłamstwa, którego celem jest zatajenie wypitego piwa. Mnóstwo osób tak postępuje. Kłamstwo jest wręcz odruchową reakcją ludzi.

Thomas i Dana kłamali pewnie dlatego, że mieli coś do ukrycia. Ich kłamstwa raczej nie były powiązane z morderstwem Rennikego, ale zależało mi na obejrzeniu zdjęć.

Uliczką, przy której mieszkała Dana, była całkiem nieźle oświetlona jak na małomiasteczkowe warunki, a ciepły złotawy blask latarni rozmiękczał wygląd tanich budynków, przez co osiedle wydawało się ładniejsze niż w rzeczywistości. Przy obu krawężnikach samochody stały stłoczone niczym szczeniaki przy brzuchi suki podczas karmienia. Było już po jedenastej, gdy minąłem dom Dany. Na całym osiedlu ludzie układali się do snu.

Dżip Pike'a tarasował podjazd dwa budynki dalej. Siedzący za kierownicą Joe z daleka przypominał tylko nieco ciemniejszą plamę wśród otaczających go głębokich cieni. Okno miał opuszczone do końca. Ledwie się zbliżyłem, z ciemności doleciał jego cichy głos:

- Nie umiem powiedzieć, czy ktoś jest w domu. Zastony są zaciągnięte, w środku panuje cisza.

- Nie mogłeś kopniakiem wyważyć drzwi?

- Czekałem na ciebie.

- Jasne. Chodźmy.

Powiedziałem mu w paru zdaniach, jak chcę to rozegrać, po czym ruszyłem chodnikiem w kierunku mieszkania Dany. Za mną Pike niemal bezgłośnie wysiadł z dżipa. Nie zapaliła się lampka pod sufitem, kiedy otworzył drzwi.

Stałem przed mieszkaniem, przez chwilę nasłuchiwałem, wreszcie zadzwoniłem. We wszystkich oknach było ciemno. Przyjrzałem się dokładniej tanim aluminiowym ramom ze sprężynowymi zapadkami pełniącymi funkcję okiennych zamków. Spróbowałem odsunąć jedną połowę, ale zapadka trzymała mocno. Owinałem więc lufę rewolweru chusteczką do nosa, przytknąłem ją do szyby tuż nad dźwigienką zapadki i drugą dłonią uderzyłem mocno w tylną część kolby. Lufa przebiła się przez szkło, tworząc poszarpany otwór wielkości piłeczki tenisowej. Wsunąłem przez niego rękę, otworzyłem okno

i wskoczyłem do środka i starannie ułożyłem za sobą zaciągniętą zasłonę.

- Halo?!

Zapaliłem światło, po czym zajrzałem do sypialni i łazienki, żeby się upewnić, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Oprócz kłamstw ludzie mają też skłonności do urywania się i wyskakiwania zniecka na człowieka. Coś takiego może zdezorganizować cały dzień.

Kiedy byłem w tym mieszkaniu dwa dni wcześniej, na stole kuchennym obok komputera leżał duży aparat fotograficzny z długim teleobiektywem. Teraz go nie było. Na biurku wały się papiery, telefon komórkowy i kilka zakurzonych maskotek, lecz wśród tego bałaganu wyróżniała się nowiutka biała wizytówka policyjna. Detektyw Jeff Pardy. Uśmiechnąłem się na jej widok. Może Pardy i był ograniczony umysłowo, ale przynajmniej sumiennie wykonywał swoje zadania. Poczuję do niego nawet odrobinę sympatii.

Przeszedłem do saloniku i usiadłem na kanapie, żeby poczekać. Była jedenasta dwadzieścia sześć. Siedemnaście minut po północy przed drzwiami mieszkania rozległy się czyjeś głosy. Wróciłem do jadalni, obróciłem fotel przodem do wejścia i rozsiadłem się w nim wygodnie.

Zazgrzytał klucz w zamku.

Dana odezwała się zdumiona:

- Przecież zgasiłam światła.

Thomas wszedł do środka, ale nie zauważył mnie, bo spoglądał na Danę. Trzymał aparat fotograficzny. Dopiero gdy ona weszła i przycisnęła się obok niego, spostrzegła mnie w fotelu, ale było już za późno.

- Ty... - zaczął Thomas.

Pike wyrósł za jego plecami jak spod ziemi, zacisnął lewą rękę na jego szyi, jednocześnie wykręcając mu prawą za plecy,

podniósł go i wtaszczył do pokoju. Thomas głucho zacharczał, aparat z trzaskiem spadł na podłogę.

- Hej! Co ty wyrabiasz?! - krzyknęła Dana. - Puść go!

Joe tylko oparł go lekko na ziemi. Thomas natychmiast sięgnął lewą ręką za siebie, ale Pike był poza jego zasięgiem. Zaczął się więc szamotać i wierzczać, wtedy Joe znów go podniósł, odcinając mu dostęp powietrza. Naprawdę niewiele można zdziałać, kiedy się tak wisi za brodę, a wywalony język powoli sinieje.

Zamknąłem za nimi drzwi, wziąłem Danę pod rękę i doprowadziłem do kanapy.

- Nic mu nie będzie. Siadaj tu i nie wstawaj.

Podniosłem aparat i usiadłem obok niej. Rzeczywiście był to profesjonalny cyfrowy model marki Sony z dodatkowymi portami na karty pamięci i pokrętłami, których przeznaczenie było dla mnie tajemnicą. Wcisnąłem Danie w dłoń wizytówkę i telefon komórkowy.

- Potrzymaj to, dobrze?

- Czego chcecie? Dlaczego mam to trzymać?

- Wszystko w porządku, Pike?

- Doskonale.

- Bardzo się cieszę.

Odnalazłem w aparacie główny włącznik, przekręciłem go i ustawiłem na przeglądanie zdjęć. Na ciekłokrystalicznym ekraniku pojawił się nocny widok ulicy. To zdjęcie zostało zrobione jako ostatnie. Na żółtym pasku w górnej części ekranu wyświetliła się liczba 18. Zatem w pamięci aparatu znajdowało się osiemnaście fotografii. Nacisnąłem przycisk oznaczony strzałką wstecz i na ekranie pojawiło się zdjęcie siedemnaste. Zacząłem przeglądać je kolejno. Cztery ostatnie przedstawiały zwyczajne nocne widoki miasta, za to czternaste ukazywało wnętrze słabo oświetlonego pokoju i zostało chyba zrobione przez szparę między zasłonami. W wąskim polu dominował

pomarańczowy blask, dało się jednak wyróżnić zarys wygiętych w łuk pleców kobiety i męskich nóg. Para była w łóżku, ona pochylała się nad leżącym na wznak mężczyzną. Na wcześniejszym podobnym zdjęciu rozpoznałem Danę. Musiało zostać zrobione zaraz po jej wejściu do pokoju, gdyż jeszcze stała w ubraniu, a przez szparę między zasłonami została uchwycona jej twarz. Żadna z fotografii nie ukazywała motelu Home Away Suites ani George'a Reinnikego alias Herberta Faustyny, lecz gdy tylko zobaczyłem te zdjęcia, od razu się domyśliłem powodu, dla którego Thomas i Dana ukryli przede mną pewne fakty.

- To urocze - powiedziałem. - Thomas robi zdjęcia Danie obsługującej klientów. Jak myślisz, do czego je wykorzystują?

- Czyżby do szantażu? - rzekł Pike z udawanym zdziwieniem.

Thomas znów zaczął się szarpać i kopać Joego po nogach, ale ten mocniej wykręcił mu rękę na plecach i znów zapanował spokój. Dana posłusznie siedziała bez ruchu na kanapie. Sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- Ty i twój macho nie opowiedzieliście mi przedwczoraj całej historii. Herbert Faustyna naprawdę nazywał się Rennike. Naoczny świadek widział, jak Thomas robi ci zdjęcia u jego boku przed motelem Home Away Suites. Chcę je zobaczyć.

- Nie robiliśmy żadnych zdjęć - odparła szybko. - Wasz świadek kłamał.

- Coś ci powiem. Zadzwonisz zaraz w moim imieniu do detektywa Pardy'ego. Po to dałem ci telefon i jego wizytówkę. Zobaczymy, jak policja potraktuje Thomasa, kiedy zostanie obciążony zarzutami o szantaż i wyłudzenia oraz zaliczony do grona podejrzanych o morderstwo.

Thomasowi oczy się nagle rozszerzyły. Ale Dana bez słowa wyciągnęła telefon w moim kierunku.

- No i widzisz, Thomas? Dana nie chce mi pomóc, więc sam będę musiał zadzwonić. Powiem Pardy'emu, że nie tylko narajasz klientów swojej dziewczynie, ale także robisz im zdjęcia, żeby

później ich szantażować. Przekonamy się, czy Stephen kiwnie choć palcem w waszej obronie.

- To mi wygląda na trzecie liczenie - mruknął Pike.

Dana poderwała się nagle z kanapy i rzuciła na nią telefon.

- To wszystko przez niego! To nie my! Nikogo nie szantażujemy! To robota Stephena! - Thomas zacharczał, jakby chciał ją ostrzec, żeby milczała, ale krzyknęła: - Przecież to nie ja powiedziałam im o samochodzie! Nie zamierzałam niczego mówić! Sam się z tym wyrwałeś!

Czekałem na reakcję Thomasa, lecz w jego spojrzeniu pojawiła się rezygnacja.

- Będziesz wreszcie gadał, jak on cię puści?

Wycharczał coś w rodzaju „tak”. Pike rozluźnił uścisk i Thomas wylądował na miękkich nogach. Oparł się o ścianę i zaczął kasłać, prawą rękę trzymał zwieszoną bezwładnie wzdłuż ciała. Dana wrzasnęła mu prosto w twarz:

- Musiałeś mleć ozorem?! Musiałeś im powiedzieć o samochodzie?!

Thonjas zerknął na nią bykiem, ale w jego oczach było więcej żalu niż złości.

- W końcu to ja nadstawiałem karku. Stephen sam im powiedział, że tam byliśmy. Podał nasze nazwiska i adres.

Musiałem powiedzieć coś więcej, żeby nie myśleli, że ukrywamy przed nimi prawdę.

- Pokaż mi zdjęcie Reinnikego - nakazałem.

- Nie mogę. Przesłałem je Stephenowi.

Je! Zatem było więcej niż jedno. Rosło prawdopodobieństwo, że z któregoś da się odczytać numer rejestracyjny toyoty.

Sięgnąłem po telefon i zacząłem wybierać numer Pardy'ego.

- Nie wygłupiaj się. Mówię prawdę. Przesyłam wszystkie zdjęcia Stephenowi i od razu je wykasowuję. On musi je mieć. Nie trzymam w komputerze żadnych kompromitujących plików.

Opuściłem telefon, popatrzyłem mu prosto w oczy i przeniosłem wzrok na komputer. Wyglądało na to, że Thomas mówi prawdę, ale miałem jeszcze wątpliwości.

- Co Stephen robi z tymi zdjęciami?

- Większość klientów korzysta z kart kredytowych, a wydatki zalicza do kosztów delegacji. Brat dziewczyny Stephena pracuje w jakimś biurze kredytowym i ma ułatwiony dostęp do wszystkich danych. Facet wraca z delegacji, a po paru tygodniach dostaje pocztą odbitkę zdjęcia. Nie ma innego wyjścia, jak wysupłać z własnej kieszeni dodatkowy tysiąc, żeby mieć święty spokój. Z tego, co wiem, Stephen nie naciska i nie przedstawia dalszych żądań. Nie jest idiotą. Chce tylko dodatkowo zarobić na boku.

- Reinnike płacił gotówką.

- No właśnie. Facet miał sporo gotówki, raz za razem wynajmował dziewczęta. Dlatego Stephen uznał, że warto i jego naciągnąć. Ale nie miałem okazji, żeby sfotografować go w łóżku, zrobiłem tylko tych parę ujęć na parkingu. Nie były wiele warte. Ale powtarzam, że już ich nie mam. Przesłałem je Stephenowi.

Podszedłem do jego komputera i spojrzałem na ekran, po którym przesuwała się piłeczka. Odbijała się od czterech krawędzi i zostawiała za sobą rozmyty, poszerzający się i stopniowo zanikający ślad. Działał program wygaszacza ekranu. Coś mi podpowiadało, że tym razem Thomas mówi prawdę.

- Wiesz, co mnie martwi? - rzekłem. - Te zdjęcia mogą nadal gdzieś tu być, a ja nie mam do nich dostępu. Jestem pewien, że policyjni specjaliści potrafią odtworzyć nawet wykasowane pliki.

- Mówię ci, że niczego u mnie nie znajdą. Wybieram najlepsze ujęcia, przesyłam je Stephenowi, po czym wszystko kasuję. Nie chcę trzymać takiego gówna w swoim komputerze.

- Przesyłasz je e-mailem?

- Tak zawsze wybieram trzy najlepsze, choć i tak zazwyczaj są kiepskie. A wiem, że on je odbiera, bo za każdym razem dostaję odpowiedź pocztą zwrotną. Tak samo było i w tym wypadku

- Kiedy? - zapytał Pike.

- Jakieś pięć dni temu. Tak, pięć dni temu.

- Dostał zdjęcia następnego dnia po naszym spotkaniu - wtrąciła Dana.

Spojrzałem na Joego, który skinął mi głową. Obaj myśleliśmy o tym samym.

- Nie dostałeś żadnej odpowiedzi pocztą zwrotną od Stephena w ciągu ostatnich trzech dni?

- Nie.

Pike uśmiechnął się chytrze. Kiedy trzy dni temu odwiedziliśmy Stephena, siedział przed swoim laptopem. W pokoju nie było innego komputera, a laptopa mu przecież zabraliśmy. Zatem zdjęcia George'a Reinnikego musiały się znajdować w bagażniku mojego samochodu.

Przesunąłem komputer Thomasa na koniec stołu, ustawiłem na jego miejscu laptop Stephena i podłączyłem go. Thomas stanął tuż za mną i popatrzył na ekran.

- Skoro macie komputer Stephena, to czemu, do diabła, nie zapytaliście jego o te przekłete zdjęcia?

- Zamknij się - mruknął groźnie Pike.

Na ekranie wyświetliło się niebieskie tło pulpitu. Kliknąłem ikonę zatytułowaną PLIKI PULPITU, ale pokazało się okienko z długą listą nic nie mówiących mi nazw plików. Wiedziałem, że muszą być wśród nich i spisy dziewcząt, i rejestry operacji bankowych, jednakże nie znalazłem katalogu z oczywistą nazwą w rodzaju SZANTAŻ czy KLIENCI. Najlepiej byłoby zmusić

Stephena, żeby pokazał nam zdjęcia, lecz on zawiadomił już swego adwokata, że zabraliśmy mu komputer. Gdyby teraz odniósł jakiegokolwiek obrażenia cielesne, podejrzenia natychmiast padłyby na nas.

- Masz coś? - zapytał Pike.

- Nie. Będziemy musieli wrócić do Stephena.

- Mogę o coś zapytać? - odezwał się Thomas. - Czemu dla was te zdjęcia są aż tak ważne? Co spodziewacie się na nich zobaczyć?

- Numer rejestracyjny samochodu Reinnikego.

Zamrugnął szybko i zamyślił się głęboko. Ewidentnie coś mu chodziło po głowie.

- Powinien być na jednym. Pamiętam, że na którymś ze zdjęć wysłanych Stephenowi dość dobrze było widać cały tył samochodu.

- Nie znasz jego hasła dostępu do poczty elektronicznej? - zapytałem.

- Myślicie, że pozwoliliby mi kontrolować swoją korespondencję?

Dalej czekałem cierpliwie. Na szczęście nie trwało to długo. Thomas wiedział już, jak odszukać zdjęcia w komputerze, tylko musiał jeszcze wykombinować, jakie postawić warunki.

- Kiedy przesyłam mu zdjęcia pocztą, musi je zapisywać na twardym dysku, żeby później wydrukować, skopiować i tak dalej, by wykorzystać je do szantażowania klientów. A skoro je zapisuje w postaci plików, niepotrzebne wam hasło dostępu do poczty elektronicznej. Wystarczy odnaleźć te pliki na twardym dysku. Zgadza się?

- Do rzeczy.

- Moim zdaniem macie do wyboru trzy rozwiązania. Możecie iść z tym komputerem na policję, jak zamierzaliście zrobić z moim, żeby technicy odszukali zdjęcia. Oczywiście wcale nie jest pewne, czy je znajdą. Możecie też jechać z laptopem do

Stephena, licząc na to, że zastaniecie go w domu i nie będzie żadnych świadków, po czym wetknąć mu lufę rewolweru w usta i czekać z nadzieją, że nie wykasuje zdjęć, zanim zdążycie się zorientować, co robi.

- A jakie jest trzecie wyjście?

Popatrzył na mnie z poważną miną, takim wzrokiem, jakby miał przed sobą kretyna. Poczułem, że mimowolnie się rumienię.

- No, jakie?

- Widzę, że ta sprawa jest dla was bardzo ważna. Jesteście tu już drugi raz i najwyraźniej działacie w pośpiechu. Nie zamierzacie czekać, aż policja ją rozwikła, i nie chcecie też zadzierać ze Stephenem. Nie twierdzę, że na pewno odnajdę te zdjęcia na twardym dysku, ale wiem, jak do tego podejść, więc może uda mi się zaoszczędzić wam trochę czasu. - Zawiesił głos. Domyśliłem się już, co mu chodzi. - Przed wysłaniem zdjęć do Stephena nadaję plikom nazwy. Jeśli on ich nie zmienia, to przynajmniej wiem, czego szukać. Zatem mogę wam pomóc. Ale muszę zyskać pewność, że zostanę uwolniony od wszelkich zarzutów. Mam na koncie już dwa wyroki.

Podejrzywałem, że Pardy pójdzie na taki układ. Powiedział mi wyraźnie, że nie interesują go przestępstwa obyczajowe. Ale z drugiej strony ujawniliśmy ewidentny szantaż i wymuszenia, a to zakrawało na poważną sprawę. Zresztą, gdyby Pardy się sprzeciwiał, zawsze mogłem jeszcze nakłonić Diaz, żeby wywarła na niego presję. Doszedłem więc do wniosku, że mogę mu śmiało obiecać to, czego żądał.

- Dobra. Pokaż te zdjęcia.

- Najpierw muszę być pewien swego.

- Załatwię ci zwolnienie z wszelkich zarzutów.

Thomas osiadł przed laptopem. Uruchomił kilka programów, aż wreszcie na środku otworzyło się okienko z polem do wpisania nazwy poszukiwanego pliku. Uważnie wstukał DANA1.JPEG naprowadził kursor na klawisz potwierdzenia i uruchomił przeszukiwanie. Prawie natychmiast w oknie Menedżera plików

wyświetliło się drzewo katalogowe, a na samym dole pokazała się ikonka pliku DANA1.JPEG.

Zaśmiał się głośno, jakby nagle uwolniony od wcześniejszego napięcia, i syknął:

- A niech mnie...

Jak wnikało z drzewa, plik o nazwie DANA1.JPEG znajdował się w katalogu FIGURANCI, który był częścią katalogu PARTNERZY umieszczonego w katalogu WAKACJE EDA, ten zaś został utworzony w katalogu o niewinnej nazwie PISMA PRZEWODNIE. Thomas zapisał wszystkie nazwy, zamknął program przeszukujący i w głównym oknie Menedżera zaczął otwierać katalogi w odwrotnej kolejności, a więc najpierw PISMA PRZEWODNIE, potem WAKACJE EDA i PARTNERZY. Przy każdej operacji ja i Dana pochylaliśmy się nad nim niżej, próbując wyłowić znajomą nazwę w gąszczu ukazujących się plików. Kiedy wreszcie otworzył katalog FIGURANCI, na ekranie pojawiła się lista plików o krótkich nazwach, ułożona w porządku alfabetycznym: ALLIE1.JPEG, ALLIE2.JPEG, ALLIE3.JPEG, ANGELA1.JPEG, ANGELA2.JPEG.

W sumie były tam setki JPEG-ów. Może nawet z tysiąc. Przy niektórych imionach pojawiała się podwójna numeracja: BARB1.JPEG, BARB2.JPEG, BARB2/1.JPEG, BARB2/2.JPEG, BARB3.JPEG

- Dlaczego gdzieś tam są różne serie przy tym samym imieniu? - zapytałem.

- Pewnie oddzielał zdjęcia tej samej dziewczyny z różnymi klientami.

- I wszystkie ty robiłeś?

- Owszem.

- Ale z ciebie kawał gnoja - mruknął Pike.

Thomas nie odważył się nawet spojrzeć na niego, wolał się nie stawiać i nie unosić honorem.

Ściągnąłem go z krzesła, sam usiadłem przed komputerem i zacząłem przewijać listę plików. Dana została sfotografowana z siedmioma różnymi klientami. Kiedy otworzyłem pierwszy plik z pierwszej serii, ujrzałem rozmyte mleczne zdjęcie, które ukazywało ją w wejściu do baru w towarzystwie jakiegoś grubasa w eleganckim garniturze. Sądząc po kątach ujęcia, parę sfotografowano z drugiej strony ulicy, a wyblakłe kolory wskazywały, że zamiast flesza posłużono się jakimś programem do elektronicznej obróbki zdjęć, pozwalającym na wzmocnienie obrazu. Z miny grubasa łatwo było wyczytać, iż nie ma pojęcia, że jest fotografowany.

W następnej serii Dana wraz z drugą młodą dziewczyną były w towarzystwie dwóch starszych panów na pokładzie białego jachtu zacumowanego w Marina del Rey. Obie miały na sobie bardzo skąpe bikini, skóra im błyszczała od olejku do opalania. Sądząc po ziarnistości zdjęcia, zrobiono je z użyciem teleobiektywu, zapewne z któregoś baru albo motelu na nabrzeżu portowym.

Kiedy otworzyłem pierwszy plik z trzeciej serii, ujrzałem George'a Reinnikego. Fotografia była tak samo mleczna i rozmyta jak poprzednie zdjęcia nocne, nawet duże wzmocnienie optyczne nie było w stanie uwypuklić matowych kolorów. Reinnike miał na sobie flanelową koszulę z długimi rękawami, był bez marynarki. W jego prawej dłoni widać było wyraźnie kluczyki od samochodu. Dana całowała go w policzek, ale on wyglądał na zaskoczonego i zakłopotanego, jakby wolał nie przyciągać niczyjej uwagi w miejscu publicznym. Stali przy bagażniku brązowej hondy accord, lecz z tego ujęcia nie było widać ani stłuczonego tylnego światła, ani tablicy rejestracyjnej.

- Przejdź do następnego - poradził Thomas. - Jestem pewien, że na którymś powinien być widoczny numer rejestracyjny.

Drugie zdjęcie przedstawiało szerszy plan, obejmowało więcej elementów otoczenia. Dana dopiero podchodziła do Reinnikego, dzieliło ich jeszcze jakieś pół metra. On stał na wpół odwrócony w stronę motelu, jakby został zaskoczony w nieodpowiednim momencie i nie bardzo wiedział, jak się

zachować. Jego niepewna mina sugerowała, że jest pełen obaw, iż dziewczyna urządzi mu scenę albo zażąda więcej pieniędzy. Na samym dole ekranu widać było górną część tablicy rejestracyjnej, ale całkiem nieostrą i zamazaną.

- Do diabła - syknął Thomas. - Na pewno było lepsze zdjęcie. Chyba jest jeszcze trzecie. Otwórz je.

Na tym plan był najszerszy. Dana stała na palcach, z rękami zarzuconymi na szyję Reinnikego. Doskonale było widać zarówno stłuczoną tylną osłonę świateł toyoty, jak też wgłębienie błotnika. Thomas wcale nie musiał zapamiętać tych szczegółów, kiedy nocą widział samochód przed motelem, mógł zwrócić na nie uwagę, gdy wybierał zdjęcia dla Stephena. Widoczna była cała tablica rejestracyjna, ale tak samo nieostra i zamazana jak twarz człowieka wyłaniającego się z gęstej mgły. Thomas pochylił się nad ekranem.

- Cholera. Nic nie da się odczytać.

Sądząc po układzie liter i cyfr numery były kalifornijskie, ale i to pozostawiało wiele wątpliwości.

- Nie dasz rady tego powiększyć i wyostrzyć?

- Człowieku, to cała sztuka. Nie wystarczy, że znalazłem dla was te zdjęcia? Więc jak? Umowa stoi? Mówiłeś, że załatwisz mi zwolnienie z zarzutów.

Skupiłem się na niewyraźnym zarysie tablicy rejestracyjnej, ale nie zdołałem niczego odczytać. Chyba tylko specjalista od grafiki cyfrowej byłby w stanie wyostrzyć obraz. Wiedziałem, że niektórzy potrafią dokonywać cudów w tym zakresie. Ale nie zawsze się udawało. Zamknąłem plik. George Reinnike zniknął z ekranu.

Wyłączyłem laptop, wetknąłem go sobie pod pachę i skinąłem głową Pike'owi. Podszedł do drzwi i odwrócił się w naszą stronę. Popatrzyłem na Thomasa.

- Spróbuję dogadać się z Pardym. będziesz musiał złożyć zeznania obciążające Stephena, ale postaram się, żeby ciebie o

nic nie oskarżono. Lecz jeśli dalej będziesz kręcił, nici z naszej umowy, zostawię cię w rękach policji. Rozumiemy się?

- Tak.

- Podczas zeznań masz powiedzieć wszystko, i o prostytutce, i o swojej roli w szantażu. Niczego nie ukrywać. Jasne?

- Tak - odpowiedziała za niego Dana.

Gdy z Joem wychodziliśmy z mieszkania, oboje wyglądali jak spłoszone zające wyłowione z mroku przez snopy światła samochodu.

Ruszyliśmy w stronę jego dżipa, obaj pogrążeni we własnych myślach, dopiero gdy wyszliśmy na ulicę, mruknął:

- Blisko było.

- Poszukam kogoś, kto spróbuje wyostrzyć obraz. Musi być na to jakiś sposób. Może Chen potrafi to zrobić.

Zostawiłem Pike'a przy jego samochodzie i poszedłem do swojego, zastanawiając się, kto mógłby mi pomóc. Rzeczywiście było blisko. Ale numer rejestracyjny toyoty wciąż pozostawał dla nas zagadką, podobnie jak tkwiący w mojej wyobraźni wizerunek ojca.

Kiedy wróciłem do domu, schowałem laptop Stephena na dnie szafy, zakryłem go starym płaszczem i wypilem szklanek mleka. Potem zjadłem banana, wziąłem prysznic, położyłem się i próbowałem zasnąć, lecz nie dawała mi spokoju długa lista z imionami dziewcząt w nazwach plików. Obawiałem się, że Pardy nie popuści i nie zrezygnuje z oskarżenia Thomasa i Dany. A także tego, że żadnym sposobem nie da się odczytać ze zdjęcia numeru rejestracyjnego toyoty Reinnikego i nigdy nie dowiem się prawdy. Spoglądałem w ciemność zalegającą pod sufitem sypialni, wciąż od nowa roztrząsając to wszystko w myślach, aż w końcu ogarnęła mnie złość i wstałem.

Pozapalałem wszystkie światła, wyciągnąłem z szafy laptop i ustawiłem go na stole kuchennym. Nie wiadomo skąd zjawił się kot, usiadł przy stole i zaczął mnie obserwować.

Zacząłem kolejno otwierać zdjęcia zrobione przez Thomasa, aż przypomniałem sobie, jak w Menedżerze Plików wyświetlić spis wszystkich JPEG-ów. Przeglądałem go uważnie, dopóki nie natknąłem się na trzy zdjęcia zatytułowane imieniem VICTORIA. Występująca pod nim dziewczyna nazywała się Margaret Keyes. Bez zastanowienia wykasowałem te pliki.

Nie wyrzuciłem numeru telefonu komórkowego Margaret. Zadzwoiłem więc do niej, mimo że była druga w nocy. Obawiałem się, że może odebrać ktoś inny, ale po piątym sygnale usłyszałem jej głos. Sądząc po odgłosach w tle, była w większym towarzystwie w jakimś nocnym klubie albo restauracji. A może tylko siedziała przy nastawionym głośno telewizorze?

- Halo!

- Tu Elvis Cole. Nie musisz nic mówić, tylko słuchaj uważnie.

Nie odezwała się. Przyszło mi do głowy, że i ona nie może spać z powodu obciążających ją zdjęć i złości na samą siebie. Dopiero po chwili powiedziała nieco zagadkowo, na pewno z powodu ludzi, z którymi była:

- Tak, oczywiście. Rozumiem.

Starła się mówić swobodnie, lekkim tonem, jakby odebrała telefon od przyjaciółki.

- Mówiłaś mi, że Stephen ma coś na ciebie. Chodziło ci o zdjęcia?

Milczała przez dłuższy czas.

- Powiedz tylko tak albo nie, Margaret. Nie musisz mi niczego wyjaśniać.

- Zgadza się.

- Zdobył twoje zdjęcia w intymnej sytuacji z obcym mężczyzną i zagroził ich ujawnieniem, jeśli nie zgodzisz się dalej dla niego pracować. Mam rację?

- Tak.

- Więc tych zdjęć już nie ma. Jesteś wolna.

Przerwałem połączenie, nie czekając na jej odpowiedź. Odłożyłem telefon, wyłączyłem laptop i poszedłem na górę do sypialni.

Po krótkim czasie ciemność pod sufitem przestała mi się wydawać złowieszcza i zasnąłem.

36

Starkey

Długo przewracała się w pościeli po tym, jak obudził ją zły sen. Wypaliła papierosa i usiłowała zasnąć, lecz ilekroć w jej umyśle mroczny cień przybierał realny kształt, natychmiast się budziła. Najpierw widziała w nim Sugara, potem Jacka Pella, ale najczęściej Cole'a, który raz za razem odżywał w jej sennym koszmarze. Gdy przyśnił jej się Pell o wyłupiastych błyszczących oczach, uśmiechnął się szeroko i wskazał coś za jej plecami, lecz nie zdążyła się obejrzeć wystarczająco szybko, by cokolwiek dostrzec w ciemności za sobą. Ostatecznie powiedziała sobie, że nie ma się co wygłupiać, i wstała z łóżka.

W łazience pociągnęła łyk płynu na nadkwasotę, który smakował jak glutu zaprawione olejkiem miętowym, po czym zrobiła sobie filiżankę gorącej czekolady. Od czasu wypadku nie mogła pić kawy. Tęskniła za nią, ale zdawała sobie sprawę, że kawa podziałałaby na jej pozszywany żołądek jak spirytus wylany na świeżą ranę. Musiała się bardzo pilnować.

Usiadła przy kuchennym stole i zapaliła papierosa, pogrążona w myślach o Cole'u śpiącym teraz u boku Miodowej Laluni Południowego Błogostanu. Musiała w duchu przyznać otwarcie, że zadurzyła się w tępawym gnojku, który w ogóle nie zwracał na nią uwagi, i nie potrafiła się otrząsnąć z tego

zauroczenia. A było tak silne, że usiłowała pod byle pretekstem do niego dzwonić, po służbie patrolowała ulicę przed jego domem, dzwoniła nawet do Pike'a w złudnej nadziei, że zdoła dotrzeć do Cole'a za pośrednictwem jego serdecznego przyjaciela.

Wreszcie podjęła decyzję. Postanowiła się z nim spotkać i wyłożyć kawę na ławę: Posłuchaj, Cole, zakochałam się w tobie, kapujesz? I chcę być z tobą. Co ty na to?

Raz po raz odtwarzała tę scenę w myślach, dopracowując szczegóły, wreszcie ze złością zgasiła papierosa w resztkę czekolady. Wiedziała, że nigdy się na to nie zdobędzie. Niby była tą samą policjantką, która do niedawna rozbrajała bomby, a jednak brakowało jej odwagi, żeby rozmówić się z Cole'em. Nie do wiary.

Przypaliła następnego papierosa i zaciągnęła się tak głęboko, że aż zakasłała. Dzięki Bogu miała jeszcze papierosy na pociechę.

Tak więc Carol Starkey siedziała przy kuchennym stole i paliła, nie mogąc zasnąć tej nocy. Senny koszmar śmiertelnie ją przestraszył.

Mistrz fechtunku

We śnie Starkey chowa się w mroku pod schodami wielkiej kamiennej wieży należącej do pięknej królowny. Nigdy nie mówiła o tym śnie swojej psychoterapeutce, bo występujące w nim postacie nader łatwo zidentyfikować. Kiedy obudziła się po raz pierwszy, pomyślała: „Jezu, nie trzeba być Freudem, żeby rozgryźć ten koszmar”. Poczuli się naprawdę zawstydzona tym, co symbolizuje jej sen.

A we śnie on jest mistrzem fechtunku. Nigdy nie zjawia się niespodzianie, nie odjeżdża i nie opowiada o swoich wyczynach, bo na wieczność jest uwięziony w tym śnie. Jak dotąd nie udało jej się dojrzeć jego twarzy, ale budową ciała i wdziękiem przypomina tancerza, chodzi ubrany w skórzaną tunikę i rajtuzy.

Nosi się z dumą, w jaką wprawia go jego przeszłość, był kiedyś bowiem Królewskim Bohaterem słynącym z odwagi męstwa. Teraz każdego dnia odwiedza tę wieżę, by uczyć piękną królową szermierki. Bo królowa zasługuje na lekcje u samego Królewskiego Bohatera, jak i on zasługuje na względy królowy.

Starkey nienawidzi tej cholernej jędzy.

Królowa także jest pozbawiona twarzy, ale Starkey domyśla się ponuro, że z tej pieprzonej suki musi być niezła laska. Puszyste loki barwy ciemnego miodu opadają na jej gładkie złociste ramiona, a bogato zdobiona jedwabna suknia skrywa ciało silne, prężne, o idealnych kształtach.

Tymczasem ona ma na sobie zgrzebną kieckę, do tego nogi uwalane błotem i brudne policzki. Jakimś cudem udało jej się przeniknąć do środka wieży, jakimś cudem ukryć pod schodami, jakimś cudem zostać świadkiem tej niekończącej się lekcji fechtunku. I przez to zakochać się w nim beznadziejnie. Za każdym razem sen zaczyna się tak samo:

Starkey ukryta w mroku obserwuje, jak:

Potężne kamienne mury dźwigają się wokół niej wysoko w niebo rozjaśnione czerwonym blaskiem pochodni i świec. Na ścianach wiszą arras, kamienną posadzkę pokrywa wspaniały kobierzec. Z jednej strony masywne dębowe drzwi prowadzą do komnat królowy, z drugiej podobne wiodą na dwór. Komnata jest pusta, rozległa niczym sala balowa; brakuje jej wielu szczegółów, ale to przecież tylko sen. Królowa i mistrz fechtunku nacierają na siebie i parują ataki w idealnie zgodnym rytmie, w tę i z powrotem, ze skupieniem wpatrując się w siebie nawzajem. Ich floretty w świetle pochodni rozrzucają jaskrawe błyski, szcęk stali rozbrzmiewa jak dźwięk gongów. On naciera, ona paruje cios i przechodzi do kontrataku, ale on robi unik. Krople potu błyszczą na ich czołach, oddechy stają się coraz szybsze...

Starkey po przebudzeniu unosi wzrok do nieba i myśli: „Wytrzymam w ukryciu, dopóki nie zaczną się pieprzyć!”

Ale wciąż nie ma powodu...

We śnie i jej oddech staje się coraz szybszy. Bardzo chciałaby znaleźć się na środku sali naprzeciwko niego. Pragnie, żeby to na nią tak patrzył, nie dostrzegając niczego dookoła. Marzy o tym, żeby zanurzyć się z mroku i zająć należne jej miejsce...

Ale nie jest do tego zdolna.

Ma na sobie zgrzebną kieckę zamiast jedwabnej sukni.

I jest prostytutką, a nie królowną.

Nagle wszystko się zmienia, jak to często bywa we śnie: Ciemność zaczyna na nią napierać. Starkey wyczuwa, że i za murami wieży coś się odmieniło. Armia najeźdźców oblega miasto. Wrzaski szlachtowanych ludzi mieszają się ze szczękiem toporów i rżeniem padających rumaków. Nadciągają demony. Nie widzi tego na własne oczy, ale przecież to tylko sen, a we śnie ma pełne prawo wyczuwać, co się dzieje za murami.

Mistrz fechtunku stoi sam w okrągłej sali fortecy. Przerazona królowna ostrożnie zerka zza uchylonych drzwi. On nakazuje jej uciekać tylnymi schodami, więc rzuca się do biegu...

Starkey, uwięziona w kryjówce pod schodami, krzyczy bezgłośnie: „TCHÓRZLIWA SUKA!”.

Coś z donośnym hukiem uderza w drugie drzwi. Mistrz fechtunku odwraca się w tamtą stronę.

Starkey zaczyna krzyczeć do niego:

„OLEJ TĘ SZURNIĘTĄ SUKĘ! SAM SIĘ RATUJ! UCIEKAJ!”.

Ale i on, podobnie jak ona, jest uwięziony w tym śnie.

Ciężkie drzwi rozpadają się na kawałki. Do środka wdzierają się monstrualni wojownicy, uzbrojeni w miecze prawdziwi giganci z ogromnymi muskulami, jeden większy od drugiego.

„UCIEKAJ, TY DURNY SZLACHETNY KRETYNIE! W NOGI!”.

Starkey nie jest nawet pewna, czy on chce uciekać. Nie wie, czy się boi. Stoi między krwiożerczą hordą a królowną, spokojnie unosi floret, szykując się do walki. Tak samo jak ona nie ma

wyboru. To jest przypisane mu miejsce w tym śnie. Ma oddać życie za królową.

„UCIEKAJ!”.

W zwolnionym tempie ogląda się przez ramię na otwarte przejście, w którym zniknęła królowa. I w jego oczach pojawiają się łzy. Poruszają się wargi. Starkey odczytuje z nich:

Kocham cię.

Mistrz odwraca się w stronę napastników i klinga jego floretu znów rzuca jaskrawe błyski. Mistrz robi uniki, uskakuje, przemyka między olbrzymami, którzy padają jeden po drugim na posadzkę, tworząc rosnącą stertę ciał. Bo w końcu jest mistrzem fechtunku, Królewskim Bohaterem słynącym z odwagi i męstwa.

Ale ich jest zbyt wielu.

Ostatecznie dosięgają go ich miecze.

Jego ciało zalewa się krwią.

A Starkey to widzi.

Łzy w jego oczach.

Tęskne spojrzenia za królową.

Dowód jego wielkiej miłości.

Jego nieuchronną śmierć.

CZEŚĆ CZWARTA

Jego nieuchronna śmierć

Ranek wstał pogodny i rześki, wypełniając piętro mojego domu bursztynowym blaskiem. Otworzyłem szeroko drzwi werandy w nadziei na odrobinę wiatru. W kuchni wciąż unosił się wspaniały zapach pomidorów duszonych z czosnkiem z naszej wspólnej kolacji z Lucy. Moje serce wciąż się radowało na to wspomnienie, chociaż uzmysłowiłem sobie, że nie spytałem, gdzie się zatrzymała. Skoro nie wiedziałem, gdzie mieszka, nie mogłem do niej zadzwonić. Może tak było lepiej.

Usmażyłem sobie jajecznicę z trzech jaj, zaparzyłem kawę Community Dar Roast, po czym zacząłem się szykować na spotkanie z Diaz i Pardym. Sporządziłem listę osób, z którymi rozmawiałem w Anson i San Diego, następnie zrobiłem trzeci komplet odbitek wycinków prasowych na temat Reinnikego. Kiedy skończyłem, zadzwoniłem do biura Diaz.

- Oho, czyżby Największy Detektyw Świata już rozwiązał zagadkową sprawę? - zagadnęła.

- Nie, ale mam coś, co może być przydatne. Czy przeszukiwanie baz danych przyniosło jakieś rezultaty?

- Myślisz, że to takie proste?

- Muszę porozmawiać z tobą i z Pardym. Mam cyfrowe zdjęcie Reinnikego przy jego samochodzie. Widać na nim tablicę rejestracyjną, ale jest nieostra, zamazana...

- Jak to zamazana? - przerwała mi. - Nie da się odczytać numeru?

- Nie da ale jest szansa, że specjalista zdoła wyostrzyć obraz. To naprawdę udane zdjęcie, ale nie dostałem go za darmo...

- Chwileczkę - przerwała mi ponownie. - Jest na nim ktoś jeszcze?

- Jedna z dziewcząt Goldeny.

- Gdzie zostało zrobione? Da się rozpoznać lokalizację?

Myślała, że zdobędzie nowych świadków.

- Nic w tym rodzaju, Diaz. Zostało zrobione przed motelem Home Away Suites późnym wieczorem, na trzy dni przed zabójstwem. - Nie odpowiedziała, toteż ciągnąłem: - Posłuchaj, naprawdę musimy to przedyskutować. Golden nie zajmuje się wyłącznie umawianiem dziewczyn z klientami. Na boku dorabia szantażem. Dlatego potrzebna mi jest gwarancja uwolnienia od zarzutów ludzi, którzy zrobili to zdjęcie. Byli zamieszani w ten proceder.

- Dobra. Przynieś je i zobaczymy, co da się zrobić.

- Muszę mieć waszą obietnicę. Myślisz, że Pardy na to pójdzie?

- Zgodzi się na wszystko, co mu każe.

Wyciągnąłem z szafy komputer Goldena i ruszyłem do tylnego wyjścia. Kiedy otworzyłem kuchenne drzwi, na ziemię spadła wetknięta w nie duża szara koperta. Nie była zaklejona ani zaadresowana. Zajrzałem ostrożnie do środka, po czym wyjąłem kilka kartek wydruku z telefaksu. Strona przewodnia była zaadresowana do sierżanta D. Gittamona, sprawa dotyczyła Davida Reinnikego. Nagłówek wskazywał, że były to materiały przesłane z biura szeryfa okręgu San Diego, z wydziału do spraw nieletnich przy posterunku North County. Nie znalazłem dołączonej żadnej notatki.

Domyśliłem się, że Starkey podrzuciła te faksy z samego rana, a nie dołączyła notatki ani nie zapukała, bo była wściekła z powodu wczorajszej kolacji. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Wróciłem do domu i zadzwoniłem pod numer jej komórki, ale włączyła się poczta głosowa.

- Starkey, to ja. Posłuchaj, chcę cię przeprosić za wczorajszy wieczór. Naprawdę nie wiedziałem, że Lucy jest w mieście. Byłem szorstki wobec ciebie. Zachowałem się niegrzecznie. Odebrałem materiały, które mi zostawiłaś. Zapoznam się z nimi i później do ciebie zadzwonię.

Odłożyłem słuchawkę, ale to nie wyciszyło moich wyrzutów sumienia.

Akta młodocianego Davida Reinnikego liczyły dziewięć stron. Zaczynały się od formularza zawierającego dane osobowe aresztowanego, a więc imię i nazwisko, adres zamieszkania, datę urodzenia, rysopis. W rubryce na dole strony ujrzałem historię policyjnych interwencji. Według przedstawionych w artykułach prasowych zeznań sąsiadów policję wzywano dwa, może nawet trzy razy, ale w aktach znajdowała się wzmianka tylko o jednym aresztowaniu Davida. Odstawiono go do domu poprawczego, kiedy miał piętnaście lat, a więc niespełna rok przed tym, jak razem z ojcem zniknął bez śladu. Ciążyły na nim zarzuty grożenia śmiercią innym osobom i znęcania się nad zwierzętami, jednakże pod krótkim opisem widniały litery SU, które oznaczały, że prowadzący sprawę śledczy zdecydował się ją umorzyć i nie przekazywać do sądu dla nieletnich.

Do formularza dołączono kopie dwóch policyjnych raportów. Pierwszy był ręcznie spisany protokołem z aresztowania Davida i miał półtorej strony długości.

Funkc. Carl Belnap, #8681

Funkc. Gregory Silias, #11611

Protokół z aresztowania:

Davida Reinnikego, lat 15, białego,

w dniu 12.09

Zarzuty: Kod 16-7218a

Podczas służby patrolowej 12.09 o godz. 16.40 zostaliśmy skierowani do domu pod adresem Adams 1627. Skarżąca, pani Francine Winnant, lat 46, kobieta, otworzyła nam drzwi w stanie najwyższego wzburzenia. Przedstawiła swoją sąsiadkę, panią Jacki Sarkin, lat 42, kobietę. Pani Winnant poprowadziła nas na tylne

podwórze, gdzie natknęliśmy się na dużego martwego psa rasy collie, z przebitą drewnianym kijem albo włócznią klatką piersiową.

Pani Winnant oświadczyła, że David Reinnike, lat 15 młodociany mężczyzna zamieszkały przy Adams 1612, groził zabiciem jej psa. Pani Sarkin potwierdziła, że pani Winnant mówiła jej o tym trzy dni wcześniej, kiedy to padły owe groźby. Pani Winnant oświadczyła, że zastała Davida Reinnikego podczas oddawania moczu na jej frontowym trawniku i kazała mu się natychmiast wynosić. Oświadczyła, że w odpowiedzi usłyszała groźby wymierzone przeciwko jej psu.

Pani Sarkin oświadczyła, że była świadkiem tej konfrontacji z okna swego domu, ale nie słyszała gróźb. Oświadczyła, że dowiedziała się o nich od pani Winnant, z którą później rozmawiała.

Pani Winnant i pani Sarkin zgodnie oświadczyły, że David Reinnike w przeszłości dopuszczał się aktów wandalizmu i przejawiał karygodne zachowanie.

Podczas spisywania zeznań pani Sarkin zauważyła, że David Reinnike jest obecnie na terenie swojej posiadłości w otwartym garażu.

Obaj udaliśmy się pieszo na teren posiadłości pana Reinnikego. Wylegitymowaliśmy się i przedstawiliśmy jako funkcjonariusze na służbie patrolowej i prosiliśmy nieletniego mieszkańca o dowód tożsamości. Oświadczył: „Jestem David Reinnike”.

Jak się okazało, w domu nie było nikogo dorosłego, co oprócz zapewnień Davida Reinnikego zostało potwierdzone przez nawoływanie i dzwonienie do drzwi. W garażu i na podjeździe nie dostrzeżono żadnego samochodu.

David Reinnike został przepytany w kwestii oświadczenia pani Winnant odnośnie jej psa. David Reinnike zaprzeczył temu oświadczeniu i w ogóle przestał się odzywać. Wyglądał, jakby miał problemy ze skupieniem uwagi. Zaprzeczył też, jakoby znajdował się pod wpływem narkotyków czy jakichś leków.

Pani Winnant i pani Sarkin wyszły przed dom i ruszyły w naszym kierunku, lecz funkc. Silias podszedł do nich i nakazał im powrót do domu.

David Reinnike stał się bardzo ożywiony. Funkc. Belnap próbował go uspokoić, ale ożywienie Reinnikego tylko się nasilało. Wykrzykiwał wulgarne słowa pod adresem pani Winnant i pani Sarkin, chcąc się do nich zbliżyć. Funkc. Belnap zatrzymał go w garażu. Po tym Reinnike zaczął wygrażać pani Winnant: „Zabiję cię!”.

David Reinnike został aresztowany i odstawiony na posterunek pod zarzutem stosowania gróźb odebrania życia. Dochodzenie w jego sprawie przekazano do wydziału do spraw nieletnich i wydziału ochrony zwierząt odnośnie psa. Następnie Reinnike został przetransportowany do domu poprawczego przy wydziale do spraw nieletnich posterunku North County. Żaden prawny opiekun ani rodzic nie zjawił się w domu w czasie aresztowania i sporządzania tego raportu.

(podpis)

Funkc. Carl Belnap, #8681

12.09.68 w/m

Odłożyłem raport na bok i sięgnąłem po drugi, który został sporządzony przez detektywa z wydziału do spraw nieletnich, Gila Ferriera. Zaczynał się od dwustronicowego opisu przeprowadzonego pochodzenia, a kończył podsumowaniem oraz zaleceniami.

David był spokojnym aczkolwiek zmartwionym po położeniu, w jakim się znalazł. Wyraził żal z powodu swojego wybuchu pod adresem pani Winnant, ale zaprzeczył, jakoby wiedział coś o śmierci jej psa. Wyjaśnił, że jego wybuch został spowodowany jej oskarżeniami, które nazwał nieprawdziwymi i oszczerczymi, jak również wcześniejszymi oskarżeniami ze strony krewnych pani Winnant. Oświadczył, że pani Winnant regularnie obwinia go o wybryki jej syna, Charlesa. David utrzymuje, że Charles, który jest od niego o dwa lata starszy, ustawicznie zaczepia go już od chwili, kiedy David z ojcem zamieszkał w tej okolicy. David przyznaje, że po którejś takiej zaczepce przed kilku laty uderzył Charlesa Winnanta kijem baseballowym. Od czasu

tamtego zdarzenia, jak mówi, jest regularnie nękanym i oskarżanym przez rodzinę Winnantów i słyszy różne pogróżki.

Niezależnie od Davida jego ojciec również potwierdził, że istnieje zatarg między jego synem a rodziną Winnantów, i wyjaśnił zdarzenie z użyciem kija baseballowego. Pan Reinnike oświadczył, że jego syn miał w tamtym okresie kłopoty z moczeniem nocnym. Chcąc go zawstydzić, wywiesił zmoczoną pościel na sznurze na tylnym podwórku, i z tego powodu inne dzieci, podjudzane przez Charlesa Winnanta, przez wiele miesięcy dokuczały Davidowi. Oświadczył, że rzezonego dnia Charles Winnant po raz kolejny zaczął wyzywać Davida i szydzić z niego, przez co rozżłoszczony chłopak rzucił się na niego z kijem baseballowym. Charles Winnant nie odniósł poważniejszych obrażeń, nie był hospitalizowany i nie trzeba mu było zakładać szwów. George Reinnike wziął na siebie pełną odpowiedzialność za doprowadzenie do tej sytuacji. Oświadczył, że osobiście przeprosił państwa Winnant, ale oni do tego stopnia przestraszyli się jego syna, że od tamtej pory zaczęli rozpowszechniać różne plotki na jego temat.

David Reinnike sprawia wrażenie bystrego, ale ma skłonności do niewłaściwych zachowań i szczególnie gwałtownych zmian nastrojów. Wychowuje go samotnie ojciec, George Reinnike, niepełnosprawny i bezrobotny. George Reinnike twierdzi, że matka Davida porzuciła ich krótko po urodzeniu chłopca. Nie utrzymuje żadnych kontaktów z synem, miejsce jej pobytu jest nieznane.

Wszyscy sąsiedzi, zarówno ci, którzy oskarżają Davida Reinnikego, jak i pozostali, mówią o aktach przemocy i wandalizmu oraz karygodnym zachowaniu. Jednakże w aktach policyjnych nie ma żadnych notatek, które potwierdzałyby te zarzuty. David Reinnike nigdy wcześniej nie aresztowany.

George Reinnike przyznał, iż jego syn dopuścił się dwóch aktów wandalizmu, oświadczył jednak, że podobne wybryki już się nie powtórzyły. Zaprzecza, jakoby miały miejsce inne wypadki. Kiedy w trakcie ponownych rozmów z sąsiadami funkcjonariusze wypytywali, kiedy zdarzyły się tamte wypadki, wszyscy zgodnie przyznali, że doszło do nich dość dawno temu. Oskarżenia pani Winnant co do gróźb Davida Reinnikego na temat jej psa brzmią wiarygodnie, jednakże nie znaleziono żadnych dowodów ani świadków mogących potwierdzić, że

faktycznie to on zabił psa. Nie ulega wątpliwości, że powstała wroga atmosfera między rodziną Reinnike a częścią sąsiadów. Ta wrogość jest łatwo wyczuwalna we wszystkich zeznaniach. Moim zdaniem kontynuowanie dochodzenia w sprawie oskarżeń przeciwko Davidowi Reinnikemu nie przyniesie żadnych rezultatów. Według mnie David Reinnike powinien się znaleźć pod fachową opieką specjalisty. George Reinnike oświadczył, że znajdzie dla syna taką opiekę. Zalecam umorzenie sprawy i nieprzekazywanie do prokuratury zebranych materiałów dotyczących oskarżeń przeciwko Davidowi Reinnikemu.

(podpis)

Det. Gil Ferrier #1212

14.09.68 WN/BSOSD

Kiedy skończyłem czytać, zapisałem w notesie nazwisko i numer służbowy Ferriera, a po namyśle dopisałem też personalia funkcjonariuszy, którzy dokonali aresztowania. Nie spodziewałem się, żeby pamiętali tak odległe zdarzenia, jednak w raporcie Ferriera wyczuwało się wyraźną troskę o los chłopaka, toteż przyszło mi na myśl, że detektyw mógł się jeszcze później nim interesować. Trzydzieści pięć lat to kawał czasu, lecz nie mogłem wykluczyć, że może nawet będzie wiedział, gdzie zamieszkał George Reinnike z synem po wyjeździe z Temeculi.

W wyobraźni miałem ciągle obraz zabitego psa. Wywoływał u mnie dreszcz odrazy. Do wypadku doszło prawie rok przed zniknięciem George'a Reinnikego z synem, a w przesłanych materiałach nie było wzmianki, by policja interweniowała jeszcze w tym czasie, wierzyłem jednak relacjom sąsiadów. David Reinnike miał ewidentnie poważne problemy wychowawcze, a tego typu problemy nie znikają wraz ze zmianą miejsca zamieszkania. Może faktycznie George oddał syna pod fachową opiekę i chłopak sporządniał, lecz poważnie w to wątpię.

Zadzwońnię jeszcze raz do Starkey i znów połączyłem się z pocztą głosową.

- Hej, właśnie przeczytałem raporty. Wyjeżdżam na spotkanie z Diaz, ale chciałbym z tobą porozmawiać. Zadzwoń później.

Wyszedłem z domu i pojechałem na komendę.

38

Dwadzieścia minut później wysiadłem z samochodu na parking, zgłosiłem się w recepcji i czekałem dziesięć minut, aż Diaz zjedzie po mnie. Jeszcze w windzie zacząłem jej mówić o poczynaniach Goldeny, ale ucięła krótko:

- Przekonajmy się najpierw, czy będziemy mieli jakiś pożytek z tego zdjęcia.

Salę ogólną wypełniał gwar, niemal przy każdym biurku ktoś rozmawiał przez telefon. Pardy był chyba jedynym gliniarzem, który nie miał nic do roboty. Siedział rozparty na krześle pod ścianą i z rękoma skrzyżowanymi na piersi gapił się w dal. Na jego biurku w granatowej plastikowej teczce leżały otwarte akta sprawy, ale nawet nie patrzył na nie. Diaz zawołała go od wejścia i poprowadziła mnie w tamtym kierunku.

- Witaj, Sherlocku. Jak się masz.

Pardy przez kilka sekund mierzył mnie uważnym wzrokiem, zanim wreszcie się podniósł. Zrobił to tak, jakby męczyło go wstawanie i siadanie. Zamknął akta, popatrzył na swój pager, w końcu wyszedł zza biurka i przysunął sobie dodatkowe krzesło, ale usiadł jak najdalej od nas.

- Jakieś postępy? — zapytałem.

- Sprawdzam kilka tropów. Chyba wiesz.

- Masz jakiś pomysł?

- Nie szukam pomysłów.

- W porządku, Cole - odezwała się Diaz. - Pokaż, co zdobyłeś.

Kiedy laptop się uruchamiał, podałem im kartkę z nazwiskami, adresami i numerami telefonów Edelle Reinnike oraz Marjorie Lawrence. Przekazałem kopie wycinków prasowych i zrelacjonowałem pokrótce, czego się dowiedziałem. Diaz dokładnie obejrzała wszystkie materiały i podała je Pardy'emu. Ten pochylił się nad nimi, kiedy zacząłem opowiadać o Davidzie Reinnike.

- To ostatecznie wyklucza cię ze sprawy, Cole. Chyba że jesteś jego bliźniakiem rozdzielonym zaraz po urodzeniu.

Diaz zaczerwieniła się, jakby nagle ogarnęła ją złość.

- Jedno nie ma z drugim nic wspólnego. Może byś się lepiej zajął sprawdzaniem tych nazwisk w naszych bazach danych?

- Powiedziałem tylko, co myślę. Dlaczego Reinnike sądził, że Cole jest jego synem, skoro miał już syna? To kompletna bzdura.

- A dlaczego pokrył całe swe ciało tatuażami i płacił dziewczkom za to, żeby się za niego modliły? Poznamy prawdę dopiero wtedy, gdy dotrzemy do ludzi, którzy go dobrze znali.

Odszukałem i otworzyłem plik z jego zdjęciem. Na ekranie ukazał się Reinnike stojący z Daną przy bagażniku hondy accord. Tablica rejestracyjna była widoczna w dolnym prawym rogu ekranu jedynie jako ciemny zamazany prostokąt. Pardy pochylił się nad ekranem.

- Ona ma chłopaka, który nazywa się Thomas Monte.

- Zgadza się.

Popatrzył na mnie z rozczarowaniem w oczach.

- Całkiem nieźle, ale nic nam z tego nic przyjdzie. Nie da się odczytać.

- Może technicy zdołają wyostrzyć obraz - powiedziała Diaz.

- Wystarczyłoby przynajmniej kilka cyfr z numeru rejestracyjnego.

Pardy usiadł z powrotem.

- Za bardzo bym na to nie liczył. Poza tym laboratorium jest zawałone robotą. I tak będziemy czekać parę miesięcy na identyfikację broni, więc kiedy zdołają zabrać się za to?

- Myślę, że i w tej kwestii mógłbym wam pomóc - wtrąciłem.

- Czyżbyś miał swoje prywatne dni otwarte? - zainteresował się Pardy.

Laboratorium kryminalistyczne rzeczywiście wykonywało zlecenia z kilkumiesięcznym opóźnieniem, co świadczyło tylko o poziomie przestępczości w Los Angeles. Oczywiście pierwszeństwo miały sprawy najgłośniejsze i te, dla których wyznaczono już terminy rozpraw sądowych. Z tego powodu uruchomiono eksperymentalny program dni otwartych, kiedy to każdy detektyw mógł się osobiście zgłosić ze swoim problemem. Ale chętnych było tak wielu, że w każdą środę od świtu ustawiały się długie kolejki.

- Coś w tym rodzaju - odparłem. - Mam w laboratorium znajomego, który jest mi winien przysługę.

- Mówisz o tym kurduplu, który zrobił ci duplikat karty magnetycznej?

- Zgadza się, Pardy. Właśnie o nim.

Kurdupel. Chen na pewno by się ucieszył, gdyby to usłyszał.

Wyjaśniłem, w jakich okolicznościach Monte zrobił to zdjęcie, jedno z setek zapisanych na twardym dysku laptopa. Oboje wysłuchali uważnie, na jakich warunkach zawarłem umowę z Thomasem, po czym Diaz ze zmarszczonymi brwiami popatrzyła na Pardy'ego.

- Będziesz musiał skontaktować się w tej sprawie z obyczajówką z komendy południowo-zachodniej, ale moim zdaniem warunki są do przyjęcia. Chyba możemy na nie przystać.

- Jak sobie życzysz.

Diaz znów popatrzyła na niego, ale już z wyraźną niechęcią.

- Posłuchaj, Pardy, nie lekceważ takich okazji. Może z tego wyniknąć duża sprawa, w którą zaangażują się federalni. Mógłbyś mieć w niej swój udział. Gdybyś trochę powęszył, żeby sprawdzić, do czego to doprowadzi, powinieneś zgarnąć coś dla siebie, zanim przekażesz sprawę dalej.

On jednak nie zareagował, wciąż tak samo siedział rozparty na krześle, mierząc ją sennym spojrzeniem.

- Jestem zajęty. Sama możesz się zająć tą sprawą.

Diaz otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale odwróciła się znów w stronę biurka i przekręciła laptop, żeby lepiej przyjrzeć się fotografii.

- W porządku, niech ci będzie. Chyba masz rację, że warto spróbować wyostrzyć obraz i odczytać numer rejestracyjny. I trzeba by się tym zająć jak najszybciej.

- Więc przyjmujecie warunki Thomasa i Dany?

- Na razie tak, jeśli tylko nie mieli nic wspólnego z zabójstwem. Prawdę mówiąc, ta sprawa od samego początku ma dla mnie podłoże seksualne. Więc gdyby się okazało, że ta para miała coś wspólnego z morderstwem, nici z umowy.

- Nie było żadnego podłoża seksualnego - mruknął Pardy.

Na wpół leżał na krześle, trzymając nogi wyciągnięte daleko przed siebie i ręce skrzyżowane na piersi. Wyglądał tak, jakby zaraz miał zasnąć. Poirytowana Diaz aż przygryzła wargi.

- Jasne, geniuszu. Więc co według ciebie było przyczyną zabójstwa?

- Porachunki.

Obróciła się w jego stronę, toteż dodał szybko:

- Myślisz, że siedziałem beczynnym na tyłku? Mam świadka, który widział Reinnikego na Union Station jakąś godzinę przed zabójstwem. Nie tylko opisał tatuaże na jego rękach, ale bezbłędnie wskazał zdjęcie z pokazanych mu sześciu.

- Co to za świadek?

- Bezdomny, którego znam jeszcze z czasów służby w wydziale miejskim. Według niego Reinnike kręcił się po dworcu. Kiedy mój informator poprosił go o parę centów, nawet na niego nie spojrział. Dlatego uważam, że Reinnike był z kimś umówiony na Union Station.

Przyszło mi do głowy, że Pardy jest tak senny, bo przez całą noc pracował nad sprawą.

- I co dalej? - zapytała Diaz. - Ktoś zabrał go samochodem z dworca i zawiózł do śródmieścia, do tego zaułka? Dlaczego nie w inne miejsce?

Pardy śmiało patrzył jej w oczy, jakby był absolutnie pewien swojej wersji wydarzeń.

- Właśnie dlatego, że to odludzie. Widocznie sprawca od początku zamierzał go zabić. Zresztą niewykluczone, że zastrzelił go gdzie indziej, a w zaułku tylko podrzucił konającego. Przecież nie znaleźliśmy łuski od naboju. Nie znaleźliśmy również telefonu komórkowego, który według Cole'a musiał mieć przy sobie. Wiele szczegółów się nie zgadza.

Diaz znowu zmarszczyła brwi, ale mnie się podobał sposób, w jaki Pardy kojarzył fakty.

- Beckett nie potwierdził, że zwłoki zostały tam podrzucone - powiedziała.

- Jeśli Reinnike nie był transportowany na dużą odległość, a przecież jeszcze żył, to Beckett wcale nie musiał znaleźć żadnych dowodów.

- A co z samochodem? - wtrąciłem. - Twój informator nie widział auta Reinnikego?

- Nie, ale wóz musiał być zaparkowany gdzieś w pobliżu dworca albo rzeczywiście ktoś zabrał Reinnikego swoim samochodem. Tamta uliczka jest dość daleko od dworca, sam przeszedłem całą drogę. Wykluczone, żeby Reinnike pieszo dostał się tam przez godzinę.

Diaz patrzyła na kolegę takim wzrokiem, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Na jej ustach powoli wykwitł szeroki uśmiech, lecz Pardy zachował śmiertelną powagę. Obracając w palcach małe srebrne serduszko na łańcuszku, Diaz powiedziała:

- To naprawdę przykład znakomitej roboty śledczej, detektywie, godzien najwyższej pochwały. - Pardy tylko sztywno skinął głową. - Czy twój informator nie zaprowadził cię do swoich znajomych? - spytała. - Z nimi też rozmawiałaś?

- Jeszcze nad tym pracuję.

Uśmiechała się coraz szerzej, on jednak wciąż spoglądał na nią z grobową miną.

- W porządku. Więc jak, Cole, chcesz się z tym zwrócić do swego przyjaciela, Chena?

- Pojadę do niego prosto od was.

Pardy podniósł się szybko i zaczął składać komputer Stephena.

- Ja go wezmę. Sam chcę porozmawiać z Chenem. Może też mi się uda załatwić u niego prywatne dni otwarte.

- W takim razie daj Cole'owi pokwitowanie - przypomniała mu Diaz.

- Jasne. Zaraz te zrobię.

Szybko wypełnił formularz pokwitowania, podpisał go i oznajmił, że jest wolny.

Tego ranka nie otworzył stacji benzynowej. Przez niemal całą noc cierpiał prawdziwe katusze, coraz bardziej przeświadczony, że nie ma już drogi ucieczki. Sprzysięgła się przeciwko niemu cała gigantyczna armia wrogów i ani trochę nie mógł być pewien, jaką postać przybierze tropiący go potwór - Cole'a, policjanta z patrolu, niewinnego księdza czy też przypadkowego motocyklisty pragnącego zatankować paliwo. Bał się każdego na swojej drodze. W wyobraźni roztrząsał dziesiątki scenariuszy możliwego rozwoju wydarzeń, z czego wszystkie kończyły się jego straszliwą śmiercią. W końcu zamknął przyczepę mieszkalną, załadował strzelbę do półciężarówki i pojechał z powrotem do Los Angeles, żeby sprawdzić, czy policja nadal strzeże domu detektywa.

Tego ranka Johna Chena nie było w laboratorium, pojechał do Chavez Ravine, na miejsce kolejnego zabójstwa. Zostawiłem mu wiadomość na poczcie głosowej: wyjaśniłem, o co mi chodzi z komputerem Goldeny, i poprosiłem o telefon. Następnie zadzwoniłem do Starkey.

- Sekcja śledcza, detektyw Starkey.
- To ja.
- Och, cześć.

Sądząc po tonie głosu, była lekko skonsternowana. Ja też.

- Mam wyrzuty sumienia z powodu wczorajszego wieczoru. Nie chciałem, żeby to tak wypadło.

- O co ci chodzi? Uważam, że nie ma o czym mówić.

- Powiniennem to zupełnie inaczej załatwić, poprosić cię, żebyś została. Lucy sama ci to proponowała.

- Daj spokój, Cole. Niepotrzebnie wyolbrzymiasz całą sprawę. Rozumiem, że musiałeś na bieżąco zmodyfikować swoje plany. Dla mnie to oczywiste.

- W porządku. Słuchaj, chciałem z tobą porozmawiać na temat Davida Reinnikego. Możemy się spotkać u Musso? Zjedlibyśmy spóźnione śniadanie.

- Co to ma być, Cole? Rekompensata za wczorajszą kolację? Nie musisz mnie na siłę dokarmiać. Nie myśl, że nie mam własnego życia.

- Wcale nie usiłuję czegokolwiek ci wynagrodzić. Nadal poszukuję Davida Reinnikego i w tym celu chciałem się z tobą skonsultować.

Zawahala się.

- Proszę, Starkey. Zgódź się.

- Prośby zwykle odnoszą skutek. Bardzo lubię, jak mnie prosisz, spotkamy się za dwadzieścia minut.

Przerwała połączenie, żebym nie zdążył dorzucić jakiejś mądrej uwagi.

Bar Musso i Franka przy Hollywood Boulevard był oddalony zaledwie o pięć minut spaceru od komendy w Hollywood. Mieścił się w tym samym lokalu od 1938 roku, niskim i ciasnym, ukrytym za ciężkimi oszklonymi drzwiami, wciąż tak samo spokojnym od czasu początków zawrotnej kariery Hollywood, kiedy to reżyserzy i gwiazdy filmowe zajmowali stoliki w najdalszym kącie sali. Nawet menu było chyba to samo od roku 1938. Podczas gdy inne restauracje w Los Angeles prześcigały się w nowinkach, u Musso nadal serwowano tłuste i przesolone potrawy. Później, w latach sześćdziesiątych, Hollywood stoczyło

się na dno, a bulwary zaroily się od żebraków, prostytutek i bandziorów. Całe miasto stało się odrażającym, przepelnionym zbrodnią slumsem, ale bar Musso i to przetrwał, a nawet rozkwitł - może ze względu na swoją imponującą historię, a może tylko przez potężnie zbudowanych kelnerów, którzy nie dopuścili, by taki wspaniały lokal podupadł. Od dawna była to jedna z moich ulubionych restauracji, pewnie właśnie dlatego, że nic się tam nie zmieniało. W każdym razie bardzo lubiłem tam jadać.

Zaparkowałem na tyłach budynku, okrążyłem go i wszedłem do środka. Przy barze tłoczyli się klienci, miejsca na obitych czerwonym skajem krzesłach przy stolikach zajmowali biznesmeni, pracownicy studiów filmowych, muzycy i bukmacherzy. Starkey zdażyła zająć stolik za przepierzeniem w połowie długości sali i czekała, wyposażona w szklanke schłodzonej wody i kilka różnych menu. Położyłem akta Reinnikego i odbitki artykułów prasowych na stole i usiadłem naprzeciwko niej.

- Cześć. Dzięki, że zgodziłaś się na to spotkanie.

Sprawiała wrażenie wyjątkowo zadowolonej z siebie.

- Lepiej nie próbuj mnie ugadywać, Cole. Nie kupuję takich bajerów na pierwszej randce.

Ta uwaga wprawila mnie w zakłopotanie, zwłaszcza że trzy kobiety przy sąsiednim stoliku natychmiast odwróciły głowy w naszą stronę.

- Posłuchaj, przykro mi, że doszło między nami do nieporozumienia. Nie sądziłem, że potraktujesz zaproszenie na kolację w kategoriach randki. Chciałem po prostu zjeść z tobą kolację, nic poza tym.

- Nie znasz się na żartach, Cole? Tak łatwo wyprowadzić cię w pole.

Połknęła dwie tabletki środka przeciw nadkwasocie i popatrzyła na kelnera, który przyszedł odebrać zamówienie. Zdecydowałem się na angielski omlet, Starkey poprosiła o

kanapkę z szynką. Kiedy kelner odszedł, zerknęła na leżące na stoliku papiery i powiedziała:

- Sama nie wiem, co mogłabym ci poradzić w tej sprawie.

- Jeśli Chen nie zdoła odczytać ze zdjęcia numeru rejestracyjnego, nadal nie będę miał klucza do odnalezienia Davida. A tylko odszukanie go może wyjaśnić sprawę zabójstwa George'a. - Postukałem palcem w akta. - Czytałaś to czy tylko wsadziłaś do koperty i wetknęłaś w moje drzwi?

- Czytałam. Chłopak miał spore kłopoty.

- To prawda, ale według policyjnych raportów tylko raz był aresztowany. W gazetach pisali, że sąsiedzi po jego wybrykach wzywali policję trzy albo cztery razy.

Starkey wzruszyła ramionami

- Jak to w gazetach, Cole. Dziennikarze często zabarwiają fakty. Zresztą, nawet gdyby tak było naprawdę, policja mogła wycofać oskarżenie, bo ktoś zgodził się zapłacić za wybite okna i afera przycichła. Gliniarze mogli interweniować nawet kilkadziesiąt razy, a nie został po tym żaden ślad w papierach.

- A gdyby spojrzeć na to z zupełnie innej strony. Ten detektyw, który prowadził dochodzenie, Ferrier, zalecał skierowanie chłopaka pod specjalistyczną opiekę. Moim zdaniem kontakt z psychologiem przyniósł skutki i dlatego David uniknął dalszych kłopotów. Jest jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, co to był za psycholog?

- W raportach nie ma o tym ani słowa. Zresztą sam wiesz.

- Myślisz, że Ferrier mógłby wiedzieć coś więcej?

Zerknęła na trzy kobiety przy sąsiednim stoliku i wolno pokręciła głową.

- W osiemdziesiątym drugim przeszedł na emeryturę i zmarł w osiemdziesiątym dziewiątym. Już to sprawdzałam. Byłam pewna, że zechcesz się z nim spotkać.

Nie miałem dalszych pomysłów. W zamyśleniu upiłem nieco wody i też obejrzałem się na sąsiedni stół. George Reinnike nie

figurował w żadnej bazie danych, miałem tylko te skąpe akia dotyczące Davida. Poczułem się zapędzony w ślepią uliczkę.

Starkey przysunęła sobie papiery i zaczęła je przeglądać.

- Zacytuje ci coś, czego nauczyłam się w brygadzie antyterrorystycznej. Jeśli odnajdujesz bombę, to możesz być pewien, że ona kiedyś wybuchnie.

- Jak mam to rozumieć?

- To, że chłopaka aresztowano tylko raz, wcale nie oznacza, że wyrósł na przykładowego obywatela. Przez dłuższy czas przejawiał wrogi, agresywny stosunek do otoczenia. Wielokrotnie stykałam się z takimi dzieciakami. Dlatego mogę śmiało powiedzieć, że samo aresztowanie to za ledwie czubek góry lodowej. Jeśli nawet przyskrzyni się ich za jeden wybryk, trzydzieści albo czterdzieści innych uchodzi im bezkarnie.

- Nie wierzysz, że coś mogło się odmienić? Chyba stykałaś się też z dzieciakami, które zmieniły swój stosunek do otoczenia?

- Owszem, z takimi też miewałam do czynienia. Ale nigdy nie spodziewałam się ich przemiany.

Nagle odsunęła od siebie akta i popatrzyła na mnie z niepewną miną.

- Posłuchaj, Cole. Nie wyjaśnię ci, dlaczego ktoś zachowuje się tak, a nie inaczej. Ściagałam konstruktorów bomb jeszcze przez cztery lata po odejściu z brygady. To najbardziej szurnięci, najbardziej popieprzeni degeneraci, jakich możesz sobie wyobrazić. A wiesz, czym się różnią od całej reszty społeczeństwa? Kiedy normalny człowiek nabiera ochoty, żeby zrobić coś szalonego, zwalcza ją w sobie. Ale jest pewien odsetek zwyrodnialców, którzy nie mogą się oprzeć takim pokusom.

- Nie potrafią zapanować nad swoimi odruchami.

- Właśnie. Ten dzieciak też nie panował nad odruchami. Powtarzam, że na co dzień mam z takimi do czynienia. Jeśli popadają w kłopoty, muszą się ze mną dogadywać. Dlatego mogę uznać, że nie chodzi o nieszczęśliwego dzieciaka, który musiał

odreagować niedostatki życia rodzinnego... - Znów przysunęła sobie akta i zaczęła je przerzucać. - O, proszę. Zaatakowanie kolegi kijem baseballowym albo sikanie na trawnik sąsiadki to typowe przykłady braku kontroli nad odruchami. Ale dalej masz opis tego, jak rzucił młotkiem w przejeżdżający samochód i jeszcze głośno się śmiał, stojąc przy krawężniku, albo gadał sam do siebie na środku jezdni. To już ewidentne przejawy psychozy.

Uniosła głowę znad papierów i zmierzyła mnie surowym spojrzeniem.

- Wiele o tym myślałam, Cole. Masz tu historię dzieciaka z licznymi chuligańskimi wybrykami na sumieniu, który nagle znika z ojcem bez śladu. Nie zgłaszają się nawet po odbiór odszkodowania przychodzącego pocztą w miesięcznych ratach. Owszem, nie znaleziono żadnych dowodów, by ich zniknięcie było wynikiem przestępstwa, niemniej ludzie z biura szeryfa podjęli dochodzenie w sprawie oszustwa i defraudacji, musieli więc być przekonani, że ojciec z synem padli ofiarami zbrodni. Ale nie podjęli śledztwa w sprawie zabicia psa włócznią wystruganą z kija. Moim zdaniem powinieneś się skupić na sprawach niewyjaśnionych zabójstw, do których doszło w tamtym rejonie tuż przed zniknięciem ojca z synem.

Przytaknąłem ruchem głowy, ledwie zauważalnie, ale Starkey to wyłowiła. Jej tok rozumowania był dla mnie oczywisty. George starał się kryć Davida, chronić go w miarę możliwości. Do tego stopnia usiłował tłumaczyć zachowanie syna, że chyba sam uwierzył w jego niewinność. Zatem było wielce prawdopodobne, że ich zniknięcie wynikało z tych samych przyczyn. A te musiały być dużej wagi, skoro zrezygnował z reszty odszkodowania i ani razu nie zgłosił się po przychodzące pocztą czeki.

- Naprawdę dobry pomysł, Starkey. Wspaniały.

- Przecież to jasne, Cole. Co prawda strzelam w ciemno, w ogóle nie biorąc pod uwagę prawdopodobieństwa, ale przynajmniej będziesz miał coś, co ci wypełni nadmiar wolnego czasu.

Zamyśliłem się. George na pewno by nie zrezygnował z pozostałych rat odszkodowania, gdyby David nie dopuścił się czegoś tak strasznego, co mogłoby go zaprowadzić do więzienia albo przynajmniej na zawsze rozdzielić ojca i syna. Zatem w grę wchodziło poważne przestępstwo, chociażby podpalenie albo zbrodnia przeciwko komuś z sąsiedztwa w rodzaju gwałtu, napadu z bronią w rękę czy też zabójstwa.

- Czy gdybym poprosił o listę niewyjaśnionych poważnych zbrodni, do których doszło w Temeculi w ściśle określonym czasie przed trzydziestu pięciu laty, byłabyś w stanie ją zdobyć?

W zamyśleniu wydeła wargi, po czym sięgnęła po swój telefon komórkowy.

- Pozwól, że przeprowadzę kilka rozmów, wtedy ci odpowiem.

Jej komórka działała bez zarzutu, co dodatkowo wprawilo mnie w zdenerwowanie. Wiem, że trzeba być pobłażliwym wobec rzeczy martwych, ale na coś takiego reaguje się podświadomie. Myślałem, że zadzwoni do Gittamona, lecz ona połączyła się ze swoim poprzednim przełożonym z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, porucznikiem Barrym Kelso. To właśnie w tym wydziale nadal ścigała konstruktorów amatorskich bomb, kiedy odeszła z sekcji saperskiej. Zapisała na serwetce numer, który podyktował jej Kelso, po czym zadzwoniła do śledczego z biura szeryfa, faceta o nazwisku Braun.

- Barry Kelso powiedział, że pan będzie mógł mi pomóc. Mówi detektyw Carol Starkey z brygady antyterrorystycznej policji w Los Angeles. - Kiedy popatrzyłem na nią spod zmarszczonych brwi, zakryła dłonią mikrofon i wyjaśniła: - Ludzie zupełnie inaczej cię traktują, gdy się dowiedzą, że jesteś z brygady antyterrorystycznej.

Zapytała Brauna, czy mógłby jej sporządzić listę niewyjaśnionych poważnych przestępstw, do których doszło w Temeculi i okolicach w ciągu dwóch tygodni poprzedzających zniknięcie George'a Reinnikego z synem przed trzydziestu pięciu laty. Braun musiał zapytać, do czego są jej potrzebne te informacje, gdyż dodała lodowatym tonem:

- Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że chodzi o śledztwo w sprawie produkcji składników amatorskich bomb i bezpieczeństwo narodowe. Proszę nie pytać o nic więcej.

Śledczy rzeczywiście musiał być pod wrażeniem, gdyż przez następne dziesięć minut dopytywał się, o jakie konkretnie przestępstwa chodzi. Wreszcie Starkey ponownie zakryła dłonią mikrofon, zapytała mnie o numer mojego faksu i przedyktowała go Braunowi.

- W porządku - dodała. - To mój domowy numer faksu, bo wolałabym, żeby przesłał pan te informacje bezpośrednio do mnie.

To wystarczyło. Rozłączyła się i spojrzała mi w oczy.

- Musimy czekać. Powiedział, że nie jest pewien, czy się czegoś dokopie, i że może to potrwać parę dni.

- Dzięki, Carol. Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

Skinęła głową, ale znów wydeła wargi, jakby oczekiwała czegoś więcej. Zapatrzyła się na kobiety przy sąsiednim stoliku, wreszcie przeniosła wzrok na mnie i położyła dłoń na aktach Reinnikego. Zrobiła to powoli i ostrożnie, jakby dotykała czegoś delikatnego i kruchego. Pokręciła głową.

- Chyba nie wierzysz, że ten błazen jest z tobą spokrewniony, prawda?

- Nie,

- George nie mógł być twoim ojcem. To byłby czysty absurd, gdybyś nadal tak uważał. Wszystko, co mi opowiadałeś, nie trzyma się kupy. Chyba sam to rozumiesz, prawda?

- Tale, oczywiście.

- Nie obchodzi innie, co myślał i z jakiego powodu zbierał wycinki prasowe na twój temat. Prawdopodobnie żył w świecie urojeń.

Nie chciałem, aby kontynuowała ten temat, toteż i ja obejrzałem się na sąsiedni stół.

- Doskonale wiem, co chcesz powiedzieć.

- Więc dlaczego nadal interesujesz się tym dochodzeniem?

Pochyliła się niżej nad stolikiem i zajrzała mi w oczy. Wytrzymałem jej spojrzenie i nie odwróciłem głowy.

- George znalazł się w tamtym zaułku, mając przy sobie moje zdjęcia z gazet. Był przekonany, że jestem jego synem. Może nawet sądził, że mnie tam spotka. Nie wiem, po co zbierał wycinki i dlaczego tak uważał, ale chciałbym się tego dowiedzieć. Jedynym sposobem na ujawnienie prawdy jest dotarcie do kogoś, kto mi to wszystko wyjaśni. Inaczej nie dowiem się niczego. Absolutnie niczego. Zależy mi na uzyskaniu tych wyjaśnień. Chcę do nich dotrzeć dla spokoju własnego sumienia. Potrafisz to zrozumieć?

- Wolałabym, żebyś nie wpakował się przez to w jakieś poważniejsze kłopoty.

Przytaknąłem ruchem głowy i uśmiechnąłem się smutno.

Było mi miło, że to powiedziała.

- Czy w tamtym zaułku, kiedy Diaz ci powiedziała, dlaczego chce cię widzieć, i pokazała wycinki, ale jeszcze zanim się dowiedziałeś o pozostałych rzeczach, naprawdę miałeś nadzieję, że to prawda? Chciałeś, żeby to on okazał się twoim ojcem?

Akurat na to łatwo mi było odpowiedzieć.

- Przecież w końcu ktoś nim jest.

Położyła dłoń na moim ręku i lekko ścisnęła mnie za palce.

- Muszę wracać do pracy.

Podniosła się szybko, zanim zdążyłem wstać od stolika, i pochyliła się, żeby cmoknąć mnie w policzek, a jej włosy opadły w dół. Uzmysłowiłem sobie nagle, że nigdy nie widziałem jej twarzy pod tym kątem. Była naprawdę ładna.

Kiedy wyszedłem za Starkey z baru Musso i Franka, przyszło mi na myśl, żeby zajrzeć do biura, ale porzuciłem ten pomysł. Znajdowało się niedaleko, nie musiałem specjalnie nadkładać drogi, lecz chciałem jak najszybciej odebrać wiadomości od Brauna i Chena, dlatego postanowiłem natychmiast wracać do domu. A powinienem był wtedy wpaść do biura. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym to zrobił.

Instynkt mnie jednak nie zawiódł. Gdy tylko otworzyłem drzwi, ujrzałem czekający na mnie faks. W piśmie przewodnim zaadresowanym do Starkey funkcjonariusz Braun zaznaczał, że ograniczył swoje poszukiwania tylko do nierozwiązanych przestępstw, do jakich w wyznaczonym okresie doszło w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od Temeculi, i w rezultacie otrzymał dwadzieścia siedem adnotacji. Szybkość jego działania była z pewnością wynikiem użycia przez Starkey niemal magicznej nazwy: brygada antyterrorystyczna.

Usiadłem z wydrukiem na kanapie i zacząłem go przeglądać. Każda adnotacja w bazie danych była sporządzona skrótami, które w wielu miejscach miały dla mnie charakter szyfru:

OBS#R4123; 12.05.70; zgł, 11.20; brut, nap./rab.; Park Dr. 1255/Murrieta/pos. pryw.; Of: Ronald L. Peters, b., L 41; nap. podczas wch. do domu / broń: czerw. cegła znal. w.mp./of. n.wid. spr.; brak św.; brak. mot. brak.; pod. Funkc. #664.

Ten pierwszy wpis dotyczył brutalnej napaści i rabunku, do którego doszło w miejscowości Murrieta w Kalifornii, położonej jakieś dziesięć kilometrów na północ od Temeculi. Czterdziestoletni biały mężczyzna, niejaki Ronald Peters, został zaatakowany, gdy wchodził do domu, przez nieznanego

sprawcę uzbrojonego w cegłę, którą znaleziono na miejscu przestępstwa. Peters nie widział napastnika. Nie było żadnych świadków tego zdarzenia, policja nie ustaliła podejrzanych. Wątpiłem, by George Reinnike zdecydował się natychmiast wyjechać z synem, gdyby ten dopuścił się napadu. Prawdopodobnie ktoś zauważył w barze, że Peters ma przy sobie sporo gotówki, i pod wpływem chwili zdecydował się go obrabować.

Okazało się, że większość adnotacji dotyczy podobnych napadów rabunkowych, czasami z bronią w ręku. Natknąłem się jednak na dwa przypadki gwałtu, które dały mi do myślenia. Doszło do nich w ciągu dwóch następujących po sobie nocy mniej więcej na tydzień przed zniknięciem George'a Reinnikego z synem. Pierwszy wydarzył się piętnaście kilometrów na południe od Temeculi drugi trzydzieści kilometrów na wschód. Obie ofiary zostały zaatakowane przez dwóch zamaskowanych napastników jeżdżących białą furgonetką. Zamyśliłem się, jak mógłbym sprawdzić, czy George Reinnike jeździł taką furgonetką, kiedy mieszkał w Temeculi. W końcu zapisałem to sobie i wróciłem do przeglądania faksu.

Kilką następnymi adnotacjami znów dotyczyło niezbyt groźnych napadów rabunkowych, aż natrafiłem na zabójstwo. Kenneth Dupris został zamordowany w Sun City, dwanaście kilometrów na południe od Temeculi, dziewięć dni przed zniknięciem George'a Reinnikego z synem. Zabito go we własnym domu. Przyczynę śmierci opisano skrótowo WLKR RGL TP, co oznaczało wielokrotne rany głowy zadane tępym przedmiotem. W adnotacji była ponadto wzmianka, że sprawca zatłukł także psa Duprisa. Sporządziłem kolejną notatkę.

Kiedy dotarłem do ósmej adnotacji na trzeciej stronie wydruku, wszystko ukazało mi się w odmiennym świetle.

OBS#Z5009; 22.05.69; zgł. 19.15; zab. (wlkr: 3); Court Lane 625 /Temecula / pos. pryw.; Of: H. Diaz, m. meks., 1. 36; Of: M. Diaz, k. meks., 1. 32; Of: R. Diaz, m. meks.,; 1. 12; COD BFT; zab. w

domu/broń: k. bas./RAS; Św: K Diaz, k. meks., 1. 4; brak mot.; brak. pod.; Funkc. #716, #952. DME#FG877-2.

Cała rodzina została zathuczona na śmierć kijem baseballowym na dziewięć dni przed zniknięciem George'a Reinnikego z synem. Sądząc po wieku i płci ofiar, był to ojciec, matka i syn. Z rodziny ocalała jedynie czteroletnia dziewczynka, która zarazem była jedynym naocznym świadkiem morderstwa. Ofiary nosiły nazwisko Diaz. Ocalałą dziewczynką była K. Diaz.

Poszedłem do kuchni i wypilem duszkiem szklanke wody, po czym jeszcze raz uważnie przeczytałem adnotację. Sprawdziłem daty i szybko obliczyłem w pamięci. K. Diaz musiała być teraz mniej więcej w tym samym wieku co Kelly Diaz, ale jej nazwisko było w Kalifornii równie popularne jak Smith czy Johnson. W książce telefonicznej Los Angeles znalazłoby się prawdopodobnie tysiące ludzi o tym nazwisku.

Z rozmyślań wyrwał mnie terkot telefonu. Dzwonił Chen.

- Ten Pardy to cholerny kutas. Powiedział, że mam po znajomości przyjmować jego zlecenia, tak jak biorę od ciebie. Zagroził, że jeśli się nie zgodzę, złożę na mnie formalną skargę z zarzutem wykorzystywania służbowego czasu na sprawy prywatne.

- Nie martw się, John, załatwię to. Miałeś okazję, żeby się przyjrzeć temu zdjęciu?

- Tak, jasne. Odczytałem siedem cyfr. Wóz jest zarejestrowany na Payne'a L. Kellera z Canyon Camino. To gdzieś u stóp Magie Mountain.

Wiedziałem, że to niewielka miejscowość u północnego wylotu doliny San Fernando, jakieś dwadzieścia minut drogi samochodem od Los Angeles.

- Został skradziony?

- Właściciel nie dostał nawet mandatu za złe parkowanie. Albo ten Keller pożyczył samochód Reinnikemu, albo to jego kolejne przybrane nazwisko, podobnie jak Herbert Faustyna.

Chen podał mi adres właściciela pojazdu. Zapytałem, czy przekazał już te informacje Parady'emu.

- Pewnie, ten kutas kazał mi zadzwonić do niego w pierwszej kolejności. I muszę jeszcze poinformować Becketta, który ma obowiązek zawiadomić najbliższą rodzinę zabitego. Zaraz wszyscy będą wydzwaniali do Canyon Camino.

- Dzięki John. Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o ciebie. Chyba nie jesteś najbliższą rodziną zabitego?

- Nie, nie jestem. Zostałem tylko wplątany w tę sprawę.

- Rozumiem - mruknął Chen bez przekonania. - W każdym razie przykro mi z tego powodu.

- Nic się nie stało.

Odłożyłem słuchawkę i zawahałem się przez chwilę, czy sprawdzić adres Kellera, czy najpierw skontaktować się z Braunem, który w piśmie przewodnim podał dwa numery. Doszedłem do wniosku, że Payne Keller będzie musiał poczekać. Brauna zastałem w biurze. Siłąc się na poważny ton, zacząłem:

- Panie Braun, nazywam się Cole i współpracuję z detektyw Starkey nad sprawą, w której do pana dzwoniła.

- Tak, pamiętam. Dostała faks ode mnie?

- Właśnie z tego powodu dzwonię. Chcielibyśmy się dowiedzieć czegoś więcej o jednej z tych spraw, uzyskać dostęp do akt.

- Są w archiwum. Wyciągnąłem tylko same adnotacje z komputerowej bazy danych.

- Niemniej to sprawa bardzo ważna i niecierpiąca zwłoki. Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mieści się wasze archiwum?

- Pan także służy w brygadzie antyterrorystycznej?

- Na tym etapie nie mogę ujawnić nazwy mojej macierzystej agencji, ale proszę mi wierzyć, że to bardzo istotna sprawa.

- No cóż, w porządku. Proszę mi podyktować numer sprawy, o którą ęhodzi. Zaraz, tylko wezmę coś do pisania.

Podyktowałem mu numer sprawy i po chwili dowiedziałem się od niego, jak dotrzeć do akt. Mogłem wstrzymać się jeszcze parę minut z wyjściem z domu, na przykład skorzystać z łazienki, nałożyć kotu żarcie do miseczki albo zmyć kilka talerzy. Byłoby dla mnie znacznie lepiej, gdybym to zrobił. Ale ja niemal wybiegłem na ulicę. Bardzo mi się spieszyło.

42

Frederick

Kiedy zjawił się przed domem Cole'a, na podjeździe nie było samochodu. Tak samo jak poprzedniego dnia dom sprawiał wrażenie pustego. Zostawił półciężarówkę za zakrętem, przy budowie, i podjął obserwację, ukryty pod tym samym drzewkiem oliwnym co wczoraj. Ale przez pół godziny nie zauważył nigdzie ani Cole'a, ani strzegącej go policjantki. Tym razem się nie wahał.

Śmiało wyłonił się z kryjówki, przeszedł kilkanaście metrów ulicą i zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Przekręcił gałkę, lecz drzwi były zamknięte na klucz. Przeciął więc podjazd, okrążył dom i znalazł dogodne okno na tyłach.

Bez trudu je wyważył, podciągnął się i przykucnął na kuchennymi parapecie. Od razu wyciągnął strzelbę z futerału.

Wiedział, że wcześniej czy później Cole będzie musiał tu wrócić. Dlatego postanowił na niego zaczekać.

43

Archiwum biura szeryfa mieściło się w pięciopiętrowym budynku z szarego piaskowca sąsiadującym z rozjazdami kolejowymi dworca Union Station. Kiedy wjeżdżałem na parking, po torach przetaczał się długi skład towarowy. Aż ziemia dygotała w rytm stukotu kół żelaznego potwora na łączeniach szyn, jakby miało miejsce małe trzęsienie odbywające się w zwolnionym tempie. Z niecierpliwością wypatrywałem ostatniego wagonu służbowego, ale pociąg zdawał się nie mieć końca. Spod torów w stronę parkingu napływała narastająca chmura kurzu. Stałem i dygotałem w rytm turkotu. Dawno straciłem rachubę wyłaniających się zza zakrętu kolejnych wagonów. W końcu zrezygnowałem i wszedłem do budynku.

Za wąskim kontuarem przypominającym stanowisko przyjmowania zleceń w stacji obsługi samochodów siedziała kobieta w średnim wieku. Rzecz jasna, do archiwalnych akt policyjnych nie ma postępu każdy, kto wejdzie z ulicy. Może do nich zajrzeć jedynie oficer dochodzeniowy, który się wylegitymuje i poda numer prowadzonej sprawy. Udało mi się przekonać Brauna, że to nagły wypadek. Obiecał, że zadzwoni i uprzedzi o mojej wizycie.

- Strasznie długi pociąg - powiedziałem.

- Można się do tego przyzwyczaić.

- Nazywam się Cole. Sierżant Braun dzwonił do pani w sprawie udostępnienia mi akt.

Zmierzyła mnie wzrokiem, odwróciła się do sklepowego wózka stojącego przy biurku, wyjęła z niego zakurzone czarne pudło na dokumenty i postawiła je na kontuarze. Na jego grzbiecie była przyklejona kartka z ręcznie wypisanym numerem akt.

- Zgadza się. Już je ściągnęłam z półki, ale akt nie ma. Ktoś musiał je pożyczyć i nie zwrócił. Czasami to się zdarza.

Rzeczywiście, sądząc po tym, z jaką łatwością przeniosła pudło na kontuar i przesunęła w moim kierunku, były puste. Ale dla potwierdzenia zdjęła pokrywę, bym mógł do niego zajrzeć. W środku nic nie było. Akta dotyczące wymordowania rodziny Diaz zniknęły.

- I nie ma spisu osób, które wypożyczały te akta?

- Powinien być.

Z koperty przytwierdzonej do boku pudła wyciągnęła pożółkłą kartkę. Każdy, kto żądał dostępu do akt, musiał własnoręcznym podpisem pokwitować ich odbiór. Kobieta spojrzała na formularz i położyła go przede mną na kontuarze.

- Ludzie tak bazgrolą, jakby byli lekarzami - skwitowała. Od czasu zamknięcia sprawy do akt zaglądały trzy osoby.

Pierwsze dwa wpisy na nazwiska Alvarez i Tolbert pochodziły sprzed ponad dwudziestu lat. Trzeci był faktycznie nagryzmołony całkiem nieczytelnie, ale mimo wszystko zdołałem go odcyfrować: Det. K. Diaz. To ona musiała wypożyczyć te akta prawie osiem lat temu i nie zwróciła ich do archiwum.

Podziękowałem kobiecie i wróciłem do samochodu. Pociąg zdążył przejechać. Ziemia już nie dygotała, ale bez tego efektu sam parking, jak i przyległe rozjazdy kolejowe wydały mi się dużo mniejsze niż poprzednio. Zadzwońłem pod numer telefonu komórkowego Diaz, lecz włączyła się poczta głosowa. Poprosiłem, żeby się ze mną skontaktowała, po czym zadzwoniłem do jej biura. Odebrał pełniący służbę śledczy o nazwisku Pierson.

- Nie ma jej.

- Nie wie pan, kiedy wróci?
- Nie mam pojęcia. Chce pan zostawić dla niej wiadomość?
- A jest może Pardy?
- Nie, jego też nie ma.

Zostawiłem wiadomość, że szukam z nimi kontaktu, i rozłączyłem się. Oficerowie policji nigdy nie figurują w książkach telefonicznych, mają zastrzeżone numery domowe, żeby aresztowani przez nich socjopaci nie mogli ich nachodzić w domu. Ale Diaz podała mi swój numer komórkowy, a operatorzy sieci dysponowali przecież adresami swoich klientów. Zadzwoiłem więc do znajomego pracującego w firmie telekomunikacyjnej. Na podstawie numeru komórki ustalił operatora i z jego bazy danych szybko wyciągnął adres. Gliniarz potrzebowałby nakazu sądowego, żeby zdobyć takie informacje, ale i bilety na mecz Dodgersów znacznie lepiej spełniają tę samą funkcję.

Sprawdziłem adres na planie miasta i ruszyłem w tamtym kierunku.

Diaz mieszkała w Silver Lake, na południe od Sunset Boulevard, przy wijącej się wężowato uliczce na osiedlu zamieszkanym do niedawna niemal wyłącznie przez uchodźców z Ameryki Środkowej. Dolna część jej bliźniaka była świeżo pomalowana na kolor turkusowy, ale dawno niestrzyżony mały trawnik od ulicy porastały chwasty. Zaparkowałem przy krawężniku, podszedłem do drzwi i zapukałem. Domek był tak mały, że odgłos mojego dobijania się do drzwi musiał być dobrze słyszany we wszystkich pomieszczeniach.

- Diaz?! To ja, Cole!

Nacisnąłem klamkę, ale drzwi były zamknięte. Odsunąłem się na krok i powiodłem spojrzeniem po oknach na piętrze, lecz nic się w nich nie poruszyło. Zapukałem ponownie.

- Diaz?!

Na ulicy zatrąbił samochód. Obejrzałem się i ujrzałem nadjeżdżającego Pardy'ego. Przemknęło mi przez myśl, że albo obserwował dom, albo mnie śledził. Jeszcze raz zatrąbił i pomachał mi ręką.

- Co ty tu robisz, Cole?

Zawahałem się. Chciałem mu opowiedzieć o zaginionych aktach, ale bardzo pragnąłem przeszukać dom Diaz.

- Wpadłem, żeby się z nią zobaczyć. A ty?

Zerknął ponad moim ramieniem na bliźniaka, jakby świetnie wiedział, że kłamię. Nie odpowiedział, tylko zapytał:

- Jest w domu?

- Nikt nie otwiera.

- Również nikt nie odbiera telefonów. Chodź, wsiadaj.

- Mam swój samochód.

- Jest za gorąco, żeby stać na ulicy. Wskakuj, porozmawiamy w cieniu.

Obszedłem maskę auta i wsiadłem. Zmierzył mnie uważnym wzrokiem. Ciekaw byłem, co o tym wszystkim myśli.

- Diaz nie mówiła, że się przyjaźnicie - zaczął. - Skąd znasz jej adres?

- Dała mi.

- Byłeś z nią umówiony?

- Nie, po prostu byłem w tej okolicy i pomyślałem, że porozmawiam z nią na temat Reinnikego.

Pardy pokiwał głową, jakby przyjął moje wyjaśnienie za dobrą monetę. Zastanawiało mnie, co on tutaj robi.

- A co u ciebie, Pardy? Szykujesz się już do aresztowania jakiegoś podejrzanego?

- Pracuję nad tym.

- I dlatego przyjechałeś, żeby omówić to z Diaz?

- Zgadza się.

- Nie miałeś okazji porozmawiać z nią na komendzie?

Popatrzył we wsteczne lusterko i znowu wyjrzał na bliźniaka, jakby sądził, że coś się zmieniło przez ten krótki czas. Nie uruchamiał jednak samochodu, więc chyba nie zamierzał odjeżdżać.

- Pozwól, że cię o coś spytam, Cole. Natrafiłeś na coś, co by tłumaczyło powody, dla których Reinnike miał przy sobie wycinki prasowe o tobie?

- Nie.

- Nie znalazłeś niczego, co by was łączyło?

- Niczego.

Popatrzył mi w oczy, lecz śmiało wytrzymałem jego spojrzenie. Pochylił się i znów zerknął w stronę domu. Przyszło mi do głowy, że podejrzewał to samo co ja, tylko nie potrafił się zmusić, by to powiedzieć.

- Teraz ja cię o coś spytam, Pardy. Jak byś zareagował, gdybym powiedział, że Reinnikego zabił gliniarz? Jak byś przyjął taką wiadomość?

- Rzekłbym, że potrzebne byłyby ci bardzo mocne dowody, musiałbyś przedstawić wiarygodną poszlakę, do której idealnie pasują wszystkie znane fakty. W przeciwnym razie powinieneś trzymać gębę na kłódkę, dopóki nie zdobędziesz takich dowodów.

- Rozmawiałeś z Chenem?

- O numerze rejestracyjnym? Owszem, już parę godzin temu dzwoniłem do szeryfa z Canyon Camino. Keller prowadzi tam stację benzynową. Nigdy nikomu się nie zwierzał, że ma syna. Mieszka sam.

- Nic tam nie wiedzą o przyczynach jego przyjazdu do Los Angeles?

- Szeryf nie miał nawet pojęcia, że Keller zaginął. Obiecał, że spróbuje namierzyć kogoś z jego rodziny.

- Nie powiedziałeś mi, że zamierzasz aresztować podejrzanego o morderstwo?

Utkwił we mnie spojrzenie ciemnych oczu.

- Niby dlaczego miałbym zawczasu o tym rozpowiadać?

- Rozumiem więc, że i ty nie masz jeszcze mocnych dowodów?

- Zgadza się. Ale zamierzam je wkrótce zdobyć. Odjadę teraz i nie wrócę tu, lecz będę w pobliżu. Może spotkamy się i porozmawiamy później.

Przyglądał mi się z uwagą. Od razu pojąłem, że daje mi zielone światło, bym się włamał do domu Diaz. Nie ulegało wątpliwości, iż obaj tak samo podejrzewamy, że miała coś wspólnego ze śmiercią Reinnikego. Wysiadłem z samochodu. W porządku, Pardy. W takim razie do zobaczenia.

Pochylił się na prawe siedzenie i podał mi przez okno swoją wizytówkę.

Tu masz numer mojej komórki. Możesz go potrzebować.

44

Przez chwilę spoglądałem za odjeżdżającym detektywem, następnie obszedłem dom i zajrzałem na tylne podwórko pokryte spękanym cementem i porośnięte bugenwillą. Na piętrze znajdował się niewielki balkonik, do drzwi którego prowadziły drewniane schodki. Identyczne drzwi były na parterze, pod balkonikiem. Osiem minut zajęło mi otwarcie ich wytrychem.

Diaz zajmowała małe mieszkanie złożone z jednej sypialni i łazienki znajdujących się nad kuchnią i salonikiem. Skąpe i tandetne umeblowanie nadawało mu charakter pokoju motelowego, jakby detektyw zajmowała je tylko czasowo, mając w najbliższych planach przeprowadzkę.

Stare akta leżały na stole kuchennym. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby je gdzieś schować. Jak większość policyjnych akt zostały zgromadzone w ciemnej plastikowej teczce z trzema sprężynowymi kółkami na grzbiecie. Między nimi znajdowało się wypisane flamastrem nazwisko: Diaz.

Obszedłem najpierw całe mieszkanie, bo zawsze trzeba tak zrobić, żeby nie natknąć się na kogoś przyczajonego albo na porzucone zwłoki. Potem usiadłem przy stole, zapewne na jej miejscu, i otworzyłem akta.

Cienki papier nie zdążył jeszcze żółknąć, kartki nie były postrzępione. Na wierzchu znajdował się standardowy formularz przedstawiający podstawowe fakty stwierdzonej zbrodni. Prowadzącym dochodzenie został detektyw sierżant Max Alvarez, ale dokument był podpisany przez detektywa Korvina Tolberta. Często tak bywa, że papierkowa robota spada na młodszego partnera.

22 maja 1969 o 19.15 funkc. Padilla (#1344) i Bigelow (#6191) wezwani przez mieszkańców z sąsiedztwa wkroczyli na teren prywatnej posesji przy Court Lane 625 w Temeculi. W domu natknęli się na trzy trupy (patrz niżej) i żywą małą dziewczynkę (patrz niżej). Funkcjonariusze zabezpieczyli miejsce zbrodni. Detektywi M. Alvarez (#716) i K. Tolbert (#952) przybyli na miejsce o 20.25. Do tego czasu patolog z biura koronera ustalił, że śmierć trzech ofiar jest rezultatem zabójstwa.

Na podstawie znalezionych na miejscu zbrodni dokumentów ze zdjęciami (prawa jazdy) oraz zeznań sąsiadów (patrz niżej) dokonano wstępnej identyfikacji ofiar. Byli nimi: Herman Eduardo Diaz, lat 36; jego żona, Maria Diaz, lat 32; ich syn, Richard Raul Diaz, lat 12. Później tożsamość ofiar została potwierdzona podczas sekcji zwłok. Według wstępnych ustaleń przyczyną śmierci wszystkich trzech ofiar były liczne urazy głowy spowodowane tępym narzędziem. Znaleziony na miejscu zbrodni 70-centymetrowy kij baseballowy marki Louisville Slugger został przekazany do badań. Wstępnie stwierdzono na nim obecność krwi, tkanek i włosów (patrz niżej).

Sąsiedzi zidentyfikowali ocalałą dziewczynkę jako Kelly Louise Diaz, lat 4, córkę Hermana i Marii. Na miejscu nie podejmowano żadnych prób jej przepytania. Dziecko zostało przekazane pracownikom opieki socjalnej z zadaniem odnalezienia jej najbliższych żywych krewnych.

Gdy tylko ujrzałem w raporcie pełne imię ocalałej dziewczynki mimowolnie głośno westchnąłem. Cała rodzina Kelly Diaz została zakatowana na śmierć kijem baseballowym, a zdarzyło się to dwadzieścia kilometrów od domu George'a Reinnikego, na dziewięć dni przed jego zniknięciem. Dwa dni wcześniej pies Kenneth Dupris został przebity włócznią. Oskarżony o zabicie psa David Reinnike już raz kiedyś zaatakował inne dziecko kijem baseballowym. Trzydzieści pięć lat później śledcza z wydziału zabójstw, detektyw Kelly Diaz, była jedynym świadkiem tego, jak ojciec Davida, George Reinnike, zginął od kuli w mrocznym śródmiejskim zaułku.

Pierwszy raport miał tylko trzy strony. Tolbert napisał go z samego rana dzień po zabójstwie, toteż mógł w nim przytoczyć jedynie podstawowe fakty, ale po południu tego samego dnia uzupełnił go już o spisane przez śledczych zeznania sąsiadów, uzupełnione spostrzeżeniami policjantów. Morderstwo odkryła sąsiadka, która przyszła zapytać, czy może zostawić u Diazów swoje dzieci, gdyż wybierała się w odwiedziny do przyjaciela leżącego w szpitalu. Była przekonana, że wszyscy są w domu, bo na podjeździe stały oba samochody. Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Drzwi były otwarte, toteż zajrzała do środka i zawołała. Chwilę później zobaczyła Marię Diaz leżącą na przesiąkniętym krwią dywanie.

W dalszej kolejności znajdował się dołączony schemat rozkładu pomieszczeń ukazujący miejsca spoczywania zwłok oraz kija baseballowego. Każda ofiara została naszkicowana w takiej pozycji, w jakiej leżała, a obok umieszczono inicjały. Tolbert podkreślił w raporcie, że mieszkanie nie było splądrowane, nie skradziono samochodów sprzed domu, prawdopodobnie nic nie zginęło. Zatem motywem zbrodni nie był

rabunek, choć nie wykluczano go całkowicie w dalszym toku postępowania.

Dalej natknąłem się na zdjęcia z miejsca zbrodni. Pierwsze pokazywało Marię Diaz leżącą twarzą w dół za kanapą. Jej głowa przypominała miazgę włosów i tkanek pozlepianych krwią. Kobieta miała na sobie szorty i czarny T-shirt z napisem MOTHERS OF INVENTION.

Następne było zdjęcie Hermana Diaza, który leżał na wznak ze szklistymi oczami utkwionymi w suficie. I jego głowa spoczywała w wielkiej kałuży krwi, rozplywającej się na boki w kształcie wielkich płatków czerwonego kwiatu.

Trzecia fotografia ukazywała dwunastoletniego syna tej pary, Richarda. Leżał do połowy ukryty pod stołem kuchennymi za nim ciągnęła się po podłodze szeroka krwista smuga, jakby ktoś przeciągnął zmoczonym we krwi mopem. A więc brat Kelly w ostatniej chwili próbował uciec zabójcy.

Dopiero gdy zakreśliło mi się w głowie, uświadomiłem sobie, że mimowolnie wstrzymuję oddech. Podniosłem głowę i zaczerpnąłem haust powietrza.

Szybko przerzuciłem zdjęcia smug i rozbryzgów krwi na podłodze i ścianach oraz śladów bosych stóp. Technik kryminalistyki z biura szeryfa zdołał zdjąć odcisk kciuka z kuchennej futryny i trzy fragmentaryczne odciski palców z kija baseballowego, lecz na ich podstawie nie udało się zidentyfikować sprawcy. Na podłodze w kuchni znalazł też fragmenty odcisków butów, które pozwoliły określić, że zabójca nosił męskie sportowe obuwie na grubej, głęboko rżniętej podeszwie, rozmiaru dwanaście, co by wskazywało, że zbrodni dokonał mężczyzna średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała.

Za zdjęciami znajdowały się dalsze raporty, oświadczenia i spisane zeznania, które dołączono do akt podczas trwającego trzy tygodnie śledztwa. W miarę napływania wyników badań laboratoryjnych Tolbert również włączał je do teczki, lecz podobnie jak reszta gromadzonych materiałów nie wносиły do

sprawy niczego nowego. Nie ustalono nawet żadnego podejrzanego i po pewnym czasie dochodzenie umorzono.

Ostatni raport Tolberta został sporządzony szesnaście tygodni po zabójstwie. Siostra Marii, Teresa Evans, przejrzała osobiste rzeczy zamordowanej i zgłosiła brak srebrnego wisiora w kształcie serduszka, który był rodzinną pamiątką i pierwotnie należał do ich babki. Powiedziała Tolbertowi, że Maria nosiła go na co dzień, ale nie było go wśród rzeczy, które dostała z biura koronera, nie znalazła go też nigdzie w domu.

Teresa przesłała detektywowi zdjęcie przedstawiające Marię Diaz z owym wisiorkiem na łańcuszku, on zaś dołączył je do akt. Popatrzyłem na kobietę we wzorzystej letniej sukience. Była bardzo ładna, miała opalone ramiona i stała w blasku zachodzącego słońca na patio przed czyimś domem. Podobieństwo było tak uderzające, że można by ją wziąć za siostrę Kelly Diaz. Na jej szyi wyraźnie widać było wisior. Wpadł mi w oko u Kelly, kiedy spotkałem się z nią w Komendzie Głównej, jak również tamtego wczesnego ranka, gdy ujrzałem ją nad zwłokami George'a Reinnikego. Zamknąłem akta i przeszedłem do kuchni. Odkręciłem kran, podstawiłem pod strumień wody złożone dłonie i wypilem kilka łyków. Potem wytarłem ręce o spodnie i wróciłem do jadalni.

Alvarez i Tolbert nie zdołali powiązać Davida Reinnikego i zabójstwem, gdyż zniknięcie ojca z synem nigdy nie zostało zgłoszone. Ci dwaj po prostu przestali płacić czynsz i przepadli jak kamień w wodę. Właściciel domu też nie miał żadnych powodów, aby podejrzewać, że dopuścili się zbrodni. Nawet ucieszyło go to, że się pozbył uciążliwych lokatorów. Sześć lat później, kiedy policja aresztowała ówczesnego mieszkańca tego domu pod zarzutem oszustwa i defraudacji przesyłanych pocztą pieniędzy z odszkodowania, nikt już nie pamiętał o odrażającym zabójstwie. Na podstawie policyjnych akt nie można było oskarżyć o nie Reinnikego, jednakże Kelly Diaz ostatecznie znalazła się w zaułku sam na sam z George'em Reinnike. No i z wycinkami prasowymi na mój temat, podejrzewałem, że to nie Diaz go odnalazła, to Reinnike musiał odszukać ją. W końcu płacił dziewczynom za to, by się modliły o jego zbawienie. Po

wielu latach życia z poczuciem winy postanowił w końcu odnaleźć Diaz i prosić ją o wybaczenie, Przywiózł na spotkanie wisiołek jej matki jako dowód, że był zamieszany w morderstwo. Nawet jego fikcyjne nazwisko świadczyło o poczuciu winy: Keller... Kelly. Przybrał je od jej imienia i pokrył całe ciało tatuażami, żeby każdego dnia przypominały mu o śmiertelnym grzechu. Prawdopodobnie nic o mnie nie wiedział i nigdy o mnie nie słyszał. Przyjechał do Los Angeles w poszukiwaniu Kelly Diaz.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej byłem przeświadczony, że to Diaz zgromadziła wycinki prasowe na mój temat. I to ona musiała podrzucić kartę magnetyczną w zaułku, a w pokoju motelowym Reinnikego kolejne artykuły na mój temat, żeby w ten sposób skłonić mnie do podjęcia śledztwa w jego sprawie. Udało jej się. Może Reinnike powiedział jej wszystko, ale zataił miejsce pobytu Davida, byłem jej więc potrzebny, by go odnaleźć, a jednocześnie do stworzenia dla niej zasłony dymnej. To ja, Największy detektyw Świata, miałem odszukać Davida, żeby mogła go zabić, jak zabiła jego ojca.

Po raz kolejny zadzwoniłem na jej komórkę, ale znów włączyła się poczta głosowa. Wybrałem więc numer Pardy'ego.

Z baru Musso wróciła prosto do biura, była jednak podenerwowana i urażona. Mimo wczesnej pory z nieba lał się żar, toteż nawet po krótkim spacerze dotarła na posterunek w Hollywood spocona. Kołnierzyk bluzki lepił się do szyi, piekły wszystkie blizny. Miała ochotę zerwać z siebie kamizelkę, ale pod nią była schowana uprząż z bronią, musiała więc w niej zostać. Tęskniła za deszczem. Zapragnęła pospacerować w strugach, z

przemoczonymi włosami, paląc zamokłego papierosa, żeby zademonstrować całemu światu, jak bardzo jest nieszczęśliwa.

Bo kochała Cole'a jak nigdy dotąd.

Kiedy siedzieli we dwójkę w barze, a ona starała się ze wszystkich sił ukryć swoje uczucia, upodobnić się do manekina, uzmysłowiła sobie, że Cole również się maskuje, ukrywa się za wzorzystymi koszulami i gładką mową, podobnie jak jego przyjaciel Pike chowa się wiecznie za ciemnymi okularami i kamiennym wyrazem twarzy. Ale każda maskarada jest tylko maskaradą. Na krótką chwilę w barze Cole pozwolił jej wejrzeć w głąb swej świetnie zamaskowanej zbolącej duszy i dlatego właśnie pokochała go jeszcze mocniej. Za to, że pozwolił. Obdarzył zaufaniem.

Zrobiło to na niej piorunujące wrażenie.

Zdjęła kamizelkę, gdy tylko dotarła na swoje miejsce. Odpędziła od siebie myśli o nim, żeby poukładać raporty rozrzucone na biurku. Właśnie udało jej się zamknąć sprawę nieletniej prostytutki. Musiała jeszcze tylko przepisać i poprawić końcowe sprawozdanie. Ledwie je sobie przysunęła, stanął nad nią Metcalf z kubkiem parującej kawy w ręku.

- Jak leci, Starkey? Cole stanął na wysokości zadania, żeby ci odpłacić za wyrządzoną mu przysługę?

Kiedy podniosła głowę, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i wypchnął językiem policzek. Zarechotał głośno i ruszył w kierunku swojego biurka.

Zapatrzyła się na sprawozdanie, ale głowę znów miała pełną myśli o detektywie. Nagle, ni stąd, ni zowąd, podjęła decyzję.

Musiała postawić wszystko na jedną kartę. Postanowiła więc powiedzieć Cole'owi wprost, co do niego czuje; przestać wreszcie gryźć się w język i dalej żyć nadzieją, że ten zaślepiony głupek sam zrozumie, iż to ona jest mu pisana, a nadęta piękność z południa na zawsze przeszła do historii. Niektórym ludziom trzeba wykladać kawę na ławę, a Cole najwyraźniej się do nich

zaliczał. Jeśli spanikuje, mówi się trudno. A jeśli wybierze swoją Lady Makbet, wówczas...

Starkey odepchnęła od siebie tę myśl.

Połknęła dwie tabletki środka na nadkwasotę i popiła kilkoma łykami wody, a po krótkim namyśle wzięła jeszcze dwie.

Pochyliła się znowu nad sprawozdaniem i zerknęła z ukosa na Metcalfa, który rozmawiał półgłosem przez telefon. Trudno było ocenić, czy robi jakieś notatki, czy tylko umawia się z jedną ze swoich dziewczyn. Kubeczek z parującą kawą stał przed nim na brzegu biurka. Starkey przemknęło przez myśl, że powinien mieć na tym kubku napis w rodzaju: Największy Dupek Świata.

Wstała i włożyła kamizelkę, lecz w drodze do wyjścia podeszła do biurka Metcalfa.

- Cześć, Ronnie.

Podniósł szybko głowę.

Podobnie jak on wypchnęła językiem policzek w wulgarnym geście, po czym zepchnęła kubek z biurka na jego kolana. Metcalf z wrzaskiem poderwał się z krzesła. Wciąż jeszcze podskakiwał i głośno przeklinał, gdy zniknęła za drzwiami.

Wybierała się do domu Cole'a.

46

- To Diaz. To ona zabiła George'a Reinnikego.

- Mów dalej - odezwał się Pardy.

- Kiedy miała cztery latka, jej rodzina została brutalnie zamordowana. Zginęli ojciec, matka i brat, tylko ona uszła z życiem. Wiedziałeś o tym?

Detektyw cicho gwizdnął pod nosem.

- Nie. Pierwsze słyszę. Podejrzywałem, że to ona mogła mu wpakować kulkę, ale nie miałem pojęcia, dlaczego. Matko Boska...

- Akta w sprawie tamtego zabójstwa są u niej w domu. George Reinnike z synem zniknęli osiem dni po morderstwie. W policyjnych raportach ani razu nie pojawia się ich nazwisko, jednakże srebrne serduszko, które Diaz nosi, należało do jej - matki. W czasie zabójstwa zostało uznane za zaginione. To wszystko jest w papierach. Zdaniem śledczych morderca zabrał je jako swoje trofeum. A teraz ona je nosi. Myślę, że Reinnike wziął je ze sobą na spotkanie, by mieć dowód, że był zamieszany w tamtą zbrodnię.

- Może zeznać, że kazała zrobić jego kopię.

- Niech sobie zeznaje, co chce. Mówię ci, że jest winna. Zresztą sam o tym dobrze wiesz, bo inaczej nie zlekceważyłbyś sprawy szantażu Goldeny,

Pardy pilczał przez chwilę, jakby nadal bał się przyznać, że i on jest przekonany o winie koleżanki.

- I bez tego mam na nią haka, brakowało mi tylko motywu. Znalazłem rewolwer.

- Narzędzie zbrodni?

- Jeden z moich informatorów znalazł go na tyłach Union Station. To browning kalibru dziewięć i sześćdziesiąt pięć setnych milimetra. Twój przyjaciel Chen właśnie ustalił, że to z niego wystrzelono kulę, która trafiła Reinnikego. Sprawa nie jest jeszcze oczywista, ale będę w stanie powiązać tę broń z Diaz.

- Wykorzystałeś swoje prywatne dni otwarte?

- Bez tego nic bym nie osiągnął, Cole. Ten rewolwer był przed rokiem użyty do innego zabójstwa na szczycie schodów Angels Flight. Świadkowie widzieli go na miejscu zbrodni, ale jakimś sposobem nie znalazł się wśród dowodów rzeczowych. Tamtą sprawę prowadziła Diaz. Mogła sobie przywłaszczyć broń.

- To nie jest mocny dowód.

- Niestety, masz rację, dlatego musimy dalej szukać. Mam dwóch świadków, którzy widzieli Reinnikego w towarzystwie ciemnowłosej kobiety w noc zabójstwa. Potrzebuję tylko czasu, żeby wszystko pozbierać do kupy. Ta historia z wymordowaniem jej rodziny jest wystarczającym powodem, bym poszedł z tą sprawą do O'Loughlina. Widzisz, co mnie spotkało? Pierwsze samodzielne dochodzenie, a wynika z niego, że zabójcą jest starsza śledcza z tej samej komendy. Nie dziw się, że muszę wszystko starannie poukładać, zanim przekażę dalej.

- Co zamierzasz?

- Zostaw wszystko na swoim miejscu i wynoś się stamtąd. Postaram się o nakaz rewizji i przedstawię sprawę O'Loughlinowi. Chyba zesra się z radości, ale na pewno podejmie właściwą decyzję.

Przypomniałem sobie, że rano Chen dzwonił do Pardy'ego i Becketta.

- Czy przekazałeś jej informacje o personaliach i adresie Payne'a Kellera?

Zawahał się, co świadczyło, że to zrobił. Zresztą Diaz równie dobrze mogła uzyskać adres Kellera od O'Loughlina czy też na własną rękę zadzwonić do Chenai zapytać o wyniki.

- Pardy, ona jest w drodze do Canyon Camino! Skoro zna adres Reinnikego, będzie próbowała dopaść jego syna!

- Uspokój się, na miłość boską. Nie wiemy nawet, czy David Reinnike nadal żyje i czy był z ojcem na miejscu zbrodni. Musimy pozbierać do kupy wszystkie dowody, żeby dobrać się do niej bez kłopotów. W końcu mówimy o detektywie z wydziału zabójstw.

- Jeśli ona odnajdzie Davida, zabije go. To tylko pogorszy naszą sytuację.

- A jeśli się przekona, że mamy coś na nią, zniknie bez śladu, skontaktuje się ze swoim adwokatem albo może zrobi coś jeszcze głupszego. Nie zapominaj, że już rozmawiałem z tamtejszym szeryfem. Reinnike mieszkał sam. Szeryf nic nie wie

o jego rodzinie, zatem prawdopodobnie wcale nie tak łatwo będzie odnaleźć jego syna.

- Więc gdzie ona się podziała?

- Tylko spokojnie. Daj mi porozmawiać z O'Loughlinem, a potem wspólnie się rozejrzemy. Nie chcę, żeby wyszło na jaw, że szukamy Diaz, dopóki nie będziemy mieli wystarczających dowodów, żeby ją aresztować.

- Rób, co chcesz, Pardy. Ja tam jadę.

Przerwałem połączenie i ruszyłem do samochodu.

47

Frederick

Cole miał niezbyt duży, ale miły i przytulny domek, z jedną ciasną sypialnią i łazienką na parterze oraz przestronną sypialnią i dużą łazienką na piętrze. Wysoko sklepiony sufit sprawiał, że budynek robił wrażenie raczej starego domu myśliwskiego czy ranczerskiego niż domku w mieście. Frederick pomyślał nawet, że mógłby się tu sprowadzić po zabiciu detektywa. Zdawał sobie sprawę, że to nierealne, ale pomysł mu się spodobał.

Pospiesznie sprawdził wszystkie pomieszczenia i wrócił do kuchni. W jednej z szuflad znalazł duży nóż do mięsa z twardym ostrzem. Pomyślał, że lepiej byłoby pociąć Cole'a niż do niego strzelać, żeby nie robić hałasu. Dopiero potem mógłby przystąpić do pracy z cęgami.

Wyjrzał spomiędzy zasłonek w kuchennym oknie na podjazd i przeszedł do salonu. Szybko przyzwyczaił się do atmosfery tego domu, czuł się tu zrelaksowany. Popatrzył na papiery rozrzucone

na stole. Na wierzchu leżała odbitka artykułu opisującego zniknięcie George'a Reinnikego z synem.

Zimny dreszcz przebiegł mu po karku, a świat przed oczami zawirował. W jednej chwili poczuł się schwytyany w zimną, mroczną, odrażającą pułapkę.

Zaczął szybko przerzucać papiery i prócz odbitek innych artykułów prasowych natknął się na kopie oficjalnych dokumentów policyjnych. Zwrócił też uwagę na fakturę z motelu Home Away Suites. Wreszcie wpadły mu w oczy zapisane długopisem na marginesie kartki, nazwisko i adres Payne'a. Oczy go zapiekły, a dreszcz wstrząsnął całym ciałem. Cole wiedział o wszystkim.

W jego głowie rozległ się gwar stłumionych głosów. Frederick gorączkowo przejrzał jeszcze raz papiery, szukając swojego nazwiska. Cole zfiął nazwisko i adres Payne'a, ale o nim chyba jeszcze nic nie wiedział. Wyglądało więc na to, że detektyw jest teraz w domu Kellera. Nie miał co czekać na niego tutaj, skoro Cole był w Canyon Camino. Łatwo się było domyślić, po co tam pojechał. Zapewne chce przeszukać dom Payne'a, a później pojedzie na stację. Tam od Elroya wyciągnie nazwisko i adres Fredericka, żeby następnie zjawić się w jego przyczepie. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że właśnie tak to będzie wyglądało. I wiedział już, co powinien zrobić. Trzeba było odszukać Cole'a w Canyon Camino i tam go zabić.

Postanowił nie zwlekać. Energicznym krokiem wrócił do kuchni, zamierzając wyjść tylnymi drzwiami, kiedy nagle usłyszał, że na podjazd skręca jakiś samochód.

Cole!

Przystanął w pół kroku, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i na palcach ruszył truchtem do drzwi, ale gdy mijał okno, dostrzegł przez szparę między zasłonami, że z samochodu wysiada kobieta.

Zmarszczyła brwi, gdy spostrzegła, że przed domem nie ma samochodu Cole'a. Cóż za fatalny zbieg okoliczności, że musiał zniknąć ze sceny właśnie wtedy, gdy ona zdobyła się wreszcie na odwagę. Mimo to skręciła z ulicy na podjazd i wyłączyła silnik.

- Szlag by to...

Przypaliła papierosa, w zamyśleniu wydmuchnęła kłęb dymu i postanowiła do niego zadzwonić. Wygrzebała z torebki telefon komórkowy i zaczęła już przeglądać zapisane w pamięci numery, kiedy spostrzegła, że nie ma zasięgu.

- Kurwa mać! - warknęła.

Przemknęło jej przez myśl, że wyczerpała się bateria. Pospiesznie podłączyła turystyczną ładowarkę i wetknęła wtyczkę do gniazdka samochodowej zapalniczki. Odczekała chwilę, lecz aparat wciąż nie mógł się połączyć z siecią.

No cóż, pomyślała, w takim razie trzeba będzie skorzystać z telefonu Cole'a. Wsiadła z samochodu i odnalazła zapasowy klucz. Kiedyś zauważyła, jak Cole chowa go na belce pod okapem przy narożniku domu. Wymacała go tam, wróciła na podjazd, otworzyła drzwi i weszła do kuchni.

Podniosła aparat bezprzewodowy leżący na kontuarze między kuchnią a jadalnią i z pamięci wystukała numer komórki.

Podniosła słuchawkę do ucha i odwróciła się plecami do salonu wsłuchując się niecierpliwie w sygnał wywołania.

Frederick

Popatrzył na wysiadającą z auta kobietę i uprzytomnił sobie nagle, że to policjantka, która strzegła domu Cole'a. Serce zaczęło się tłuc jak oszalałe, a myśli wypełniły przerażające wizje jego pojmania i tortur. W chwili paniki nie potrafił zdecydować, czy powinien ją zabić, czy się schować. Przecież ukryte kamery mogły im przekazywać każdy jego ruch! Z pewnością liczne oddziały policji już otaczały dom!

Ona jednak wcale się nie spieszyła. Nie wyciągnęła broni. Nie było słychać syren zbliżających się wozów policyjnych.

Frederick pospiesznie wycofał się do kuchni, w paru susach przemierzył salonik i dał nura do szafy z ubraniami. Wcisnął się w mroczny kąt, jedną ręką przyciskając strzelbę do piersi, w drugiej trzymając nóż. Ledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi szafy, gdy usłyszał, jak policjantka wchodzi do domu.

Starkey

Miała się już rozłączyć, gdy Cole wreszcie odebrał.

- Słucham!

Mózgowiec. Pomyślała, że warto by zacząć od jakiejś trafnej uwagi, ale w głowie miała pustkę. Zresztą i on nie odpowiedział

tak, jak miał to w zwyczaju, pewnie dlatego, że cierpiał osamotniony.

- Cześć, to ja, Starkey. Jestem właśnie w twoim domu.

Urwała, żeby zaczerpnąć powietrza i wyznać mu miłość, kiedy niespodziewanie rzucił szybko:

- Starkey? To Diaz. To ona go zabiła.

W pośpiechu opowiedział jej o spotkaniu George'a Reinnikego ze śledczą, o dowodach zbieranych przez Pardy'ego przeciwko niej i o tym, że Diaz prawdopodobnie jest teraz w drodze do Canyon Camino z zamiarem odszukania i zabicia Davida Reinnikego. Kiedy wreszcie oznajmił, że chce ją powstrzymać, Starkey przypomniała sobie swój złowieszczy sen.

...Jego nieuchronna śmierć.

- Wstrzymaj się, Cole. Zaczekaj na Pardy'ego.

Koszmar senny odbierała tak sugestywnie, że wręcz czuła w ustach metaliczny posmak krwi, jakby język miała powleczony niklem.

- Nic mi nie grozi - odparł.

Połączenie nagle się przerwało, sygnał zanikł.

- Cole?

Cisza.

- Do cholery! Cole!

W panice wcisnęła klawisz ponownego wybierania tego samego numeru, ale tym razem włączyła się poczta głosowa. On także był poza zasięgiem sieci.

- Cholera!

Starkey była już klinicznie martwa, ale wróciła do życia, jakby spała się do nieprzytomności i wytrzeźwiała. Od trzynastu lat pełniła służbę w policji i zetknęła się chyba z każdą możliwą postacią ludzkiej deprawacji. Nie wierzyła w Boga, podobnie jak nie wierzyła w przeczucia, telepatię, spirytyzm, postrzeganie

pozazmysłowe, jasnowidztwo, telekinezę, astrologię czy życie pozagrobowe. Wierzyła jednak głęboko, że Cole wkrótce zginie.

- Jasna cholera! Szlag by to trafił!

Pospiesznie wybrała inny numer i przycisnęła słuchawkę do ucha. To był jeden z osobistych numerów Cole'a zapisanych w pamięci aparatu.

- Słucham.

- Pike? To ja.

Jednym tchem powiedziała mu, gdzie ma na nią czekać i dlaczego.

51

Frederick

Usłyszał trzaśnięcie drzwi, oznaczające, że wyszła. Nadstawił ucha i wyłowił stłumiony warkot silnika oraz chrzęst żwiru pod kołami. Ostrożnie uchylił drzwi szafy.

Tam, w ciemności, całkowicie pogodził się z myślą o własnej śmierci, która była pewna, z góry przesądzona. Miał zbyt wielu wrogów, nie tylko Cole'a, ale i całą resztę. Sieć nagonki zaciskała się wokół niego. Nie miał złudzeń, że wkrótce go odnajdą i zabiją. To miała być kara, którą przepowiedział Payne. W końcu nadeszła, i w przypiływie silnego żalu, który wypełnił mu oczy łzami, Frederick zrozumiał nagle, po co Payne w tajemnicy przed nim pojechał do Los Angeles: żeby go chronić. Poświęcił swoje życie, dając mu tym samym ostatni dowód swojej miłości.

Przecież on zrobiłby dla niego to samo.

Cole na pewno wybierał się do domu Payne'a, więc tam najlepiej było się z nim spotkać. Frederick bez dalszej zwłoki wrócił do samochodu i ruszył w kierunku Canyon Camino.

52

Autostrada I-5 prowadziła szerokim łukiem wzdłuż wschodniego brzegu doliny San Fernando w kierunku przełęczy Newhall. Każdego dnia setki tysięcy ludzi przemierzało tę drogę łączącą centrum metropolii z sypialnianymi miasteczkami wyrastającymi w tej części stanu niczym paki rozkwitającej rośliny, Niemal wszyscy skręcali na wschód, żeby przekroczyć Newhall, za którą hełmiaste wzgórza i pustynne równiny pokrywały się osiedlami. Natomiast ku zachodowi teren wznosił się stopniowo aż do stromych zboczy Magie Mountain, a miasteczka rozrzucone między porośniętymi sosnowym lasem grzbietami sprawiały wrażenie odizolowanych od cywilizacji, chociaż od centrum Los Angeles dzieliło je zaledwie dwadzieścia minut jazdy samochodem. Canyon Camino było wręcz idealne do tego, by się w nim ukryć.

Biuro szeryfa mieściło się w niewielkim brązowym budynku usytuowanym między sklepem spożywczym a wypożyczalnią wideo. Zaparkowałem przed wypożyczalnią i wszedłem do biura.

Za stołem siedział szczupły zastępca szeryfa w mundurze koloru khaki. Odchylony do tyłu na krześle, z nogami opartymi o kant biurka, rozmawiał przez telefon. Na mój widok szybko spuścił nogi i odłożył słuchawkę.

- Czym mogę służyć?

Na kieszonce munduru miał plaketkę z nazwiskiem Biggins. Przedstawiłem się, pokazałem swoją legitymację i położyłem przed nim wizytówkę Parady'ego.

- Przyjechałem w sprawie tutejszego mieszkańca, niejakiego Payne'a Kellera. Detektyw Pardy z policji w Los Angeles rozmawiał z kimś od was.

- Ze mną. Nieprzyjemna historia. Żeby tak dać się zabić... Szeryf wyjechał, żeby porozmawiać z ludźmi właśnie w tej sprawie. Musi zabezpieczyć dom Kellera. Paskudna historia.

- Kiedy wróci?

- Mogę powiedzieć tylko, że na pewno dzisiaj. Od samego rana zvaliła się nam na głowę masa roboty.

- Pewnie będzie jeszcze więcej. Pardy chyba jest już w drodze, razem z grupą śledczych z wydziału zabójstw ma się tu ze mną spotkać. Nie zgłosiła się jeszcze detektyw Diaz?

- Nie, pan jest pierwszy.

- To może dzwoniła?

- Kobieta?

- Tak.

- Dzwonił ktoś z wydziału zabójstw biura szeryfa z Los Angeles, jakaś Mullen, jeśli dobrze pamiętam. Potem dzwonił Pardy i gość o nazwisku Beckett...

To na pewno Diaz przedstawiła się jako Mullen.

- W porządku. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest dom Kellera. Poza tym chciałbym porozmawiać z jego przyjaciółmi. Mógłby mi pan podać parę nazwisk?

Biggins zrobił niepewną minę.

- Czy mógłby pan powtórzyć, w jakim charakterze jest włączony w to dochodzenie?

- Pracuję na zlecenie rodziny. - Postukałem palcem w wizytówkę Pardy'ego. - Proszę do niego zadzwonić. Wie, że zajmuję się tą sprawą, dał mi wolną rękę. Niech się pan z nim skontaktuje.

Zastępca szeryfa zmarszczył brwi, spojrział na wizytówkę i odsunął ją od siebie.

- Nie znałem za dobrze Payne'a, czasami wpadałem jedynie na kawę, gdy przejeżdżałem obok jego stacji benzynowej. Pochodzę z Riverside, od niedawna tu mieszkam.

- Keller prowadził stację benzynową?

- Tak, na końcu miasta. Payne's Gas & Car Care.

- Nie miał tu żadnej rodziny?

- Może lepiej, żeby porozmawiał pan z którymś z pracowników na stacji? Zatrudnia dwóch pomocników na pełny etat.

Powiedział mi, jak trafić do domu Kellera, i dodał, że po drodze muszę przejeżdżać obok jego stacji benzynowej. Podyktował mi też nazwiska pracowników stacji, Elroya Lewisa i Fredericka Conrada, dodał też, że któryś z nich na pewno będzie umiał odpowiedzieć na moje pytania. Był tak skory do pomocy, że gdy wszystko zanotowałem, na drugiej kartce zapisałem swój numer komórkowy, wyrwałem ją i położyłem obok wizytówki Pardy'ego.

- Gdybym się minął z szeryfem, a on wrócił do biura, proszę mu przekazać, że muszę z nim pilnie porozmawiać. To bardzo ważne.

Biggins spojrział na kartkę.

- Telefony komórkowe tu nie działają. Sygnał nie przedostaje się przez góry.

- Ja mieszkam w centrum Los Angeles i też zazwyczaj nie mam zasięgu.

Zaśmiał się krótko.

- To samo było w Riverside.

Odwróciłem się już do wyjścia, ale przystanąłem.

- Gdyby zgłosiła się Diaz albo Mullen, proszę powiedzieć, że tu jestem. Niech pan uprzedzi Diaz, że wypytywałem o jej

rodziców, więc powinna się ze mną skontaktować, zanim cokolwiek zrobi.

- W porządku. Nie ma sprawy.

- Jest coś jeszcze, o czym szeryf powinien wiedzieć. Pardy jeszcze o tym nie wiedział, gdy tu dzwonił, bo inaczej na pewno by was przestrzegł. Payne Keller i jego syn są podejrzani o dokonanie wielokrotnego zabójstwa. Więc gdyby syn Kellera się tu pojawił, może być niebezpieczny.

Biggins popatrzył na mnie ze zbaraniałą miną. Ruchem głowy wskazałem mu radiostację i dodałem:

- Niech pan lepiej uprzedzi o tym szeryfa.

53

Frederick

Dom Payne'a sprawiał równie odstrasżające wrażenie jak poprzedniego dnia, ale to był dobry znak. W powietrzu unosił się jeszcze swąd spalenizny, lecz i on nie był zły, kojarzył się Frederickowi z wonią wygasłego paleniska w kominku.

Otworzył frontowe drzwi i wszedł do saloniku. Rozglądał się jeszcze za najlepszą kryjówką, w której mógłby zaczekać na przybycie Cole'a, kiedy usłyszał podjeżdżający pod dom samochód. Aż podskoczył w miejscu. Ruszył do okna, myśląc:

Ty łajdaku! Zaraz zobaczysz, co cię czeka za śmierć Payne'a, łobuzie!

Ale kiedy wyjrzał na dwór, zamiast Cole'a zobaczył za kierownicą auta tutejszego szeryfa, Guya Rossiego.

Natychmiast odskoczył od okna i zaczął się przyglądać z ukrycia, jak Rossi zatrzymuje wóz przy jego półciężarówce. Szeryf

wysiadł i obrzucił wóz uważnym spojrzeniem, jakby się zastanawiał, do kogo może należeć. Wolnym krokiem ruszył wzdłuż samochodu, a Frederick z przerażeniem dostrzegł leżącą na skrzyni łopatę. Kilka razy jeździł do Los Angeles i włożył wiele wysiłku w oczyszczenie domu Payne'a z obciążających dowodów, ale całkiem zapomniał o łopacie. To nią wykopał ukryte w lesie szczątki, była zatem przecież ewidentnym dowodem jego poczynań. A niech to nagła krew zaleje! Na śmierć zapomniał ją oczyścić! Po chwili szeryf zawrócił w kierunku domu. Frederick błyskawicznie schował strzelbę za kanapą w saloniku i z obojętną miną wyszedł przed dom. Nie był pewien, czy Cole nie zdążył już porozmawiać z szeryfem. Było to jednak nieprawdopodobne, przecież morderca nie powinien uprzedzić policji o swoich zamiarach.

- Rety, ależ to smutny dzień - zagadnął.

Rossi zatrzymał się i zmierzył go zaciekawionym spojrzeniem. Ta jedna chwila wystarczyła, by nabrać pewności, że szeryf go nie poznaje.

- To ja, Frederick Conrad. Pracuję na stacji Payne'a - rzekł.

Tamten wyraźnie się rozluźnił.

- Nie spodziewałem się, że kogoś tu zastanę. Słyszałeś już złe wieści?

- O, tak. Przyjechałem, żeby nakarmić koty Payne'a. Ma tu trzy koty, które kręcą się gdzieś po okolicy. Nie wiem, co się teraz z nimi stanie. - Mówiąc to, ruszył swobodnym krokiem w kierunku szeryfa, skręcając nieco w bok, żeby odciągnąć jego uwagę od pokrytej ziemią łopaty na skrzyni półciężarówki. Smutno pokręcił głową. - Może powinniśmy wywiesić ogłoszenie na stacji benzynowej i poszukać im nowych opiekunów. Ja mógłbym się zająć najwyżej jednym, ale nie trzema...

Westchnął ostentacyjnie, chcąc okazać, że nie może się pogodzić z tragicznym losem kotów Kellera.

Szeryf powiódł wzrokiem po oknach domu, po czym założył ręce za pas z kaburą, jakby wciąż nie był pewien, co ma robić.

- Payne prosił cię przed wyjazdem, żebyś zaopiekował się jego kotami?

- Nic nie mówił przed wyjazdem. Jak dobrze rozumiem, wyjechał nagle z ważnych powodów rodzinnych. Dopiero później zadzwonił i poprosił, bym tu zajrzał.

Szeryf mruknął pod nosem, jakby chciał dać do zrozumienia, że koty ani trochę go nie obchodzą.

- Powiedział, co się stało?

Frederick błyskawicznie doszedł do wniosku, że Rossi już rozmawiał z Elroyem, musiał więc się trzymać przedstawionej tamtemu bajeczki.

- Jego siostra miała wypadek samochodowy. Był przekonany, że nie wyjdzie z tego.

- Dzwonił z Los Angeles?

- Nie. Z Sacramento.

Szeryf znów jęknął gardłowo, Fredericka naszły obawy, że dowiedział się od policji z Los Angeles znacznie więcej, niż chciał ujawnić.

- Nie zostawił swojego numeru?

- Nie, proszę pana, powiedział tylko, że zadzwoni, kiedy się wyjaśni, co z jego siostrą. Potem już nie miałem od niego żadnej wiadomości.

Rossi w zamyśleniu ruszył szerokim łukiem w stronę domu, patrząc na dach, jakby spodziewał się ujrzeć tam coś ciekawego. Później powiódł wzrokiem po okolicznych drzewach i zatrzymał spojrzenie na garażu. Frederickowi nie podobał się pełen rezerwy sposób, w jaki szeryf się porusza i rozgląda dookoła. Dłonie mu się pociły, a w uszach coraz mocniej dudnił przyspieszony puls. Czego on tu szuka?

- Chce pan, żebym zostawił drzwi otwarte, czy mam je zamknąć? - spytał.

- Masz klucz?

- Payne trzyma zapasowy pod tamtą doniczką.

- Lepiej daj go mnie. Muszę się trochę rozejrzeć, zanim przyjedzie tu policja z Los Angeles.

Frederick podał szeryfowi klucz, trzymając się jak najdalej od swojej ciężarówki. Jednocześnie bardzo się pilnował, żeby nie zrobić niczego, co mogłoby się wydać podejrzanemu.

Rossi schował klucz do kieszeni i popatrzył na niego.

- Cały ranek spędziłem w tutejszej parafii katolickiej. Jak rozumiem, Payne spędzał w kościele bardzo dużo czasu.

- O, tak, był bardzo religijny. Ja tam nie chodzę za często do kościoła, ale Payne bywał regularnie. Sam pan zobaczy, jak pan wejdzie do środka. W całym domu porozmieszczał krucyfiksy.

- Nie wiesz, czy pozostawał w bliskich stosunkach z proboszczem, ojcem Williem?

- Naprawdę nie wiem. Podejrzewam, że raczej tak.

Czuł, że grube krople potu spływają mu po skroniach, jakby łączyły po nim pluskwy. Był pewien, że lada moment pojawi się tu również Cole, a coraz bardziej nie podobała mu się mina szeryfa, z jaką mierzył go uważnym wzrokiem. Teraz się pewnie zastanawiał, co naprawdę łączyło Payne'a z ojcem Williem. Może Keller mu się spowiadał, a proboszcz wyjawiał tajemnicę jego spowiedzi komuś innemu? Rossi wciąż gapił się na niego, a on nie mógł już dłużej zapanować nad coraz bardziej przyspieszonym oddechem.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Słucham, szeryfie.

Rossi zawrócił i podszedł do półciężarówki. Zerknął na skrzynię, obrzucił podejrzliwym spojrzeniem łopate, po czym oparł się łokciem o boczną burtę. Frederickowi serce o mało nie wyskoczyło z piersi.

- Jak długo znałeś Payne'a?

- Nie pamiętam - wymamrotał. - Chyba z dziesięć, może dwanaście lat.

Miał wrażenie, że szeryf przygląda mu się z coraz większą uwagą.

- Wiedziałeś, że naprawdę nazywał się zupełnie inaczej?

- Nie miałem pojęcia.

- Nigdy nie wymieniał przy tobie swojego prawdziwego nazwiska?

- Nie, proszę pana.

- Nie słyszałeś o George'u Reinnikem?

- Nie.

- I nie wspominał też, że ma syna?

Frederickowi oczy zaszyły mgłą, a gardło zacisnęło się tak mocno, że nie mógł zaczerpnąć powietrza. Ledwie zdołał wykrztusić:

- Nic mi nie mówił.

Był pewien, że Rossi obserwuje jego reakcję. Szeryf bardzo powoli skinął głową, po czym przekrzywił ją na ramię i znów popatrzył na uwalaną ziemią łopatę. Gapił się na nią przez dłuższy czas, zanim w końcu z powrotem przeniósł wzrok na Fredericka. I utkwiał w nim świdrujące spojrzenie, jakby chciał go przejrzeć na wylot.

Wreszcie uśmiechnął się skapo, ale zdecydowanie smutno, jakby z politowaniem. Na pewno znał już prawdę! A co najmniej domyślał się, co łączyło go z Payne'em.

- Wygląda na to, że miał przed wami sporo tajemnic. - Szeryf ruszył w stronę domu, mijając Fredericka. - I wygląda na to, że teraz wszystko wyszło na jaw.

Frederick zdołał się wreszcie ruszyć z miejsca.

- Szeryfie?

Kiedy Rossi się odwrócił, on brał już szeroki zamach łopata. Jej krawędź głęboko wbiła się w jego ciało i było po wszystkim.

54

Zgodnie ze wskazówkami Bigginsa bez trudu odnalazłem niewielką stację benzynową na skraju miasta, wyposażoną tylko w jedną wysepkę z dystrybutorami. Na tyłach stał zaparkowany wóz holowniczy. Na dużej żółtej tablicy przy wjeździe na teren stacji umieszczono wielki napis: GAZ ZIEMNY, a poniżej: OLEJ NAPEŁDOWY. Kiedy skręciłem z ulicy, zza rogu budynku wyłonił się chudzielec w granatowej wiatrówce. Przy jego nodze szedł żółty labrador, który rozłożył się na ziemi obok wejścia do budynku. Na mój widok mężczyzna energicznie pomachał ręką, jakby kogoś żegnał na stacji. Był zdecydowanie za młody jak na Davida Reinnikego.

- Przykro mi, kolego, ale właśnie wyłączyłem pompy. Musimy zamknąć stację.

- Pan jest Lewis czy Conrad? Jadę prosto z biura szeryfa. Jego zastępca powiedział, że mam tutaj szukać Lewisa albo Conrada. Przyjechałem z Los Angeles, w sprawie Payne'a Kellera.

- Jestem Lewis. To najbardziej parszywe, co mogło się stać, no nie? Cholerne zrządzenie losu. Miałem jutro jechać z żoną do Cambrii na urlop, a tu masz. Dlatego muszę zamknąć stację.

Rozejrzał się na boki, bezgłośnie poruszając wargami, jakby w pamięci odtwarzał listę niezbędnych czynności. Wskazałem na drogę.

Mam jechać tędy dalej do domu Payne'a?

- Tak, cały czas prosto. To niedaleko. Szeryf już tam jest.

- Aha, rozumiem.

Poczułem się trochę lepiej na wieść, że szeryf jest w domu Kellera. Diaz na pewno wolałaby go unikać.

- Byli tu jeszcze jacyś policjanci?

Zapatrzył się na mnie z rozdziawionymi ustami, jakby nie zrozumiał pytania.

- A, tak, przyjechała jakaś kobieta z Los Angeles. Powinna teraz być razem z szeryfem w domu Payne'a. Też wypytywała, jak tam dojechać.

- Pojechała przed szeryfem czy po nim?

- Po nim. Niech pan posłucha, naprawdę muszę zamknąć stację. Zaraz tu będzie cysterna z ciekłym gazem, a nie mam pojęcia, jak odwołać tę dostawę. Payne nie żyje, a ja mam na głowie całą cholerną cysternę gazu.

Łzy napłynęły mu do oczu. Odwrócił się szybko i ruszył w kierunku stanowiska obsługi pojazdów. Pomogłem mu opuścić ciężką żelazną bramę, a gdy zaczął wyciągać z kontaktów wtyczki hydraulicznych podnośników, zagadnąłem:

- Wiem, że to dla pana trudny czas, panie Lewis. Bardzo mi przykro.

- Tak, rozumiem. Mówili, że Payne posługiwał się fałszywym nazwiskiem. Co to może znaczyć, do cholery? Nie miałem pojęcia, że naprawdę nazywa się inaczej.

- George Reinnike.

- Pierwsze słyszę. Pracowałem u niego przez osiem lat i zawsze był Payne'em Kellerem.

- Miał syna. Słyszał pan o nim?

- Matko Boska. Skądże znowu? Szeryf mówił to samo. Payne nigdy nawet nie wspominał, że ma syna.

- Owszem, ma. O imieniu David.

- Jezu... Jeszcze mi pan powie, że Payne był jakimś pieprzonym Elvisem Presleyem.

Przeszliśmy razem do biura. Jeśli Lewis pracował u Reinnikego od ośmiu lat, to pewnie należało go zaliczyć do najbliższych przyjaciół zabitego. Zapytałem go o przyjaciół Reinnikego. Zawahał się, najwyraźniej zakłopotany tym, że tak mało wie o swoim pracodawcy.

- Payne nie miał przyjaciół. Zawsze trzymał się na uboczu.

- Każdy ma przecież jakichś znajomych.

- Może zaprzyjaźnił się z kimś z kościoła. Był wielkim miłośnikiem Biblii. Regularnie chodził na nabożeństwa.

- Spotykał się z kimś jeszcze?

- Nie, tylko ze mną i Frederickiem. Przynajmniej ja nic więcej nie wiem. Pomagaliśmy mu w prowadzeniu stacji, czasami również w domu, kiedy była taka potrzeba. Frederick pracował u niego dłużej niż ja.

- Jak długo?

- Nie wiem dokładnie. Dziesięć, może dwanaście lat. Coś koło tego. Chce pan jego numer telefonu?

- A jak on wygląda?

- Jest niewiele młodszy od pana, mniej więcej pańskiego wzrostu, ale mocniej zbudowany. Sam nie wiem... A czemu pan o niego pyta? Co on ma wspólnego z Payne'em?

- Payne nie mówił wam, po co wybiera się do Los Angeles?

- Byłem przekonany, że wyjechał do Sacramento.

- Mówił, że jedzie do Sacramento?

- Dzwonił do Fredericka. Jego siostra złamała kręgosłup w wypadku samochodowym. Myślałem, że pojechał do Sacramento, żeby się nią zaopiekować, a nie do Los Angeles, by dać się tam zabić.

- Więc dzwonił do Fredericka?

- Tak. To Frederick z nim rozmawiał.

- Payne w ogóle nie miał siostry.

Elroy Lewis wymamrotał coś pod nosem. Chyba obaj równocześnie zaczęliśmy się zastanawiać, czemu tylko Frederick odbierał telefony od Payne'a, podczas gdy on ani razu. Wreszcie Lewis pogasił światła, a gdy wyszliśmy na dwór, zamknął drzwi na klucz.

- Gdyby Spotkał pan szeryfa w domu Payne'a, niech mu pan powie, że zamknąłem stację i pojechałem do domu. Zapowiedział, że będzie do mnie dzwonił.

- Dobrze, powiem mu.

- Już teraz pan tam jedzie?

- Tak.

- To proszę wypatrywać wielkiego uschniętego płatanu przy szosie. Łatwo przeoczyć drogę dojazdową.

- W porządku. Dziękuję, panie Lewis.

Na nasz widok pies podniósł łeb i zaczął się leniwie podnosić. Zachwiał się w bok, zanim pewnie stanął na łapach. Lewis popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby miał przed sobą bezpańskiego kundla.

- Naprawdę nie mam pojęcia, co teraz poczniemy, do cholery. - Spojrzał na mnie i zamrugał szybko. - Payne miał zawsze Biblię pod ręką, czytał ją, kiedy nie było nic do roboty na stacji. Cały dom pozastawiał podobiznami Jezusa. Chodził na nabożeństwa... no, nie wiem, że trzy razy w tygodniu, a teraz nie żyje, został zastrzelony w Los Angeles. Nie jestem za bardzo religijny, ale wydaje mi się, że tak nie powinno być.

Odszedł, a pies pokuśtykał za nim. Wsiadłem do samochodu, ale nie ruszyłem od razu. Zacząłem rozmyślać o Fredericku Conradzie. Dom Payne'a Kellera znajdował się ponoć niedaleko, a w dodatku szeryf już tam był. Miałem adres Conrada i zastanawiałem się przez chwilę, czy nie pojechać do niego. W końcu zdecydowałem jednak, że lepiej będzie najpierw porozmawiać z szeryfem. Tak jak wcześniej, gdy zrezygnowałem z wizyty w swoim biurze, była to błędna decyzja.

Dobrze, że Lewis kazał mi wypatrywać uschniętego platana, bo inaczej pewnie bym nie znalazł zarośniętej trawą wąskiej prywatnej drogi dojazdowej, której wylot niewiele różnił się od innych przerw między drzewami, a przy szosie nie było nawet skrzynki na listy. Bardziej przypominała ścieżkę przez zarośla niż bitą drogę, pełną dziur i porytą koleinami, grożącą urwaniem zawieszenia, a tym samym odstraszającą ciekawskich. Było to wręcz wymarzone miejsce, żeby stać się niewidzialnym człowiekiem wiodącym niewidzialne życie.

Powoli i ostrożnie przejechałem nią do rozległej kępy drzew. Reinnike mieszkał w starym farmerskim domu obudowanym z desek i otoczków, z zadaszonym gankiem od frontu. Spodziewałem się ujrzeć przed nim samochód szeryfa, ale przy ganku stał tylko volkswagen passat Kelly Diaz. Nigdzie nie było żadnych innych aut. Zaparkowałem obok jej wozu i wyłączyłem silnik. Drzwi domu były otwarte na oścież.

Śledcza musiała słyszeć, że przyjechałem, ale nie wyszła na dwór. Toteż wysiadłem, wszedłem na ganek i zawołałem:

- Diaz?!

Powoli wszedłem do środka.

- Diaz! To ja, Cole!

Meble były poprzewracane, na podłodze wały się czasopisma. Ktoś zrzucił na wielką stertę książki z regału, który stał ukosem odsunięty od ściany. Wszędzie pełno było krucyfiksów i obrazów Jezusa. Zdawał się spoglądać na mnie ze ścian, telewizora i stołu. Mniejsze krucyfiksy leżały wśród gazet na podłodze.

- Diaz! Jesteś tu?!

Ktoś przetrząsał ten dom, ale raczej nie ona. Gliniarze dobrze wiedzą, jak trudno jest cokolwiek znaleźć, rozrzucając

wszystkie rzeczy po podłodze. Musiał to zrobić ktoś, kto miał nie po kolei w głowie. Moja wyobraźnia podsunęła mi widok owczarka collie leżącego w ogrodzie i przekłutego włócznią. Zaczynałem się bać tego, co tu znajdę.

- David?

Przeszedłem do kuchni. Szuflady były opróżnione, drzwiczki szafek pootwierane, naczynia i sztucce wały się na podłodze. Od razu przeszła mi ochota, żeby zaglądać do dalszych pomieszczeń. Zastanawiałem się tylko, czy Diaz już tu była, kiedy zjawił się David Reinnike.

Wycofałem się z kuchni i odwróciłem w kierunku saloniku. Kelly Diaz stała u wylotu korytarza, w ręku trzymała pistolet skierowany lufą ku dołowi. Mogła mnie zabić, strzelić mi w plecy, jednak tego nie zrobiła. Twarz miała ściągniętą, jakby myślami znów była u boku matki i pragnęła wynagrodzić jej stracone lata. Na mój widok uśmiechnęła się jednak szeroko.

- Do diabła, Cole, naprawdę zasługujesz na miano Największego Detektywa Świata. Odnalazłeś tego sukinsyna, pieprzonego Payne'a Kellera.

- A przy okazji ustaliłem podejrzaną o jego zabójstwo.

Jej koszula opinała się na ciężkiej kamizelce kuloodpornej. Detektywi nigdy nie noszą takich kamizelek, co świadczyło, że Diaz przyjechała tu w zupełnie innym, konkretnym celu. Powiodła pistoletem po zaśmieconym pokoju i powiedziała:

- On gdzieś tu jest, Cole. Ten szurnięty bydlak robi w gacie ze strachu. Możemy go razem dopaść.

- Pardy wie o wszystkim. Właśnie omawia szczegóły sprawy z O'Loughlinem. Przyjedzie tu z gotowym nakazem aresztowania.

- Pardy nie ma pojęcia, gdzie szukać własnego tyłka.

- Odnalazł rewolwer i zdołał go powiązać z prowadzoną przez ciebie sprawą. Przywłaszczyłaś sobie tę broń. Ma też świadków, którzy widzieli kobietę podobną z opisu do ciebie u boku

Reinnikego w noc zabójstwa. A ja znalazłem w twoim domu stare akta...

Jeszcze raz machnęła pistoletem w powietrzu, ale na czoło wystąpił jej pot, a w oczach pojawiły się błyski złości.

- Zobaczymy, co na to powie ława przysięgłych.

- Zostawiasz za sobą mnóstwo śladów, Kelly. Na miłość boską, przecież nosisz wisiołek matki.

Uśmiech jej nieco zrzędł, przypominał teraz grymas wściekłości.

- No i co z tego, do cholery? Dokonałam wyboru i dobrze mi z tym. Ten łobuz wymordował całą moją rodzinę. Oficjalnie jestem chora psychicznie. Załamalam się pod wpływem stresu, jakim okazało się spotkanie z mordercą moich rodziców i brata. Bałam się o własne życie i zareagowałam odruchowo. A potem podjęłam własne dochodzenie, żeby doprowadzić zemstę do końca. Zobaczymy, jak to potraktują przysięgli podczas rozprawy.

Musiała sobie to powtarzać setki razy, przekonując samą siebie, że nic jej nie grozi.

- Istnieją lepsze sposoby zemsty, Diaz. Mogłaś z tego zrobić głośną sprawę, aresztować drani...

Błyskawicznie podniosła broń.

- Przestań pieprzyć, Cole. Bardzo cię o to proszę. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Nie było cię tam. Nawet sobie nie wyobrażasz, co przeżywałam.

- Posłuchaj, rozumiem, że...

- Nic nie rozumiesz.

- Nie znasz mnie na tyle dobrze, aby ocenić, czy naprawdę nie potrafię tego zrozumieć. Wiesz o mnie tylko to, co przeczytałaś w gazetach.

Uświadomiłem sobie, że tak jak ona podnoszę głos. Może sprawił to jej ironiczny uśmiech, a może fakt, że byliśmy sami w tym domu.

- Z gazet można się dowiedzieć sporo prawdy, kolego. Dałeś się w to wpakować i odnalazłeś go. Inaczej teraz nie byłoby nas tutaj.

- Ale to ty mną kierowałaś. Podrzuciłaś wycinki z gazet i kartę magnetyczną. U patologa zastawiłaś na mnie pułapkę, chciałaś, żebym mu się dobrze przyjrzał, jednocześnie coraz bliżej podtykając mi przynętę pod nos. Tymczasem w gruncie rzeczy nie byłem ci do niczego potrzebny. Świetnie poradziłybyś sobie beze mnie.

Jej oczy błyszczały jak dwa czarne lakierowane guziki. Znowu opuściła pistolet. Odchyliła głowę do tyłu, oparła ją o ścianę i ze wzrokiem utkwionym gdzieś ponad moim ramieniem przemówiła dużo spokojniej:

- Wtedy wszyscy wiedzieliby od początku, że wyruszam na polowanie. Wolałam, aby myśleli, że działasz na własną rękę, całkiem sam.

W ten sposób potwierdziła moje przypuszczenia. Wpuściła mnie na trop Reinnikego, żebym odnalazł dla niej Davida. Byłem jej potrzebny do czarnej roboty, bo zamierzała mnie oskarżyć o oba zabójstwa, George'a i Davida.

- Twoje plany spaliły na panewce - powiedziałem.

Wyprostowała się szybko, a na jej usta powrócił uśmiech pełen smutku.

- To było niezapomniane przeżycie, Cole. Wszystko wydarzyło się tak szybko, a ja bez przerwy kontrolowałam sytuację.

- Ty odnalazłaś George'a czy on ciebie?

Wyprężyła ramiona, jeszcze bardziej prostując się z dumą. - Kiedy skończyłam akademię i podjęłam służbę, w „Daily News” ukazał się artykuł na temat tego, co spotkało moją rodzinę.

Reinnike przeczytał go i zachował. Człowieku, minęło tyle lat... Mam wrażenie, że przez cały ten czas zbierał się na odwagę. Zadzwonił do mnie w ubiegłym tygodniu. Ni stąd, ni zowąd powiedział, że ma pewne informacje dotyczące zabójstwa mojej rodziny.

W zamyśleniu musnęła palcami srebrny wisiołek, potwierdzając tym samym moje podejrzenia. Reinnike wziął go ze sobą jako dowód. Teraz najwyraźniej wróciła wspomnieniami do tej chwili, gdy nieoczekiwanie usłyszała w słuchawce: „Mam pewne informacje dotyczące zabójstwa pani rodziny”.

- I co ci powiedział?

Obracała wisiołek w palcach, spoglądając w dal niewidzącym wzrokiem. Podszedłem ostrożnie i wyjąłem jej z ręki pistolet. Nie stawiała oporu.

- Powiedział ci, Kelly, co się wtedy stało? David sam popełnił zbrodnię czy on mu w tym pomagał?

Opuściła nagle rękę, jakby nie mogła dłużej znieść jej ciężaru pod szyją. Oczy wypełniły jej się łzami, zacisnęła powieki. Broda zaczęła jej dygotać, choć bardzo się starała nad sobą zapanować.

- Cholera - syknęła cicho.

Objąłem ją. Zadygotała jeszcze mocniej i zapłakała. Ja także zacząłem szlochać - z powodu tego wszystkiego, co straciła, i tego, czego ja nigdy nic miałem. Kiedy wreszcie oboje się uspokoiliśmy, opowiedziała, jak zginęła jej rodzina. Jej ojciec i brat jechali samochodem, kiedy natknęli się na Davida Reinnikego próbującego złapać okazję. David był zaledwie trzy albo cztery lata starszy od jej brata, ale jakoś się ze sobą dogadywali, ojciec zabrał go więc do domu, żeby chłopcy pobawili się razem, może nawet zjedli wspólnie obiad. Diaz nic знаła wszystkich szczegółów, wiedziała tylko tyle, ile powiedział jej George, a i on przecież dowiedział się o przebiegu zdarzeń od syna. Minał zaledwie kwadrans, może dwadzieścia minut od wejścia Davida do ich domu, kiedy nagle chłopaka ogarnął szal. Jej brat chwalił mu się właśnie swoim kijem baseballowym.

Zdaje się, że David na próbę machnął nim parę razy w powietrzu, lecz właściciel zaczął się dopominać o zwrot. I wtedy David przystąpił do ataku. Był w ich domu na tyle krótko, że nawet się nie zorientował, iż mała Kelly bawi się lalkami w szafie na ubrania. Dalsza część opowieści George'a dość dobrze zgadzała się z opisem zamieszczonym w aktach śledztwa. David zatłukł wszystkich domowników na śmierć, po czym wyszedł na ulicę, złapał kolejną okazję i wrócił do domu. Nikt z sąsiadów nie widział, kto podjechał samochodem pod dom, nikt nie słyszał krzyków katowanych ludzi, nie zauważył Davida wychodzącego po dokonaniu zbrodni. Kiedy chłopak wrócił do domu, cały zakrwawiony, George wymył go, przebrał, a parę dni później wywiózł z miasta, nikomu nie mówiąc ani słowa. Jak stwierdził, jego syn miał poważne problemy psychiczne i wymagał fachowej opieki.

- Skontaktował się z tobą, żeby zrzucić ten ciężar z serca, ale nie chciał powiedzieć, gdzie jest David? - zapytałem.

- Sukinsyn nie chciał nawet zdradzić, czy jego syn jeszcze żyje. Ale ja dobrze wiem, że on gdzieś tu jest. George musiał przez te lata trzymać go blisko siebie, żeby mieć nad nim kontrolę. Bydlak płakał jak małe dziecko, powtarzając, że poczucie winy żywcem pożera mu serce. Pomyślałam, do diabła z nim.

Pokiwałem głową.

- I zabiłaś go.

Diaz odchrząknęła, pozbierała się i odsunęła ode mnie. Znów sprawiała wrażenie rozzłoszczonej, chyba gotowej na wszystko.

- Zgadza się, Cole. I co zamierzasz teraz zrobić? Zakujesz mnie w kajdanki i będziesz czekał na przyjazd Parady'ego i mojego adwokata, a temu bydlakowi pozwolisz uciec? Rozejrzyj się uważnie, on się nas spodziewa. Tatuś przez tyle lat strzegł go przed więzieniem, ale teraz tatusia już nie ma. Myślisz, że będzie spokojnie obserwował rozwój wydarzeń?

- Na pewno nie pozwolę ci go zabić. Gdybyś to zrobiła, równie dobrze mogłabyś popełnić samobójstwo.

- I co dalej?

- Trzeba będzie zidentyfikować Davida i przekazać go pod fachową opiekę. Najlepiej by było, gdybyś sama go aresztowała, żeby wykazać wszystkim, że przestrzegasz prawa. Udowodniłabyś w ten sposób, że nie dałaś się ściągnąć na dno z powodu wydarzeń sprzed lat.

Diaz westchnęła ciężko, wydmuchując powietrze tak, jakby chciała się uwolnić od czegoś tkwiącego w niej głęboko. Zadarła głowę i popatrzyła w sufit.

- Co za cholerny galimatias.

- Pardy jest już w drodze. Nie masz za dużo czasu do namysłu.

Wyprostowała się i skinęła głową.

- Oddaj mi mój pistolet.

Zrobiłem to. Schowała go do kabury.

- Wiesz już, kto to jest?

- Prawdopodobnie ten drugi pomocnik Reinnikego ze stacji benzynowej. Przynajmniej tak sędzę po tym, co usłyszałem od Lewisa. Nie jestem tego pewien, tylko tak podejrzewam. Lewis powiedział mi, jak trafić do jego domu.

Diaz wyminęła mnie i skierowała się do wyjścia.

Zabrała Pike'a ze skrzyżowania Mulholland Drive i Czterysta Piątej. Jeśli nawet zachodził w głowę, o co ten cały raban, to o nic nie pytał, nie spierał się też, czyim samochodem mają jechać. Jej miał policyjne migacze i krótkofalówkę. Pozwalało im to zaoszczędzić trochę czasu.

Już przy wyjeździe z parkingu Starkey włączyła migacze. Kiedy zaś wyjechali na autostradę i ruszyli na północ, uruchomiła radio i trochę zdziwiona, że ten przeklęty złom działa, połączyła się z dyspozytornią.

- Zgłasza się sześć-whiskey-dwanaście.

- Słucham, sześć-whiskey-dwanaście.

„Sześć” identyfikowało ją jako funkcjonariuszkę z Hollywood, „whiskey” oznaczało pracownika wydziału dochodzeniowego, a „dwanaście” było numerem jej wozu.

- Potrzebne mi namiary na biuro szeryfa w Canyon Camino.

- Chwileczkę, sześć-whiskey-dwanaście.

Kiedy czekała na odpowiedź, Pike wybrał numer, telefonu komórkowego Cole'a. Trzy razy próbował się połączyć, ale bezskutecznie. Kiedy Starkey odebrała potrzebne informacje, mijali już lotnisko Van Nuysa i od domu George'a Reinnikego dzieliło ich dwadzieścia sześć minut jazdy.

Pojawienie się szeryfa wszystko zmieniło. Przecież mógł przekazać przez radio, że przed domem Payne'a stoi jego półciężarówka albo nawet kazać Bigginsowi tu przyjechać czy też wezwać posiłki. Dlatego Frederick gorączkowo usiłował dopasować swój plan działania do odmiennej sytuacji. Był pewien, że Cole nie przybędzie z innymi gliniarzami, dlatego postanowił natychmiast uciekać. Ponadto gdyby policja odnalazła samochód Rossiego, mogłaby zablokować drogi w okolicy. A on przecież musiał uciekać. Zapakował więc zwłoki Rossiego na tylne siedzenie, przestawił samochód szeryfa na tyły domu Payne'a i ukrył go wśród drzew. Wrócił biegiem, wskoczył do półciężarówki i odjechał pełnym gazem.

Płakał przez całą drogę. Brakowało mu Payne'a i bardzo chciał ukarać Cole'a za jego śmierć, uświadomił sobie jednak, że w tej sytuacji musi wyjechać, zapominając o zemście. Musiał ją odłożyć na kilka lat, jeśli zdoła bezpiecznie uciec. Przecież wiedział, gdzie detektyw mieszka. Wiedział, gdzie ma swoje biuro. Trzeba będzie odczekać parę lat.

Wchodząc do swojej przyczepy mieszkalnej, usłyszał jakiś głos, okazało się jednak, że to Elroy, który właśnie się nagrywał na automatyczną sekretarkę.

- ...oddzwoń, do cholery. Policja z Los Angeles jedzie tutaj, żeby nas przesłuchać, a ja nie mam pojęcia, co się, do cholery...

Frederick podniósł słuchawkę.

- Elroy, to ja. Dlaczego policja chce z nami rozmawiać?

- Do jasnej cholery! Dlaczego nie dzwoniłeś?! Miałem...

- Byłem tak przygnębiony wiadomością o śmierci Payne'a, że nie wiedziałem, co robić.

Elroy zamilkł. Nawet on potrafił zrozumieć, co to rozpacz. Po chwili zapytał:

- Czy Payne mówił ci coś o wyjeździe do Los Angeles?

- Nie.

- No cóż, właśnie o to rozpytują. Był na stacji szeryf. Powiedział, że niedługo przyjadą detektywi z Los Angeles, żeby się dowiedzieć, po co on tam pojechał. Mówił też, że Payne naprawdę nazywał się zupełnie inaczej. Z tobą o tym nie rozmawiał?

- Dzwonił tu. Dopiero co skończyliśmy rozmowę.

- Zamykam tę przeklętą stację. Nie mam pojęcia, co robić.

- W porządku.

- A ten prywatny detektyw jeszcze do ciebie nie dotarł?

- Do widzenia, Elroy.

Frederick powoli odłożył słuchawkę. Oczy szczypały go tak, jakby puchły. Czuł w nich nieznośne ciśnienie, wydawało mu się, że lada chwila eksplodują. Zatem Cole już wiedział, kim on jest. I jechał tutaj, do jego domu. Frederick poczuł się osaczony. Czekala go kara, o której Payne tyle razy mówił. Zaczął szlochać, gdy nagle przypomniał sobie o Juanicie. Nie wszystko jeszcze było stracone. Istniał sposób, żeby zaskoczyć Cole'a i otworzyć sobie drogę ucieczki.

Zgarnął całą gotówkę z utargu stacji, zamknął swoją przyczepę i wyciągnął strzelbę z półciężarówki. Biegiem ruszył przez plac w kierunku wielkiej przyczepy Juanity. Było wczesne popołudnie, staruszka zwykle o tej porze uciinała sobie drzemkę. Wstawała o trzeciej czy czwartej nad ranem, wybudzona przez senne koszmary, dlatego drugi raz zasypiała zaraz po lunchu. Ze starymi ludźmi tak już jest. To smutne.

W najdalszym kącie placu bawiły się dwie małe dziewczynki. Frederick zawołał je i pomachał ręką. Natychmiast rzuciły się biegiem w jego kierunku, na czym mu właśnie zależało.

Podszedł do drzwi, ale nie zapukał, tylko nacisnął klamkę i naparł na nie ramieniem, bez większego trudu wyważając zamek z cienkiej aluminiowej futryny.

Juanita obudziła się gwałtownie. Szybko zamknął za sobą drzwi i uśmiechnął się do niej.

Zamrugnęła szybko, zaspana, i spytała niepewnie:

- Frederick?

Ledwie zdążył się nią zająć i schować w mrocznym kącie przyczepy, gdy z szosy na plac skręciły dwa samochody.

58

High Mountain Communities okazał się rozległym placem parkingowym dla przyczep mieszkalnych rozstawionych w cieniu drzew. Być może kiedyś było to przyjemne miejsce do życia, ale teraz sprawiało wrażenie letniego obozowiska z innej epoki, kuszącego coraz mniej turystów. Tylko niektóre przyczepy były zadbane, większość pokrywała rdza i brudne zacieki. Frederick Conrad mieszkał w przyczepie na stanowisku czternastym, w tylnej części placu.

Diaz jechała za mną swoim passatem. Minałem środkową część placu, rozglądając się uważnie, aż wypatrzyłem numer czternasty. Przyczepa Conrada była czysta i dobrze utrzymana, ale panowała w niej cisza. W ogóle na całym parkingu było dziwnie cicho.

Zatrzymałem wóz przy starej półciężarówce Forda, a Diaz zaparkowała obok mnie. Wysiedliśmy równocześnie, rozglądając się uważnie dookoła. Spostrzegłem, że jej oczy znów błyszczały jak dwa czarne, wypolerowane do połysku kamyczki.

- Jego syn musi gdzieś tu być. Jeśli nie ma go w tej chwili, to na pewno był jeszcze do niedawna. Przez cały czas trzymali się blisko siebie.

- Uspokój się. Nawet nie wiemy jeszcze, czy to na pewno on.

Z drugiego końca placu nadbiegły dwie małe dziewczynki. Wyskoczyły chyba ze stojącej naprzeciwko dużej jasnozielonej przyczepy i pędziły tak, że młodsza ledwie mogła dotrzymać kroku siostrze. Starsza zawołała coś, czego nie zrozumiałem, a młodsza ostrym tonem kazała jej zaczekać. Starsza zaśmiała się w głos, pobiegła z powrotem i zniknęła za rogiem przyczepy. Druga także się zaśmiała i pobiegła za nią. Diaz odprowadziła je zdumionym wzrokiem.

- Diaz? - zagadnałem.

Odwróciła się szybko i zacisnęła w dłoni srebrny wisiołek w kształcie serduszka.

- Wszystko w porządku. Przekonajmy się, co ma do powiedzenia.

Podeszliśmy do drzwi przyczepy Fredericka Conrada. Diaz wsunęła rękę pod żakiet i zacisnęła palce na kolbie pistoletu.

Zapukałem, ale odpowiedziała mi cisza. Zapukałem trochę mocniej i zawołałem:

- Panie Conrad!

Nie było odpowiedzi.

Diaz huknęła otwartą dłonią w bok przyczepy.

- Pieprzony kutas!

- Uspokój się!

Półciązarówka stała blisko przyczepy, wszystko wskazywało na to, że należy do jej właściciela. Podeszedłem do niej. Stygnący silnik jeszcze cicho potrzaskiwał, ale w wolnym tempie, jakby wóz stał tu już od pewnego czasu. Obie dziewczynki na dobre zniknęły nam z oczu. Wokół panowała tak niezwykła cisza, że aż ciarki przeszły mi po plecach.

- Porozmawiajmy z sąsiadami - zaproponowała Diaz.

Na wprost wejścia stojącej najbliżej przyczepy był zaparkowany stary dodge sedan, co wskazywało, że jej mieszkańcy mogą być w środku. Drzwi były zamknięte, a zasłonki w oknach zaciągnięte, jednakże wszystkie przyczepy mieszkalne wyglądały podobnie. Ruszyłem za Diaz przez wysypany żwirem plac, próbując odegnać od siebie myśl, że jesteśmy w siedlisku wampirów. Wystarczyło tylko zapukać.

Frederick

Juanita lubiła półmrok. Nigdy nie zapalała światła i nie odsuwała zasłonek w oknach, żeby podejrzone typki i gwałciciele nie mogli jej szpiegować. Często jej powtarzał: „Juanita, przecież to niemądre, nie kręca się tu żadne podejrzone typki”, ale ona tylko lekceważąco machała ręką, jakby miała do czynienia z głupkiem, i tłumaczyła, że przecież każdego wieczoru można to zobaczyć w dzienniku telewizyjnym. Mówiła: „Mordercy są wszędzie!”.

Teraz pomyślał: „Dzięki ci, Juanito”.

Ukryty w ciemnym kącie jej przyczepy, obserwował przez szparę w zasłonkach, jak detektyw i kobieta dobijają się do jego drzwi. To nie była ta sama kobieta, która strzegła domu Cole'a, lecz i ona nosiła się jak policjantka. Kroczyła z wyzywająco zadartą brodą.

A zatem wiedzieli. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że znali jego tożsamość. Przyglądał się, jak ostrożnie zajmują pozycję po obu stronach drzwi jego przyczepy, i nie wątpił, że przyjechali tu, żeby go zabić.

Gdyby Cole zjawił się sam, Frederick niespodziewanie wypadłby na plac i zrobił dobry użytek ze swojej strzelby. Z tej odległości nie mógłby chybić celu. Ale w tej sytuacji się zawahał. Pozbycie się dwojga wrogów jednocześnie nastęrczało dużo więcej trudności. Jedno z nich mógł załatwić na pewno, ale drugie...

Choć bardzo pragnął zabić Cole'a, to zarazem w głębi serca żył nadzieją, że oboje wsiądą do samochodów i odjadą. Gdyby tak się stało, nadal miałby szansę ucieczki starym dodge'em Juanity. Wystarczyło wskoczyć do wozu, wyjechać na szosę i skręcić w stronę Bakersfield. Odłożyłby porachunki na kiedy indziej; Zaczekałby na lepszą okazję, żeby dopaść Cole'a.

Z jego pamięci wypłynęły słowa Payne'a: „Mój chłopak”.

Tak, Payne był dobrym ojcem.

Cole i policjantka odwrócili się plecami do jego przyczepy. Frederickowi przemknęło przez myśl, że będzie wolny, oni jednak ruszyli powoli w kierunku przyczepy Juanity. Jeszcze mocniej przycisnął strzelbę do piersi, aż zaboląły go mięśnie ramion.

Cole obszedł dodge'a i skierował się do wyważonych drzwi.

Cole

Cały samochód był pokryty cienką warstwą kurzu. Prawdopodobnie nikt nie ruszał go z miejsca co najmniej od tygodnia, chociaż nie dało się wykluczyć, że stał tu nawet od kilku lat. Jeśli sąsiedzi Conrada mieli drugi samochód, ich także mogło nie być w domu. Podeszedłem do drzwi i zapukałem.

- Halo!

Diaz trzymała się o parę kroków z boku. Zapukałem jeszcze raz, po czym obejrzałem się, żeby sprawdzić, czy nikt inny nie wyjrzał na dwór z którejs przyczepy. Nikogo nie było na placu. Odwróciłem się i znów zapukałem.

- Sprawdzę następną przyczepę - powiedziała Diaz.

Ruszyła w kierunku szosy.

- Strata czasu i pieniędzy.

To miał być dowcip.

Diaz przystanąła i zawołała:

- Hej, Cole.

Obejrzałem się na nią. Wydęła wargi i oblizwała je nerwowo. Pomyślałem, że ogarnął ją żal.

- Przepraszam.

Skinałem głową.

Zwróciłem uwagę, że klamka drzwi zwisa pod dziwnym kątem, jak uwiędła gałąź. W ogóle cała ta przyczepa sprawiała wrażenie więdnącej.

- Do trzech razy sztuka - mruknąłem.

I zapukałem ostatni raz.

Frederick

Wąska smuga światła wpadającego przez szparę między zasłonkami przecinała jego twarz niczym szeroka blizna. Wstrzymał oddech. Przywierał plecami do ściany tuż obok drzwi, ostrożnie wyglądając na zewnątrz. Usłyszał, jak Cole woła kobietę Po nazwisku. Diaz?

To nazwisko nie było mu zupełnie obce, nie miał jednak czasu, żeby się nad tym zastanowić. Policjantka oznajmiła, że idzie sprawdzić następną przyczepę, i odwróciła się tyłem. Rozdzielali się! Była więc okazja, żeby zabić Cole'a!

Frederick odbezpieczył strzelbę, stanął na wprost drzwi i sięgnął do klamki.

Kobieta oddalała się, gdy Cole jeszcze raz zapukał.

„Dzięki ci, Juanito”, znów pomyślał Frederick.

Powoli zacisnął dłoń na zwisającej klamce wyważonych drzwi, gdy usłyszał dobiegające z oddali wycie policyjnej syreny...

Równocześnie z Diaz usłyszeliśmy syrenę. Odwróciłem się od przyczepy i zrobiłem osiem kroków w kierunku mojego samochodu, żeby lepiej widzieć wjazd z szosy na plac parkingowy. Urobiłem dokładnie osiem kroków i zatrzymałem się.

- Jasna cholera! - warknęła Diaz. - To na pewno Pardy.

- Przecież uprzedzałem, że jedzie tu po rozmowie z O'Loughlinem.

Z twarzą wykrzywioną grymasem obrzydzenia odwróciła się w moją stronę i w jednej chwili jej oczy rozszerzyły się, gdy dostrzegła coś za moimi plecami.

Chciałbym być taki, jakiego przedstawiali mnie w gazetach, bohatercko rzucić się do działania, żeby ratować nas oboje. Ale prawdziwi gliniarze w obliczu prawdziwych przestępców nie bywają aż tak dobrzy. Niczego nie słyszałem. I niczego się nie spodziewałem. Impet trafienia zwałił mnie z nóg, jakbym się zderzył z rozpędzoną ciężarówką. Upadłem na wznak, z twarzą skierowaną ku niebu, i ujrzałem Diaz z taką wyrazistością, jakby moje oczy zyskały nadludzką zdolność widzenia. Błyskawicznie sięgnęła pod żakiet, żeby dobyć pistoletu, kiedy nagle poleciała do tyłu i huknęła plecami o maskę starego dodge'a. Na jej piersi pojawiła się nagle jak gdyby duża kiść czarnych winogron. Nogi się pod nią ugięły, ale kamizelka uchroniła ją przed kulami, a samochód przed upadkiem na ziemię. Utrzymała się w pozycji pionowej.

Z otwartych drzwi przyczepy mieszkalnej wypadł nieznany mi mężczyzna. Był potężnie zbudowany, ale poruszał się nadszpiewanie szybko. Przebiegł obok mnie, przyciskając do ramienia ciężką czarną strzelbę z krótką lufą. Diaz wyciągnęła pistolet, lecz strzelba wypaliła z hukiem i śledcza zwała się na ziemię.

Mężczyzna także zachwiał się na nogach. Staął, popatrzył na siebie i przeniósł wzrok na mnie. Na jego piersi wykwitła czerwona plama. Ponownie uniósł strzelbę do ramienia, ale już znacznie wolniej, jakby w zwolnionym tempie.

- Morderco! - wrzasnął.

Wciąż leżałem na wznak, ale trzymałem już w ręku rewolwer. Bez namysłu pociągnąłem za spust i zacząłem strzelać raz za razem, mierząc w jego kierunku. Zachwiał się i zatoczył, trafiony kulami, wreszcie upadł, a ja dalej strzelałem w powietrze, gdyż byłem zbyt przerażony, żeby przestać. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że kule mogą trafić kogoś innego. Dlatego strzelałem bez przerwy, nawet jeszcze wtedy, gdy już leżał na ziemi.

- Diaz?

Widziałem tylko jej buty. Nie odpowiadała. Leżała bez ruchu przy kole dodge'a.

- Diaz! Odezwij się!

Próbowałem się podnieść, ale nie mogłem. Próbowałem przetoczyć się na bok, ale ból w piersiach promieniował tak nieznośnym żarem, że aż krzyknąłem. Przeciągnąłem dłonią po swojej piersi i uniosłem ją do oczu. Błyszczała jaskrawą czerwienią.

Usłyszałem piskliwy dziewczęcy krzyk i przyszło mi na myśl, że to mała Kelly Diaz.

- Wszystko w porządku - powiedziałem. - Nie jestem twoim ojcem.

Ręka zaczęła mi drętwieć, a plac parkingowy rozmywał się przed moimi oczyma. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałem wyraźnie, był widok Davida Reinnikego dźwigającego się z ziemi. Jakby powstały z zaświatów, stanął na chwiejnych nogach i podniósł strzelbę. Usiłowałem znów wymierzyć do niego z rewolweru, ale ten był już dla mnie za ciężki. Mimo to odruchowo ściągnąłem za spust, lecz rozległ się tylko metaliczny Szczęk iglicy. David stanął nade mną, mocno kołysząc się na boki. Jego czerwona koszula

na piersi połyskiwała w promieniach palącego kalifornijskiego słońca. Z wysiłkiem dźwignął strzelbę i skierował wylot lufy w moją głowę. Po twarzy spływały mu łzy.

- Zabiłeś mojego ojca - powiedział.

Cały świat wokół mnie pograżył się nagle w ciemności.

59

Starkey

Była już pewna, że jej koszmar się urzeczywistnił, kiedy w pół drogi między Van Nuys a Newhall zdołała się połączyć przez radio z Bigginsem. Po odebraniu wiadomości od szeryfa zastępca sprawdził, że półciężarówka o podanym numerze rejestracyjnym stojąca pod domem Payne'a Kellera należy do niejakiego Fredericka Conrada, pracownika stacji benzynowej. Kiedy zaś chciał przekazać te informacje, a szeryf nie odpowiadał, pojechał do domu Kellera i w jego pobliżu natknął się na zwłoki przełożonego.

Starkey poprosiła go o wskazówki, jak znaleźć przyczepę mieszkalną Conrada, po czym nawiązała łączność z biurem szeryfa stanowego. Woląca nie zostawiać tego w rękach Bigginsa. Był zanadto zdenerwowany.

- Szybciej - rzucił Pike.

- Zamknij się.

- Dodaj gazu.

Wypadli z za zakrętu, z piskiem opon wyhamowali na poślizgu i w chmurze pyłu oraz strugach żwiru wyrzucanego spod kół wjechali na plac parkingowy. Na jego widok Starkey zamarło serce. Omal nie zginęła na podobnym placu, gdzie przed laty próbowali rozbroić bombę, toteż wspomnienie tamtej

eksplozji przerażającym echem wstrząsnęło jej, umysłem. Pomyślała: „Och nie, Boże, tylko nie to”.

Gdy zobaczyła Cole'a, zdała sobie sprawę, że nie żyje. Bo tak właśnie wyglądają martwi ludzie. Nie miała pojęcia, jak odebrał to Pike. Całkiem o nim zapomniała.

Diaz leżała na ziemi przy przednim kole starego dodge'a. Cole leżał mniej więcej w połowie odległości między tym wozem a najbliższą przyczepą mieszkalną. Potężnie zbudowany mężczyzna, który stał nad nim ze strzelbą w rękach, podniósł głowę i popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem, jakby była tylko szybą akwarium. Wszyscy byli zakrwawieni, ich ubrania połyskiwały czerwono w jaskrawym słońcu, co dodatkowo nasiliło jej przekonanie, że Cole nie żyje.

Pike tylko warknął gardłowo i Starkey nagle straciła kontrolę nad wydarzeniami. Coś wyszarpnęło jej kierownicę z ręki. Stopa Pike'a z całej siły przydepnęła jej nogę na pedale gazu. Samochód skoczył do przodu, przedarł się przez kępę krzaków, niewielką stertę kamieni i żelazną ławeczkę. Barczysty mężczyzna uniósł strzelbę. Przednia szyba pokryła się nagle siatką pęknięć i w tej samej chwili Pike wdusił hamulec, szarpnął dźwignię hamulca ręcznego, zakręcił kierownicą i wprowadził wóz w poślizg. Wyskoczył na zewnątrz, jeszcze zanim auto się zatrzymało. Starkey usłyszała tylko dwa donośne huki następujące po sobie tak szybko, że niemal zlały się w jeden. Strzelba wyleciała w górę i zakręciła młynek w powietrzu, a David Reinnike z impetem poleciał do tyłu i zwałił się na ziemię.

Pike klęczał już przy Cole'u, kiedy Starkey wyskoczyła zza kierownicy.

- Wezwij karetkę! Sprawdź, czy bandzior nie żyje i zobacz, co z Diaz!

Wydawało jej się dotąd, że Pike myśli wyłącznie o sobie, ale wydawane przez niego polecenia uznała za absolutnie słuszne. Łzy, napłynęły jej do oczu i zaczęło cieknąć z nosa, nim zdołała wezwać przez radio karetkę. Ruszyła na miękkich nogach w stronę Cole'a, lecz zwymiotowała, gdy tylko ujrzała go bliska.

Cały jego bok przypominał odrażającą czerwoną miazgę. Krew burzyła się i pieniała w rytm gwałtownych ruchów Pike'a robiącego masaż serca.

- Potrzebny mu tlen i kroplówka. Musimy...

Zapłakana i roztrzęsiona, pospiesznie zdarła z siebie bluzkę, zgmiotła ją w ciasną kulę i przytknęła do zranionego boku Cole'a. Oburącz przycisnęła ją z całej siły, chcąc powstrzymać krwotok.

Pike także się trząsał, ale nie dała po sobie poznać, że wyczuła, jak dygoce na całym ciele. Po chwili odchylił Cole'owi głowę do tyłu i zaczął mu wdmuchiwać powietrze do płuc. Raz, drugi, trzeci...

- Trzymaj się - mruknęła. - Trzymaj się. - Jeszcze mocniej docisnęła bluzkę do rany. - Nie umieraj.

Pike na przemian robił sztuczne oddychanie i masaż serca, nie przerywając ani na chwilę. Nawet nie podniósł głowy, gdy z wyciem syreny na plac wjechała karetka pogotowia.

60

Sen Elvisa Cole'a

Śmierć zaprowadziła mnie do rodzinnego domu. Chłodne powietrze wpadało przez otwarte okna, niosąc ze sobą stłumione dźwięki organów i zapach smażonych na ruszcie kielbasek do hot-dogów. Nic nie mogło mi sprawić większej radości w tym małym przytulnym domku.

Z dołu doleciał okrzyk matki:

- Obudź się wreszcie! Nie będziesz tam chyba tkwił przez cały dzień?! - Po chwili dodała znacznie łagodniejszym tonem: - No, chodź, synku. Czekamy na ciebie.

Nasz mały domek był pomalowany na biało, ganek ocieniał frontowe drzwi, otaczały go aksamitne trawniki. Pod oknami kwitła wybujała lawenda, a wzdłuż podjazdu ciągnął się szereg wyniosłych cyprysów, niemal identycznych co do grubości i wysokości. Stały wyprężone niczym żołnierze warty honorowej Strzegący nas przed jaskrawym, ale nigdy zanadto palącym słońcem.

Przeturlałem się po łóżku, wstałem i włożyłem ubranie. Mój pokój znajdował się na piętrze, okna wychodziły na ulicę. Był naprawdę wspaniały, po prostu wymarzony, ale panował w nim bałagan. Wszędzie na podłodze leżały rozrzucone komiksy, zabawki i ubrania, uprząż z kaburą wisiała na poręczy łóżka, a rewolwer leżał na nocnej szafce. Powypadały z niego wszystkie naboje, ale nie miałem czasu, żeby je pozbierać. Nie potrzebowałem przecież broni przy śniadaniu.

Koszula, którą nosiłem poprzedniego dnia, była zakrwawiona. Nie chciałem, żeby matka to zobaczyła, więc zwinąłem ją, wepchnąłem pod łóżko i pognąłem schodami na dół. Galopowałem niczym stado rozjuszonych bawołów - Łup! Łup! Łup! Nie mam pojęcia, jak domownicy to znosili. To byli naprawdę święci ludzie, tacy, jakich można sobie tylko wymarzyć.

- Elvis!

- Już idę!

Mieliśmy własną rodzinną tradycję. W każdą sobotę moja mama, tata i ja zjadaliśmy późno wspólne śniadanie, donikąd się nie spiesząc. To były najpiękniejsze dni. Opowiadaliśmy sobie o tym, co nam się przydarzyło w minionym tygodniu, i wybieraliśmy film do obejrzenia w niedzielę. A później po prostu siedzieliśmy w dużym pokoju, jak każda rodzina ciesząc się spędzaniem razem czasem

Musicie zrozumieć, że tak naprawdę nigdy wcześniej tego nie robiliśmy, ale to przecież był szczególny dzień. Zanim umarłem, zajmowałem jakiś lichej pokój w tanim wynajmowanym mieszkaniu, w przyczepie mieszkalnej albo w domu dziadka,

rozmowy z matką zawsze napawały mnie niepokojem, a ojca w ogóle nie znałem.

Ale to był szczególny dzień. W końcu miałem poznać tego człowieka, bo matka poszła po rozum do głowy, i powinniśmy rozpocząć normalne życie, jak w każdej typowej amerykańskiej rodzinie. Typowej pod każdym względem. Tak więc, podekscytowany jak diabli, niemal rozgorączkowany, zbiegiem pędem po schodach, minąłem hol i jak bomba wpadłem do kuchni

Mama stała przy zlewie, a tata zaglądał do lodówki. Nie podnosząc głowy, zapytał:

- Mleko czy sok, wspólniku?

- Mleko.

- Słuszna decyzja.

Mama, odwrócona do mnie tyłem, zapytała:

- Zmyłeś z siebie krew?

- Jestem czyściutki.

- Nie zniostabym widoku krwi przy stole.

- Wiem.

Oczywiście uniosłem wzrok do nieba, bo właśnie tak uczyniłby typowy amerykański chłopak w moim wieku mieszkający w typowym amerykańskim miasteczku. Tak to przynajmniej przedstawiali w telewizji, telewizja przecież nie kłamie. Żadne z nich nawet na mnie nie spojrzało. Matka wciąż stała przy zlewie, a ojciec grzebał w lodówce. Zastłonki w kuchennym oknie poruszyły się na wietrze, ale nie zakłóciło to spokoju panującego w całym domu.

- Hej, jestem głodny. Myślałem, że śniadanie już gotowe.

Woda pluskała w zlewie. Na patelni smażyły się jajka na bekonie. Za oknem gromadka dzieciaków z krzykiem biegła wokół lodziarza, co ich ojcowie i matki przyjmowali z głośnym śmiechem. Był tak piękny, pogodny dzień, że niemal słyszało się ciepło słoneczne i czuło jego smak na języku.

Tylko mój wspaniały rodzinny dom sprawiał wrażenie pogrążonego w smutku.

- Tato? Spójrz na mnie. Musisz na mnie spojrzeć. Chcę wreszcie zobaczyć, jak wyglądasz. Przecież po to tu jesteśmy, po to stworzyłem to miejsce. Serce mi pęknie, jeśli cię w końcu nie poznam!

Człowiek stojący przed lodówką zmętniał, zrobił się półprzejrysty, zaczął się rozpląwać w powietrzu.

- Tato!

Podniósł głowę, ale było za późno. Uznałem, że przecież się starał. I on chciał mnie poznać. Na pewno by mu się udało, gdyby to tylko było możliwe.

- Mamo! Nie pozwól mu odejść!

Nie było już po nim nawet śladu. Ale ona także zniknęła. Drzwi lodówki zakołysały się raz i drugi, wreszcie znieruchomiały. Przez otwarte okna wpadało chłodne powietrze niosące stłumione ludzkie głosy. Nic nie mogło mi sprawić większej radości w tym małym przytulnym domku.

Wcale nie jest aż tak źle, gdy się nie wie, kim się naprawdę jest. Można sobie wtedy wymyślać, cokolwiek się zapragnie.

Ruszyłem na obchód domu. W długim korytarzu moje kroki rozbrzmiewały głośnym echem. Salonik był mniejszy, niż można by sądzić, ale przyjemnie urządzone typowo amerykańskimi meblami, z oprawionymi w ramki zdjęciami stojącymi na gzymsie kominka i wielkim zegarem dziadka, który tykał powoli, jak zatrzymujące się serce.

Głosy, które wcześniej słyszałem, nagle przybrały na sile, niesione wiatrem. Wydały mi się znajome. Pobiegnę z powrotem do kuchni

- Mamo?

Stały się jeszcze głośniejsze, wyraźnie rozróżniałem spierających się kobietę i mężczyznę, i choć nie potrafiłem wyłowić ani jednego słowa, przeczuwałem, że mama sprowadza

ojca z powrotem. Przez kuchenne okno nikogo nie widziałem, toteż pobiegłem do saloniku.

- To wy? Gdzie jesteście?

Nade mną rozległy się ciężkie stapania, ktoś chodził na piętrze. Pognąłem do schodów i popędziłem na górę, przeskakując po trzy stopnie naraz. Jeszcze mogło nam się udać. Musiałem ich tylko odnaleźć.

- Gdzie jesteście?

Pobiegłem korytarzem, podążając za głosami.

61

Na Oddziale intensywnej terapii trudno było o krzesła, jakby personel chciał dać do zrozumienia, że goście są tu mile widziani, tylko jeśli nie siedzą za długo. Chcąc zniechęcić do dłuższych odwiedzin, pielęgniarki wstawiły do sali tylko jedno krzesło. Pike od samego początku nie odstępował Cole'a na krok, w ogóle nie wychodził ze szpitala. Spał na tym krześle, kiedy zostawał sam, albo też sterczał pod ścianą, czy to w sali, czy na korytarzu. Nawet mył się w szpitalnej łazience, a Starkey bądź jego pracownicy ze sklepu z bronią przywozili mu czyste ubrania i żywność. W dodatku bardzo uważał na to, co je. Był wegetarianinem.

Całymi dniami przez salę Cole'a przewijali się różni goście, a Pike tylko ich obserwował, przy czym rzadko kto skinął mu głową czy zamienił choćby parę słów. Niemal każdego wieczoru przychodził Lou Poitras z całą rodziną. Starkey wpadała dwa razy dziennie, najpierw na parę minut podczas przerwy w porannej służbie, a później po jej zakończeniu. Za pierwszym razem stała w kącie z rękoma skrzyżowanymi na piersi, przygarbiona, z zaczerwienionymi oczami i mamrocząca: „Wiedziałam, że to się musi stać, cholera, wiedziałam”. Drugi raz

przyszła wieczorem, śmierzdząca na kilometr dżinem, ciężko klapnęła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Pike objął ją i delikatnie postawił na nogi. Zdjął ciemne okulary, przytulił ją do siebie i zaczął głaskać po głowie.

- Nie rób tego - powiedział cicho. - Bądź silna.

Starkey kazała mu się odpieprzyć, ale gdy przyszła nazajutrz, nie załatywało już od niej dżinem. Co pięć minut wychodziła z pokoju, żeby zapalić w łazience papierosa, i coraz częściej pachniała miętowym odświeżaczem do ust. Trzeciego dnia zjawił się detektyw Jeff Pardy. Zalęknionym wzrokiem obrzucił leżącego nieruchomo Cole'a, jakby wciąż miał przed nim respekt po włamaniu się do jego domu, i serdecznie przeprosił. Pike oficjalnym tonem przyznał, że bardzo sobie ceni te przeprosiny.

- No cóż, muszę już lecieć - mruknął podenerwowany Pardy.
- Muszę zdążyć na pogrzeb Diaz.

Pike przytaknął ruchem głowy.

- Jak Cole się obudzi, powiedz mu, że odnaleźliśmy hondę accord Reinnikego na długoterminowym parkingu przed lotniskiem. W środku było pełno odcisków palców Diaz. Wygląda na to, że to ona odstawiła wóz na parking, ale nie mamy jeszcze pewności.

- Dobrze, powiem mu o tym.

- Nawet byśmy go nie szukali, gdybyście nie zdobyli zdjęcia z numerem rejestracyjnym. Odwaliliście kawał dobrej roboty.

- To też mu przekażę.

Któregoś wieczoru zajrzał do sali jeden z ich dawnych klientów, reżyser filmowy, niejaki Peter Alan Nelsen. Przyszedł sam, w czapeczce baseballowej i w koszuli ze stójką, jakby liczył na to, że nikt go nie pozna. Pike wyszedł z nim porozmawiać na korytarz i długo nie wracał, jakby wspólnie analizowali to, co się stało. Potem Nelsen przez dłuższy czas siedział na skraju łóżka Cole'a i modlił się aż do późnej nocy. Następnego dnia

dostarczono gigantyczny bukiet z tysiąca róż. Było ich tak dużo, że personel szpitala obdzielił kwiatami każdą salę oddziału i przyozdobił korytarze.

Nazajutrz pojawił się jeszcze jeden były klient, ale już nie sam. Frank Garcia był kiedyś ważną postacią w gangsterskim ruchu Białej Fali, ale później stworzył warte miliard dolarów imperium barów szybkiej obsługi, serwujących oprócz salsy, chipsów i klasycznych meksykańskich dań osławione tortille monsterito. Kiedy jego córka została zamordowana, właśnie Pike z Cole'em odszukali zabójcę. I teraz Frank zjawił się w towarzystwie swego adwokata, Abbota Montoi, członka rady miejskiej, Henry'ego Maldenady, i całej armii szpitalnych urzędników ciągnących za nimi niczym świta. Garcia był też fundatorem nowego szpitalnego skrzydła, mieszczącego oddział pediatryczny.

Wiek wyraźnie dawał mu się we znaki, toteż z ochotą wsparł się na ramieniu Joego, nim zapytał:

- Co i nim?

Pike spojrzał na łóżko.

Garcia przeżegnał się i ze złością machnął ręką na Montoyę.

- Ma mieć wszystko, co najlepsze. Niech go umieszczą w tej samej sali, w której leżał nasz cholerny prezydent. Naprawdę tych łobuzów nie stać na nic lepszego? Przecież ten człowiek pomścił Karen. Jestem mu oddany całym sercem!

- Frank - mruknął Pike.

- Ma mieć najlepszych lekarzy i najlepsze pielęgniarki. Zajmij się tym, Abbot. I to już!

Garcia spojrzał na szpitalne łóżko i zapłakał jak małe dziecko, trzymając się ręki Pike'a.

Piątego dnia, dokładnie o pierwszej szesnastej po południu, Pike stał sam przy łóżku Cole'a. Starkey niedawno wyszła. Wcześniej wpadły z wizytą Ellen Lang i Jodi Taylor, ale o pierwszej szesnastej Pike był już sam w pokoju.

Cole sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokim śnie, jego gałki oczne ledwie zauważalnie obracały się pod zamkniętymi powiekami. Pike wziął, go za rękę.

I nagle Cole otworzył oczy, rozwarł powieki tylko na milimetr, jakby raziło go dzienne światło.

- Witaj wśród żywych - powiedział Joe.

Cole oblizwał wargi i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

- Nic nie mów - przestrzegł go przyjaciel.

I Cole znowu zasnął. Pike trzymał go za rękę i czekał cierpliwie, jakby bał się nawet poruszyć.

Wieczorem nadal tak samo stał przy łóżku, ale to Starkey trzymała Cole'a za rękę.

- Hej, kolego. Słyszysz mnie, Cole?

Przez całe popołudnie, ilekroć otwierał oczy, jego powieki za każdym razem rozwierały się nieco szerzej. Pielęgniarki powiedziały, że mówienie do niego jest jak najbardziej wskazane i może mu tylko pomóc w odzyskaniu świadomości.

Kiedy więc Pike powiedział Starkey, że Cole się budzi, na jej zaszpeconej twarzy od razu wykwitł szeroki uśmiech i jak chart rzuciła się do łóżka ukochanego.

- To cudowne, człowieku! Po prostu fantastyczne! Hej, kolego, jesteś znowu z nami? Słyszysz mnie?

Na zmianę przemawiali do Cole'a i trzymali go za rękę, a Pike z wielką radością odbierał bezgraniczny entuzjizm Starkey. Znowu sprawiała wrażenie takiej samej trzpiotki jak kiedyś, gdy sypała zabawnymi i niecenzuralnymi dowcipami, bez wytchnienia krążąc po sali.

- Widzisz, Cole, że przy tobie staję się skończoną idiotką?

- Wiesz co? Wprowadziłam się do twojego domu. Tobie i tak na razie nie jest potrzebny, więc pomyślałam, że nie będziesz

miał nic przeciwko temu. I od razu zastrzeliłam tego cholernego kota.

- Wymyśliłeś sobie najgłupszy sposób pod słońcem, żeby wymigać się od postawienia mi obiecanej kolacji.

O wpół do ósmej tego wieczoru Pike zostawił ją samą z Cole'em i wyszedł na korytarz. Przeciągnął się i zrobił parę skłonów, żeby rozluźnić napięte mięśnie karku. A kiedy się wyprostował, ujrzał pędzącą w jego kierunku Lucy Chenier. Zwolniła kroku tylko na tyle, żeby zamienić z nim parę słów. Oczy miała mocno podkrażone od zmęczenia i zatroskania, jakby żyła ostatnio w nieznośnym stresie.

- Gdzie on jest? - zapytała.

Pike ruchem głowy wskazał drzwi pokoju. Wyminęła go i jak bomba wpadła do środka. Kiedy Lucy pochyliła się nad łóżkiem, popatrzył na Starkey. Żywy blask w jej oczach nagle przygasł, jakby uszła z niej cała energia. Odsunęła się na bok, żeby zrobić miejsce Lucy, a Pike zajął swoje stanowisko w nogach łóżka.

Lucy wzięła Cole'a za rękę. Łzy napłynęły jej do oczu, ciekły po policzkach i po chwili zaczęły kapać na pościel.

- Tylko mi teraz nie umieraj - powiedziała. - Ani się waż. Słyszysz mnie, Cole? Ty...

Słowa zamarły jej w gardle. Jęknęła głucho, z trudem nabrała powietrza i wybuchnęła płaczem.

Powieki Cole'a zatrzepotały. Jego lewe oko otworzyło się znacznie szerzej niż prawe.

- Luce?

Chenier zaszlochała jeszcze głośniejsze, lecz na jej ustach pojawił się szeroki uśmiech.

Cole utkwiał w niej spojrzenie.

- Luce...

- Słucham, kochany. Jestem przy tobie. Jestem. Wróciłeś do mnie. Wróciłeś...

Starkey wycofała się do drzwi. Pike złowił spojrzenie, którym zmierzyła Lucy, i szybko wbił wzrok w podłogę. Starkey skinęła mu głową i wyszła na korytarz. Zrozumiał, co chce mu przekazać, ale przecież nie mógł w takiej chwili opuścić Cole'a. Poklepał jego nogę.

- Elvis...

Cole spojrzał na niego.

- To ja powinienem był dostać kulkę - oznajmił Joe.

Cole zdobył się na uśmiech, lecz niemal natychmiast zapadł w sen.

Pike został przy nim. Każdego dnia pojawiali się różni goście, ale on nadal nie wychodził ze szpitala. Czuwał przy łóżku na okrągło przez dwanaście dni, zanim wreszcie zdecydował się wyjść na dwór, nabrawszy przekonania, że jego przyjaciel najgorsze ma już za sobą. Elvis Cole znowu był z nimi, jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

CZEŚĆ PIĄTA
Przebaczenie

- Tu będzie dobrze - powiedziałem.

Pike zjechał wynajętym samochodem na pobocze żwirowej drogi i zatrzymał się w cieniu przepięknej rozłożystej wierzby.

- Wiesz, gdzie to jest?

- Gdzieś tutaj. Na pewno znajde.

Pike przyleciał ze mną samolotem do miasta, w którym była pochowana. Wciąż jeszcze miałem kłopoty z chodzeniem, a już na pewno nie odważyłbym się prowadzić samochodu. Oczywiście wolałbym przyjechać tu sam, ale w jego towarzystwie czułem się różnie.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - zapytał.

- Nie, zaczekaj. To nie potrwa długo.

Musiałem się podpierać laską, a mimo to przy każdym kroku zraniony bok przeszywał ostry ból. Terapeutka ostrzegła, że ten ból będzie mi dokuczał jeszcze przez parę miesięcy i może nigdy nie zniknie do końca, dlatego musiałem się do niego przyzwyczaić.

Moi dziadkowie i matka zostali pochowani tuż obok siebie na tyłach cmentarza. Ciotka zginęła w wypadku samochodowym piętnaście lat wcześniej, a jej grób znajdował się na przedmieściach Chicago, gdzie mieszkała z mężem. Miałem ponadto dwóch kuzynów, których nigdy nie widziałem na oczy. Grobu matki nie odwiedzałem od dnia jej pogrzebu.

Bez trudu odnalazłem małą czarną prostokątną płytę i zapatrzyłem się na wyryte na niej nazwisko. Przez te lata kamień zwietrzał i pokrył się grubą warstwą kurzu, lecz zieleniąca się wokół niego trawa sprawiała, że wyglądał nawet lepiej niż kiedyś. Na płycie nie było kwiatów. Pewnie nikt ich tu nie kładł od czasu, gdy ciotka przeniosła się do Chicago. Bardzo trudno było

mi się schylić, ale zwalczyłem ból i położyłem wiazankę róż na wyrytym w kamieniu nazwisku.

- Cześć, mamó - powiedziałem.

Łzy napłynęły mi do oczu i pozwoliłem sobie zaszlochać. Miałem wyrzuty sumienia, że przez tyle lat nie odwiedzałem jej grobu, a chyba jeszcze większe z powodu tego wszystkiego, o co ją obwiniałem przez ten czas, bo teraz wydawało mi się to jedynie przejawem skrajnego egoizmu. Jej choroba napawała mnie smutkiem i przechodziła wszelkie moje wyobrażenia. Bo przecież jedyną jej winą było to że zaszczepiła we mnie marzenia, o co miałem do niej tyle pretensji. Moje winy były znacznie cięższe. Odczuwałem je niczym ustawiczny ból w boku, z którym mogłem się tylko pogodzić i próbować go przezwyciężyć.

Pokuśtykałem z powrotem do samochodu, próbując uciszyć wyrzuty sumienia. Ale nie było to łatwe.

- W porządku. Możemy wracać.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Nie. Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę.

Pike zawiózł mnie na lotnisko i jeszcze tego samego dnia wróciliśmy do Los Angeles.

Nie ma to jak we własnym domu.